

Joanne Harris

Pięć ćwiartek pomarańczy

Przełożyła Hanna Pasińska

Mojemu dziadkowi Georges'owi Payen,

który tam był.

Podziękowania

Szczerze dzięki wszystkim, którzy opowiedzieli się po mojej stronie podczas serii zbrojnych utarczek, jakie złożyły się na niniejszą książkę. Kevinowi i Anoushce za obsługę armat, moim rodzicom i bratu za wsparcie i aprowizację; Serafinie, Walecznej Księżniczce, za obronę posterunku; Jennifer Luithlen za politykę zagraniczną; Howardowi Morhaimowi za pokonanie Normanów; dziękuję również mojemu wydawcy Jennifer Hershey i ciężkiej artylerii z Morrow; mojemu chorążemu Louise Page oraz Christo-pherowi za to, że przy mnie wytrwał.

Część pierwsza
DZIEDZICTWO

1

Kiedy matka umarła, zostawiła farmę mojemu bratu Cassisowi, fortunę w postaci piwniczki z winem mojej siostrze Reine-Claude, a mnie, najmłodszej, album i dwulitrowy słoje zawierający jedną czarną trufle Perigord, wielką jak piłka do tenisa, zanurzoną w oleju słonecznikowym, która gdy odkorkować słoje, nadal roztacza bogaty, wilgotny aromat dna lasu. Trudno to nazwać równym podziałem bogactw, lecz matka była niczym jedna z sił natury: rozdzielała względy według własnego uznania, kierując się niepojętą, dziwaczną logiką.

A jak zawsze powtarzał Cassis, to ja byłem jej ulubienicą.

Choć nie mogę powiedzieć, by okazała to choć raz za swego życia. Nawet gdyby była łagodna z natury, nie miałyby wielu okazji, by okazać pobłażliwość. Jej mąż zginął na wojnie i sama musiała prowadzić gospodarstwo.

Zamiast osłodzić wdowieństwo, uprzykrzaliśmy jej życie naszymi hałaśliwymi zabawami, bójkami, kłótniami. Kiedy chorowaliśmy, dbała o nas z niechętną czułością, jak gdyby rachując w myślach, ile ją będzie kosztować, jeśli przeżyjemy. Miłość, jaką nam okazywała, przybierała najbardziej pospolite formy: garnków i patelni od smażenia dżemu zostawionych do wylizania, garści poziomek zerwanych z zaniedbanej rabatki za grządkami warzyw i przyniesionych bez uśmiechu w chustce. Cassis pełnił w rodzinie funkcję mężczyzny; okazywała mu mniej nawet łagodności niż reszcie. Reinette przyciągała spojrzenia już jako dziecko, a matka była dość próżna, by cieszyć się z tego zainteresowania. Ja stanowiłam tylko jedną więcej gębę do wyżywienia, nie będąc drugim synem, który pomógłby przy gospodarstwie, i z pewnością nie grzesząc urodą.

Zawsze to ja się jej sprzeciwiałam i przysparzałam kłopotów, a odkąd umarł ojciec, stałam się ponura i zuchwała. Chuda i ciemnowłosa jak matka, o długich jak u niej niezgrabnych rękach i płaskich stopach oraz szerokich ustach, musiałam jej bardzo przypominać ją samą, bo spoglądając na mnie, często zaciskała usta z czymś na kształt fatalizmu, stoickiego pogodzenia się z

losem. Jak gdyby przewidywała, że to ja, a nie Cassis ani Reine-Claude, przeniosę jej wspomnienia w przyszłość. Jak gdyby wołała stosowniejsze naczynie.

Być może dlatego zostawiła mi album - pozbawiony wartości, pomijając uwagi i przemyślenia utrwalone drobnym pismem na marginesach obok przepisów, wycinków z gazet i receptur na ziołowe medykamenty. Właściwie nie był to dziennik. W albumie prawie zupełnie nie ma dat, zachowanej kolejności. Ułożone jak popadnie luźne kartki zszyto drobnymi, obsesyjnymi ściegami - niektóre cienkie jak łuska cebuli, inne z kawałków tektury przyciętych tak, żeby się zmieściły wewnątrz zniszczonych skórzanych okładek. Matka upamiętniała wydarzenia ze swego życia za pomocą przepisów, dań wymyślonych przez siebie albo nowych wersji znanych od dawna, lubianych potraw. Wyrażała poprzez gotowanie tęsknotę i radość; tylko w przyrządzaniu i podawaniu jedzenia znajdowały ujście jej twórcze zdolności. Pierwsza strona dziennika została poświęcona śmierci ojca - wstążkę jego Legii Honorowej przymocowała grubą warstwą kleju poniżej zamazanej fotografii oraz starannie zanotowanego przepisu na naleśniki z mąki gryczanej - i nosi piętno ponurego poczucia humoru matki. Pod

zdjęciem zapisała czerwonym ołówkiem: Pamiętać - wykopać bulwy topinambura. Ha! Ha!

W innych miejscach bywa bardziej elokwentna, pełno tam jednak skrótów i tajemniczych aluzji. Pamiętam niektóre ze wspomnianych zdarzeń: część z nich została nagięta, tak by odpowiadały potrzebom chwili. Inne wydają się kompletnym zmyśleniem, kłamstwem, nieprawdopodobieństwem. W wielu miejscach natrafiłam na akapity zapisane drobnym charakterem w języku, którego nie znam. Ini tnawini inoti ?i?i???i?i. Inecch dziecwieponi. Einini sezniوني goteni nicejwie. Niekiedy pojedyncze, pozornie przypadkowe słowo ciągnie się w poprzek strony lub na marginesie. Na jednej kartce napis huśtawka niebieskim atramentem, na innej gaulteria, łajdak, ozdoba pomarańczową kredką. Na jeszcze innej coś, co być może jest wierszem, choć nigdy nie widziałam, by matka czytała cokolwiek prócz książki kucharskiej:

Ta słodycz

zaczerpnięta

niczym jasny owoc

śliwka brzoskwinia morela

arbuz być może

z mojego wnętrza

ta słodycz

Jest w tym wierszu coś dziwnego, co mnie zaskakuje i niepokoi. Że ta twardo stąpająca po ziemi, prozaiczna kobieta mogła w chwilach prywatności żywić podobne myśli. Wydawała się bowiem zamknięta w sobie - przed nami, przed całym światem - tak bardzo, że uważałam ją za niezdolną do łagodności.

Nigdy nie widziałam, by płakała. Rzadko się uśmiechała, a i to tylko w kuchni, mając na wyciągnięcie ręki najrozmaitsze smaki. Cicho i bezdźwięcznie mamrotała do siebie (jak sądziłam), wyliczając nazwy ziół i przypraw -cynamon, tymianek, mięta, kolendra, szafran, bazylią, lubczyk - nieustanny, monotony komentarz. Sprawdzić, czy płyta się nagrzała. Musi być właściwa temperatura. Za zimna płyta, naleśnik będzie gliniasty. Za

gorąca płyta, masło się spali, nady mi, placek się pokruszy. Później zrozumiałam, że próbowała mnie uczyć. Słuchałam, bo w naszych kuchennych seminariach widziałam jedyny sposób, by zyskać nieco aprobaty w jej oczach, i ponieważ każda prawdziwa wojna wymaga niekiedy rozejmu. Matka najbardziej lubiła wiejskie przepisy ze swojej rodzinnej Bretanii; gryczane naleśniki jedliśmy ze wszystkim, far breton i kouign amann, i galette bretonne, którą sprzedawaliśmy w Angers w dole rzeki razem z kozim serem, kielbasą i owocami.

Zawsze uważała, że to Cassis powinien dostać gospodarstwo. Tymczasem brat wyjechał pierwszy - obojętny i wyzywający - do Paryża, zrywając wszelkie kontakty; przysyłał tylko kartkę świąteczną w każde Boże Narodzenie, a kiedy matka umarła trzydzieści lat później, zaniedbane gospodarstwo nad brzegiem Loary nic go nie obchodziło. Kupiłam je od niego za własne oszczędności, mój wdowi grosz, i zapłaciłam niemało. Był to jednak uczciwy interes, a i Cassis cieszył się wówczas, że go zrobił. Rozumiał, że farma powinna pozostać w rodzinie.

Teraz oczywiście wszystko się zmieniło. Cassis sam ma syna. Chłopak poślubił Laurę Dessanges, tę, która

pisze o gotowaniu, i otworzył razem z nią restaurację w Angers. Aux Delices Dessanges. Spotkałam go parę razy przed śmiercią Cassisa. Nie podobał mi się. Ciemnowłosy i pretensjonalny, już zaczynał być podobnie jak ojciec, choć wciąż jeszcze był przystojny i wiedział o tym. Dwoił się i troił, pragnąc mi się przypodobać; nazywał mnie „Mamie”; podsuwał krzesło, nalegał, żebym zajęła najwygodniejsze miejsce, robił kawę, słodził i dolewał śmietanki, pytał o moje zdrowie, przypochebiał się tak i siak, aż się niedobrze robiło. Cassis, mający wówczas koło sześćdziesiątki, opuchnięty od choroby wieńcowej, która go miała w końcu zabić, przyglądał się temu z ledwie skrywaną dumą. Mój syn. Spójrz, jaki z niego wspaniały mężczyzna. Jakiego masz miłego, troskliwego bratanka.

Dał mu na imię Yannick po naszym ojcu, ale nie lubiłam chłopaka z tego powodu ani trochę bardziej. To jedna z rzeczy, które wzięłam po matce: niechęć do konwenansów, fałszywej poufałości. Nie lubię, kiedy mnie ludzie dotykają albo się do mnie wdzięczą. Nie rozumiem, czemu miałabym kogoś darzyć uczuciem z powodu więzów krwi. Albo z powodu krwi przelanej kiedyś w przeszłości i tajemnicy, którą ukrywaliśmy wspólnie tak długo.

Tak, tak. Nie myślcie, że nie pamiętam. Nie zapomniałam ani na chwilę, choć inni tak bardzo się starali. Cassis szorujący pisuary przed swym paryskim barem. ReINETTE sprzedająca bilety w kinie porno na placu Pigalle i obwąchująca każdego kolejnego mężczyznę niczym zabłąkany pies. Tyle jej przyszło ze szminek i jedwabnych pończoch. W Les Laveuses była królową dożynek, ślicznotką, największą pięknoscią we wsi. Na Montmartrze wszystkie kobiety wyglądadją tak samo. Biedna ReINETTE.

Wiem, co sobie myślcie. Chcecie, żebym wreszcie zaczęła. Tylko ta jedna historia z dawnych czasów was teraz obchodzi; jedyna nić w zetlałym sztandarze, która wciąż jeszcze przyciąga wzrok. Chcecie usłyszeć o TomasiE Leibnizu. Żeby uporządkować, zaklasyfikować, zamknąć tę opowieść. No cóż, to nie takie łatwe. Jak w albumie mojej matki, strony nie są ułożone po kolei. Początku brakuje, a koniec rozłazi się niczym skraj nieobrębionej spódnicy. Jestem już stara - wszystko tutaj starzeje się tak szybko; pewnie z winy powietrza - i robię wszystko po swojemu. Poza tym musicie zrozumieć tyle rzeczy. Dlaczego moja matka zrobiła to, co zrobiła.

Dlaczego tak długo ukrywaliśmy prawdę. I czemu zgodziłam się opowiedzieć teraz tę historię obcym; ludziom, którzy wierzą, że czyjeś życie można zmieścić na dwóch stronach niedzielного dodatku, zamknąć w kilku fotografiach, w krótkiej notce, cytacie z Dostojewskiego. A potem przewrócić stronę.

Nie tym razem. Zapiszą każde słowo. Nie mogę ich naturalnie zmusić, żeby wszystko wydrukowali, ale, Bóg mi świadkiem, będą słuchać. Zmuszę ich do tego.

2

Nazywam się Framboise Dartigen. Urodziłam się tutaj, w wiosce Les Laveuses, niecałych piętnaście kilometrów od Angers, nad Loarą. W czerwcu przyszłego roku skończę sześćdziesiąt pięć lat - pomarszczona i zżółkła od słońca jak suszona morela. Mam dwie córki: Pistache, zamężną z bankierem z Rennes, i Noisette, która przeniosła się do Kanady w osiemdziesiątym piątym i pisze do mnie raz na pół roku, oraz dwoje wnuków. Noszę żałobę po zmarłym dwadzieścia lat temu mężu. Pod jego nazwiskiem wróciłam w tajemnicy do rodzinnej wsi, by odkupić gospodarstwo mojej matki - od dawna opuszczone, zrujnowane przez ogień i żywioły. Tutaj jestem Francoise Simon, la veuve Simon, i nikomu nie przyszłoby do głowy łączyć mnie z rodziną Dartigen, która wyjechała po tamtych okropnych wydarzeniach. Nie wiem, dlaczego to musiała być ta farma, ta wieś. Może po prostu jestem uparta. Co było, to było. Tutaj jest moje miejsce. Lata z Herve wydają mi się teraz niemal pozbawione zdarzeń, jak te spłach-cie spokojnej wody, na

jakie natrafia się czasem na morzu podczas sztormu - chwila oczekiwania, zapomnienia. Choć nigdy naprawdę nie zapomniałam Les Laveuses. Ani na moment. Jakaś część mnie zawsze tam żyła.

Trzeba było przeszło roku pracy, zanim do domu można się było wprowadzić. Zamieszkałam w skrzydle wychodzącym na południe, gdzie ocalał chociaż dach, i podczas gdy robotnicy kładli dachówkę, pracowałam w sadzie - czy raczej tym, co z niego zostało - przycinając, formując i ściągając z drzew ogromne wieńce żarłocznej jemioli. Matka namiętnie kochała wszelkie owoce z wyjątkiem pomarańczy, których nie pozwalała przynosić do domu. Każdemu z nas, pozornie dla kaprysu, nadała imię pochodzące od owocu i przepisu - Cassis od pulchnego placka z czarnych porzeczek, Framboise od likieru z malin i Reinette od śliwy renklody rosnącej przy południowej ścianie, której owoce zwisające w kiściach niczym winogrona w pełni lata roily się od os. Był czas, że mieliśmy ponad setkę drzew - jabłoni, grusz, śliw, wiśni i pigwoców, nie wspominając o malinach i całych zagonach truskawek, agrestu, porzeczek. Ich owoce suszyliśmy, chowaliśmy do piwnicy, przerabialiśmy na dzemy i likiery oraz wspaniałe, wielkie jak koło u wozu

tarty z pate brisee, creme pdtissiere i marcepanem. W mojej pamięci do dziś zachowały się tamte zapachy, barwy, nazwy. Matka troszczyła się o swoje drzewa niczym o ukochane dzieci. By je uchronić od mrozu, rozstawialiśmy garnki z żarem, w których paliliśmy opałem zebrany dla siebie na zimę. Każdej wiosny wkopywaliśmy całe taczki obornika wokół każdego pnia. A w lecie, żeby odstraszyć ptaki, przywiązywaliśmy na końcach gałęzi paski srebrnego papieru, które drżały i łopotały na wietrze, gwizdawki ze sznurka naciągniętego mocno na pustych cynowych puszkach, wydające dziwny, przerażający ptaki dźwięk, i wirujące szaleńczo wiatraczki z kolorowego papieru. Przystrojony sad wyglądał, jakby karnawał nadszedł w samym środku lata. I każde drzewo miało własne imię.

BelleYvonne, mówiła matka, mijając sękatą gruszę. Rosę d'Aquitaine Beurre du Roi Henn. Jej głos w takich razach stawał się łagodny, prawie rozmarzony. Nie wiedziałam, czy mówi do mnie, czy do siebie samej. Konferencja Williamsa. Ghislaine de Penthievre. Ta słodycz.

Dzisiaj w sadzie zostało niespełna dwadzieścia drzew,

na moje potrzeby to wystarczy. Szczególnym powodzeniem cieszy się mój likier z wiśni, choć wstyd mi trochę, bo nie mogę sobie przypomnieć, jak matka nazywała drzewo, które je rodzi. Cały sekret polega na tym, żeby nie usuwać pestek. Owoce i cukier układa się warstwami w szklanym słoju o szerokiej szyjce, zalewając każdą warstwę alkoholem (kirsch jest najlepszy, ale można użyć wódki albo nawet armaniaku). Potem trzeba dopełnić alkoholem i czekać. Co miesiąc ostrożnie obracać słoje, żeby cukier się rozpuścił. Po trzech latach alkohol wypłucze z owoców kolor, nabierając ciemnoczerwonej barwy. Przeniknie do wnętrza pestek i ukrytych w nich maleńkich migdałów, od czego nabierze goryczy niosącej wspomnienie minionych jesieni. Należy go podawać w maleńkich kieliszkach z łyżeczką, żeby można było wyłowić wiśnię i trzymać ją w ustach, aż zmacerowany owoc rozpuści się pod językiem. Potem można nadgryźć pestkę, by uwolnić zamknięty w niej alkohol, i obracać długo końcem języka niczym pojedynczy paciorek różańca. Można próbować sobie przypomnieć czas, kiedy dojrzewała - tamto lato, tamtą gorącą jesień, kiedy studnia wyschła, gdy przybiliśmy w oknach siatki przeciw osom; czas miniony, utracony, odnaleziony znowu w twardym sercu owocu...

Wiem. Wiem. Pora wreszcie przejść do rzeczy. Ale to jest równie ważne jak cała reszta: sposób opowiadania i czas, jaki zabiera opowieść... Pięćdziesiąt pięć lat przeszło, nim ją zaczęłam. Więc pozwólcie przynajmniej, że będę mówić po swojemu.

Kiedy wróciłam do Les Laveuses, byłam prawie pewna, że nikt mnie nie rozpozna. Ale mimo to otwarcie, niemal wyzywająco, pokazywałam się we wsi. Jeśli ktoś mnie poznał, jeśli zdołał odnaleźć w mojej twarzy rysy naszej matki, chciałam się o tym dowiedzieć od razu. Chciałam wiedzieć, na czym stoję. Chodziłam nad Loarę każdego dnia i siadałam na płaskich kamieniach, gdzie Cassis i ja

łowiliśmy liny. Stawałam na pniu, który pozostał po Posterunku Obserwacyjnym. Niektórych spośród Stojących Kamieni już nie ma, ale wciąż jeszcze można zobaczyć kołki, gdzie wieszaliśmy nasze trofea, girlandy i wstążki oraz łeb Starej Mateczki, kiedy ją wreszcie złowiłam. Poszłam do sklepiku z tytoniem Brassauda (prowadzi go teraz jego syn, ale starszy pan wciąż żyje, a oczy ma jak dawniej czarne, złośliwe i bystre), do kawiarni Raphaëla, na pocztę, gdzie kierowniczką jest

Ginette Hourias.

Poszłam nawet pod pomnik. Na jednej stronie osiemnaście nazwisk żołnierzy z naszej wsi zabitych na wojnie, poniżej napisu Morts pour la patrie. Zauważyłam, że nazwisko mojego ojca wymazano, została nierówna plama między Dariusem G. i Fenouilem J.-P. Po drugiej stronie mosiężna tablica z dziesięcioma nazwiskami wyrytymi większą czcionką. Nie muszę ich czytać. Znam je na pamięć. Udałam jednak zainteresowanie, wiedząc, że na pewno ktoś mi opowie tę historię, być może pokaże miejsce pod zachodnim murem kościoła Świętego Benedykta, wyjaśni, że co roku odbywa się specjalne nabożeństwo ku ich czci, a nazwiska odczytuje się u stóp pomnika i składa pod nim kwiaty... Zastanawiałam się, czy to zniosę. Zastanawiałam się, czy odgadną prawdę z mojej twarzy.

Martin Dupre. Jean-Marie Dupre. Colette Gaudin. Phi-lippe Hourias. Henn Lemaitre. Julien Lanicen. Arthur Lecoz. Agnes Petit. Francois Ramondin. Augustę Truriand. Tak wielu ludzi wciąż pamięta. Tak wielu ludzi noszących te same nazwiska, mających podobne twarze. Rodziny zostały tutaj; Houriasowie, Lanicenowie,

Ramondinowie, Dupre. Po sześćdziesięciu latach wciąż pamiętają, młodzi ćwiczeni przez starszych w rytualnej nienawiści.

Przez jakiś czas budziłam pewne zainteresowanie. Ciekawość. I jeszcze ten dom. Opuszczony, odkąd ona z niego wyjechała - ta kobieta, Dartigen, nie pamiętam wszystkich szczegółów, madame, ale mój ojciec - mój wuj... Dlaczego kupiłam to właśnie gospodarstwo, pytali. Przecież to wypalona ruina. Drzewa, których nie ścięto, spróchniały od chorób i porosły jemiolą. Studnia jest zacementowana, pełna kamieni i gruzu. Ja jednak pamiętałam farmę zadbaną, prosperującą i pełną krzątany; konie, kozy, kurczęta, króliki... Lubiałam myśleć, że być może te dzikie, kicające na polu od północy są potomkami naszych; niekiedy dostrzegałam białą łatę wśród brązowego futerka. Żeby zadowolić ciekawskich, wymyśliłam sobie dzieciństwo na farmie w Bretanii. Ziemia jest tu tania, wyjaśniałam. Zachowywałam się pokornie, przeprasząc. Niektórzy ze starszych patrzyli na mnie koso, myśląc być może, że gospodarstwo powinno na zawsze zostać opuszczone - ku przestrodze. Ubierałam się na czarno i ukrywałam włosy pod szalem. Widzicie, byłam stara od samego początku.

Mimo to upłynęło sporo czasu, zanim mnie zaakceptowano. Ludzie byli uprzejmi, ale niewylewni, a ponieważ z natury nie jestem towarzyska - matka nazywała to gbu-rowatością - tacy pozostali. Nie chodziłam do kościoła. Wiem, co musieli sobie myśleć, ale nie mogłam się zmusić. Może przemawiała przeze mnie arogancja albo coś na kształt bezczelności - tej samej, która kazała matce nadać nam imiona raczej od owoców niż świętych Kościoła... Dopiero kiedy otwarłam sklep, uznano mnie za swoją.

Zaczęło się od sklepiku, chociaż od początku zamierzałam rozwinąć interes. Po trzech latach od przyjazdu pieniądze Herve niemal się skończyły. Dom nadawał się już do życia, chociaż ziemia wciąż nie przynosiła właściwie żadnych plonów: tuzin drzew, grządka warzyw, dwie karłowate kozy i kilka kur i kaczek - było jasne, że minie trochę czasu, zanim zdołam się utrzymać z gospodarstwa. Zaczęłam piec ciasta na sprzedaż - miejscowe briosze i pain d'epices, ale też niektóre z bretońskich specjałów mojej matki: crepes dentelle, tarty owocowe i sables, biszkopty, chleb orzechowy, chrupki cynamonowe... Z początku

sprzedawałam je w miejscowej piekarni, potem bezpośrednio na farmie, dodając po trochu inne produkty: jajka, kozi ser, likiery i wina owocowe. Za zarobione pieniądze kupiłam świnie, króliki, parę kóz. Korzystałam ze starych przepisów matki - większość z nich znałam na pamięć, lecz od czasu do czasu zaglądałam też do albumu.

Pamięć płata dziwne figle. Zdawało się, że nikt w Les Laveuses nie pamięta potraw matki. Niektórzy ze starszych mieszkańców chwalili, że wiele się zmieniło od mojego przybycia. Kobieta, która mieszkała tu poprzednio, była brzydka i niechlujna. W obejściu cuchnęło, dzieci biegały boso. Dobrze, że się jej pozbyli, że pozbyli się ich wszystkich. Krzywiłam się w duchu, ale milczałam. Co miałam powiedzieć? Że codziennie woskowałam podłogi, kazała nam nakładać w domu filcowe kapcie, żebyśmy butami nie porysowali desek? Że skrzynki w oknach były pełne kwiatów? Że myła nas z tą samą gwałtowną determinacją, z jaką szorowała schody, trąc nam twarze flanelą tak, że czasami się baliśmy, iż zaczną krwawić?

Tutaj uchodzi za potwora. Kiedyś nawet wydano

książkę. Właściwie nie więcej niż broszurę: pięćdziesiąt stron, kilka fotografii. Pomnik, kościół św. Benedykta, zbliżenie pamiętnej zachodniej ściany. Nam trojgu poświęcono zaledwie wzmiankę, nie podano nawet imion. Byłam za to wdzięczna losowi. Nieostre powiększone zdjęcie matki: włosy ściągnięte w kok tak mocno, że oczy stały się skośne jak u Chinki, usta zaciśnięte w cienką linię niezadowolenia. Oficjalna fotografia ojca, ta sama, co w albumie -w mundurze, absurdalnie młody z wyglądu, stoi uśmiechnięty, z karabinem swobodnie przerzuconym przez ramię. I pod sam koniec książeczki jeszcze jedno zdjęcie, które sprawiło, że nagle zaczęłam chwytać powietrze niczym ryba wyrzucona na piasek. Czterech młodych mężczyzn w niemieckich mundurach. Trzech obejmuje się ramionami, jeden stoi nieco na uboczu, skrepowany, z saksofonem w ręce... Pozostali również mają instrumenty muzyczne -trąbkę, bęben, klarnet - a choć ich nazwisk nie podano,

znam je wszystkie. Wojskowy zespół muzyczny z Les La-veuses, około 1942. Pierwszy z lewej Tomas Leibniz.

Zabrało mi trochę czasu, nim zrozumiałam, w jaki sposób udało im się odkryć tyle szczegółów. Gdzie znaleźli zdjęcie matki? O ile wiem, nie istniały żadne jej

podobizny. Nawet ja widziałam w życiu tylko jedną, starą fotografię ślubną na dnie szuflady w sypialni: dwoje ludzi na schodach kościoła Świętego Benedykta, mężczyzna w kapeluszu z szerokim rondem, ona z rozpuszczonymi włosami i z kwiatem za uchem... Wydawała się wtedy inną kobietą; uśmiechała się do aparatu sztywno, nieśmiało, jej towarzysz obejmował ją za ramiona opiekuńczym gestem. Wiedziałam, że wpadłaby w gniew, gdyby się dowiedziała, że oglądałam zdjęcie, więc odłożyłam je na miejsce, z lekką obawą, choć nie wiedziałam, co właściwie mnie niepokoi.

Na zdjęciu w książce jest podobniejsza do siebie - kobiety, którą - jak mi się wydawało - znałam, lecz której nie znałam nigdy: o zaciętym wyrazie twarzy, gotowej lada chwila wpaść w gniew... Dopiero kiedy spojrzałam na fotografię autorki na obwolucie, zrozumiałam wreszcie, skąd pochodziły informacje. Laure Dessanges, dziennikarka i autorka książek o tematyce kulinarnej; krótkie rude włosy i sztuczny uśmiech. Żona Yannicka. Synowa Cassisa. Biedny, głupi Cassis. Biedny, ślepy Cassis, zaślepiony dumą z udanego syna. Wystawiający na niebezpieczeństwo nasze życie w imię... czego? A może sam uwierzył we własne kłamstwa?

3

Musicie zrozumieć, że okupacja była dla nas czymś zupełnie innym niż dla ludzi z miasta. Les Laveuses prawie się nie zmieniło od wybuchu wojny. Spójrzcie na nie dziś: parę ulic - niektóre to nadal niewiele więcej niż szerokie polne drogi - odchodzących od głównego skrzyżowania.

W głębi widać kościół i pomnik na Place des Martyrs z niewielkim ogrodem i starą fontanną na tyłach, dalej Rue Martin et Jean-Marie Dupre z pocztą, sklep rzeźniczy Petitów, Cafe de la Mauvaise Reputation, sklepik tytoniowy, a przed nim stojak z pocztówkami przedstawiającymi pomnik i stary Brassaud siedzący na schodkach w fotelu na biegunach. Naprzeciw kwaciarnia i zakład pogrzebowy (jedzenie i śmierć - na tych dwóch rzeczach w Les La-veuses zawsze można było zarobić), sklep wielobranżowy - nadal prowadzony przez rodzinę Truriandów, choć na szczęście teraz przez młodego wnuka, który sprowadził się tu dopiero niedawno - i żółta

skrzynka na listy.

Równolegle do głównej ulicy płynie Loara, gładka i brązowa niczym wygrzewający się w słońcu wąż i szeroka jak łąn pszenicy. Jej powierzchnię pokrywają nieregularne cętki wysepek i piaszczystych łąch, które turystom jadącym do Angers muszą się wydawać równie solidne jak szosa pod kołami ich samochodów. My oczywiście wiemy, że jest inaczej. Wysepki są w ciągłym ruchu. Poruszone zdradliwym głębinowym prądem, zanurzają się i wynurzają niczym powolne żółte wieloryby, ciągnąc w ślad za sobą drobne wiry - niegroźne, kiedy się je obserwuje z łódki, lecz śmiertelnie niebezpieczne dla pływaka. Prąd bezlitośnie wsysa nieostrożnego pod spokojną powierzchnię, ciągnie w głąb, i tam topi - spokojnie, niewidocznie... W starej Loarze nadal żyją ryby; liny, szczupaki i węgorze wyrastają do monstrualnych rozmiarów dzięki ściekom i gnijącym resztkom płynącym z góry rzeki. Prawie każdego dnia widuje się tu łodzie, choć rybacy wyrzucają połowę złowionych ryb.

Przy starym pomoście Paul Hourias ma chatę, w której sprzedaje przynętę i sprzęt wędkarski - dwa kroki

od miejsca, gdzie on, Cassis i ja zwykliśmy łowić ryby i gdzie Jeannette Gaudin została ukąszona przez wodnego węża. U stóp Paula leży stary pies, dziwnie podobny do brązowego kundla, który za dawnych dni wszędzie mu towarzyszył. Paul moczy w wodzie kawałek sznurka, patrząc na rzekę, jakby liczył, że coś złowi.

Zastanawiam się, czy mnie pamięta. Czasem - należy do moich stałych klientów - przygląda mi się w taki sposób, iż mogłabym niemal przysiąc, że tak. Postarzał się oczywiście - podobnie jak wszyscy. Jego księżycowa, okrągła twarz, pociemniała od słońca, stała się obwisła i smutna. Smętnie zwieszony wąsy mają barwę przeżutego tytoniu. W ustach tkwi niedopałek papierosa. Rzadko się odzywa - nigdy nie był gadatliwy - i tylko patrzy spod granatowego beretu nasadzonego głęboko na uszy tą swoją miną smutnego psa. Lubi moje naleśniki, jabłecznik mojej roboty. Może dlatego nic nie mówi. Nigdy nie lubił zwracać na siebie uwagi.

4

Prawie sześć lat po powrocie otworzyłam w Les Laveuses creperie. Do tego czasu udało mi się odłożyć trochę pieniędzy, miałam stałą klientelę, pozycję. Najęłam pomocnika do pracy na farmie - chłopaka z Courle, nienależącego do żadnej z Rodzin - i dziewczynę do obsługi gości. Zaczynałam od zaledwie pięciu stolików - sekret polega na tym, żeby rozpocząć skromnie, nie niepokoić ludzi - ale już wkrótce miałam ich dwa razy więcej plus kilka dostawianych na tarasie w pogodne dni. Trzymałam się niewyszukanych potraw. Menu ograniczało się do gryczanych naleśników z różnym nadzieniem oraz jednego dania głównego, co dzień innego, i różnych deserów do wyboru. W ten sposób mogłam sama poradzić sobie z gotowaniem, pozostawiając Lise zbieranie zamówień. Nazwałam gospodę Crepe Framboise od specjalności zakładu - słodkiego naleśnika z malinowym coulis i domowym likierem, i uśmiechałam się w duchu, myśląc, co by się działo, gdyby się dowiedzieli... Kilkoro stałych klientów

zaczęło nawet

nazywać gospodę Chez Framboise, co bawiło mnie jeszcze bardziej.

Właśnie wtedy mężczyźni zaczęli znowu zwracać na mnie uwagę. Rozumiecie, jak na Les Laveuses stałam się całkiem zamożną kobietą. Ostatecznie miałam tylko pięćdziesiąt lat. No i umiałam gotować i prowadzić dom... Kilku rzeczywiście zaczęło się do mnie zalecać - porządnych, uczciwych mężczyzn jak Gilbert Dupre i Jean-Louis Lelas-siant oraz leniwych jak Rambert Lecoq, którym marzył się dożywotni abonament na bezpłatne posiłki. Nawet Paul, słodki Paul Hourias ze swoimi obwisłymi, poplamionymi nikotyną wąsami i swoim milczeniem. Oczywiście nic podobnego nie wchodziło w grę. To jedno z tych szaleństw, którym nigdy bym nie uległa. Nie mogę nawet powiedzieć, żebym czuła z tego powodu coś więcej niż okazjonalne ukłucie w sercu, nie. Miałam swój interes. Miałam farmę matki, swoje wspomnienia. Mąż pozbawiłby mnie tego wszystkiego. Nie zdołałabym ocalić przybranej tożsamości, a choć mieszkańcy wioski wybaczyliby mi może to, kim jestem, nigdy by nie zapomnieli, że przez sześć lat ich oszukiwałam. Odrzucałam więc wszystkie propozycje, te

zawołowane i te śmiałe, aż uznano mnie najpierw za niepokieszoną, potem niezdożytą, a w końcu, wiele lat później, za zbyt starą.

Mieszkałam w Les Laveuses przez blisko dziesięć lat. Przez ostatnich pięć zapraszałam do siebie Pistache z dziećmi na wakacje. Patrzyłam, jak zmieniają się z wielkookich tobołków w jaskrawo upierzone ptaszki, śmigające po moim pastwisku i sadzie na niewidzialnych skrzydłach. Pistache to dobra córka. Noisette (moja ulubienica, choć nikt o tym nie wie) jest podobniejsza do mnie; przebiegła i buntownicza, ma tak jak ja czarne oczy i serce skłonne do namiętności i urazy. Mogłam ją powstrzymać od wyjazdu - wystarczyłoby jedno słowo, jeden uśmiech -lecz tego nie zrobiłam, obawiając się być może, że z czasem stałabym się podobna do własnej matki. Listy Noi-

Pięć ćwiartek pomarańczy

sette są nudne i konwencjonalne. Jej małżeństwo skończyło się katastrofą. Pracuje jako kelnerka w jakiejś całonocnej kawiarni w Montrealu. Nie chce przyjąć ode mnie pieniędzy. Pistache to kobieta, jaką mogła zostać

Reinette -pulchna i ufna, łagodna w stosunku do dzieci i gwałtowna w ich obronie; ma miękkie brązowe włosy i oczy zielone jak orzechy, od których wzięła imię. Dzięki niej, dzięki jej dzieciom mogłam sobie przypomnieć to wszystko, co było dobre w moim dzieciństwie.

Dla nich nauczyłam się znowu być matką: przygotowywałam naleśniki i kielbaski z jabłek z ziołami. Smażyłam dla nich dzemy z fig i zielonych pomidorów, wiśni i pigw. Pozwalałam dzieciom bawić się ze skłonnyimi do figli karłowatymi brązowymi kozami i podsuwać im skórki chleba oraz marchewkę. Karmiliśmy kury, gładziliśmy miękkie nosy kucyków, zbieraliśmy szczaw dla królików. Pokazywałam im rzekę i wyjaśniałam, jak się dostać na piaszczyste łachy. Ostrzegałam ze ściśniętym sercem przed niebezpieczeństwami: węzami, korzeniami, wirami, grząskimi ławicami; kazałam obiecać, że nigdy, nigdy nie będą tam pływać. Pokazałam im las za rzeką; kwaśne czarne jagody rosnące w gąszczu i najlepsze miejsca do zbierania grzybów, tłumaczyłam, jak odróżnić prawdziwe pieprzniki od fałszywych. Takie dzieciństwo powinny były mieć moje córki. Zamiast tego było dzikie wybrzeże Côte d'Armor, gdzie mieszkaliśmy z Herve przez jakiś czas -

smagane wiatrem plaże, sosnowe lasy, kamienne domy o łupkowych dachach. Staralam się być dobrą matką, naprawdę się starałam, zawsze jednak miałam wrażenie, jakby czegoś brakowało. Teraz wiem, że brakowało tego domu, tej farmy, tych pól; sennej, cuchnącej Loary z Les Laveuses. Tego właśnie chciałam dla nich i to daję teraz moim wnukom. Dogadzając im, sprawiam przyjemność sobie.

Lubię myśleć, że moja matka robiłaby tak samo, gdyby miała szansę. Wyobrażam ją sobie jako pogodną babkę, wysłuchującą moich wymówek - doprawdy, mam, zupełnie rozpuścisz te dzieciaki - z wyzywającym błyskiem w oku, i nie wydaje mi się to już tak niemożliwe jak kiedyś. A może tylko się łudzę. Może naprawdę była taka, jaką ją zapamiętałam - twarda kobieta, która nigdy się nie uśmiechała, obserwująca mnie z wyrazem bezbrzeżnego, niezrozumiałego głodu w oczach.

Nigdy nie widziała wnucząt, nawet nie wiedziała o ich istnieniu. Powiedziałam Herve, że moi rodzice nie żyją, i nigdy nie podważał tego kłamstwa. Jego ojciec był rybakiem, matka - niska i krągła, podobna do kuropatwy - sprzedawała ryby na targu. Otuliłam się ich ciepłem jak

pożyczonym kocem, wiedząc, że pewnego dnia będę musiała wrócić do zimna, bez nich. Herve był dobrym człowiekiem, spokojnym mężczyzną bez ostrych kantów, o które mogłabym się zranić. Kochałam go - nie tą rozdierającą, rozpaczliwą miłością, jaką darzyłam Tomasa, ale wystarczająco.

Kiedy zmarł w roku 1976 - trafiony piorunem podczas połowu węgorzy, na który wybrał się z ojcem - ból mieszał się we mnie z wrażeniem, że było to nieuniknione, niemal ulgą. Małżeństwo było dobre na jakiś czas. Pora wracać do interesów - do życia. Przyjechałam do Les Laveuses półtora roku później z uczuciem, jakbym się budziła z długiego, ciężkiego snu.

Może się wam wydać dziwne, że czekałam tak długo z przeczytaniem albumu matki. Był - nie licząc trufli Perigord - moim jedynym dziedzictwem, lecz przez pięć lat ledwie do niego zajrzałam. Oczywiście znałam na pamięć tak wiele przepisów, że właściwie nie potrzebowałam ich sobie przypominać, ale mimo to... Nie byłam nawet na odczytaniu testamentu. Nie potrafię wam powiedzieć, którego dnia umarła, choć wiem gdzie: w domu starców La Gautraye w Vitre, na raka żołądka. Została pochowana

na miejscowym cmentarzu, chociaż pojechałam tam tylko raz. Jej grób znajduje się na końcu, pod samym murem, niedaleko kublów ze śmieciami. Na nagrobku widnieje napis Mirabelle DARTIGEN i jakieś daty. Zauważyłam z pewnym zdziwieniem, że matka okłamała nas co do swojego wieku.

Nie wiem naprawdę, co mnie skłoniło, by wreszcie zajrzeć do albumu. Było to podczas mojego pierwszego lata w Les Laveuses. Panowała susza i Loara opadła chyba o kilka metrów poniżej normalnego poziomu, odsłaniając, niczym działą, brzydkie, pomarszczone brzegi. Korzenie wyciągały się ku wodzie, żółtawobiałe od słońca. Dzieci bawiły się wśród nich na łąkach, brodziły boso w brudnych brązowych kałużach i dźgały kijami płynące z prądem śmieci. Aż do tej pory unikałam zaglądania do albumu, czując się absurdalnie winna, jakbym była voyeuse, jak gdyby lada chwila matka mogła wejść i zaskoczyć mnie na czytaniu swoich dziwacznych sekretów... Prawda jest taka, że wcale nie chciałam poznawać jej tajemnic. To tak, jak kiedy się wejdzie nocą do pokoju rodziców i zaskoczy ich na uprawianiu miłości: jakiś wewnętrzny głos mówił, że robię coś złego. Dziesięć lat trwało, nim zrozumiałam, że nie był to głos matki, lecz

mój własny.

Jak już mówiłam, wiele z tego, co napisała, okazało się niezrozumiałe. Język - brzmiący z włoska, nie do wymówienia - w którym zapisano większość notatek, był mi obcy i po kilku zakończonych fiaskiem próbach jego odczytania dałam spokój wysiłkom. Przepisy były dostatecznie zrozumiałe, zanotowane drukowanymi literami niebieskim lub fioletowym atramentem. Obłąkane bazgroły, wiersze, rysunki, relacje umieszczono między nimi bez żadnej widocznej logiki, żadnego porządku, który mogłabym odkryć.

Widziałam dzisiaj Guilherma Ramondine'a. Z nową drewnianą nogą. Śmiał się z R.-C, która się na niego gapiła. Kiedy zapytała, czy to bołało, powiedział, że miał szczęście. Jego ojciec robi chodaki. O połowę mniej roboty, cha cha, o połowę mniejsze szanse, że w walcu nadepną ci na palce, skarbie. Ciągle myślę o tym, jak to wygląda pod zawiniętą nogawką spodni. Jak nieugotowany biały pudding obwiązany kawałkiem sznurka. Muszę zagryzać wargi, żeby się nie roześmiać.

Słowa zapisano bardzo drobnym pismem nad

przepisem na biały pudding. Niepokoją mnie te krótkie anegdoty; ich humor, w którym nie ma nic wesołego.

W innych miejscach matka pisze o swoich drzewach, jakby były żywymi ludźmi - czuwałam całą noc przy Belle Yvonne, cała skostniała z zimna. Wspominając o własnych dzieciach, zawsze chyba używa skrótów - R.-C, Cass i Fra. O ojcu nie napomyka nigdy. Nigdy. Przez wiele lat zastanawiałam się dlaczego. Oczywiście nie potrafię powiedzieć, o czym pisze w innych, sekretnych fragmentach. Tak niewiele wiem o ojcu, że mógłby w ogóle nie istnieć.

5

Potem zaczęła się ta afera z artykułem. Nie czytałam go sama, rozumiecie; ukazał się w jednym z tych magazynów, które traktują jedzenie jako jeszcze jeden modny dodatek: W tym roku, kochani, jemy kuskus; jest absolutnie de rigueur. Dla mnie jedzenie to tylko jedzenie: przyjemność dla zmysłów, coś ulotnego - jak fajerwerki - co się przygotowuje z wielką starannością. Coś wymagającego niekiedy ciężkiej pracy, lecz czego nie należy traktować poważnie; nie sztuka, na miłość boską - coś, co wchodzi jednym końcem, a wychodzi drugim. Tak czy inaczej, ukazał się pewnego dnia w którymś z takich modnych magazynów. „Wyprawy z biegiem Loary” czy coś w tym guście; znany szef kuchni ocenia restauracje, które odwiedził w drodze na wybrzeże. Pamiętam go: chudy człowieczek z własną solniczką i pieprzniczką zawiniętymi w serwetkę i notatnikiem na kolanach. Zamówił moją paella antillaise

i sałatkę z topinambura na ciepło, potem kawałek kouign amann według przepisu matki z moim własnym

cidre bouche i kieliszkiem liqueur framboise na deser. Zadawał mnóstwo pytań na temat przepisów, chciał obejrzeć kuchnię, ogródek. Nie mógł wyjść z podziwu, kiedy mu pokazałam piwnicę z półkami zastawionymi teryną i przetworami oraz aromatycznymi olejami (z orzechami włoskimi, rozmarynem i truflami) oraz octami (malinowym, lawendowym, z kwaśnych jabłek). Pytał, u kogo praktykowałam, i zdawał się wyprowadzony z równowagi, kiedy roześmiałam mu się w twarz.

Może powiedziałam za dużo. Widzicie, bardzo mi pochlebił. Pozwoliłam mu skosztować tego i owego. Plasterki rillettes, plasterki saucisson sec. Łyczek likieru gruszkowego, poire, który matka robiła zawsze w październiku ze spadów zaczynających fermentować, kiedy jeszcze leżały na rozgrzanej ziemi, rojące się od brązowych os, tak że musieliśmy je zbierać drewnianymi szczypcami... Pokazałam mu truflę, którą zostawiła mi matka, zawieszoną w oleju niczym mucha w bursztynie, i uśmiechnęłam się, kiedy oczy zrobiły mu się wielkie ze zdumienia.

Ma pani pojęcie, ile coś takiego może być warte?

Tak, czułam się polechtana w swojej próżności. I być może trochę osamotniona. Cieszyłam się, że mogę porozmawiać z człowiekiem mówiącym tym samym językiem, kimś, kto po spróbowaniu potrafił wymienić zioła, jakimi doprawiłam terynę, i który powiedział mi, że jestem zbyt dobra jak na to miejsce, że to zbrodnia... Może dałam się ponieść marzeniom. Powinnam była mieć więcej rozumu.

Artykuł ukazał się parę miesięcy później. Ktoś mi go przyniósł, kartkę wydartą z gazety. Zdjęcie creperie, kilka akapitów tekstu.

„Odwiedzający Angers w poszukiwaniu autentycznej, wyrafinowanej kuchni mogą się udać do prestiżowej Aux Delices Dessanges. Jeśli tak uczynią, ominie ich niewątpliwie jedno z najbardziej podniecających przeżyć, jakich doświadczyłem w czasie mej podróży z biegiem Loary...”. Rozpaczliwie próbowałam sobie przypomnieć, czy opowiadałam mu o Yannicku. „Za bezpretensjonalną fasadą wiejskiego domu kryją się kulinarne cuda”. Dalej następowało całe mnóstwo nonsensów o „wiejskiej tradycji, w którą twórczy geniusz właścicielki wlewa nowe życie”. Niecierpliwie, z narastającą paniką przebiegałam

wzrokiem tekst, szukając nieuniknionego. Jedna wzmianka o rodzinie Dar-tigen, a cała moja wieloletnia praca legnie w gruzach...

Sądzicie, że przesadzam? Nieprawda. W Les Laveuses wspomnienie o wojnie wciąż jest żywe. Niektórzy ludzie do dziś ze sobą nie rozmawiają. Denise Mouriac i Lucile Dupre, Jean-Marie Bonet i Colin Brassaud. Pamiętacie tę sprawę parę lat temu w Angers, kiedy to znaleziono jakąś staruszkę w pokoju na poddaszu? Rodzice zamknęli ją tam w 1945 roku, kiedy odkryli, że kolaboruje z Niemcami. Miała wtedy szesnaście lat. Pięćdziesiąt lat później wypuścili ją, postarzałą i szaloną, kiedy zmarł jej ojciec.

A co z tymi wszystkimi starcami - mają po osiemdziesiąt, dziewięćdziesiąt lat - których zamyka się do więzienia za zbrodnie wojenne? Ślepi, chorzy ludzie, złagodnieli z powodu demencji, o obwisłych, nierozumiejących twarzach. Nie mieści się w głowie, że kiedyś mogli być młodzi. Nie chce się wierzyć, że te kruche czaszki, ta zawodna pamięć przechowują krwawe wspomnienia. Rozbij naczynie i wszystko uleci. Zbrodnia zaczyna żyć własnym życiem, znajduje własne

uzasadnienia.

„Dziwnym zbiegiem okoliczności właścicielka Crepe Framboise, Mme Françoise Simon, jest spokrewniona z zarządzającymi Aux Delices Dessanges...”.

Wstrzymałam oddech. Miałam wrażenie, jakby płatek ognia utkwił mi w gardle. Nagle znalazłam się pod wodą, wciągana w głąb przez brązową rzekę, a ogniste palce sięgały mojego gardła, płuc...

„...naszej dobrej znajomej Laurę Dessanges! Wydaje się dziwne, że nie zdołała odkryć tak wielu sekretów ciotki. Mnie przynajmniej znacznie bardziej przypadł do gustu bezpretensjonalny wdzięk Crepe Framboise niż eleganckie (lecz nazbyt skromne!) propozycje Laurę”.

Odetchnęłam z ulgą. Nie siostrzeniec, lecz siostrzenica. Uniknęłam rozpoznania.

To wtedy sobie obiecałam, że nie popełnię już głupstwa. Żadnych więcej pogaduszek z uprzejmymi dziennikarzami. Tydzień później fotograf z innego paryskiego pisma przyjechał ze mną porozmawiać, lecz

nie zgodziłam się na spotkanie. Pozostawiałam bez odpowiedzi prośby o wywiad nadchodzące pocztą. Jakiś wydawca napisał do mnie, proponując, że opublikuje moje przepisy. Crepe Framboise zalali przybysze z Angers, turyści, elegancyjcy ludzie w efektownych, błyszczących samochodach. Odprawiałam ich jak leci. Miałam swoich stałych klientów, dzie-sięć-piętnaście stolików. Nie mogłam wyżywić większej liczby.

Próbowałam się zachowywać normalnie. Nie przyjmowałam rezerwacji z wyprzedzeniem, więc kolejka sięgała aż na chodnik. Musiałam zatrudnić drugą kelnerkę, ale poza tym ignorowałam objawy niepożądanego zainteresowania. Nawet kiedy dziennikarz wrócił z awanturą - chcąc mi przemówić do rozumu - nie chciałam go słuchać. Nie, nie pozwolę wykorzystać moich przepisów w felietonie. Nie, nie będzie żadnej książki. Żadnych zdjęć. Chez Framboise zostanie tym, czym dotychczas: prowincjonalną creperie.

Wiedziałam, że jeśli będę się opierać wystarczająco długo, zostawią mnie w spokoju. Ale szkoda już się stała. Laurę i Yannick wiedzieli, gdzie mnie znaleźć.

To Cassis musiał im powiedzieć. Zamieszkał w Paryżu, niedaleko centrum, i choć nie sięgał chętnie po pióro, pisywał do mnie od czasu do czasu. Jego listy pełne były zachwytów nad sławną synową i udanym synem. No cóż, po artykule i całym wynikłym stąd zamieszaniu odszukanie mnie stało się dla nich punktem honoru. Przywieźli ze sobą Cassisa niczym prezent. Pewnie im się zdawało, że będziemy wzruszeni, widząc się znowu po tylu latach, lecz choć oczy Cassisa były pełne sentymentalnych łez, moje pozostały całkiem suche. Niewiele w nim pozostało śladów starszego brata, z którym dzieliłam tak wiele. Roztył się; jego rysy niknęły w bezkształtnej masie tłuszczu, nos poczerwieniał, a policzki pokrywała sieć popękanych żyłek. Uśmiechał się niepewnie. W miejsce tego, co niegdyś do niego czułam - uwielbienia dla bohatera, starszego brata, który w moim wyobrażeniu potrafił wszystko -wspiąć się na najwyższe drzewo, rzucić wyzwanie dzikim pszczołom, żeby im odebrać miód, przepłynąć całą rzekę dokładnie w najszerszym miejscu - pozostał zaledwie lekki sentyment zabarwiony pogardą. To wszystko zdarzyło się przecież tak dawno. Ten tłusty mężczyzna stojący w drzwiach był kimś obcym.

Zachowali się sprytnie. Z początku o nic nie prosili. Troskali się, że mieszkam sama, wręczyli mi podarunki -mikser (dziwili się, że go dotąd nie miałam), płaszcz na zimę, radio - obiecali, że mnie zabiorą na przejażdżkę... Kiedyś nawet zaprosili mnie do swojej restauracji, wielkiej jak stodoła, ze stolikami z fałszywego marmuru, neonowymi napisami oraz suszonymi rozgwiazdami i jaskrawymi krabami z plastiku zawieszonymi w rybackich sieciach na ścianach. Rzuciłam jakąś niepewną uwagę o wystroju wnętrza.

- No cóż, mamie, to coś, co ty nazwałabyś kiczem - wyjaśniła uprzejmie Laure, klepiąc mnie po ręce. - Nie sądzę, żeby ciebie interesowały podobne rzeczy, ale wierz mi, w Paryżu to bardzo modne.

Wyszczrzyła do mnie zęby. Ma bardzo białe, bardzo duże zęby i włosy koloru świeżej papryki. Ona i Yannick często się obejmują i całują przy ludziach. Muszę powiedzieć, że trochę mnie to krępowało. Jedzenie było... nowoczesne, jak sądzę. Nie znam się na takich rzeczach. Jakaś sałatka z mdłym sosem, mnóstwo drobnych warzyw pokrojonych tak, żeby przypominały kwiatki. Być może dodali do niej trochę endywii, ale przede wszystkim była

tam zwykła przywiedła sałata, rzodkiewka i marchewka powycinana w wymyślne kształty. Potem kawałek dorsza (ładny, muszę powiedzieć, ale bardzo mały) z sosem z białego wina i szalotki oraz gałązką mięty na wierzchu - nie pytajcie mnie po co. Dalej cienki placuszek z gruszką, wymyślnie przyozdobiony sosem czekoladowym, cukrem pudrem i wiórkami czekolady. Zerknęłam ukradkiem do menu i zobaczyłam mnóstwo przechwałek w rodzaju: „nougatine z najrozmaitszych kandyzowanych owoców w kolebce z wyśmienitego, cienkiego jak opłatek ciasta, przybrana gęstą gorzką czekoladą i aromatycznym coulis morelo-wym". Moim zdaniem chodziło o najzwyklejszą florentynkę, która na dodatek okazała się nie większa niż pięcio-frankówka. Jak się czytało to wszystko, co nawypisywali, człowiek myślał, że dają tam Bóg wie jakie specjały. A ceny! Pięć razy wyższe niż za mój najdroższy zestaw, i to bez wina. Oczywiście ja za nic nie zapłaciłam. Ale i tak pomyślałam, że to nagle zainteresowanie będzie mnie drogo kosztować.

I tak było.

Dwa miesiące później nadeszła pierwsza propozycja. Dostanę tysiąc franków, jeśli dam im przepis na paella

an-tillaise i pozwolę go umieścić w ich menu. Paella antillaise a la Mamie Framboise, o której Jules Lemarchand wspomina w „Hôte & Cuisine” (czerwiec 1992). Z początku myślałam, że to jakiś żart. Delikatna mieszanka świeżych owoców morza, subtelnie połączona z zielonymi bananami, ananasem, winogronami i ryżem szafranowym...Wybuch-nęłam śmiechem. Nie mają dość własnych przepisów?

- Nie ma się z czego śmiać.

Yannick mówił szorstko, przyglądał mi się z bliska swoimi ciemnymi, błyszczącymi oczami.

- To znaczy, bylibyśmy ci ogromnie wdzięczni... Uśmiechnął się szeroko, odsłaniając zęby.

- No, nie daj się prosić, mamie.

Wolałabym, żeby mnie tak nie nazywali. Laureę objęła mnie chłodnym nagim ramieniem.

- Zadbałabym, by wszyscy wiedzieli, że to twój przepis.

Ustałam. Właściwie nie mam nic przeciwko rozdawaniu przepisów; dałam ich wiele ludziom z Les La-veuses. Dostali za darmo paella antillaise i wszystko inne, na co im przysłała ochota, ale pod warunkiem, że wykreślą Mamie Framboise z jadłospisu. Udało mi się o włos uniknąć katastrofy. Nie chciałam ściągać na siebie więcej uwagi.

Zgodzili się na moje żądania tak szybko i bez oporów... A trzy tygodnie później przepis na paella antillaise a la Mamie Framboise pojawił się w „Hôte & Cuisine” obok wylewnego artykułu Laure Dessanges. „Mam nadzieję, że wkrótce będę mogła Państwu przedstawić więcej wiejskich przepisów Mamie Framboise - obiecywała. - Zanim to nastąpi, mogą ich Państwo skosztować osobiście w Aux Delices Dessanges, Rue des Romarins, Angers”.

Pewnie nawet im nie przyszło do głowy, że mogłabym to przeczytać. Może uznali, że nie mówiłam poważnie. Kiedy z nimi o tym rozmawiałam, byli skruszeni jak dzieci złapane na jakiejś sympatycznej psocie. Potrawa okazała się wielkim sukcesem i zamierzali stworzyć cały

dział w menu z przepisami Mamie Framboise, zawierający moje couscous a la provencale, cassoulet trois haricots oraz słynne naleśniki Mamie Framboise.

- Widzisz, cały urok sytuacji polega na tym, że nie musisz nic robić. Po prostu bądź sobą. Bądź naturalna - tłumaczył mi Yannick ujmująco.

- Ja mogę pisywać felietony do gazety - wtrąciła Laure. - „Mamie Framboise radzi” czy coś w tym rodzaju. Oczywiście ty nie potrzebowałabyś ich pisać. Ja bym się wszystkim zajęła.

Uśmiechnęła się do mnie promiennie, jak do wystraszonego dziecka.

Znowu przywieźli ze sobą Cassisa i on też się uśmiechał, chociaż wydawał się odrobinę zmieszany, jak gdyby jego zdaniem też było tego trochę za wiele.

- Przecież już wam mówiłam. - Staralam się, by mój głos brzmiał równo, stanowczo, żeby nie zadrzał. - Już mówiłam. Nie chcę tego wszystkiego. Nie chcę z tym mieć nic wspólnego.

Cassis popatrzył na mnie zaskoczony.

- Ale to taka wielka szansa dla mojego syna - nalegał. -
Pomyśl, jak wiele znaczy dla niego taka reklama.

Yannick zakasłał.

- Ojcu chodzi o to - sprostował pośpiesznie - że
wszyscy moglibyśmy na tym skorzystać. Możliwości są
nieograniczone, jeśli pomysł chwyci. Moglibyśmy
sprzedawać dzemy Mamie Framboise, biszkopty Mamie
Framboise... Oczywiście dostałabyś duży procent...

Pokręciłam głową.

- Nie słuchacie, co do was mówię. Nie chcę żadnej
reklamy. Nie chcę procentu. Nie jestem zainteresowana
-powtórzyłam głośniejsze.

Yannick i Laurę wymienili spojrzenia.

- I jeśli myślicie to, co mi się wydaje - dodałam ostro
-że równie dobrze obejdziecie się bez mojej zgody, bo

przecież tak naprawdę potrzebujecie tylko nazwiska i fotografii, to posłuchajcie teraz uważnie. Jeśli się dowiem, że w tej gazecie... w jakiegokolwiek gazecie... ukazał się jeden więcej przepis Mamie Framboise, jeszcze tego samego dnia zadzwonię do wydawcy. I sprzedam mu prawa do wszystkich moich przepisów. Do diabła, oddam mu je za darmo.

Brakowało mi tchu, serce waliło jak młot z gniewu i ze strachu. Ale nikt nie będzie wodził za nos córki Mirabelle Dartigen. I wiedzieli też, że nie żartuję. Widziałam to po ich twarzach.

- Ależ mamie... - próbowali protestować bezradnie.

- I przestańcie mnie nazywać Mamiel

- Dajcie mi z nią porozmawiać.

To był Cassis; podniósł się z trudem z krzesła. Zauważyłam, że skurczył się z wiekiem, miękko zapadł się w sobie jak nieudany suflet. Nawet ten niewielki wysiłek sprawił, że zaczął boleśnie sapać.

- W ogrodzie.

Siedząc na przewróconym pniu obok nieużywanej studni, miałam dziwne wrażenie rozdwojenia; jak gdyby stary Cassis mógł zerwać z twarzy maskę grubasa i być taki jak kiedyś - porywczy, lekkomyślny i nieokiełznany.

- Czemu to robisz, Boise? - spytał ostro. - Przeze mnie? Wolno pokręciłam głową.

- To nie ma nic wspólnego z tobą - odpowiedziałam. - Ani z Yannickiem. - Ruchem głowy wskazałam dom. - Jak widzisz, udało mi się odbudować farmę.

Wzruszył ramionami.

- Nigdy nie mogłem zrozumieć, po co to robisz. Ja bym jej nie tknął palcem. Dreszcz mnie przechodzi na samą myśl, że tu mieszkasz. - Posłał mi dziwne spojrzenie, domyślne, niemal przenikliwe. - Ale to bardzo do ciebie podobne.

Uśmiechnął się.

- Zawsze byłaś jej ulubienicą, Boise. Nawet wyglądasz teraz tak jak ona.

Wzruszyłam ramionami.

- Nie próbuj mnie zagadać - powiedziałam chłodno.

- Mówisz też jak ona.

W jego głosie brzmiała miłość, poczucie winy, nienawiść.

- Boise... Popatrzyłam na niego.

- Ktoś musi o niej pamiętać - odparłam. - Wiedziałam, że to nie będziesz ty.

Uczynił bezradny gest.

- Ale tutaj, w Les Laveuses...

- Nikt nie wie, kim jestem - mruknęłam. - Nikt nie próbuje szukać związku.

Uśmiechnęłam się nagle.

- Wiesz, Cassis, większości ludzi wszystkie staruszki wydają się podobne.

Skinął głową.

- I sądzisz, że przez Mamie Framboise mogłoby się to zmienić?

- Wiem, że by się zmieniło. Milczenie.

- Zawsze umiałaś kłamać - rzucił obojętnie. - To kolejna rzecz, którą masz po niej. Skrytość. We mnie można czytać jak w księdze. - Na dowód szeroko rozłożył ręce.

- Szczęściarz z ciebie - odparłam sucho. Zdołał o tym przekonać nawet samego siebie.

- Dobra z ciebie kucharka, to ci muszę przyznać. Gapił się ponad moim ramieniem na sad, drzewa uginające się pod ciężarem dojrzewających owoców.

- Podobałoby się jej to. Gdyby wiedziała, że dbasz o wszystko. Jesteś taka do niej podobna... - powtórzył wolno.

Nie był to komplement, lecz stwierdzenie faktu. W jego głosie słychać było odrobinę niesmaku, odrobinę lęku.

- Zostawiła mi swoją książkę - wyjaśniłam. - Tę z przepisami. Album.

Otworzył szerzej oczy ze zdumienia.

- Naprawdę? No cóż, ciebie lubiła najbardziej.

- Nie wiem, czemu to ciągle powtarzasz - burknęłam zniecierpliwiona. - Jeśli matka któreś z nas wyróżniała, to Reinette, nie mnie. Pamiętasz...

- Sama mi powiedziała - wyjaśnił. - Powiedziała, że z naszej trójki tylko ty masz trochę rozumu i charakteru. W tej malej suce jest dziesięć razy więcej ze mnie niż w was obojgu. To jej własne słowa.

Brzmiało to tak, jakby mówiła matka. Echo jej głosu w jego głosie, czystego i ostrego jak szkło. Musiała być na niego wściekła; pewnie powiedziała to podczas jednego ze swych napadów złości. Rzadko się zdarzało, by uderzyła któregoś z nas, ale ten język... mój Boże!

Cassis skrzywił się.

- Jej własne słowa - wyjaśnił cicho. - Oszłe i zimne, przyglądała mi się dziwnie, po swojemu, jak gdyby mnie sprawdzała. Jakby czekała, co zrobię.

- I co zrobiłeś?

Wzruszył ramionami.

- Rozpłakałem się, oczywiście. Miałem tylko dziewięć lat.

Naturalnie, pomyślałam. Zawsze się tak zachowywał. Zbyt wrażliwy pod pozorami zuchwałości. Regularnie uciekał z domu, nocując w lasach albo w domku na drzewie, pewny, że matka go nie uderzy. Ukradkiem zachęcała go do nieposłuszeństwa, bo wyglądało ono na

charakter. Siłę. Ja naplułabym jej w twarz.

- Powiedz mi - myśl przyszła niespodziewanie, aż mi dech zaparło z podniecenia - czy matka... czy pamiętasz, żeby mówiła po włosku? Albo po portugalsku? W jakimś obcym języku...

Cassis wyglądał na zdumionego. Pokręcił głową.

- Jesteś pewien? W albumie... - Opowiedziałam o stronach zapisanych dziwnymi słowami, tajemniczych notatkach, których nie udało mi się odcyfrować.

- Pozwól mi zobaczyć.

Przejrzeliśmy album razem. Brat z niechętną fascynacją gładził palcami sztywne poźółkłe kartki. Zauważyłam, że stara się nie dotykać pisma, choć muskał inne przedmioty przyklejone na stronach - fotografie, zasuszone kwiaty, motyle skrzydła, kawałki materiału.

- Mój Boże - powiedział cicho. - Nie miałem pojęcia, że miała coś takiego. - Podniósł na mnie wzrok. - A ty się upierasz, że nie byłaś jej ulubienicą.

Z początku wyglądało, jakby interesowały go przede wszystkim przepisy. Kiedy kartkował album, jego palce odzyskały jakby nieco dawnej zręczności.

- Tarte mirabelle aux amandes - szeptał. - Tourteau fromage Clafoutis aux cerises rouges. Pamiętam go!

Jego entuzjazm wydał mi się nagle bardzo młodzieńczy, przywodził na myśl dawnego Cassisa.

- Tu jest wszystko - powiedział miękko. - Wszystko. Wskazałam jeden z akapitów zapisanych w obcym języku.

Cassis studiował go przez parę chwil, po czym zaczął się śmiać.

- To nie włoski - wyjaśnił. - Nic nie pamiętasz? Trząś się i sapał; cała sprawa najwyraźniej bardzo go

bawiła. Nawet uszy mu drżały - wielkie, podobne do grzybów, sinawe uszy starego człowieka.

- To język, który wymyślił tata. Nazywał go „bilini--enverlini”. Nie pamiętasz? Mówił w nim cały czas...

Próbowałam sobie przypomnieć. Miałam siedem lat, kiedy zginął. Musiałam coś zapamiętać, mówiłam sobie. Ale było tego tak niewiele. Wszystko zniknęło w ogromnej, żarłocznej paszczy ciemności. Pamiętam ojca, lecz tylko wyrywkowo. Zapach moli i tytoniu z jego wielkiego starego płaszcza. Bulwy topinambura, który tylko on lubił i które musieliśmy wszyscy jeść raz w tygodniu. Kiedyś przypadkiem wbiłam sobie haczyk w dłoń między kciukiem i palcem wskazującym; pamiętam tulące mnie ramiona, jego głos mówiący, żebym była dzielna... Pamiętam jego twarz z fotografii w kolorze sepii. I na samym dnie pamięci coś - jakiś odległy szczegół wyrzucony przez ciemność. Ojciec bełkocze do nas bez sensu, szczerząc zęby. Cassis zanosi się śmiechem, ja też się śmieję, chociaż nie rozumiem naprawdę, o co chodzi; matka ten jeden raz jest gdzieś daleko, bezpiecznie poza zasięgiem słuchu, być może ma atak migreny; nieoczekiwane święto... - Trochę pamiętam - powiedziałam w końcu. Wyjaśnił mi więc cierpliwie. Język z zamienionych kolejnością sylab, słów wymawianych wspak, bezsensownych przedrostków i

przyrostków. Inecch dziecwieponi. Chcę powiedzieć. Einini meiwni mukowi. Nie wiem komu.

Co dziwne, Cassis nie wydawał się ciekaw tajemniczych zapisków matki. Jego wzrok wciąż wracał do przepisów. Reszta była martwa. Receptury stanowiły coś, co mógł zrozumieć, czego mógł dotknąć, spróbować. Czulałam jego skrępowanie tym, że stoi zbyt blisko mnie, jakby mógł się ode mnie zarazić podobieństwem do matki.

- Gdyby tylko mój syn mógł zobaczyć te zapiski... - zaczął cicho.

- Nie mów mu - burknęłam ostro.

Poznawałam Yannicka coraz bliżej. Im mniej o nas wiedział, tym lepiej.

Cassis wzruszył ramionami.

- Oczywiście. Obiecuję.

A ja mu uwierzyłam. To dowód, że nie jestem tak

podobna do matki, jak mu się zdawało. Zaufałam mu, Boże dopomóż; przez jakiś czas wyglądało nawet, że dotrzymał obietnicy. Yannick i Laurę trzymali się z dala, Mamie Framboise zniknęła z horyzontu. Lato zmieniło się w jesień, ciągnącą za sobą miękki tren opadłych liści.

6

Yannick mówi, że widział dzisiaj Starą Mateczkę. Przybiegł znad rzeki, szalejąc z podniecenia. W pośpiechu zapomniał zabrać ryby & zbeształam go, że marnuje czas. Spojrzał na mnie z tą smutną bezradnością w oczach & myślałam, że coś powie, ale milczał. Chyba mu wstyd. Czuję się tak, jakbym miała w środku kamień, bryłę lodu. Chcę coś powiedzieć, ale nie bardzo wiem co. Wszyscy mówią, że to przynosi pecha, jak się zobaczy Starą Mateczkę, a my mieliśmy już dość nieszczęść. Może dlatego jestem, jaka jestem.

Przeglądanie albumu matki szło mi niesporo. Częściowo ze strachu. Przed tym, co w nim znajdę. Co będę musiała sobie przypomnieć. Trochę dlatego, że opowieść była

stasowano, m-

i t

s i

Pi

ki

m:

tai

dn

cie

by.

nie

jest

moż

W

kole. nych Chcę komu

p[^]ććW.ARTEK POMARAŃCZY

łatana zdarzenia celowo i z^{^^}□???. SP ą Sn Ť chytrej sztuczce. Ledwie p . pismo_

choć czytelne, byk*Ť,,, Md e^{^^}Stoem

I8* do Les bW*[^] Ťgo;

□ ll7 Nie wracali mgay ay [^] ~- fe teraz, tego,

SLC Z lu nie ma już w tym ???** *??^??i? ?i? uszła głabym zrobić

co ??, chetnia

mówią-

"□^□"t[^]u[^]d*.

Joannę Harris

metalowe kulki. Bardzo wolno postawiłam koszyk i zbliżyłam się do niej.

Ścieżka pod moimi stopami wydawała się dziwnie zniekształcona, jakbym patrzyła przez silne okulary, więc szłam trochę niepewnie. Matka leżała na boku. Jedną nogę miała odrzuconą, ciemna spódnica podwinęła się nieco, ukazując but i pończochę. Głodne, otwarte usta. Ogarnął mnie wielki spokój.

Ona nie żyje, powiedziałam sobie. Stwierdzenie to wywołało falę uczuć tak gwałtownych, że przez chwilę nie byłam w stanie ich sprecyzować. Jasna niczym ogon komety smuga wrażeń łaskoczących pod pachami i podrzucających moim żołądkiem jak naleśnikiem na patelni. Groza, rozpacz, zmieszanie... Szukałam ich w sobie, lecz nie znalazłam ani śladu. Zamiast tego w moim sercu rozbłysła fontanna trujących fajerwerków. Spojrzałam obojętnie na ciało matki i wypełniły mnie ulga, nadzieja i odrażająca, prymitywna radość.

Ta słodycz...

Czuję się tak, jakbym miała w środku kamień, bryłę lodu.

Wiem, wiem. Nie mogę od was oczekiwać, że zrozumie-

J powinnam mu być utt..."-> % ze Wzgięuu i"
Ť*Ť*">/^ siedziałby mu\

wszystko. ?. zos ^wjechać & nikt nie po ???2?
I?i?, co czułam. Także w moich uszach brzmi to groteskowo wdzięczna. Mog ? ^owa Ostatecznie tutaj) ę
hdedy sobie przypominam tę chwilę, i zastanawiam się, czy

z tego powodu z g ^o^
jaiio nie kolejne fałszywe wspomnienie... Oczywiście to mógł

rtdawać się cierpieniu, z -^onegpcyć szok. Ludzie doświadczają dziwnych wrażeń na skutek „>Ť_□ - -1?
cie wycofała do swego za

długo mogła, zanim si = ^ kaliśmy cicho Lit
podczas gdy my ?????* ?

US'a a,al uskoczył ją, ??LLLLlał się pl*Ź otwarte usta,
wy

ov aę cierF?*"" zacienioneg(Pyc szok. Ludzie
aoswiaaczają aziwnycn wrazen na sKuteK

Nieskłonna p wycof ała do swego ^
aicacblvstrząsu. Nawet dzieci. Szczególnie dzieci -
zamknięte w so-

uiugo mogła, zan. ^ przemykalismy cie ^q ^, ????,
skryte i zdziczałe jak my. Zatrzaśnięte w naszym se-

pokoju, podcza g zeWnątrz. Co pot ro
którytf retnym świecie między Posterunkiem
Obserwacyjnym

"*"" " naprawdę poważnego ataku, P _

izPcałe dnie. Kiedyś

.czył ją, kiedy wrao

Ladrem; strumień woc

Ś - słomkowy kapelusz z

suchej ścieżce, ^ wvtrzeszczone oczy.^J"" □ rHwili
póojrzeniu, dziwnie przypominającego spojrzenie Starej

ziola. W pierwsza

z jej Stojącymi Kamieniami, świadkami naszych ta-
ych rytuałów... Ale i tak to, co czułam, to była radość,
musiaia lezei- *?L^ □ ^ kiedy wracaia u ^^""piałą ni
Stanęłam nad nią. Martwe okrągłe oczy wpatrywały mała,
atak z ^ ^ Ptnitnień wody ro ^v nkae wp
mnp rnpnichnmn. Zflstanawiałam się. czv nowin-

sięwt , , r_ cłnmkowy ?-of^---- v Byłar

bok, ukie we mnie nieruchomo. Zastanawiałam się,
czy powinni je zamknąć. Było coś niepokojącego w ich
rybim

zując oiw<" □ -_" "bierałam zioia. W pi zarna
dziuilateczki, kiedy ją wreszcie złowiłam. Nitka śliny
lśniła

warzywnym, sam^ ^ _g Je- milczenie, . i
wargach Podeszłam o krok bliżej...

ust

matka nie żyje.

353L*od napięte)

42

myślałam, że m^ □piętej żółtawej skóry, oczy ^

43

c

c b n:

je mi

mnie, powie-

pamiętać ją z

Pod przepisem na

czym karty w chytrej rzysnił mi się P<Ť□J> k

, -f1p Ruć całością. Trwa-1

Ś tam tok to ??? . Zyc u> ^^je sobie przypo-pami?ta'nt
ja* ł dził się C \roOU^nuko ymau to to jakiś czas,
zammur Gdybyśmy tylko t ?

sie z dala. Ni MW . mlłosc . Boi się
uszła.

?I? ?I? Z&u. Dzieao- Cte^ pochł1

nieprawda, co móŤn□ ? innam mu hyc

**Jo ? został ze względu f ^*%iŤ!Ť??Ť mU wszystko.

Y. zost jechad & mkt_ rue P j

wdzięczna. Mogy ?^ ostateCznte tutaj sie

z tego powodu złego ^

Nieskłonna P^^S^-go^nmS dtugo mogła,
^^^emykahśniy ^^ P ^ pokoju, P°dc^a7ewnątrz. Co pol
rok^ho ^ iak ostrożne koty, na waznego JBtoJ^
^

Jtego dostawała ^^ .to^Si.ztó

moc co mogłabym to

Joannę Harris

metalowe kulki. Bardzo wolno postawiłam koszyk i
zbliżyłam się do niej.

Ścieżka pod moimi stopami wydawała się dziwnie
zniekształcona, jakbym patrzyła przez silne okulary, więc
szłam trochę niepewnie. Matka leżała na boku. Jedną
nogę miała odrzuconą, ciemna spódnica podwinęła się

nico, ukazując but i pończochę. Głodne, otwarte usta. Ogarnął mnie wielki spokój.

Ona nie żyje, powiedziałam sobie. Stwierdzenie to wywołało falę uczuć tak gwałtownych, że przez chwilę nie byłam w stanie ich sprecyzować. Jasna niczym ogon komety smuga wrażeń łaskoczących pod pachami i podrzucających moim żołądkiem jak naleśnikiem na patelni. Groza, rozpacz, zmieszanie... Szukałam ich w sobie, lecz nie znalazłam ani śladu. Zamiast tego w moim sercu rozbłysła fontanna trujących fajerwerków. Spojrzałam obojętnie na ciało matki i wypełniły mnie ulga, nadzieja i odrażająca, prymitywna radość.

Ta słodycz...

Czuję się tak, jakbym miała w środku kamień, bryłę lodu.

Wiem, wiem. Nie mogę od was oczekiwać, że zrozumiecie, co czułam. Także w moich uszach brzmi to groteskowo, kiedy sobie przypominam tę chwilę, i zastanawiam się, czy to nie kolejne fałszywe wspomnienie... Oczywiście to mógł być szok. Ludzie

doświadczają dziwnych wrażeń na skutek wstrząsu. Nawet dzieci. Szczególnie dzieci - zamknięte w so-ibie, skryte i zdziczałe jak my. Zatrzaśnięte w naszym sekretnym świecie między Posterunkiem Obserwacyjnym rzeką z jej Stojącymi Kamieniami, świadkami naszych ta-

ko] nyc Che kon

całe dni. Kiedyś, goy J ^ ugięli)emnych rytuałów... Ale i tak to, co czułam, to była radość.

musiała leżeć przez Ť ^ wracała od si

się plamą n|. Stałam nad nią. Martwe okrągłe oczy wpatrywały

mała, atak zasko ? s'trumień wody rozl ^ ^^ uk*ię we mnie nieruchomo. Zastanawiałam się, czy powin-się wpeł nad wia. t' kapelusz zsuną się dzibam je zamknąć. Było coś niepokojącego w ich rybim

suchej ścieżce, słomko ^ szczone oczy. Byłam

irzywnym, sama, z ^ .^]e- milczenie^ ^ . -a wargach

Podeszłam o krok bliżej>.

zując

warzywnym, ^- z e

ust odcinająca ?i<?

42

pojrzeniu, dziwnie przypominającego spojrzenie
Starej ateczki, kiedy ją wreszcie złowiłam. Nitka śliny
lśniła

43

Pięć ćwiartek pomarańczy

Matka zniecka wyciągnęła rękę i chwyciła mnie za
kostkę. Nie umarła, nie - czaiła się z oczyma błyszczącymi
podłością i sprytem. Jej usta poruszały się z bolesnym
wysiłkiem, z nienaturalną precyzją formułując słowa.
Zamknęłam oczy, żeby nie zacząć krzyczeć.

- Słuchaj. Przynieś mi laskę. Jej głos brzmiał zgrzytliwie, metalicznie.

- Przynieś. Z kuchni. Szybko. Wpatrywałam się w nią; jej palce wciąż się wpijały

w moją nagą kostkę.

- Już rano czułam, że się zbliża - ciągnęła bezbarwnie.
- Wiedziałam, że będzie silny. Widziałam tylko pół tarczy zegara. Czułam pomarańcze. Przynieś laskę. Pomóż mi.

- Myślałam, że umarłaś.

Własny głos wydawał mi się dziwnie podobny do jej głosu, jasny i twardy.

- Myślałam, że nie żyjesz.

Jedna strona jej ust skrzywiła się i matka wydała dziwaczny, szczerliwy dźwięk, w którym po chwili rozpoznałam śmiech. Pobiegłam do kuchni, wciąż mając go w uszach, znalazłam laskę - ciężką, powykręcaną gałąź głogu, którą zwykle przyginała wyższe gałęzie drzew

owocowych - i wróciłam do niej. Podniosła się już na kolana, podpierając się rękami o ziemię. Od czasu do czasu potrząsała głową dziwacznym, niecierpliwym ruchem, jakby opadły ją osy.

- Dobrze. - Jej głos brzmiał ochryple, jakby usta miała pełne błota. - Teraz mnie zostaw. Powiedz ojcu. Idę... do...

mojego pokoju.

Potem dzikim szarpnięciem podniosła się nogi, zachwiała i wreszcie stanęła prosto, podtrzymywana jedynie

wysiłkiem woli.

- Powiedziałam, wynoś się!

Niezdarnie zamierzyła się na mnie wykrzywioną szponiasto dłonią, niemal tracąc przy tym równowagę. Rzuci-

łam si? do ucieczki. Zatrzymałam się dopiero, kiedy znalazłam się dobrze poza jej zasięgiem; wyrzałam zza krzaków czerwonych porzeczek i patrzyłam, jak zataczając się, zmierza w kierunku domu, zakosami ciągnąc stopy po ziemi.

Wtedy po raz pierwszy uświadomiłam sobie, że matka rzeczywiście jest chora. Później, kiedy leżała w ciemnościach, ojciec wyjaśnił nam, o co chodziło z zegarem i pomarańczami. Niewiele pojęliśmy z tego, co mówił. Nasza matka miewa ataki, tłumaczył cierpliwie, bóle głowy tak silne, że niekiedy nie zdaje sobie sprawy z tego, co robi. Czy wiemy, jak to jest, kiedy się dostanie udaru słonecznego? Ma się wtedy takie mdlące, nierealne uczucie; wydaje się, jakby wszystko było bliżej niż naprawdę, a dźwięki zdają się głośniejsze. Patrzyliśmy na niego, nie rozumiejąc. Chyba tylko Cassis, liczący wówczas dziewięć lat (ja miałam cztery), coś pojmował.

- Matka robi różne rzeczy - ciągnął ojciec. - Rzeczy, których potem nie pamięta. To jakby ją ktoś zaczarował.

Patrzyliśmy na niego poważnie. Czary.

Mój dziecinny umysł skojarzył to określenie z baśniami o czarownicach. Domek z piernika. Dzikie łabędzie. Wyobrażałam sobie, jak matka leży na łóżku w ciemnościach z otwartymi oczami, a dziwaczne słowa wyslizgują się spomiędzy jej warg niczym węgorze. Wyobrażałam sobie, jak patrzy przez ścianę i widzi mnie, sięga spojrzeniem do wnętrza mojej duszy i zanosi się nienaturalnym, szczekliwym śmiechem... Niekiedy podczas ataków matki ojciec sypiał na fotelu w kuchni. Pewnego ranka zastaliśmy go obmywającego czoło nad kuchennym zlewem; woda była czerwona od krwi... Wypadek, wyjaśnił nam wtedy. Głupi wypadek. Ale pamiętam, że widziałam krew lśniąca na czystych terakotowych płytkach. Ktoś zostawił na stole polano. Na nim też była krew.

- Ona nie zrobi nam krzywdy, prawda, papa?

i

45

Pięć ćwiartek pomarańczy

Wpatrywał się we mnie przez chwilę. Sekunda wahania, może dwie. Wyraz kalkulacji w jego oczach, zastanowienia, jak wiele powiedzieć.

Potem się uśmiechnął.

- Oczywiście że nie, skarbie. Co za pytanie, mówił jego uśmiech.

- Ciebie nigdy by nie skrzywdziła.

Przytulił mnie; poczułam zapach tytoniu i moli, biszkoptową woń zastarzałego potu. Nigdy jednak nie zapomniałam tamtego wahania, taksującego spojrzenia. Przez moment to rozważał. Zastanawiał się, jak wiele nam zdradzić. Może myślał, że ma jeszcze czas, mnóstwo czasu; że nam wyjaśni, kiedy będziemy starsi.

Później tej nocy słyszałam jakieś dźwięki z pokoju rodziców, krzyki, brzęk tłuczonego szkła. Rano zbudziłam się wcześniej i zobaczyłam, że ojciec spał w kuchni. Matka wstała późno, lecz w pogodnym jak nigdy nastroju. Podśpiewywała sobie cicho, niemelodyjnie, mieszając

zielone pomidory na okrągłej miedzianej patelni do smażenia konfitur, usypała mi garść żółtych renklod z kieszeni fartucha. Nieśmiało spytałam, czy czuje się lepiej. Spojrzała nierozumiejąco; jej twarz była biała i pusta jak czysty talerz. Później zajrzałam ukradkiem do jej pokoju i zobaczyłam ojca zaklejającego woskowanym papierem wybite okno. Na podłodze pełno było szkła ze stłuczonej szyby i zegara z kominka, leżącego teraz tarczą w dół na deskach. Czerwonawa smuga zaschła na tapecie tuż nad zagłówkiem łóżka; przywarłam do niej wzrokiem z czymś na kształt fascynacji. Widziałam pięć przecinków, jakie palce matki zostawiły na papierze, i większą plamę w miejscu dłoni. Kiedy poszłam obejrzeć ślad parę godzin później, ściana była wyszorowana do czysta, a w pokoju panował porządek. Żadne z rodziców nie wspominało o incydencie; zachowywali się, jakby nic niezwykłego nie zaszło. Od tej pory jednak ojciec na noc zamykał naszą sypialnię na klucz i ryglował okna, jakby się obawiał, że ktoś może się do nas włamać.

Kiedy umarł, czułam niewiele prawdziwego żalu. Gdy szukałam w sobie bólu, natrafiałam jedynie na twarde miejsce w sercu jak pestka w owocu. Mówiłam sobie, że nigdy już nie zobaczę jego twarzy, ale do tej pory i tak już ją prawie zapomniałam. Zamiast tego stał się czymś w rodzaju czczonego wizerunku, jak gipsowy święty: wzniesione w górę oczy, guziki munduru połyskujące matowo. Próbowалам go sobie wyobrażać, jak pada na polu bitwy, leży skulony w masowym grobie, ginie rozdarty miną, która wybuchła mu w twarz... Wyobrażałam sobie przerażające sceny, ale były dla mnie nierealne jak koszmary senne. Cassis przeżył jego śmierć najgorzej. Uciekł z domu na dwa dni, kiedy dostaliśmy wiadomość; wrócił potem wyczerpany, głodny i pokłuty przez komary. Sypiał na drugim brzegu Loary, gdzie lasy przechodzą w moczary. Myślę, że roiły mu się jakieś szalone pomysły, aby wstąpić do armii, ale zamiast tego się zgubił; błąkał się godzinami po własnych śladach, aż trafił nad Loarę. Próbował zmyślać; udawał, że przeżył niezwykle przygody, ale ten jeden raz mu nie wierzyłam.

Potem zaczął się bić z innymi chłopakami i często

wracał do domu w podartym ubraniu, z krwią pod paznokciami. Spędzał całe godziny sam w lasach. Nigdy nie płakał za ojcem i uważał to za powód do dumy, nawet skłął kiedyś Philippe'a Houriasa, kiedy ten próbował go pocieszać. ReINETTE wręcz przeciwnie, najwyraźniej cieszyła się z zainteresowania, jakie ściągnęła na nią śmierć ojca. Ludzie wpadali do nas, przynosząc podarunki, albo klepali ją po głowie, jeśli ją spotkali we wsi. W kawiarni kwestię przyszłości naszej - i naszej matki - omawiano zniżonymi, poważnymi głosami. Moja siostra nauczyła się płakać na zawołanie i wyćwiczyła się w uśmiechu dzielnej sierotki, dzięki czemu dostawała słodycze i zyskiwała opinię jedynej wrażliwej duszy w rodzinie.

i

47

Pięć ćwiartek pomarańczy

Matka po jego śmierci nigdy o nim nie mówiła. Wydawało się, jakby ojciec nigdy z nami nie mieszkał. Farma funkcjonowała bez niego lepiej nawet niż za jego

życia. Wykopaliliśmy grządki topinamburów, które tylko on lubił, i zastąpiliśmy je szparagami i purpurowymi brokułami, które kołysały się i szeptały na wietrze. Zaczęły mnie nękać złe sny, w których leżałam pod ziemią, gnijąc, dławiąc się odorem własnego rozkładu. Tonęłam w Loarze, czując, jak szlam z dna rzeki pokrywa moje martwe ciało, a kiedy wyciągałam rękę po pomoc, natrafiałam na setki innych zwłok. Kołysały się lekko z prądem, ułożone ciasno jedne obok drugich, niektóre całe, inne w kawałkach, pozbawione twarzy, szczerzące wyłamane szczęki i przewracające martwymi oczyma w upiornym powitaniu... Budziłam się z tych snów spocona, z krzykiem, lecz matka nigdy nie przychodziła. Zamiast tego zjawiali się Cassis i Reine, na zmianę zniecierpliwieni lub współczujący. Czasem mnie szczypali i grozili cichymi, rozdrażnionymi głosami. Czasem brali mnie w ramiona i kołysali, aż zasnąłam znowu. Czasami Cassis opowiadał, a ja i Reine-Claude słuchałyśmy z oczyma szeroko otwartymi w blasku księżyca historii o olbrzymach i czarownicach, różach pożerających ludzi, górach i smokach przybierających ludzką postać... Och, Cassis był w tamtych czasach wspaniałym gawędziarzem i chociaż bywał złośliwy i często wyśmiewał się z moich nocnych strachów, dziś pamiętam najlepiej jego opowieści i blask

jego oczu.

8

Odkąd zabrakło ojca, poznaliśmy ataki matki niemal tak dobrze jak on. Kiedy się zaczynały, mówiła trochę niewyraźnie i czuła ucisk w skroniach, co zdradzały nieznaczące, niecierpliwe szarpnięcia głową. Czasami sięgała po coś -łyżkę, nóż - i nie trafiała, macała dłonią po stole albo brze-

48

Joannę Harris

gu zlewu, jak gdyby chciała odnaleźć ów przedmiot dotykiem. Czasem pytała: „Która godzina?”, chociaż miała wprost przed sobą wielki okrągły kuchenny zegar. I zawsze w takich razach ostro, podejrzliwie pytała o to samo:

- Czy któreś z was przyniosło do domu pomarańcze?

W milczeniu kręciliśmy głowami. Rzadko

kosztowaliśmy tych owoców. Na targu w Angers widywaliśmy je niekiedy: duże hiszpańskie pomarańcze o grubej, porowatej skórce; gładze, czerwone pomarańcze z południa, rozcięte, żeby było widać purpurowy miąższ... Matka zawsze trzymała się z dala od straganów z nimi, jak gdyby robiło się jej niedobrze od samego widoku. Kiedyś, gdy jakaś dobra kobieta na rynku dała nam jedną do podziału, matka nie wpuściła nas do domu, dopóki się nie umyliśmy, nie wyszorowaliśmy dokładnie paznokci i nie natarliśmy dłoni balsamem cytrynowym i lawendą, a i wtedy narzekała, że czuje od nas olejek pomarańczowy. Trzymała okna otwarte przez dwa dni, zanim się wreszcie ulotnił. Naturalnie, zapach pomarańczy podczas jej napadów istniał jedynie w jej wyobraźni. Zapowiadał migrenę; kilka godzin później leżała w łóżku z chustką nasączoną olejkiem lawendowym na twarzy i pigułkami w zasięgu ręki. Te pigułki, dowiedziałam się później, to była morfina.

Nigdy się nie tłumaczyła. Wszelkie informacje, które zebraliśmy, pochodziły z długiej obserwacji. Gdy czuła nadciągający atak, po prostu wycofywała się do swego pokoju, nie podając przyczyny i pozostawiała nas własnym zajęciom. Tak więc uważaliśmy je za coś w

rodzaju wakacji - trwających czasem kilka godzin, czasem cały dzień, a nawet dwa - kiedy dozwolone były wszelkie szaleństwa. To były cudowne dni; chciałam, żeby nigdy się nie kończyły. Pływaliśmy w Loarze i łowiliśmy raki na płycznach, urządzaliśmy wyprawy po lasach, najadaliśmy się wiśni albo śliwek, albo zielonego agrestu, aż nas bolały brzuchy, walczyliśmy, strzelaliśmy do siebie z zasadzki ziemniaka-

i

*Ś Pięć Ćwiartek.

49

Pięć ćwiartek pomarańczy

mi i przystrajaliśmy Stojące Kamienie łupami zdobytymi podczas naszych wypraw.

Kamienie były pozostałością starego mola, dawno porwanego przez prąd. Pięć filarów, jeden niższy niż pozostałe, wystawało z wody. W miejscu, gdzie kiedyś były przymocowane deski, sterczała z boku każdego z nich

metalowa klamra, roniąc rdzawe łyżki na wietrzejący kamień. Na tych właśnie żelaznych występkach zawieszaliśmy naszą zdobycz: barbarzyńskie girlandy rybich głów i kwiatów, znaki zapisane sekretnym pismem, magiczne kamienie, rzeźby z drewna wyrzuconego przez fale. Ostatni filar stał na głębiny daleko od brzegu, w miejscu, gdzie prąd był szczególnie silny. Ukrywaliśmy przy nim szkatułkę ze skarbami. Była to cynowa puszka owinięta w ceratę i obciążona kawałkiem łańcucha. Do łańcucha była przywiązana lina, umocowana z kolei do filara, który nazywaliśmy z tego powodu Kamieniem Skarbów. Żeby wyłowić skarb, należało dopłynąć do filara - a był to wyczyn nie lada - po czym, trzymając się go jedną ręką, wyciągnąć szkatułkę, odczepić ją i przepłynąć z nią z powrotem na brzeg. Było powszechnie wiadome, że tylko Cassis potrafi tego dokonać. Nasz „skarb” to były głównie rzeczy, których żaden dorosły nie uznałby za cenne. Strzelby strzelające kartoflami. Guma do żucia owinięta w natłuszczony papier, żeby dłużej pozostała świeża. Długi cukierek. Trzy papierosy. Parę monet w zniszczonej portmonetce. Fotografie aktorek (te, podobnie jak papierosy, należały do Cassisa). Kilka numerów ilustrowanego magazynu specjalizującego się w niesamowitych opowieściach.

Czasami w „wyprawach myśliwskich”, jak je nazywał Cassis, uczestniczył wraz z nami Paul Hourias, choć nigdy nie został w pełni dopuszczony do naszych sekretów. Lubiłam Paula. Jego ojciec, Jean-Marc, sprzedawał przynętę przy drodze do Angers, a matka brała do domu odzież do naprawy, żeby związać koniec z końcem. Był jedynakiem; jego rodzice mieli tyle lat, że mogliby być jego dziadkami.

50

Joannę Harris

Większość czasu spędzał na schodzeniu im z drogi. Wiódł życie, o jakim marzyłam; latem spędzał całe noce pod gołym niebem, w lasach, nie budząc niczyjego niepokoju. Wiedział, gdzie znaleźć grzyby, i umiał robić gwizdki z wierzbowych witek. Ręce miał zręczne i mądre, lecz często był nieporadny i powolny w mowie, a w obecności dorosłych zaczynał się jąkać. Chociaż był bliski wiekiem Cassisowi, nie chodził do szkoły, tylko pomagał w gospodarstwie swojego wuja; doił krowy, wypędzał je i przyprowadzał z pastwiska. I miał do mnie cierpliwość,

większą niż Cassis; nigdy nie wyśmiewał się z mojej niewiedzy i nie gardził mną dlatego, że byłam mała. Oczywiście teraz jest stary. Czasem myślę jednak, że z naszej czwórki to on postarzał się najmniej.

i

Część druga ZAKAZANY OWOC

Tego roku już na początku czerwca zapowiadało się gorące lato, a Loara była płytka i groźna z powodu grząskich mielizn i obrywów. Były też węże, więcej niż zwykle płaskogło-wych, brązowych żmij, które czaiły się w chłodnym błocie na płycznach. Jedna z nich ukąsiła Jeannette Gaudin, kiedy dziewczynka brodziła przy brzegu pewnego suchego popołudnia. Pochowali ją tydzień później na cmentarzu przy kościele Świętego Benedykta pod małym gipsowym krzyżem i aniołkiem. Ukochana córka... 1934-1942. Byłam o rok starsza od niej.

Nagle poczułam się, jakby otwarła się przede mną przepaść; rozgrzana, głęboka otchłań niczym olbrzymia paszcza. Skoro mogła umrzeć Jeannette, mogłam i ja. Mógł umrzeć każdy. Cassis, mający wówczas czternaście lat, spoglądał na mnie z pogardą: „Wydaje ci się, że ludzie giną tylko w czasie wojny, głupia. Dzieci też umierają. Ludzie umierają cały czas”.

Próbowałam mu wytłumaczyć, lecz przekonałam się,

że nie potrafię. Ginący żołnierze - nawet mój własny ojciec - to jedno. Nawet cywile zabici podczas bombardowania, chociaż w Les Laveuses takie rzeczy prawie się

1

55

PIĘĆ ĆWIARTEK POMARAŃCZY

nie zdarzały. To jednak było co innego. Dręczące mnie koszmary stały się gorsze niż dotąd. Spędzałam całe godziny, strażując nad rzeką z siatką na ryby. Łowiłam na płycznach złe brązowe węże, rozbijałam ich płaskie chytre głowy kamieniem i wieszałam zwłoki na odsłoniętych korzeniach drzew na brzegu rzeki. Po tygodniu zebrało się ich dwadzieścia lub więcej, zwieszających się bezwładnie z korzeni, a odór - rybi i dziwnie słodki, jak czegoś źle sfermentowanego - był wszechobecny. Cassis i Reinette chodzili jeszcze do szkoły - oboje uczęszczali do college w Angers - więc to Paul znalazł mnie, jak ze spinaczem do bielizny na nosie, mającym mnie chronić od smrodu, uparcie

przezesywałam siecią błotnistą zupełnie przy brzegu.

Był w szortach i sandałach i trzymał swojego psa, Malabara, na smyczy ze sznurka.

Spojrzałam na niego obojętnie i wróciłam do swojego zajęcia. Paul usiadł obok mnie. Malabar padł na ścieżkę, dysząc. Zignorowałam ich obu. W końcu Paul się odezwał.

- C-co się stało? Wzruszyłam ramionami.

- Nic. Po prostu sobie łowię.

Cisza.

- W-wężę. - Starał się, żeby jego głos brzmiał obojętnie.

Kiwnęłam głową dość wyzywająco.

- No i co z tego?

-Nic.

Poklepał Malabara po głowie.

- Możesz robić, co chcesz.

Czas włókł się w milczeniu w nieskończoność.

- Ciekawe, czy to boli - mruknęłam w końcu.
Zastanawiał się przez chwilę, jak gdyby wiedział, o co

mi chodzi, potem pokręcił głową.

- Nie wiem.

- Mówią, że trucizna dostaje się do krwi i człowiek
cały drętwieje. Tak jakby zasypiał.

56

Joannę Harris

Przyglądał mi się z dystansem, nie wyrażając zgody
ani sprzeciwu.

_ C-Cassis mówi, że Jeannette Gaudin musiała zobaczyć Starą Mateczkę - powiedział w końcu. - Rozumiesz. Dlatego w-waż ją ukąsił. Klątwa Starej Mateczki.

Pokręciłam głową. Cassis, zapalony gawędziarz i chciwy czytelnik magazynów o niesamowitych przygodach (noszących tytuły takie jak „Przekleństwo mumii” albo „Najazd barbarzyńców”), ciągle wygadywał podobne rzeczy.

- Myślę, że Starej Mateczki w ogóle nie ma - oświadczyłam wyzywająco. - Przynajmniej ja jej nie widziałam. Poza tym nie ma czegoś takiego jak klątwa. Każdy o tym wie.

Paul spojrział na mnie smutnie i z urazą.

- Oczywiście, że jest - odparł. - I ona też jest tam, na głębi. M-mój tata zobaczył ją raz, na długo zanim ja się urodziłem. N-największy szczupak, jakiego ludzkie oczy oglądały. Tydzień później spadł z r-roweru i złamał nogę. Przecież twój ojciec też został...

Urwał i spuścił oczy, nagle zmieszany.

- Wcale że nie - odparłam. - Mój ojciec zginął w bitwie.

Nagle zobaczyłam go wyraźnie - ogniwo w niekończącym się łańcuchu żołnierzy podążających nieustępliwie ku pustemu horyzontowi.

Paul pokręcił głową.

- Ona tu jest - powtórzył z uporem. - Dokładnie w najgłębszym miejscu rzeki. Może ma czterdzieści lat, a może pięćdziesiąt. Szczupaki długo żyją. Jest cała czarna od szlamu. I jest sprytna, sprytna jak diabli. Potrafi połknąć ptaka siedzącego na powierzchni wody tak łatwo, jak kawałek chleba. Mój tata mówi, że to wcale nie szczupak, tylko duch morderczyni skazanej na to, żeby do końca świata obserwowała żywych. Dlatego tak nas nienawidzi.

Jak na Paula była to długa przemowa i wbrew sobie słuchałam jej z zaciekawieniem. Nad rzeką roilo się od le-

Pięć ćwiartek pomarańczy

gend i opowieści, lecz ta o Starej Mateczce miała najdłuższy żywot. Olbrzymi szczupak z pyskiem najeżonym haczykami wędkarzy, którzy próbowali go złowić. Oczy błyszczące złośliwą inteligencją. W brzuchu skarb niewiadomego pochodzenia i nieocenionej wartości.

- Mój tata mówi, że jakby ktoś złapał Mateczkę, musiałaby spełnić jego życzenie - ciągnął dalej Paul. - Mówi, że jemu by wystarczył milion franków i żeby zobaczyć bieliznę tej Greta Garbo.

Skrzywił się z zakłopotaniem. Dorośli tacy już są, mówił jego uśmiech.

Rozważyłam słowa Paula. Powiedziałam sobie, że nie wierzę w klątwy ani życzenia. Jednak wizja Starej Mateczki nie chciała zniknąć.

- Jeśli tam jest, to ją złapiemy - oświadczyłam gwałtownie. - To nasza rzeka. Uda się nam.

Nagle wydało mi się to rzeczą oczywistą; nie jedynie możliwością, lecz obowiązkiem. Pomyślałam o koszmarach, które dręczyły mnie od śmierci ojca. Snach o tym, że tonę, przetaczam się ślepa w czarnych wzburzonych falach Loary, czując wokół siebie chłodne i zimne ciała martwych ryb; że krzyczę i czuję, jak woda wtłacza mój krzyk z powrotem do gardła, że tonę w sobie. Mateczka w jakiś sposób uosabiała to wszystko i choć z pewnością nie potrafiłabym tak tego nazwać, naraz zrodziła się we mnie pewność, że gdybyśmy ją złapali, coś by się zmieniło. Co by to miało być, nie potrafiłam określić nawet na własny użytek. Coś, myślałam z rosnącym, niezrozumiałym podnieceniem. Coś.

Paul spojrzął na mnie przestraszony.

- Złapać ją? - powtórzył. - Po co?

- To nasza rzeka - odparłam z uporem. - Nie powinno jej być w naszej rzece.

Chciałam w ten sposób powiedzieć, że jakaś tajemnicza, instynktowna wiedza podpowiada mi, iż obecność Mateczki obraża mnie w znacznie większym stopniu niż

58

Joannę Harris

węże: jej chytryść, jej wiek, jej podle zadowolenie z siebie. Nie potrafiłam jednak w żaden sposób tego wyrazić. Była potworem.

— Poza tym nigdy ci się nie uda - ciągnął Paul. - To znaczy, ludzie już próbowali. Z linami i sieciami, i wszystkim. Ona rozdziera sieci. A liny... jedno kłapięcie paszczą i przegryza je na pół. Taka jest silna, rozumiesz. Silniejsza od nas.

- To nic - upierałam się. - Możemy ją złapać w pułapkę.

- Musiałabyś być okropnie sprytna, żeby przechytrzyć

Starą Mateczkę - oświadczył Paul flegmatycznie.

- No i co z tego?

Powoli ogarniał mnie gniew; stawiałam mu czoło z zaciśniętymi pięściami i zaciętym wyrazem twarzy.

- Więc będziemy sprytni. Cassis i ja, i ReINETTE, i ty. Cała czwórka. Chyba że się boisz?

- Nie b-boję się, ale to n-n-niemożliwe.

Znowu zaczął się jąkać, jak zawsze, gdy czułem, że ktoś go do czegoś zmusza.

Popatrzyłam na niego.

- Dobrze, więc spróbuję sama, skoro nie chcesz mi pomóc. I złapię tego starego potwora. Zobacysz.

Z jakiegoś powodu piekły mnie oczy. Ukradkiem otarłam je nadgarstkiem. Zauważyłam, że Paul przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy, nic jednak nie powiedział. Złośliwie dźgnęłam siatką rozgrzaną płyciznę.

- To tylko stara ryba - powiedziałam. I jeszcze raz.

- Dostanę ją i powieszę na Stojących Kamieniach. I jeszcze.

- O tam - machnęłam mokrą siecią w kierunku Kamienia Skarbów.

- O tam - powtórzyłam cicho i splunęłam na ziemię na dowód, że mówię prawdę.

1

59

Pięć ćwiartek pomarańczy 2

Matka skarżyła się na zapach pomarańczy przez cały ten upalny miesiąc. Przynajmniej raz w tygodniu, choć nie zawsze następował potem atak. Cassis i ReINETTE byli w szkole, ja biegałam nad rzekę - przeważnie sama, lecz niekiedy w towarzystwie Paula, jeśli udało mu się wywinąć od pracy na farmie.

Weszłam w trudny wiek, a pozbawiona kontaktu z rodzeństwem przez całe długie dni, stałam się zuchwałą i nieposłuszna. Uciekałam, kiedy matka kazała mi coś zrobić, nie zjawiałam się na posiłki i wracałam do domu późno i brudna, w ubraniu pokrytym żółtawymi smugami pyłu znad rzeki, z włosami rozczochranymi i zlepionymi od potu. Z natury byłam buntownicą, lecz tego lata stałam się nią w większym stopniu niż kiedykolwiek. Obserwowałyśmy się z matką czujnie niczym dwa kocury walczące o terytorium. Za najlżejszym dotknięciem sypały się iskry trzeszczące od elektryczności. Każde słowo było potencjalną zniewagą, każda rozmowa - polem minowym. Przy posiłkach siedziałyśmy naprzeciw siebie, rzucając sobie wściekle spojrzenia nad zupą i naleśnikami. Cassis i Reine kulili się po obu stronach jak przelękli dworzanie, wielkoocy i milczący.

Nie wiem, dlaczego skakałyśmy sobie do oczu; może przyczyną był po prostu fakt, że dorastałam. Zaczęłam widzieć tę, która przerażała mnie w dzieciństwie, w innym świetle. Dostrzegałam siwiznę w jej włosach, zmarszczki okalające usta. Dostrzegałam z palącą pogardą, że jest jedynie starzejącą się kobietą, którą ataki choroby

zamykają bezradną w pokoju.

Matka krytykowała mnie bezustannie. Celowo - albo tak mi się wydawało. Teraz myślę, że być może nie umiała nic na to poradzić; że bezstanie mnie leżało w jej nieszczęsnej naturze tak samo, jak przeciwstawianie się jej leżało w mojej. Tego lata miałam wrażenie, że otwiera

60

Joannę Harris

usta jedynie po to, by mnie zganić. Moje zachowanie, moja sukienka, mój wygląd, moje opinie. Wszystko to jej zdaniem zasługiwało na potępienie. Byłam niechlujna: rzucałam ubrania byle jak w nogach łóżka, kiedy szłam spać. Chodziłam pochylona: zostanę garbata, jeśli nie będę uważać. Byłam nienażarta, bo łakomie pochłaniałam owoce z sadu. Kiedy indziej nie miałam apetytu: jestem koścista jak szkielet. Dlaczego nie mogę się zachowywać jak Reine-Claude? W wieku dwunastu lat moja siostra rozkwitła. Łagodna i słodka jak ciemny miód, o bursztynowych oczach i kasztanowych włosach, była bohaterką każdej opowieści, gwiazdą każdego filmu, który

sobie wyobrażałam i który podziwiałam. Gdy byłyśmy młodsze, pozwalała mi zaplatać sobie włosy. Wplatałam kwiaty i jagody w jej grube warkocze i owijałam jej głowę powojem, tak że wyglądała niczym leśna boginka. Teraz w jej spokoju, biernej słodczy było coś niemal dorosłego. Wyglądałam przy niej jak żaba, powtarzała mi matka; brzydka koścista żaba z szerokimi ponurymi ustami, wielkimi rękami i stopami.

Szczególnie dobrze zapamiętałam jedną z tych awantur przy kolacji. Jedliśmy paupiettes, niewielkie zawiniątka z cielęciny z mieloną wieprzowiną, związane sznurkiem i ugotowane w gęstym sosie z dodatkiem marchewki, szalotek i pomidorów oraz białego wina. Gapiłam się w talerz z posępną obojętnością. Reinette i Cassis nie patrzyli na nic, ze staranną obojętnością.

Matka zacisnęła pięści, rozwścieczona moim milczeniem. Po śmierci ojca nie było nikogo, kto umiałby poskromić jej gniew; zawsze obecny, wrzał tuż pod powierzchnią. Rzadko nas biła - rzecz niezwykła w owych czasach, niemal dziwactwo - choć nie wynikało to, jak sądzę, z tego, by darzyła nas szczególnym uczuciem. Raczej obawiała się, że jeśli raz zacznie, nie będzie w

stanie przestać.

- Przestań się garbić, na miłość boską!

i 61

Pięć ćwiartek pomarańczy

Jej głos był cierpki niczym niedojrzały agrest.

- Jak się będziesz kulić, zostaniesz taka na zawsze.
Rzuciłam jej szybkie, zuchwałe spojrzenie i oparłam

ręce na stole.

- Łokcie ze stołu! - niemal wyjęczała. - Spójrz na swoją siostrę. Popatrz na nią. Czy ona się garbi? Czy ona się zachowuje jak tępy parobek?

Nie przyszło mi do głowy nienawidzić Reinette. To matki nienawidziłam i okazywałam jej to każdym ruchem drobnego dziecięcego ciała. Dostarczałam jej pretekstów do pastwienia się nade mną. Życzyła sobie, żeby wyprane bluzki wieszać na sznurze za dolny brzeg: wieszałam je za

kołnierze. Słoiki w spiżarni miały stać etykietkami naprzód: obracałam je odwrotnie. Zapominałam umyć ręce przed jedzeniem. Zmieniałam kolejność patelni zawieszonych na ścianie od największej do najmniejszej. Zostawiałam w kuchni otwarte okno, tak że kiedy matka otwierała drzwi, przeciąg zatrząskiwał je z hukiem. Łamałam tysiące jej prywatnych reguł, a ona reagowała na każdy objaw niesubordynacji z równym zaskoczeniem i wściekłością. Drobiazgowo zasady były ważne, ponieważ pozwalały jej zapanować nad naszym światkiem. Wystarczyło jej znieść, by stała się taka sama jak my: osierocona i bezradna.

Oczywiście wówczas o tym nie wiedziałam.

- Taka z ciebie zawzięta suka, co? - powiedziała w końcu, odsuwając talerz. - Masz serce z kamienia.

W jej głosie nie było wrogości ani gniewu, jedynie coś na kształt chłodnego braku zainteresowania.

- Też kiedyś taka byłam - dodała.

Wtedy po raz pierwszy usłyszałam, jak mówi o swoim

dzieciństwie.

- W twoim wieku.

Jej uśmiech był wymuszony, niewesoły. Nie mogłam sobie wyobrazić, by kiedykolwiek była młoda. Dziobałam widelcem swoją paupiette w krzepnącym sosie.

62

Joannę Harris

- Też zawsze chciałam walczyć ze wszystkimi - ciągnęła matka. - Poświęciłabym wszystko, zraniła każdego, byle tylko pokazać, że mam rację. Byle moje było na wierzchu.

Spojrzała na mnie badawczo, z zaciekawieniem, jej czarne oczy wyglądały jak dziury zrobione szpilką w kawałku smoły.

- Buntownica z ciebie. Wiedziałam o tym, jak się tylko urodziłaś. Znowu zaczynasz swoje. Wrzeszczałaś po nocach i nie chciałaś ssać, a ja leżałam za drzwiami, nie

mogąc spać, i aż mi w głowie łupało.

Nie odpowiedziałam. Po chwili matka roześmiała się drwiąco i zaczęła sprzątać ze stołu. Wtedy ostatni raz wspomniała o trwającej między nami wojnie, choć wojna ta daleka była od zakończenia.

3

Wielki wiąz nad brzegiem rzeki nazywaliśmy Posterunkiem Obserwacyjnym. Część konarów zwieszała się nad wodą, pęki grubych korzeni zanurzały się głęboko w nurt z wyschniętego brzegu, łatwo więc było się na niego wspiąć nawet mnie, a z wyższych gałęzi mogłam zobaczyć całe Les Laveuses. Cassis i Paul wybudowali na drzewie prymitywny domek - platformę z kilkoma przygiętymi gałęziami, służącymi za dach - ale to ja spędzałam tam najwięcej czasu. ReINETTE niechętnie wdrapywała się na wierzchołek, choć dla ułatwienia wspinaczki zawiesiliśmy linę z węzłami, a Cassis przestał tam bywać, więc często miałam Posterunek tylko dla siebie. Przychodziłam tam, żeby rozmyślać i obserwować drogę, gdzie niekiedy widywałam Niemców przejeżdżających samochodami terenowymi - albo

częściej na motocyklach.

Naturalnie, w Les Laveuses niewiele znajdowało się rzeczy, które ich mogły zainteresować. Nie było baraków, szkoły, żadnych budynków publicznych, które by mogli

i

63

Pięć ćwiartek pomarańczy okupować. Zajęli Angers, rozsyłając nieliczne patrole do sąsiednich wiosek. Pomijając pojazdy na drodze, widywałam jedynie grupki żołnierzy przychodzących co tydzień zarekwirować towary z gospodarstwa Houriasów. Naszą farmę odwiedzali rzadziej: nie mieliśmy krów, tylko parę świń i kóz. Główne źródło naszych dochodów stanowiły owoce, a sezon na nie dopiero się zaczynał. Kilka razy w miesiącu zjawiało się paru niezbyt gorliwych żołnierzy, lecz nasze najcenniejsze zapasy były dobrze ukryte, a matka zawsze wysyłała mnie do sadu, kiedy przychodzili. Mimo to intrygowały mnie szare mundury; czasem siedząc na Posterunku Obserwacyjnym, wyobrażałam sobie, że strzelam do przejeżdżających aut. W gruncie rzeczy nie żywiłam do

Niemców nienawiści - żadne dziecko jej nie czuło. Byliśmy po prostu ciekawi, powtarzaliśmy obelgi, których nauczyli nas rodzice - przekłęci bosze, nazistowskie świnię - z instynktownej skłonności do naśladownictwa. Nie miałam pojęcia, co się dzieje w okupowanej Francji; niezbyt dobrze wiedziałam nawet, gdzie leży Berlin.

Kiedyś przyszli do Denisa Gaudina, dziadka Jeannette, żeby zarekwirować skrzypce. Jeannette opowiedziała mi o tym zaledwie tydzień przed śmiercią. Zmierzchało się i zasłony były już zaciągnięte z powodu zaciemnienia, gdy usłyszała pukanie do drzwi. Otworzyła i zobaczyła niemieckiego oficera. Grzecznie, choć z wysiłkiem zaczął tłumaczyć dziadkowi:

- Monsieur, ja... wiem... ma pan... skrzypce. Ja ich...
potrzebuję.

Jak się zdaje, kilku oficerów postanowiło stworzyć zespół muzyczny. Zapewne nawet Niemcy potrzebowali jakiejś rozrywki dla zabicia czasu.

Stary Denis Gaudin spojrział na gościa.

- Skrzypce, mein Herr, są jak kobieta - odpowiedział uprzejmie. - Nie można ich pożyczać.

Po czym bardzo powoli zamknął drzwi. Zapadła cisza, kiedy oficer przetrwał jego słowa. Jeannette patrzyła na

64

Joannę Harris

starszego pana szeroko otwartymi oczami. Po chwili na zewnątrz rozległ się śmiech i głos powtarzający:

_ Wie eine Frau! Wie eine Frau!

Oficer nigdy nie wrócił, a Denis zachował skrzypce jeszcze długo, niemal do końca wojny.

4

Tego lata jednakże, w każdym razie do pewnego momentu, to nie Niemcy stanowili główny przedmiot mojego zainteresowania. Większą część dnia - i sporą

nocy - spędzałam na obmyśleniu sposobu schwywania Starej Mateczki. Rozważałam różne metody połowu. Wędkę na węgorze, pułapki na raki, niewody, sieci, przynęty żywe i martwe. Poszłam do Jean-Marie Houriasa i męczyłam go tak długo, aż mi powiedział wszystko, co sam wiedział o przynętach. Wykopywałam robaki na brzegach Loary i nauczyłam się trzymać je w ustach, żeby je ogrzać. Łapałam muchy plujki i nawlekałam na linki najeżone haczykami, podobne do dziwacznych łańcuchów na choinkę. Wypłatałam pułapki z witek wierzbowych i sznurka i wkładałam do nich resztki jako przynętę. Najlżejsze dotknięcie sznurka sprawiało, że klatka się zatrzaśniała, a całe urządzenie wynurzało się z wody, gdy została zwolniona przygięta gałąź, utrzymująca je pod powierzchnią. Rozciągałam kawałki sieci w węższych kanałach między ławicami piasku. Zastawiałam linki z przynętą z kulek gnijącego mięsa, zwieszające się z przeciwnego brzegu. W ten sposób złowiłam mnóstwo okoni, drobnych uklei, kielbi, płotek i węgorzy. Niektóre przynosiłam do domu i przyglądałam się, jak matka je przyrządza. Kuchnia była teraz jedynym neutralnym terytorium w domu, miejscem krótkiego wytchnienia w naszej prywatnej wojnie. Stawałam koło matki, słuchając jej cichego monologu, i

razem robiliśmy bouillabaisse angevine, rybny gulasz

8. Pięć ćwiartek

65

Pięć ćwiartek pomarańczy

z czerwoną cebulą i tymiankiem, ukleje pieczone w folii aluminiowej z estragonem i grzybami. Niektóre trofea zawieszałam na Stojących Kamieniach - jaskrawe, cuchnące girlandy: ostrzeżenie i wyzwanie.

Stara Mateczka jednak się nie zjawiała. W niedzielę, kiedy Reine i Cassis nie mieli lekcji, próbowałam ich zarazić moim entuzjazmem do polowania. Jednak od przyjęcia Reine-Claude do college wcześniej tego roku oddaliśmy się od siebie. Pięć lat dzieliło mnie od Cassisa. Od Reine trzy. A jednak zdawali się sobie bliżsi wiekiem niż w rzeczywistości, jak gdyby różnica między nimi wynosiła mniej niż dwa lata. Pasowani na dorosłych, tak podobni do siebie ze złotawymi twarzami i wydatnymi kośćmi policzkowymi, że mogliby niemal uchodzić za bliźnięta. Często wymieniali szeptem tajemnicze uwagi,

uśmiechali się ukradkiem, wspominając przyjaciół, których nie znałam, zaśmiewali z własnych dowcipów. Ich rozmowy pełne były obcych mi nazwisk. Monsieur Tupecik. Madame Froussine. Mademoiselle Culourd. Cassis wymyślił przezwiska wszystkim nauczycielom i nauczył się naśladować ich miny i głosy, by rozbawić Reine. Inne nazwiska, szeptane pod osłoną ciemności, kiedy spałam, należały zapewne do ich przyjaciół. Heinemann. Leibniz. Schwartz. Ich śmiech, kiedy je wymieniali szeptem -dziwny, złośliwy śmiech z wyraźną nutą poczucia winy i hysterii. Były to nazwiska, których nie znałam, obce nazwiska; gdy o nie pytałam, tylko chichotali i ręka w rękę uciekali do sadu.

Ta tajemniczość dręczyła mnie bardziej, niż mogłam sądzić. Cassis i ReINETTE, dotąd mi równi, stali się nagle konspiratorami. Nasze wspólne zabawy zaczęły się im wydawać dziecinne. Posterunek Obserwacyjny, Stożące Kamienie należały już tylko do mnie. Reine-Claude nie chciała chodzić na ryby, twierdząc, że boi się węży. Zamiast tego przesiadywała w swoim pokoju, układając wymyślne fryzury i wzdychając do fotosów aktorek filmo-

Joannę Harris

wych. Cassis z uprzejmą obojętnością słuchał moich podniecających planów, po czym znajdował jakąś wymówkę, by zostawić mnie samą. Lekcje do odrobienia. Łacińskie słówka do nauczenia dla monsieur Toubona. Zrozumiem, jak będę starsza. Gotowi byli zrobić wszystko, by się ode mnie uwolnić. Nie zjawiali się na umówione spotkania. Wysyłali mnie na drugi koniec wsi z jakimś wyimaginowanym zleceniem, obiecując, że spotkamy się nad rzeką, a potem szli do lasu, podczas gdy ja czekałam z palącymi łzami gniewu w oczach. Udawali zdumienie, kiedy robiłam im wyrzuty, zasłaniali dłońmi usta. Naprawdę mówiliśmy, że przy wielkim wiązie? Byłem święcie przekonany, że umawialiśmy się przy drugim dębie. A potem chichotali za moimi plecami, kiedy odchodziłam.

Rzadko chodzili się kąpać nad Loarę. Reine-Claude lękliwie wchodziła do rzeki, i to tylko w głębszych miejscach, gdzie woda była bardziej przejrzysta, a węże rzadko się zapuszczały. Próbowałam zwrócić ich uwagę, ryzykownie nurkując z brzegu i pozostając pod wodą tak

długo, aż ReINETTE zaczęła krzyczeć, że się utopiłam. Mimo to czułam, jak mi się wymykają, i przytłaczało mnie poczucie osamotnienia.

Tylko Paul pozostał lojalny w tym okresie. Choć był starszy niż ReINE-CLAUDE i niemal w tym samym wieku co CASSIS, wydawał się młodszy, mniej inteligentny. W ich obecności odbierało mu mowę; uśmiechał się z bolesnym skrępowaniem, kiedy opowiadali o szkole. Sam ledwie potrafił czytać, a pisząc, stawiał niezgrabne, drukowane litery jak małe dziecko. Mimo to lubił opowiadania, więc czytałam mu pisemka CASSISA, gdy przychodził na Posterunek Obserwacyjny. Zwykliśmy przesiadywać na platformie. Strugał coś z drewna swoim scyzorykiem, podczas gdy ja czytałam „Grobowiec mumii” albo „Inwazję Marsjan”. Między nami na deskach leżało pół bochenka chleba, z którego od czasu do czasu odkrawaliśmy po kromce. Niekiedy przynosił kawałek rillettes zawinięty w woskowany

Pięć ćwiartek pomarańczy

papier albo pół camemberta. Do naszych skromnych uczt dorzucałam garść truskawek albo kozi ser obtaczany

w popiele - matka nazywała je petits cendres. Z Posterunku widzieliśmy wszystkie moje sieci i pułapki. Sprawdzalam je co godzina, poprawiając coś, jeśli było trzeba, i wyjmując drobniejszą zdobycz.

- Czego sobie zażyczysz, jak ją złapiesz? Od tego czasu Paul zaczął uważać za rzecz oczywistą, że schwytam Mateczkę, i zwracał się do mnie z niechętnym podziwem. Zastanowiłam się.

- Nie wiem. - Ugryzłam kawałek chleba z rillettes. - Nie ma sensu planować, póki jej nie złowię. Polowanie może zabrać trochę czasu.

Tak naprawdę to ja go potrzebowałam. Był trzeci tydzień czerwca, a mój entuzjazm nie zmalał. Raczej przeciwnie. Nawet obojętność Cassisa i Reine-Claude jedynie zwiększała mój upór. Stara Mateczka stała się w mojej wyobraźni amuletem; śliskim jak piskorz czarnym talizmanem, który - gdybym go zdobyła - pozwoliłby naprawić wszystko, co było nie tak.

Ja im pokażę. Kiedy złapię Mateczkę, będą wytrzeszczać na mnie oczy ze zdumieniem. Cassis,

Reinette... zobaczę na twarzy matki ten szczególny wyraz, zmuszę ją, żeby mnie zauważyła, a potem może zaciśnie dłonie z gniewu... a może uśmiechnie się z tą dziwną słodyczą

i otworzy ramiona...

Tu jednak kończyły się moje fantazje; nie ośmielałam się marzyć dalej.

- Poza tym - oświadczyłam z wystudiowaną nonszalancją - ja nie wierzę w życzenia. Już ci mówiłam.

Paul nie wyglądał na przekonanego.

- Skoro nie wierzysz, to po co w ogóle to robisz? - spytał.

Pokręciłam głową.

- Nie wiem - powiedziałam w końcu. - Chyba żeby mieć coś do roboty.

Joannę Harris

Zaczął się śmiać.

- Cała ty, Boise - wyjąkał między kolejnymi atakami śmiechu. - Cała ty, słowo daję. Złapać Starą Mateczkę, żeby mieć coś do roboty.

I dalej zaśmiewał się do łez, tarzając się po platformie niebezpiecznie blisko skraju w niezrozumiałym napadzie wesołości, aż Malabar, przywiązany sznurkiem u stóp drzewa, zaczął ostro naszczekiwać i umilkliśmy, żeby nie zdradzić naszej kryjówki.

Wkrótce potem znalazłam pod materacem Reine-Claude szminkę. Doprawdy, co za głupi schowek - każdy by ją odkrył, nawet matka - lecz Reinette zawsze brakowało wyobraźni. Przypadała moja kolej ścielenia łóżek. Szminka musiała się przesunąć pod prześcieradło,

bo znalazłam ją między brzegiem materaca a deską z boku. W pierwszej chwili nie wiedziałam, co to jest. Matka nigdy się nie malowała. Niewielki złoty walec podobny do krótkiego pióra. Przekręciłam skuwkę, napotkałam opór, otwarłam. Wy-próbowywałam ją ostrożnie na rękę, kiedy usłyszałam za sobą sapnięcie i ReINETTE okręciła mnie jednym ruchem. Twarz miała bladą i wykrzywioną z gniewu.

- Oddaj to! - syknęła. -To moje!

Wyrwała mi szminkę z ręki; mały przedmiot upadł na podłogę i potoczył się pod łóżko. Szybko, z płonąca twarzą, rzuciła się go szukać.

- Skąd to masz? - zapytałam ciekawie. - Matka wie o tym?

- Nie twoja sprawa - wysapała, gramoląc się spod łóżka. - Nie masz prawa grzebać w moich prywatnych rzeczach. A jeśli komuś powiesz...

Wyszczrzyłam zęby.

- Może powiem - odparłam. - A może nie. To zależy.

Ť

69

Pięć ćwiartek pomarańczy

Zrobiła krok w moją stronę, ale byłam niemal równie wysoka jak ona, a choć z gniewu zapomniała o ostrożności, wiedziała, że lepiej ze mną nie zadzierać.

- Nie wygadaj - poprosiła przypochlebnie. - Jak chcesz, pójdę z tobą po południu na ryby. Albo możemy iść na Posterunek poczytać magazyny.

Wzruszyłam ramionami.

- Zastanowię się. Skąd to masz? ReINETTE spojrzała na mnie.

- Obiecuj, że nikomu nie powiesz.

- Obiecuję. Splunęłam w dłoń. Po chwili wahania

siostra powtórzyła

gest. Przypieczętowałyśmy umowę lepkiem uściskiem rąk.

- No, dobrze.

Usiadła na brzegu łóżka z podwiniętymi nogami.

- To było w szkole. Jeszcze na wiosnę. Mieliśmy takiego nauczyciela od łaciny, monsieur Toubona. Cassis mówi na niego monsieur Tupecik, bo wygląda, jakby nosił perukę. Ciągłe na nas wrzeszczał. To on kazał kiedyś zostać w kozie całej klasie. Wszyscy go nie znosili.

- Nauczyciel ci ją dał? - nie dowierzałam.

- Nie, głupia. Słuchaj dalej. Wiesz, że bosze zajęli korytarze na parterze i pierwszym piętrze i pokoje od strony podwórza. Rozumiesz, na kwatery. I na musztrę.

Słyszałam o tym wcześniej. Stara szkoła, zbudowana blisko centrum Angers, ze swoimi dużymi salami i ogrodzonym dziedzińcem nadawała się doskonale do ich

celów. Cassis opowiadał nam, jak Niemcy urządzali manewry w szarych maskach przeciwigazowych, podobnych do krowich pysków, jak nikomu nie było wolno patrzeć i jak kazali zamykać okiennice od strony dziedzińca.

- Parę osób zakradło się i patrzyło przez szparę w okiennicy - ciągnęła dalej ReINETTE. - Straszna nuda, tak naprawdę. Ciągłe tylko maszerowali tam i z powrotem i wykrzykiwali po niemiecku. Nie rozumiem, z czego tu robić tajemnicę. - Wygięła usta z wyrazem rozczarowania.

-

70

Joannę Harris

Tak czy inaczej, stary Tupet przyłapał nas kiedyś - mówiła. - Palnął nam kazanie, Cassisowi, mnie i... och, i tak ich nie znasz. Przez niego straciliśmy wolne popołudnie w czwartek. Zadał nam mnóstwo dodatkowych ćwiczeń z łaciny. - Wykrzywiła złośliwie usta. - Nie wiem, dlaczego uważa się za takiego świętego. Sam przyszedł podglądać boszów. - Wzruszyła

ramionami. -Tak czy inaczej - mówiła dalej lżejszym tonem - w końcu mu pokazaliśmy. Stary Tupet mieszka w college - ma pokoje tuż obok sypialni chłopców. Cassis zajrzał tam kiedyś, kiedy Tupeta nie było, i wiesz, co znalazł? Wzruszyłam ramionami.

- Spore radio wepchnięte pod łóżko. Z takich, co odbierają długie fale.

Reinette zrobiła pauzę; wyglądało, jakby nagle poczuła się nieswojo.

- I co dalej? - patrzyłam na złoty przedmiot w jej palcach, próbując dostrzec związek.

Skrzywiła się w nieprzyjemnym, dorosłym uśmiechu.

- Wiem, że nie wolno nam się zadawać z boszami. Ale nie da się ich ciągle unikać - powiedziała tonem wyższości. - To znaczy, spotyka się ich przy bramie albo w kinie w Angers...

To był przywilej, którego bardzo zazdrościłam im obojgu: w czwartki wolno im było pojechać na rowerach

do miasteczka do kina albo kawiarni - więc zrobiłam naburmuszoną minę.

- Skończ wreszcie - ponagliłam.

- Właśnie to robię - odgryzła się ReINETTE. - Boże, Boise, jakaś ty niecierpliwa...

Poprawiła włosy.

- Jak mówiłam, niekiedy nie da się uniknąć spotkania z Niemcami. Nie wszyscy są tacy źli.

Znowu ten uśmiech.

- Niektórzy potrafią być całkiem mili. W każdym razie milsi niż Tupet.

71

Pięć ćwiartek pomarańczy

Obojętnie wzruszyłam ramionami.

- Więc jeden z nich dał ci szminkę - powiedziałam z pogardą. Tyle zamieszania o taką bzdurę, pomyślałam. Jakie to podobne do ReINETTE, żeby się tak przejmować

byle czym.

-Powiedzieliśmy im... to znaczy, wspomnieliśmy jednemu... o Tupecie i jego radiu - ciągnęła dalej. Z jakiegoś powodu się zarumieniła; jej policzki poczerwieniały nagle jak piwonie. - Dał nam szminkę i parę papierosów dla Cassisa, i... różne inne rzeczy. - Słowa płynęły teraz gwałtownie, niepowstrzymanie, oczy ReINETTE błyszczały. - A potem Yvonne Cressonnet powiedziała, że widziała, jak przyszli do pokoju starego Tupeta i wzięli radio, i jego też zabrali, i teraz zamiast łaciny mamy dodatkową geografę z madame Lambert, i nikt nie wie, co się z nim

stał

Popatrzyła na mnie. Pamiętam, że jej oczy wydawały się niemal złote, miały barwę cukrowego syropu, który właśnie zaczyna się ścinać.

Wzruszyłam ramionami.

- Pewnie nic się nie stało - podsumowałam trzeźwo.
-To znaczy, nie wysłaliby na front takiego starego człowieka tylko za to, że miał radio.

- Nie. Pewnie, że nie. - Odpowiedź nadeszła zbyt szybko. - A poza tym w ogóle nie powinien był go trzymać, prawda?

Zgodziłam się, że nie. To było zabronione. Nauczyciel powinien o tym wiedzieć. Reine patrzyła na szminkę, obracając ją w palcach delikatnie, z czułością.

- Nie powiesz nikomu, prawda? - Poglądziła mnie lekko po ręce. - Nie powiesz, Boise?

Wyrwałam dłoń i machinalnie potarłam w tym miejscu. Nigdy nie lubiłam pieszczot.

- Często się spotykacie z tymi Niemcami? - spytałam.
Wzruszyła ramionami.

- Czasem.

72

Joannę Harris

- Powiedzieliście im coś jeszcze?

- Nie - zaprzeczyła zbyt pośpiesznie. -Tylko sobie rozmawiamy. Słuchaj, Boise, nie powiesz nikomu, prawda?

Uśmiechnęłam się.

- Może nie powiem. Jeśli coś dla mnie zrobisz. Spojrzała na mnie z uwagą.

- To znaczy?

- Chciałabym kiedyś iść do Angers z tobą i Cassisem -rzuciłam chytrze. - Do kina i kawiarni, i w ogóle...

Urwałam dla większego efektu. ReINETTE wpatrywała się we mnie zwężonymi oczyma, błyszczącymi jak noże.

- Bo jak nie - dokończyłam fałszywie świętoszkowatym tonem - powiem mamie, że rozmawialiście z ludźmi, którzy zabili naszego ojca. Rozmawialiście z nimi i szpiegowaliście dla nich. Dla wrogów Francji. Zobaczymy, co na to powie.

Reinette wyglądała na zaniepokojoną.

- Boise, obiecałaś! Poważnie pokręciłam głową.

- Tamto się nie liczy. To mój patriotyczny obowiązek. Musiało to zabrzmieć przekonująco. Reinette zbladła.

A przecież te słowa nic dla mnie nie znaczyły. Nie czułam prawdziwej nienawiści do Niemców. Nawet kiedy sobie powtarzałam, że zabili mojego ojca. Że człowiek, który to zrobił, może jest tutaj, w Angers, godzinę jazdy rowerem stąd, pije gros-plant w jakiejś trafice i pali gauloise'a. Obraz w mojej wyobraźni był wyraźny, lecz miał niewielką moc. Być może dlatego, że twarz ojca zacierała się już w mojej pamięci. A może dlatego, że dzieci rzadko włączają się w kłótnie dorosłych, podobnie jak dorośli rzadko rozumieją nienawiść, która bez

żadnych zrozumiałych powodów wybuchu nagle między dziećmi. Mówiłam świątoszkowatym, karcącym tonem, lecz to, o co mi naprawdę chodziło, nie miało nic wspólnego z naszym ojcem, Francją czy wojną. Chciałam znowu znajdować się w centrum wydarzeń, być traktowana jak dorosła, mieć swoje tajemnice. I chciałam iść do

i 73

Pięć ćwiartek pomarańczy

kina, zobaczyć Laurela i Hardy'ego, Belę Lugosi albo Hum-phreya Bogarta, siedzieć w rozmigotanej ciemności z Cassi-sem po jednej stronie i Reine-Claude z drugiej, może z różkiem frytek w ręce albo kawałkiem lukrecji... Reinette pokręciła głową.

- Oszalałaś - powiedziała w końcu. - Wiesz, że matka nigdy nie puści cię samej do miasta. Jesteś za mała. Poza

tym...

- Nie będę sama. Ty albo Cassis możecie mnie zawieźć

na bagażniku - ciągnęłam uparcie.

Reinette jeździła na rowerze matki. Cassis na rowerze ojca - dziwacznym, czarnym pojeździe z ramą. Miasteczko było za daleko, by chodzić tam piechotą, więc gdyby nie rowery, oboje musieliby zamieszkać w internacie przy college, jak wiele dzieci ze wsi.

- Semestr już się kończy. Moglibyśmy wszyscy pojechać do Angers. Zobaczyć film. Zabawić się.

Siostra wyglądała na nieprzekonaną.

- Będzie chciała, żebyśmy zostali w domu i pomagali przy gospodarstwie - powiedziała. - Zobaczysz. Nie lubi, jak ktoś się bawi.

- Ostatnio ciągle czuje pomarańcze - oznajmiłam praktycznie - więc do niczego nas nie zmusi. Możemy się wymknąć- Jest w takim stanie, że się nie zorientuje.

To było takie proste. Reinette zawsze dawała sobą łatwo manipulować. Jej skryta, łagodna natura miała w sobie pewne rozleniwienie, niemal obojętność. Próbowwała

się sprzeciwić, rzucając mi w twarz ostatnią słabą wymówkę niczym garść piasku.

- Oszalałaś!

W ostatnim czasie wszystko, co robiłam, wydawało się jej szalone. Byłam szalona, kiedy nurkowałam, kiedy huśtałam się na wierzchołku Posterunku Obserwacyjnego, zaczepiona za jedną nogę, kiedy się sprzeciwiałam i jadłam zielone figi albo niedojrzałe jabłka.

Pokręciłam głową.

74

Joannę Harris

- Na pewno się uda - zapewniłam stanowczo. - Możesz mi wierzyć.

6

Widzicie, jak niewinnie się to wszystko zaczęło. Żadne

z nas nie zamierzało nikomu zrobić krzywdy, a jednak coś we mnie pamięta każdy szczegół bezlitośnie i z doskonałą precyzją. Matka rozpoznała niebezpieczeństwo znacznie wcześniej niż my. Byłam niesforna i nieprzewidywalna. Wiedziała o tym i na swój dziwny sposób starała się mnie chronić, trzymając przy sobie nawet wtedy, kiedy wolałaby się ode mnie uwolnić. Rozumiała więcej, niż sobie wyobrażałam.

Wtedy jednak nic mnie to nie obchodziło - miałam swój plan, tak skomplikowany i przemyślny jak pułapki, które zastawiałam na rzece. Przez pewien czas sądziłam, że Paul mógł się czegoś domyślać, nawet jednak jeśli tak było, nigdy nie powiedział ani słowa. Skromne początki, prowadzące do kłamstw, oszustw i gorszych jeszcze rzeczy.

Zacząło się przy straganie z owocami pewnej soboty, kiedy przypadał targ. Był czwarty lipca, dzień po moich dziewiątych urodzinach.

Wszystko zaczęło się od pomarańczy.

Aż do tego czasu uważano, iż jestem zbyt mała, żeby mnie zabierać do miasteczka w dni targowe. Matka przyjeżdżała do Angers na dziewiątą i rozstawiała swój niewielki kram pod kościołem. Dość często towarzyszyli jej Cassis albo Reinette. Ja zostawałam na farmie, rzekomo po to, żeby pracować, choć zwykle spędzałam ten czas nad rzeką, łowiąc ryby, albo w lasach z Paulem.

ŚI

75

Pięć ćwiartek pomarańczy

Tego roku było jednak inaczej. Jestem już dość duża, żeby się przydać, oświadczyła mi matka na swój szorstki sposób. Nie zostanę dzieckiem przez całe życie. Przyjrzała mi się badawczo. Jej oczy miały kolor zwiędłych pokrzyw. Poza tym - dodała obojętnie, by nie sprawiać wrażenia, że chce mi zrobić przyjemność - może będę chciała pojechać kiedyś latem do Angers, na przykład do kina, z bratem i siostrą...

Domyśliłam się, że maczała w tym palce ReINETTE. Nikt inny nie potrafiłby przekonać matki. Siostra umiała się jej przypochlebić. Matka bywała surowa, lecz kiedy zwracała się do ReINETTE, dostrzegałam w jej oczach łagodniejszy wyraz, jak gdyby coś w niej drgnęło pod pozorami szorstkości. Wymamrotałam coś niezręcznie w odpowiedzi.

- Poza tym - ciągnęła - przyda ci się trochę odpowiedzialności. Trzeba cię nieco utemperować. Nauczyć, co w życiu ważne.

Kiwnęłam głową, wzorem ReINETTE próbując okazać łagodność.

Nie sędzę, żeby matka się dała oszukać. Ironicznie uniosła brew.

- Pomożesz mi przy straganie - powiedziała.

I tak, pierwszy raz w życiu, pojechałam z nią do miasteczka. Jechałyśmy we dwie na wózku z towarem zapakowanym w pudła i nakrytym brezentem. W jednym

pudełku miałyśmy ciasta i biszkopty, w innym sery i jajka, w pozostałych owoce. Sezon dopiero się zaczynał i choć truskawki się udały, niewiele jeszcze było dojrzałych. Żeby zwiększyć nasze dochody, sprzedawałyśmy dżem słodzony burakami z ubiegłego roku.

W Angers w dzień targowy panował spory ruch. Na głównej ulicy tłoczyły się dyszel przy dyszlu wozy, rowery ciągnące wiklinowe kosze i małe odkryte wózki wyładowane bańkami z mlekiem. Jakaś kobieta niosła na głowie tacę pełną bochenków chleba. Stragany zastawiano wysoko szklarniowymi pomidorami, bakłazanami, cukinią, ce-

76

Joannę Harris

bulą, ziemniakami. Tu sprzedawano wełnę albo wyroby garncarskie, obok wino, mleko, przetwory, noże, owoce, używane książki, chleb, ryby, kwiaty. Ustawiliśmy się z brzegu. Przed kościołem była fontanna, gdzie pojono konie; panował tam cień. Moim zadaniem było pakować żywność i podawać ją klientom, podczas gdy matka

przyjmowała pieniądze. Miała fenomenalną pamięć i zdolności matematyczne. Potrafiła dodawać liczby w myślach, nie potrzebując ich nawet zapisywać, i nigdy się nie wahała przy wydawaniu reszty. Pieniądze trzymała w kieszeniach fartucha, banknoty w jednej, monety w drugiej; ich nadmiar chowała w starej puszcze po biszkoptach ukrytej pod brezentem. Pamiętam ją jeszcze: różowa, ze szlaczkiem z różyczek wokół brzegu. Pamiętam brzęk monet i szelest banknotów wpadających do puszek: matka nie ufała bankom. Przechowywała nasze oszczędności w pudełku pod podłogą w piwnicy wraz z cenniejszymi winami.

Tego pierwszego dnia targu sprzedałyśmy w ciągu pierwszej godziny wszystkie jajka i sery. Ludzie doskonale zdawali sobie sprawę z obecności żołnierzy stojących na skrzyżowaniu ze znużonym i obojętnym wyrazem twarzy, swobodnie przytrzymujących broń w zgięciu łokcia. Matka przyłapała mnie na przyglądaniu się szarym mundurom i klępem przywołała do porządku.

- Przestań się gapić, dziewczyno.

Należało ich ignorować nawet wtedy, kiedy podeszli

bliżej, przepychając się przez tłum. Poczułam ostrzegawczą dłoń matki na mojej ręce. Zadrżała, kiedy jeden z żołnierzy zatrzymał się przy naszym kramie, lecz patrzyła obojętnie. Krępy mężczyzna o czerwonej, okrągłej twarzy, który w innym życiu mógł być rzeźnikiem albo sprzedawcą wina. Jego niebieskie oczy błyszczały wesoło.

- Ach, welche schöne Erdbeeren.

Głos miał jowialny, trochę przepity - głos rozleniwionego człowieka na wakacjach. Pulchnymi palcami sięgnął po truskawkę i włożył ją sobie do ust.

77 *

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Schmeckt gut, ja? - Zaśmiał się nie bez życzliwości. Wydał policzki. - Wu-n-der-schon gut!

Odegrał zachwyty, zabawnie wywracając przede mną oczami. Uśmiechnęłam się mimo woli.

Matka ostrzegawczo ścisnęła mnie za rękę. Czułam gorączkowe ciepło rozchodzące się z jej palców. Popatrzyłam na Niemca jeszcze raz, próbując zrozumieć przyczynę jej niepokoju. Nie wydawał się bardziej przerażający niż żołnierze, którzy niekiedy przychodzili do wsi - właściwie nawet mniej, w czapce z daszkiem i z jednym pistoletem w kaburze u boku. Uśmiechnęłam się znowu, bardziej na złość matce niż z innych powodów.

- Gut, ja - powtórzyłam i kiwnęłam głową. Niemiec roześmiał się znowu, wziął drugą truskawkę

i ruszył dalej przez tłum; jego czarny mundur dziwnie żałobnie odcinał się na tle barwnego tłumu.

Później matka próbowała mi wytłumaczyć. Wszystkie uniformy są groźne, wyjaśniła, ale najbardziej czarne. Czarne nie oznaczają zwykłego wojska. To wojskowa policja. Nawet inni Niemcy się ich boją. Mogą zrobić wszystko. Nieważne, że mam tylko dziewięć lat. Wejść nie tam, gdzie trzeba, i mnie zastrzelą, zastrzelą, czy to jasne? Twarz miała kamienną, lecz głos jej drżał i przyciskała rękę do skroni dziwnie bezradnym gestem, jakby zbliżał się jeden z jej ataków. Ledwie słuchałam ostrzeżeń. Było

to moje pierwsze spotkanie twarzą w twarz z wrogiem. Kiedy rozmyślałam potem o tym mężczyźnie na Posterunku Obserwacyjnym, wydawał się nieszkodliwy, wręcz rozczarowujący. Spodziewałam się czegoś więcej.

Targ skończył się w południe. Już wcześniej sprzedałyśmy wszystko, zostałyśmy jednak, żeby zrobić zakupy i zaczekać na gorsze towary, które matka dostawała niekiedy od innych sprzedawców. Przejrzałe owoce, skrawki mięsa, uszkodzone warzywa, które nie dotrwałyby do następnego dnia. Matka posłała mnie do kramu z warzywami, pod-

78

Joannę Harris

czas gdy sama kupowała ukradkiem kawałek spadochronowego jedwabiu w sklepiku madame Petit i upychała go starannie w kieszeni fartucha. Materiał trudno było zdobyć i wszyscy nosiliśmy przerabiane ubrania. Moja sukienka, z szarym stanikiem i niebieską płócienną spódniczką, została uszyta z dwóch innych. Spadochron, wyjaśniła mi matka, znaleziono na polu

obok Courle; z materiału będzie nowa bluzka dla ReINETTE.

- Dałam za niego fortunę - gderała, na wpół gniewna, na wpół podniecona. - Ale oni zawsze sobie poradzą, nawet w czasie wojny. Zawsze spadną na cztery łapy.

Spytałam, o co jej chodzi.

- Żydzi - wyjaśniła. - Mają smykałkę do interesów. Winszuje sobie, Bóg wie ile, za kawałek jedwabiu, a sama nie zapłaciła za niego ani grosza.

Mówiła to bez nienawiści, niemal z podziwem. Kiedy zapytałam, czym zawinili Żydzi, wzruszyła niecierpliwie ramionami. Domyśliłam się, że sama nie wie.

- Pewnie tym, co i my - odparła. - Że chcą przetrwać. Poglądziła paczkę z materiałem schowaną w kieszeni.

- Ale to i tak nie w porządku - dodała. - Wyzyskują sytuację.

Nie rozumiałam jej wzburzenia. Tyle zamieszania z

powodu kawałka starego jedwabiu. Kiedy jednak ReINETTE czegoś zapragnęła, musiała to mieć. Aksamitne wstążki, wystane w kolejce i wymienione za coś innego, najlepsze ze starych rzeczy matki... Białe skarpetki, w których chodziła codziennie do szkoły. Długo po tym, gdy wszyscy zaczęliśmy nosić drewniaki, ona paradowała w czarnych lakierkach z klamerkami. Nie przeszkadzało mi to. Przywykłam do niekonsekwencji matki.

Tymczasem obchodziłam z pustym koszykiem pozostałe stragany. Ludzie, widząc mnie i znając historię naszej rodziny, dawali mi to, czego nie zdołali sprzedać: parę melonów, kilka bakłażanów, endywię, szpinak, brokuły, garść

79 *

Pięć ćwiartek pomarańczy

obitych moreli. Kupiłam chleb u piekarza, a on dorzucił mi parę croissantów i zburzył włosy dużą umączoną dłonią. Wymieniłam wędkarskie opowieści z handlarzem ryb, za co dał mi trochę lepszych resztek zawiniętych w papier. Chwilę zamarudziłam obok kramu

z owocami i warzywami, kiedy właściciel się schylił, by przesunąć skrzynkę czerwonej cebuli; starałam się przy tym, by nie zdradziły mnie spojrzenia.

Wtedy je zobaczyłam. Na ziemi tuż obok straganu, obok skrzynki z cykorią, zawinięte każda osobno w purpurową bibułkę i leżące na tacy w słońcu. Były wtedy rzadkością i miałam niewiele nadziei, że natrafię na nie podczas pierwszej wizyty w Angers, oto jednak były, gładkie i tajemnicze w swoich papierowych osłonkach. Pięć pomarańczy starannie ułożonych do zapakowania. Nagle zapragnęłam jednej z nich, poczułam tak nagłą potrzebę, że ledwie zdołałam się pohamować na tyle, by obmyślić plan działania. Lepsza okazja mi się nie trafi; matki nie ma w pobliżu.

Najbliższy owoc potoczył się na brzeg tacy, niemal dotykał mojej stopy. Sprzedawca wciąż stał do mnie tyłem. Jego pomocnik, chłopak mniej więcej w wieku Cassisa, był zajęty pakowaniem skrzynek na ciężarówkę. Pojazdy inne niż autobusy były rzadkością. Więc właściciel jest bogaty, pomyślałam. Tym łatwiej było mi usprawiedliwić to, co zamierzałam zrobić.

Udając, że przyglądam się workom ziemniaków, zsunęłam chodak. Ukradkiem wyciągnęłam bosą stopę i palcami wyćwiczonymi dzięki wspinaniu się na drzewa strąciłam pomarańczę z tacy. Zgodnie z moimi przewidywaniami potoczyła się kawałek dalej i skryła pod zielonym płótnem, którym przykryto sąsiedni stragan.

Natychmiast postawiłam na niej kosz i schyliłam się, jakbym chciała wyjąć kamień z drewniaka. Spojrzałam z dołu na właściciela, który zbierał ostatnie skrzynki z towarami i układał je na ciężarówce. Nie zauważył, gdy chowałam skradziony owoc do koszyka.

80

Joannę Harris

Takie proste. To było takie proste. Serce biło mi mocno, twarz płonęła tak bardzo, że obawiałam się, iż ktoś zauważy. Pomarańcza w koszu wydawała mi się jak odbezpieczony granat. Wstałam jak gdyby nigdy nic i ruszyłam w stronę, skąd dobiegał głos matki.

Nagle zamarłam. Z przeciwnej strony placyku

przyglądał mi się jeden z Niemców. Stał obok fontanny, nieco przygarbiony, z papierosem w stulonej dłoni. Kupujący starali się go omijać, więc znajdował się w niewielkim pustym kręgu. Wzrok miał utkwiony we mnie. Musiał widzieć mój wyczyn. Trudno go było nie zauważyć.

Przez mgnienie patrzyłam na żołnierza, niezdolna się poruszyć. Poniewczasie przypominałam sobie opowieści Cassisa o okrucieństwie Niemców. Wciąż się na mnie patrzył; zastanawiałam się, co Niemcy robią ze złodziejami.

Naraz mężczyzna do mnie mrugnął.

Gapiałam się na niego przez sekundę, potem odwróciłam się gwałtownie, z płonąca twarzą, nieomal zapominając o pomarańczy na dnie koszyka. Nie ośmieliłam się spojrzeć na żołnierza znowu, mimo że stragan matki znajdował się niedaleko od miejsca, gdzie stał. Drżałam tak bardzo, że byłam pewna, iż matka to zauważy, ją jednak zbyt zaprzątały inne sprawy. Czułam na sobie wzrok Niemca, jego chytre, szelmowskie mrugnięcie, niczym gwóźdź wbity w sam środek czoła. Przez chwilę długą jak wieczność czekałam na cios, który

nie nadszedł.

Wkrótce potem rozmontowaliśmy stragan, umieściliśmy płótno i krzyżaki z powrotem na wózku i ruszyliśmy do domu. Zdjęłam klacze z pyska worek z obrokiem i łagodnie wprowadziłam ją między dyszle, wciąż czując na karku spojrzenie żołnierza. Pomarańczę wsunęłam do kieszeni fartucha, owinąwszy ją w kawałek wilgotnej gazety od handlarza ryb, tak aby matka nie wyczuła zapachu. Trzymałam ręce w kieszeniach, by nie zauważyła, że coś w nich ukryłam. Milczałam przez całą drogę powrotną.

6. Pięć ćwiartek.

81

Pięć ćwiartek pomarańczy

Nie powiedziałam o zdobyczy nikomu oprócz Paula - i to tylko dlatego, że zjawił się nieoczekiwanie na Posterunku Obserwacyjnym i zaskoczył mnie, gdy się napawałam jej widokiem. Nigdy wcześniej nie widział pomarańczy. Z początku myślał, że to piłka. Trzymał ją w

stulonych dłoniach z szacunkiem, jakby owoc mógł nagle rozwinąć zaczarowane skrzydła i odlecieć.

Podzieliliśmy pomarańczę na pół, trzymając ją nad szerokimi liśćmi, żeby nie stracić ani kropli soku. Była smaczna; o cienkiej skórce, cierpka pod początkową słodyczą. Pamiętam, jak zlizywaliśmy każdą kroplę soku, jak zębami zdrapywaliśmy miąższ ze skórki, a potem wysysaliśmy ją tak długo, aż w ustach pozostał nam tylko gorzki, wełnisty posmak. Paul zrobił gest, jakby chciał rzucić resztki z wierzchołka drzewa, ale powstrzymałam go w porę.

- Daj mi to - poleciłam.

- Czemu?

- Bo mi to potrzebne.

Kiedy odszedł, przeprowadziłam ostatnią część planu. Scyzorykiem pocięłam skórkę na drobne kawałeczki. Zapach olejku, gorzki i intensywny, wypełnił moje nozdrza. Pocięłam również liście, których używaliśmy jako talerzy. Pachniały słabo, ale miały przez krótki czas

ochronić całość przed wyschnięciem. Wszystko razem zawinęłam w kawałek muślinu (ukradzionego z graciarni matki) i silnie obwiązałam sznurkiem. Następnie umieściłam paczuszkę z pachnącą zawartością w puszcze po tytoniu, którą schowałam do kieszeni.

Gotowe.

Byłaby ze mnie sprawna morderczyni. Wszystko zostało szczegółowo zaplanowane; kilka drobnych śladów przestępstwa zatarłam w ciągu paru minut. Umyłam się w rzece, żeby usunąć zapach z ust, twarzy i rąk; tarłam dłonie szorstkim żwirem z brzegu, aż stały się różowe

82

Joannę Harris

i piekące, zaostrzonym patyczkiem usunęłam wszelkie resztki spod paznokci. Idąc do domu przez pola, zrywałam garściami dziką miętę i nacierałam nią pachy, ręce, kolana i szyję, tak aby intensywny aromat świeżych liści zagłuszył najlżejszy ślad zapachu. W każdym razie matka nie zauważyła niczego. Przygotowywała gulasz

rybny z resztek, które przyniosłyśmy z targu; czułam płynący z kuchni ciężki aromat rozmarynu i czosnku, pomidorów i gorącego oleju.

Dobrze. Dotknęłam puszkę ukrytej w kieszeni. Bardzo dobrze.

Naturalnie wolałabym, żeby to był czwartek. Wtedy zwykle Cassis i Reinette wyprawiali się do Angers, wtedy też otrzymywali kieszonkowe. Uważano, że ja jestem za mała, by dostawać pieniądze - na co miałabym je wydać? - byłam jednak pewna, że coś wymyślę. Poza tym, mówiłam sobie, nie wiadomo, czy mój plan w ogóle się powiedzie. Musiałam go wypróbować.

Położyłam otwartą puszkę pod piecem w salonie. Był naturalnie zimny, lecz rury łączące go z nagrzanym piecem kuchennym okazały się dostatecznie ciepłe do moich celów. W ciągu paru minut zawartość muslinowego woreczka zaczęła wydzielać przenikliwy zapach.

Siedliśmy do posiłku.

Gulasz był smaczny; czerwona cebula i pomidory

uduszone z dodatkiem czosnku i ziół oraz filizanki białego wina, kawałki ryby troskliwie gotowane na małym ogniu ze smażonymi ziemniakami i całymi szalotkami. Świeże mięso stanowiło rzadkość w tamtych czasach, ale warzywa uprawialiśmy sami, a matka pod podłogą w piwnicy ukryła - obok najlepszego wina - tuzin butelek oliwy z oliwek. Jadłam żarłocznie.

- Boise, zdejmij łokcie ze stołu!

Głos matki był szorstki, spostrzegłam jednak, że odruchowo sięgnęła palcami do skroni dobrze znanym mi gestem i uśmiechnęłam się nieznacznie. Podstęp podziałał.

83

Pięć ćwiartek pomarańczy

Miejsce matki znajdowało się najbliżej rury. Jedliśmy w milczeniu. Jeszcze dwa razy jej ręka powędrowała ukradkiem w kierunku głowy, policzka, oczu, jak gdyby sprawdzając sprężystość skóry. Cassis i Reine nie odzywali się, głowy spuścili tak nisko, że niemal dotykały

talerzy. Powietrze było ciężkie; upał panujący w ciągu dnia zmienił się w ołowianą duchotę; czułam niemal, jak mnie samą zaczyna boleć głowa.

Nagle matka odezwała się ostro:

- Czuję pomarańcze. Któreś z was przynosiło je do domu?

Jej głos był wysoki, oskarżycielski.

- No? Pytam się\

Niemo pokręciliśmy głowami.

I znowu ten gest. Delikatniejszy tym razem; palce masowały, sondowały.

- Bez wątpienia czuję zapach pomarańczy. Na pewno nie przynosiliście ich do domu?

Cassis i Reine siedzieli najdalej od puszki, oddzieleni

od niej dodatkowo garnkiem z gulaszem, roztrzaskującym silną woń wina, ryby, oleju. Poza tym... wszyscy przywykliśmy do ataków matki. Nigdy nie przyszłoby im do głowy, że aromat pomarańczy, o którym wspominała, mógł być czymś innym niż tylko produktem jej wyobraźni. Uśmiechnęłam się znowu, zakrywając usta dłonią. - Boise, podaj mi chleb, proszę.

Podsunęłam jej okrągły koszyk, lecz kawałek, który wzięła, pozostał nietknięty przez cały posiłek. Zamiast tego obracała go w zamyśleniu na woskowanym czerwonym obrusie, ugniatała palcami miękki środek, przesuwała okruchy po talerzu. Gdybym ja zrobiła coś podobnego, z pewnością dostałabym burę. - Boise, przynieś deser.

Wstałam od stołu z ledwie skrywaną ulgą. Czulałam niemal mdłości z podniecenia i strachu, wykrzywiałam się radośnie do błyszczących miedzianych rondli. Na deser były

rozmaite owoce i kilka biszkoptów - oczywiście tych pokruszonych; dobre matka sprzedawała, zostawiając do użytku domowego jedynie te nieudane. Zauważyłam, że przygląda się podejrzliwie morelom przyniesionym z targu, obraca jedną po drugiej w dłoniach, nawet węża, jak gdyby któraś z nich mogła się zniecka okazać pomarańczą. Rękę trzymała teraz cały czas przy skroni, jakby chciała ochronić oczy przed oślepiającym blaskiem słońca. Sięgnęła po pół biszkopta, rozkruszyła go i zostawiła na talerzu.

- Reine, zmyj naczynia. Chyba pójde do siebie i się położe. Czuję, że rozboli mnie głowa.

Głos matki brzmiał bezbarwnie, tylko jej tik - nieznacznym, powtarzającym się ruch palców ku twarzy, skroni - zdradzał złe samopoczucie.

- Reine, nie zapomnij zaciągnąć zasłon. I zamknąć okiennic. Boise, masz ustawić talerze jak się należy. Pamiętaj!

Nawet teraz pilnowała, by przestrzegano jej surowych

zasad dotyczących porządku. Talerze trzeba było ustawić jeden na drugim według wielkości i koloru, każdy wmyty i wytarty do sucha czystą, wykrochmaloną ścierką - nie miało prawa ociekać niechlujnie na desce, to by było za proste - a ścierki rozwiesić do wyschnięcia w równych rzędach.

- Zagrzejcie wody na najlepsze talerze.

Mówiła teraz z rozdrażnieniem, pełna troski o swoją cenną zastawę.

- I macie je wytrzeć z obu stron. Żeby mi nikt nie odkładał wilgotnych do szafki, słyszycie?

Kiwnęłam głową. Matka obróciła się z grymasem.

- Reine, przypilnuj, żeby to zrobiła.

Jej oczy błyszczały niemal gorączkowym blaskiem. Spojrzała na zegar, wykonując dziwny, kołyszący ruch głową.

- Zamknijcie drzwi na klucz. Okiennice też. Wreszcie

wyglądało na to, że może już iść. Lecz jeszcze

oglądała się za siebie, odwlekała ten moment, wciąż nie-

85

Pięć ćwiartek pomarańczy

chętna, by zostawić nas własnym zajęciom, sekretnym zabawom. Odezwała się do mnie ostrym, nienaturalnym tonem, za którym krył się niepokój.

- Tylko pamiętaj o talerzach, Boise, dobrze ci radzę!

Wyszła. Słyszałam, jak nalewa wodę do umywalki w łazience. Spuściłam zasłony w salonie, schylając się po drodze po puszkę, po czym wyszłam na korytarz i odezwałam się na tyle głośno, by mnie mogła usłyszeć:

- Pościelę w sypialniach.

Najpierw pokój matki. Zamknęłam okiennice, zaciągnęłam i przymocowałam zasłony, potem

rozejrzałam się szybko. Woda wciąż pluskała w łazience i słyszałam, jak matka myje zęby. Poruszając się szybko i cicho, wyjęłam jej poduszkę z pasiastej powłoczki, końcem scyzoryka nacięłam szew i wsunęłam do środka muślinowy woreczek. Rękojeścią wepchnęłam go najgłębiej, jak się dało, tak żeby zgrubienie nie zdradziło jego obecności. Potem, z sercem bijącym jak szalone, naciągnęłam poszewkę i starannie wygładziłam kóldrę, tak aby nie została najmniejsza fałdka. Matka zawsze zauważała takie rzeczy.

Zdążyłam w ostatniej chwili. Spotkałam ją w korytarzu. Spojrzała na mnie podejrzliwie, lecz nic nie powiedziała. Wyglądała na roztargnioną, nieobecną duchem; zmrużone oczy wydawały się małe, włosy miała rozpuszczone. Pachniała mydłem i w półmroku korytarza wyglądała jak Lady Makbet (opowieść o niej czytałam ostatnio w jednej z książek Cassisa), kiedy zacierała dłonie, unosiła je do twarzy, by ją pogłodzić pieszczotliwym gestem, a potem pocierała o siebie znowu, jak gdyby to krew, a nie sok pomarańczy, pozostawiła na nich niezmywalne plamy.

Przez mgnienie się zawahałam. Wydawała się taka

stara, taka znużona. Rozboliła mnie głowa; zaczęłam się zastanawiać, co matka by zrobiła, gdybym podeszła i przytuliła czoło do jej ramienia. Oczy zapiekły mnie nagle. Po co

86

Joannę Harris

właściwie robię to wszystko? Potem przypomniałam sobie Starą Mateczkę czekającą w głębinie, jej obląkane, groźne spojrzenie, nagrodę skrytą w jej brzuchu.

- No? - Głos matki był ostry i zimny. - Na co się gapisz, idiotko?

- Na nic.

Oczy znowu miałam suche. Nawet ból głowy minął równie szybko, jak się pojawił.

- Na nic.

Usłyszałam, jak drzwi zamykają się za nią cicho, i

wróciłam do salonu, gdzie czekali na mnie brat i siostra.
W głębi ducha uśmiechałam się złośliwie.

9

- Oszalałaś.

To znowu była Reinette, jej zwykły bezradny okrzyk, kiedy wyczerpała wszelkie argumenty. Prawdę mówiąc, niewiele było trzeba, żeby je wyczerpać - we wszystkich kwestiach prócz szminek i fotosów gwiazd filmowych jej zdolności do prowadzenia kłótni zawsze były ograniczone.

- Równie dobra pora jak każda inna - oświadczyłam bez ogródek. - Będzie spała do późnego ranka. Jak tylko skończymy robotę, możemy robić, co się nam podoba.

Popatrzyłam na nią twardo. Wciąż jeszcze pamiętam o szmince, mówiło moje spojrzenie. Dwa tygodnie temu. Nie zapomniałam. Cassis przyglądał się nam zaciekawiony; byłam pewna, że mu nie powiedziała.

- Wścieknie się, jeśli nas przyłapie - powiedział wolno. Wzruszyłam ramionami.

- Dlaczego ma przyłapać? Powiemy, że poszliśmy do lasu na grzyby. Może nawet nie wstanie z łóżka do czasu, aż wrócimy.

Cassis umilkł, by się zastanowić. ReINETTE posłała mu spojrzenie, proszące i niespokojne zarazem.

87

Pięć ćwiartek pomarańczy

- No, powiedz coś - przynagliła go. Po czym dodała ciszej: - Ona wie. Dowiedziała się o... - Zawiesiła głos.
-Musiałam jej trochę powiedzieć - zakończyła żałośnie.

-Aha.

Przyglądał mi się przez moment. Poczulałam, jak coś przepływa między nami, coś się zmienia - w jego wzroku był niemal podziw. Wzruszył ramionami - kogo to obchodzi ? - ale jego spojrzenie było teraz czujniejsze, ostrożniejsze.

- To nie była moja wina - powiedziała ReINETTE.

- Nie. Spryciara z niej, co nie? - odparł Cassis swobodnie. - Odkryłaby wcześniej czy później.

Był to wielki komplement i parę miesięcy wcześniej pękałabym z dumy, teraz jednak tylko się na niego gapiłam.

- Poza tym - dokończył Cassis tym samym lekkim tonem - jeśli się do nas przyłączy, nie wypapla wszystkiego

matce.

Niedawno skończyłam dziewięć lat; byłam dojrzała na swój wiek, lecz wciąż jeszcze dość dziecinna, by raniła mnie pogarda ukryta w słowach.

- Wcale nie paplam! Wzruszył ramionami.

- Możesz iść, jeśli o mnie chodzi, pod warunkiem, że za siebie zapłacisz - ciągnął spokojnie. - Nie rozumiem, czemu któreś z nas miałyby ci stawiać kino. Wezmę cię na

rower. To wszystko. O resztę troszczysz się sama. W porządku?

To był sprawdzian. Widziałam wyzwanie w jego oczach. Skrzywił się w drwiącym, nie całkiem miłym uśmiechu starszego brata, który czasem dzielił się ze mną ostatnim kawałkiem czekolady, a czasem szczypał mnie tak mocno, że powstawały siniaki.

- Ale ona nie dostaje kieszonkowego - zauważyła ReINETTE płacząco. - Po co ją brać...

Cassis znowu wzruszył ramionami. Charakterystyczny rozstrzygający gest, gest mężczyzny. Powiedziałem. Czekał na moją reakcję ze skrzyżowanymi ramionami, z tym swoim nieznacznym uśmieszkiem na ustach.

88

Joannę Harris

- Zgoda - powiedziałam, starając się, by zabrzmiało to spokojnie. - Mnie to odpowiada.

- No to umowa stoi - zdecydował. - Jedziemy jutro.

10

Praca zaczynała się o świcie. Trzeba było nanieść do kuchni wody do gotowania i prania. Nie mieliśmy ciepłej wody - właściwie nie mieliśmy też bieżącej, jeśli nie liczyć ręcznej pompy przy studni, parę metrów od drzwi kuchennych. Elektryczność późno dotarła do Les Laveuses, a od kiedy butle z gazem stały się trudne do zdobycia, do gotowania paliliśmy drewnem. Wielki staroświecki piec w kształcie głowy cukru znajdował się na zewnątrz, niedaleko studni. To z niej braliśmy wodę, kiedy było trzeba; podczas gdy jedno pompowało, drugie trzymało wiadro. Studnia miała drewnianą okrywę, zamkniętą na kłódkę od czasów sprzed mojego urodzenia, by zapobiec wypadkom. Kiedy matka nie patrzyła, myliśmy się pod pompą, chlapiąc na siebie zimną wodą. Gdy była w pobliżu, musieliśmy używać miednicy z wodą podgrzaną w miedzianych rondlach na kuchni oraz szorstkiego mydła, które drapało skórę jak pumeks i pozostawiało brudną pianę na powierzchni wody.

Wiedzieliśmy, że tej niedzieli matka wstanie dopiero

po południu. Wszyscy słyszeliśmy, jak jęczała do siebie w nocy, przewracała się na wielkim łożu, które kiedyś dzieliła z ojcem. Niekiedy wstawała i przechadzała się po pokoju, otwierała okno, by wpuścić więcej powietrza, z takim impetem, że okiennice obijały się o ściany z hukiem, od którego drżała podłoga. Leżałam bezsennie, nasłuchując przez długi czas, jak chodzi, szura, wzdycha i spiera się sama ze sobą przenikliwym szeptem. Zasnęłam około północy, lecz obudziłam się znowu jakąś godzinę później, by się przekonać, że matka wciąż jeszcze nie śpi.

\

89

PIĘĆ CŹWIARTEK POMARAŃCZY

Dziś może się wydawać, że byłam bez serca, ale wtedy czułam jedynie tryumf. Nie uważałam się za winną z powodu tego, co zrobiłam, nie miałam współczucia dla jej cierpienia. Nie rozumiałam go wówczas, nie wiedziałam, jaką torturą może być bezsenność. To, że niewielki woreczek ze skórką pomarańczową ukryty w jej poduszce mógł wywołać tak silną reakcję, wydawało się wręcz

niemożliwe. Im bardziej rzucała się na poduszce, tym silniejszy musiał się stawać zapach. Im silniejszy zapach, tym większy jej niepokój. Migrena musi wkrótce nadejść, myślała. Nie wiedzieć czemu oczekiwanie bólu może być bardziej dręczące, bardziej dotkliwe niż sam ból. Niepokój, który wyrył na jej czole nieniknącą zmarszczkę, wgryzał się w nią niczym szczur w klatce, płosząc sen. Węch mówił jej, że w domu są pomarańcze, lecz umysł przekonywał, że to niemożliwe - skąd miałyby się wziąć, na miłość boską? A przecież gorzki aromat pomarańczy dolatywał ją z każdego ciemnego zakamarka pokoju.

Wstała o trzeciej rano i zapaliła światło, by pisać w albumie. Nie wiem na pewno, czy wtedy to zapisała - nie notowała dat - a przecież wiem.

Gorsze niż kiedykolwiek, zapisała. Litery są maleńkie; kolumna mrówek z fioletowego atramentu sunących w poprzek strony. Leżę w łóżku, zastanawiając się, czy kiedyś'jeszcze zasnę. Cokolwiek się zdarzy, nie może być gorsze niż to. Nawet szaleństwo przyniosłoby mi ulgę. A kawałek dalej, pod przepisem na tarte z ziemniaków, dodała: Jestem pęknięta jak zegar. O trzeciej nad ranem wszystko jest możliwe.

Potem wstała, żeby wziąć pigułki z morfiną. Trzymała je w łazience w szafce obok przyborów do golenia ojca. Usłyszałam, jak drzwi się otwierają, potem skrzypienie wyszorowanych desek pod jej stopami. Zadzwończyły buteleczki, brzęknął kubek, kiedy nalewała do niego wody z dzbanka. Sądzę, że trwająca sześć godzin bezsenność wywołała w końcu atak. Tak czy inaczej, była nieprzytomna, kiedy wstałam nieco później.

90

Joannę Harris

Reinette i Cassis jeszcze spali, spod grubych zasłon używanych z powodu zaciemnienia sączyło się słabe, zielonkawe światło. Mogła być piąta rano. W naszej sypialni nie było zegara. Usiadłam na łóżku, w ciemności wymacałam ubranie i szybko je włożyłam. Znałam każdy kąt niewielkiego pokoju. Słyszałam oddechy rodzeństwa - Cassi-sa płytszy, posapujący - i bardzo cicho przeszłam obok ich łóżek. Miałam wiele do zrobienia, zanim ich obudzę.

Chwilę nasłuchiwałam pod drzwiami pokoju matki. Cisza. Wiedziałam, że wzięła tabletki i wszystko wskazuje na to, że będzie spała długo, ale nie mogłam sobie pozwolić na ryzyko przyłapania na gorącym uczynku. Bardzo delikatnie obróciłam gałkę u drzwi. Deska podłogi trzasnęła pod moją bosą stopą głośno niczym kapiszon. Zamarłam w pół ruchu, wsłuchując się w jej oddech, czekając na zmianę rytmu. Nie doczekałam się. Pchnęłam drzwi. Jedna okiennica była uchylona i do pokoju wpadało światło. Matka leżała w poprzek łóżka. W nocy zrzuciła z siebie przykrycie, jedna poduszka spadła na podłogę, drugą przyciskała odrzuconą ręką. Głowa zwisała jej pod niewygodnym kątem, włosy zwieszały się aż na podłogę. Zauważyłam bez szczególnego zdziwienia, że poduszka na łóżku to ta, w której ukryłam muślinowy woreczek. Ukłękłam obok matki. Oddychała ciężko i powoli, jej oczy poruszały się pod sinymi powiekami. Wolno wsunęłam dłoń w poszewkę.

Palcami wymacałam zgrubienie na środku poduszki i przeciągnęłam je w okolice rozcięcia we wsypie. Dotknęłam woreczka, przyciągnęłam go bliżej paznokciami i wreszcie mocno chwyciłam. Matka nawet nie drgnęła. Tylko jej oczy poruszały się nerwowo pod

ciemną skórą powiek, jakby nieustannie śledziły jakiś jasny, nieuchwytny obiekt. Usta miała półotwarte; nitka śliny ciągnęła się po policzku aż na materac. Wiedziona impulsem, podsunęłam jej szaszetkę pod nos, mnąc ją w dłoni, by zapachniała mocniej. Matka zakwilila przez sen, odwróciła głowę

1 91

Pięć ćwiartek pomarańczy

w przeciwną stronę i skrzywiła się. Włożyłam woreczek do

kieszeni.

potem żwawo zabrałam się do pracy. Przez ramię rzuciłam na matkę ostatnie spojrzenie, jak gdyby była niebezpiecznym zwierzęciem, udającym sen. Podeszłam do kominka. Na gzymsie stał zegar, ciężki chronometr z okrągłą tarczą pod szklanym złożonym kloszem. Wyglądał dziwnie nad nagim czarnym rusztem, zbyt ozdobny jak na pokój matki, i należał do jej najcenniejszych skarbów. Uniosłam klosz i ostrożnie cofnęłam wskazówki. Pięć

godzin. Sześć. Umieściłam osłonę na miejscu.

Potem przestawiłam drobiazgi stojące na obramowaniu kominka - oprawioną fotografię ojca, drugą przedstawiającą kobietę, która - jak wiedziałam - była moją babką, gliniany wazon z zasuszonymi kwiatami, talerzyk z trzema szpilkami do włosów i jednym jedynym migdałem w cukrze - pamiątką z chrztu Cassisa. Zdjęcia odwróciłam do ściany. Wazonik postawiłam na podłodze. Wyjęłam szpilki z talerzyka i wsunęłam je do kieszeni porzuconego fartucha matki. Potem wzięłam jej ubrania i artystycznie udra-powałam w całym pokoju. Jeden drewniak balansujący na abażurze lampy. Drugi na parapecie okna. Sukienka porządnie zawieszona na wieszaku za drzwiami, ale fartuch rozpostarty na podłodze niczym piknikowy obrus. Na koniec otwarłam szafę na ubrania i ustawiłam drzwi pod takim kątem, żeby w znajdującym się po ich wewnętrznej stronie lustrze odbijało się łóżko. Pierwszą rzeczą, jaką matka zobaczy po obudzeniu, będzie jej własne odbicie.

Nie zrobiłam tego wszystkiego ze świadomej złośliwości. Moim zamiarem było nie tyle ją zranić, ile zdeorientować, obudzić w niej fałszywe przekonanie, że

jej wymagany atak miał miejsce naprawdę i że to ona sama, nie zdając sobie z tego sprawy, zmieniła ustawienie drobiazów na kominku, rozwiesiła ubrania, przesunęła zegar. Wiedziałam od ojca, że niekiedy robiła podobne rzeczy i zapominała o tym. Że gdy ból i chaos osiągały

92

Joannę Harris

apogeum, mącił się jej wzrok i myśli. Zegar na ścianie w kuchni nagle wydawał się pęknięty na pół, jedna połowa była wyraźnie widoczna, podczas gdy druga zniknęła, odsłaniając nagą ścianę. Albo kieliszek do wina sam zmieniał położenie, chyłkiem przesuwając się z jednej strony talerza na drugą. Mogła to być też twarz, ludzka twarz - moja, ojca, Raphaela z kawiarni: połowa rysów zniknęła niczym w wyniku jakiejś przerażającej operacji. Czasem połowa strony w książce kucharskiej rozplywała się w chwili, gdy matka ją czytała, a pozostałe litery tańczyły niezrozumiale przed jej oczyma.

Oczywiście wtedy nie miałam o tym pojęcia.

Większości rzeczy dowiedziałam się z albumu, z nabazgranych notatek matki, niektórych obłąkanych, rozpaczliwych -o trzeciej nad ranem wszystko wydaje się możliwe - innych przywodzących na myśl opis kliniczny przez swoją obojętność, rejestrowanie objawów z chłodnym naukowym zainteresowaniem.

Jestem pęknięta jak zegar.

1 1

Reine i Cassis spali, kiedy wychodziłam. Zakładałam, że mam około pół godziny na swoje sprawy, zanim się obudzą. Spojrzałam na niebo - czyste i zielonawe, z bladożółtą smugą na horyzoncie. Za jakieś dziesięć minut zacznie świtać. Będę musiała się śpieszyć.

Wzięłam z kuchni wiadro, włożyłam drewniaki czekające na wycieraczce i ile tchu pobiegłam nad rzekę. Skróciłam sobie drogę przez pole na tyłach gospodarstwa Hou-riasów, gdzie słoneczniki wznosiły włochate, wciąż jeszcze zielone głowy ku jasnemu niebu. Biegłam skulona, kryjąc się wśród rozłożystych liści, z wiadrem objającym się o nogę przy każdym kroku. Dotarłam do Stojących

Kamieni w niecałe pięć minut.

i 93

Pięć ćwiartek pomarańczy

O piątej rano Loara okryta mgłą jest spokojna i piękna. Woda o tej porze wygląda niezwykle, chłodna i czarodziejsko jasna, ławice wynurzają się niczym zaginione kontynenty. Woda pachnie nocą, gdzieś słońce rozbłyśk łśni na powierzchni jak mika. Zdjęłam buty i sukienkę i krytycznie przyjrzałam się rzece. Wyglądała na zwodniczo spokojną.

Kamień Skarbów znajdował się w odległości jakichś dziesięciu metrów od brzegu; woda u jego podstawy wydawała się dziwnie jedwabista - znak, że prąd jest tam wyjątkowo silny. Jeśli utonę, pomyślałam, nikt nie będzie nawet wiedział, gdzie mnie szukać.

Nie miałam jednak wyboru. Cassis rzucił mi wyzwanie: musiałam sama za siebie zapłacić. Skoro nie dostawałam pieniędzy, nie mogłam tego zrobić inaczej niż biorąc pieniądze ze szkatułki ze skarbami. Oczywiście

istniała możliwość, że brat je zabrał. Wtedy zaryzykowałabym kradzież z portfela matki. Tego jednak wolałam uniknąć. Nie dlatego, bym uważała to za coś niewłaściwego, lecz z powodu doskonałej pamięci matki. Wiedziała, ile ma pieniędzy, co do centyma. Od razu by się zorientowała.

Nie. Muszę sprawdzić w szkatułce.

Odkąd Cassis i ReINETTE poszli do szkoły, rzadko wyprawiali się nad rzekę. Mieli własny skarb - dorosły skarb - by się nim przechwalać. Parę monet ukrytych w szkatułce miało wartość zaledwie kilku franków. Liczyłam na lenistwo Cassisa, jego przekonanie, że nikt prócz niego nie wydobędzie pudełka przywiązanego do filara. Byłam pewna, że pieniądze nadal się w nim znajdują.

Ostrożnie zsunęłam się z brzegu do wody. Była zimna, muł wciskał się między palce stóp. Brodziłam, aż woda sięgnęła mi do pasa. Prąd ciągnął mnie niczym niecierpliwego psa szarpiącego smycz. Boże, już w tym miejscu był taki silny! Odepchnęłam się od pierwszego filara i zrobiłam kolejny krok. Wiedziałam, że tuż przede mną jest próg; miejsce, gdzie płytkie dno opada nagle w

nicość.

94

Joannę Harris

Cassis podczas swoich wyczynów zawsze udawał, że tonie w tym miejscu. Obracał się do góry brzuchem w mętnej rzece, bijąc rękami i krzycząc, wypuszczał z ust brązową wodę. Nieważne, ile razy to powtarzał, Reine zawsze dawała się nabrać i wrzeszczała z przerażenia, gdy znikał pod powierzchnią.

Ja nie miałam czasu na podobne przedstawienia. Wyczułam krawędź palcami stóp. Tutaj. Odbiłam się od dna, by przepłynąć siłą bezwładu jak najdłuższy odcinek, starając się mieć Stożące Kamienie z prądem, po prawej stronie. Woda była cieplejsza na powierzchni, a nurt nie wydawał się tu bardzo szybki. Płynęłam równo, lekkim łukiem, od pierwszego Kamienia do drugiego. Stały w nierównych odległościach, oddalone jeden od drugiego najwyżej o cztery metry. Mocno odpychając się od każdego, mogłam przepłynąć około dwóch metrów. Kierowałam się nieco w górę rzeki, tak by nurt znosił

mnie do następnego filara. Niczym mała łódka halsująca pod silny wiatr, zmierzałam w ten sposób ku Kamieniowi Skarbów, czując, jak prąd staje się coraz silniejszy. Z zimna nie mogłam złapać tchu. Dotarłam do czwartego Kamienia i odepchnęłam się po raz ostatni. Nurt poniósł mnie w stronę Kamienia Skarbów, lecz go minęłam. Przez chwilę wypełniona nagłą, musującą grozą płynęłam ku środkowi rzeki, młóćąc wodę rękami i nogami. Zdyszana, nieomal płacząc z przerażenia, zdołałam podpłynąć w pobliże Kamienia i schwycić linę, którą przywiązaliśmy do niego skarb. Była porośnięta wodorostami i nieprzyjemna w dotyku, oślizgła od brązowego rzecznej mułu, lecz pozwoliła mi dotrzeć do filara.

Na chwilę przylgnęłam do niego rozpaczliwie, czekając, aż serce przestanie mi walić. Potem, przywierając do niego plecami, zabrałam się do wyciągania szkatułki z wody, z jej mulistej kołyski. Zadanie nie należało do łatwych. Samo pudełko nie było szczególnie ciężkie, lecz obciążone łańcuchem i ceratą wydawało się nie do udźwignięcia. Szczękałam zębami i trzęsłam się z zimna, lecz mimo to szarpa-

Pięć ćwiartek pomarańczy

łam za łańcuch, aż poczułam, że ustępuje. Dziko wiosłując nogami, żeby się utrzymać w miejscu, wyciągnęłam pudełko na powierzchnię. Kolejny moment paniki nastąpił, kiedy poczułam, jak śliska od mułu cerata owija mi się wokół stóp, gdy starałam się rozwiązać sznur przymocowany do szkatułki. Przez chwilę byłam pewna, że skostniałymi palcami nie zdołam jej otworzyć, potem pokrywka ustąpiła i woda wdarła się do wnętrza puszki. Zaklęłam. Portmonetka jednak ocalała - stara skórzana portmonetka, którą matka wyrzuciła z powodu zepsutego zamka. Dla bezpieczeństwa włożyłam ją do ust, po czym resztką sił zamknęłam puszkę i pozwoliłam jej opaść pod wodę. Cerata oczywiście przepadła, a skarby zamokły, ale na to nie mogłam nic poradzić. Cassis będzie sobie musiał poszukać suchsze-go schowka na swoje papierosy.

Miałam pieniądze, a tylko to się liczyło. Popłynęłam do brzegu; nie trafiłam w ostatnie dwa filary, więc prąd zniósł mnie ze dwieście metrów w stronę Angers, nim

udało mi się wydostać z nurtu - podobniejszej niż kiedykolwiek do psa, wystraszonego brązowego kundla ze smyczą zaplątaną wokół skostniałych nóg. Cała wyprawa zajęła może dziesięć minut.

Zmusiłam się, by odpocząć chwilę. Czułam na twarzy słabe ciepło pierwszych promieni słońca, suszących rzeczny muł na mojej skórze. Drżałam z zimna i radości. Przeliczyłam pieniądze w portmonetce - było ich dość, by starczyło na bilet do kina i szklankę soku. Dobrze. Wróciłam do miejsca, gdzie zostawiłam ubranie. Włożyłam je - starą spódnicę i czerwoną męską koszulę bez rękawów uciętą tak, by mogła służyć za górę sukienki. Drewniaki. Z przyzwyczajenia sprawdziłam pułapki na ryby, wyrzucając drobnicę lub zostawiając ją na przynętę. W samolówce na raki koło Posterunku Obserwacyjnego czekała niespodzianka: mały szczupak. Oczywiście nie była to Stara Mateczka. Wrzuciłam go do wiadra, które przyniosłam z domu. Włożyłam do niego również pozostałą zdobycz - kilka

węgorzy złapanych na błotnistej płyciźnie obok dużej piaszczystej ławicy i sporą ukleję. Miały mi posłużyć jako alibi, gdyby Cassis i Reine już wstali. Wróciłam do domu przez pola tą samą drogą, którą przyszłam.

Dobrze zrobiłam, zabierając ryby. Kiedy wróciłam, Cassis mył się pod pompą, a ReINETTE zagrzała wodę w miednicy i delikatnie muskała twarz namydloną myjką. Przez chwilę patrzyli na mnie ze zdumieniem, potem twarz Cassisa odprężyła się w wyrazie radosnej pogardy.

- Nigdy się nie poddajesz, co? - spytał, wskazując ruchem mokrej głowy wiadro z rybami. - Dużo złapałaś?

Wzruszyłam ramionami.

- Trochę drobiazgu - rzuciłam niedbale. Portmonetka spoczywała bezpiecznie w kieszeni mojej

spódnicy; uśmiechałam się w duchu, czując jej przyjemny ciężar.

- I jednego małego szczupaka - dodałam. Cassis

zaśmiał się.

- Możesz sobie łapać małe, ale Starej Mateczki nigdy nie złowisz - powiedział. - A nawet gdyby, to co byś z nią zrobiła? Taka stara ryba nie nadawałaby się do jedzenia. Oścista i gorzka jak piołun.

- I tak mi się uda - oświadczyłam z uporem.

- Czyżby? - W jego głosie brzmiało lekceważenie, niedowierzanie. - I co potem? Powiesz jej swoje życzenie? Poprosisz o milion franków i dom na Lewym Brzegu?

W milczeniu pokręciłam głową.

- A ja bym chciała zostać gwiazdą filmową - powiedziała Reine, wycierając twarz. - Zobaczyć Hollywood. Neony i Sunset Boulevard, jeździć limuzyną i mieć setki sukienek...

Cassis rzucił jej przelotne, pogardliwe spojrzenie, które bardzo mnie rozbawiło. Potem zwrócił się w moją stronę.

- No więc, co to będzie, Boise?

Trudno się było oprzeć jego szelmowskiemu uśmiechowi.

i

97

7. Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Futra? Samochody? Willa w Juan-les-Pins? Znowu zaprzeczyłam.

- Będę się zastanawiać, jak ją złapię - wyjaśniłam obojętnie. -1 tak ją dostanę. Zobaczysz.

Cassis przyglądał mi się uważnie przez chwilę, uśmiech zniknął z jego warg. Potem chrząknął zde gustowany i zabrał się z powrotem do mycia.

- Masz charakter, Boise - powiedział. - Naprawdę

masz

charakter, wiesz?

Po czym wzięliśmy się szybko do pracy, żeby zdążyć, zanim matka się obudzi.

12

Na farmie nigdy nie brakuje roboty. Trzeba było napompować wody i zanieść ją w wiadrach do piwnicy, żeby jej słońce nie nagrzało. Wydoić kozy, nakryć cebrzyk muślinem i zanieść do mleczarni, a potem wyprowadzić kozy na pastwisko, żeby nie zjadły wszystkich warzyw w ogrodzie. Nakarmić kury i kaczki, zerwać truskawki, które dojrzały tego dnia. Napalić w piecu chlebowym, chociaż było mało prawdopodobne, by tego dnia matka coś piekła. Wypuścić konia, Becassine'a, na łąkę i przynieść świeżej wody do koryta. Jeśli pracowaliśmy najszybciej, jak się dało, zabierało nam to niemal dwie godziny, więc kiedy kończyliśmy, słońce zdążyło nagrzać powietrze, nocna wilgoć wyparowała ze ścieżek i rosa prawie obeschła na trawie.

Czas było iść.

Ani ReINETTE, ani Cassis nie wspomnieli o pieniądZach. Nie musieli. Brat kazał mi za siebie zapłacić, bo zakładał, że to niemożliwe. ReINETTE patrzyła na mnie dziwnie, gdy zrywałyśmy ostatnie truskawki, nie rozumiejąc zapewne mojego spokoju, a kiedy pochwyciła spojrzenie Cassisa, zachichotała. Zauważyłam, że tego ranka ubrała się szczególnie starannie - w układaną szkolną spódnice i czerwo-

98

Joannę Harris

ny sweterek z krótkimi rękawami - a włosy zwinęła w gruby walek na karku. Pachniała też inaczej niż zwykle - unosił się wokół niej słodkawy, pudrowy zapach przypominający cukierki ślazowe i fiołki - a usta umalowała czerwoną szminką. Pomyślałam, że być może umówiła się z kimś. Jakimś chłopakiem ze szkoły. Bez wątplenia wydawała się bardziej nerwowa niż zwykle; zrywała owoce z czujnym pośpiechem królika pożywiającego się wśród łasic. Przechodząc między

rzędami truskawek, słyszałam, jak szeptała coś do Cassisa, a potem jej wysoki, nerwowy chichot.

Podjeżdżałam, że planują wymknąć się gdzieś beze mnie. Przekonałam Reine, żeby mnie wzięli, i nie zamierzali się wycofać z obietnicy. O ile jednak wiedzieli, nie miałam pieniędzy. To znaczyło, że pójdą do kina beze mnie, być może zostawią mnie przy fontannie na placu targowym, każąc na siebie czekać, albo poślą gdzieś z wymyślonym sprawunkiem, a sami pójdą się spotkać z przyjaciółmi... Obracałam w głowie tę myśl. Tak to miało wyglądać. Byli tak pewni siebie, że przeoczyli najbardziej oczywiste rozwiązanie mojego problemu. Reine nigdy by nie przepłynęła do Kamienia Skarbów. Cassis wciąż uważał mnie za małą siostrzyczkę, darzącą zbyt wielkim podziwem uwielbianego starszego brata, by ryzykować coś bez jego pozwolenia. Co jakiś czas zerkał na mnie i szczyrzył zębami z zadowoleniem; oczy błyszczały mu złośliwie.

Wyruszyliśmy do Angers o ósmej; jechałam na tylnym kole wielkiego, niezwrótnego roweru Cassisa. Rower Reine był mniejszy i elegantszy, z wysoką kierownicą i skórzonym siodełkiem. Z przodu zawiesiła koszyk,

zawierający butelkę kawy z cykorii i trzy identyczne paczki z kanapkami. Zawiązała sobie na głowie biały szal, żeby ochronić fryzurę; jego końce smagały ją po karku. Po drodze zatrzymywaliśmy się trzy czy cztery razy - żeby się napić kawy, napompować oponę, z której zeszło powietrze, zjeść kawałek chleba z serem zamiast śniadania. Wreszcie

99

Pięć ćwiartek pomarańczy

znaleźliśmy się na przedmieściach Angers. Minęliśmy college - zamknięty teraz z powodu wakacji i strzeżony przez dwójkę niemieckich żołnierzy przy bramie - i uliczkami, przy których stały domy z ozdobnymi fasadami, dotarliśmy na rynek.

Kino Palais-Dore znajdowało się na głównym placu, niedaleko miejsca, gdzie odbywały się targi. Plac okalały niewielkie sklepiki, z których większość właśnie otwierano; jakiś mężczyzna zamiatał chodnik polany wodą z wiadra. Zsiadliśmy z rowerów i ruszyliśmy w stronę zaułka między fryzjerem i zamkniętym sklepem

rzeźnika. Zaułek był tak wąski, że ledwie udało się nim przecisnąć, a ziemię pokrywał gruz i śmieci. Można było spokojnie założyć, że rowery będą tu bezpieczne. Kobieta siedząca na tarasie kawiarni uśmiechnęła się do nas i wykrzyknęła pozdrowienie. Nieliczni niedzielni klienci już się zjawili, popijali kawę z cykorii w dużych kubkach bez ucha i jedli croissanty albo jajka na twardo. Chłopak na posyłki przejechał na rowerze, dzwoniąc, żeby dodać sobie ważności. Przed kościołem w stoisku z gazetami sprzedawano jed-nostronicowe biuletyny. Cassis rozejrzał się wokół i ruszył w tamtą stronę. Zauważyłam, że podał coś sprzedawcy gazet, po czym tamten wręczył mu jakąś paczuszkę, którą brat natychmiast wsunął za pasek spodni.

- Co od niego dostałeś? - spytałam.

Wzruszył ramionami. Widziałam, że jest zbyt zadowolony z siebie, by zachować informację na własny użytek tylko po to, by mnie rozzłościć. Pozwolił mi rzucić okiem na zwinięte papiery, po czym natychmiast ukrył je znowu.

- Komiksy. Powieści w odcinkach - wyjaśnił

konspiracyjnym tonem.

Mrugnął do Reine z ważną miną.

- I amerykański magazyn filmowy.

Reinette pisnęła z podniecenia i zrobiła ruch, jakby chciała złapać brata za rękę.

- Pokaż, pokaż!

100

Joannę Harris

Cassis z irytacją pokręcił głową.

- Psst! Na miłość boską, Reine!

- Był mi winien przysługę. Czarny rynek - powiedział bezgłośnie. - Trzymał je specjalnie dla mnie.

Reine spojrzała na brata z szacunkiem. Na mnie zrobiło to mniejsze wrażenie. Może dlatego, że nie

zdawałam sobie sprawy, jak wielkim rarytasem były podobne rzeczy, a może dlatego, że kielkujące we mnie ziarno buntu sprawiało, iż okazywałam pogardę wszystkiemu, z czego brat zdawał się dumny. Wzruszyłam obojętnie ramionami. Mimo to zastanawiałam się, jakiego rodzaju przysługę gazeciarz mógł zawdzięczać Cassisowi, i w końcu doszłam do wniosku, że brat zwyczajnie się przechwalał. Powiedziałam to na głos.

- Gdybym to ja miała kontakty na czarnym rynku -oświadczyłam z odpowiednią dozą sceptycyzmu - zażyczyłabym sobie czegoś więcej niż kilku starych gazet.

Cassis wyglądał na urażonego.

- Nie mogę dostać wszystkiego, co bym chciał - odparł szybko. - Daję mi komiksy, papierosy, książki, prawdziwą kawę... czekoladę... - Urwał i wykrzywił się pogardliwie. -Ty nie masz nawet na głupi bilet do kina!

-Nie?

Uśmiechnęłam się i wyjęłam portmonetkę z kieszeni fartucha. Potrząsnęłam nią, tak żeby usłyszał dźwięk

monet. Oczy mu się rozszerzyły, kiedy ją poznał.

- Ty mała złodziejko! - wysapał w końcu. - Ty przekłeta, parszywa złodziejko!

Patrzyłam na niego bez słowa.

- Jak to zdobyłaś?

- Popłynęłam i wyjęłam - odparłam wyzywająco. - Poza tym wcale jej nie ukradłam. Skarb należy do wszystkich.

Cassis jednak nie słuchał.

- Ty parszywa, złodziejska... - zaczął znowu, wyraźnie zaniepokojony faktem, że ktoś prócz niego może coś zdobyć podstępem.

i

101

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nie widzę żadnej różnicy między tym a twoim czarnym rynkiem - powiedziałam spokojnie. - Zasada jest taka sama.

Zaczekałam, aż słowa zapadną mu w pamięć, po czym

ciągnęłam dalej:

- Wściekasz się, bo jestem lepsza od ciebie. Cassis spojrzał groźnie.

- To wcale nie jest to samo - wycedził wreszcie.

Patrzyłam na niego z wyrazem niedowierzania. Tak łatwo było sprowokować Cassisa, żeby się zdradził. Całkiem jak jego syna wiele lat później. Żaden z nich nie rozumiał, na czym polega podstęp. Cassis poczerwieniał i zaczął prawie krzyczeć, zapominając o konspiracji.

- Mógłbym dostać, co bym tylko chciał. Prawdziwy sprzęt rybacki na twojego głupiego szczupaka - wysyczał wściekle. - Gumę do żucia, buty, jedwabne pończochy, jedwabną bieliznę, gdybyś chciała...

Roześmiałam się głośno. Komuś wychowanemu tak jak ja pomyśl, by chcieć jedwabnej bielizny, wydawał się absurdalny. Rozwścieczony, chwycił mnie za ramiona i potrząsnął. - Przestani - Głos miał skrzekliwy z irytacji. - Mam przyjaciół. Znam różnych ludzi. Mógłbym... ci... przynieść... co tylko... byś chciała\

Sami widzicie, jak łatwo go było wytrącić z równowagi. Był zepsuty; zbyt się przyzwyczył do tego, że jest wspaniałym starszym bratem, jedynym mężczyzną w domu, że pierwszy poszedł do szkoły, że jest najwyższy, najsilniejszy, najmądrzejszy. Zdarzające mu się niekiedy napady zuchwałości - ucieczki do lasu, szaleństwa nad rzeką, drobne kradzieże ze straganów i sklepików w Angers - były niekontrolowane, niemal histeryczne. Nie czerpał z nich żadnej radości. Tak jakby musiał coś udowodnić

nam i samemu sobie.

Wiedziałałam, że czuje się zbity z tropu. Wbił kciuki w moje ręce tak mocno, że następnego dnia miałam w tych miejscach wielkie fioletowe sińce, ale nie dałam

Joannę Harris

po sobie poznać bólu. Zamiast tego patrzyłam mu nieustępliwie w oczy, próbując go zmusić do spuszczenia wzroku.

- Mamy przyjaciół, Reine i ja - powiedział spokojniej, niemal rozsądnie, choć nie zwolnił uścisku. - Przyjaciół, którzy wiele mogą. Jak myślisz, skąd Reinette ma tę głupią szminkę? Albo perfumy? Albo ten krem, którym się smaruje na noc? Jak myślisz, skąd to wszystko mamy? I w jaki sposób na to zasłużyliśmy'?

Puścił mnie; na jego twarzy duma mieszała się z konsternacją. Zrozumiałam, że trzęsie się ze strachu.

Niezbyt wiele pamiętam z filmu. „Okoliczności łagodzące” z Arletty i Michelelem Simonem; stary film, który Cassis i Reine już widzieli. Reinette ten fakt nie

przeszkadzał w najmniejszym stopniu; wpatrywała się w ekran jak zaczarowana. Mnie historia wydawała się mało prawdopodobna, zbyt odległa od świata, w jakim żyłam. Poza tym mój umysł zaprzętały inne sprawy. Dwa razy zepsuł się projektor; za drugim razem zapalono światła. Publiczność głośno wyrażała niezadowolenie, jakiś przestraszony człowieczek w smokingu krzyczał „Cisza!”. Grupa Niemców siedzących w kącie sali z nogami opartymi o następny rząd foteli, zaczęła klaskać. Nagle Reine, obudzona z transu i z irytacją uskarżająca się na przerwę w projekcji, pisnęła z podniecenia.

- Cassis!

Nachyliła się nade mną, aż poczułam słodki, sztuczny zapach bijący z jej włosów.

- Cassis, on jest tutaj!

- Psst! - syknął z furją. - Nie oglądaj się!

Przez chwilę siedzieli oboje jak kukły, wpatrzeni przed siebie z nieruchomymi twarzami. Potem Cassis szepnęła kącikiem ust, jakby był w kościele.

- Gdzie?

i

103

Pięć ćwiartek pomarańczy

Reinette zerknęła z ukosa na żołnierzy.

- Z tyłu - odparła równie cicho. - I kilku innych, których nie znam.

Wokół nas ludzie tupali i krzyczeli. Cassis zaryzykował szybkie spojrzenie.

- Poczekam, aż zgaszą światła - powiedział.

Dziesięć minut później lampy zgasły i podjęto projekcję. Cassis zsunął się z fotela i ruszył na koniec sali. Przemknęłam się za nim. Na ekranie Arletty w obcisłej wydekoltowanej sukni puszyła się i wachlowała rzęsami. Rtęciowy odbłask padał na nasze skulone postacie,

zmieniając twarz Cassisa w siną maskę.

- Wracaj, idiotko! - syknął na mnie. - Zostaw mnie, będziesz tylko zawadzać!

Pokręciłam głową.

- Nie będę - przyrzekłam. - Chyba że mi zabronisz ze sobą iść.

Brat machnął niecierpliwie ręką. Wiedział, że nie ustąpię. Czułam, jak drży w ciemnościach z podniecenia, a może zdenerwowania.

- Schył się - poleciał w końcu. -1 siedź cicho. Przycupnęliśmy na tyłach widowni niedaleko miejsca,

gdzie grupa niemieckich żołnierzy tworzyła wyspę wśród tłumu zwykłych widzów. Kilku mężczyzn paliło; widzieliśmy czerwone ogniki na oblanych migotliwym światłem twarzach.

- Widzisz tego na końcu? - wyszeptał Cassis. -To Hauer. Chcę z nim pogadać. Trzymaj się mnie i nie mów ani

słowa, w porządku?

Milczałam. Nie zamierzałam niczego obiecywać.

Cassis wślizgnął się w przejście obok żołnierza, którego nazywał Hauerem. Rozejrzawszy się wokół ciekawie, stwierdziłam, że nie zwraca na nas uwagi nikt z wyjątkiem Niemca stojącego za nami, szczupłego młodego mężczyzny o ostrych rysach, w czapce zawadiacko zsuniętej na tył głowy i z papierosem w dłoni. Słyszałam, jak Cassis

104

Joannę Harris

szepcze coś nalegająco do Hauera, potem szelest papieru. Niemiec o ostrych rysach wyszczerzył do mnie zęby i przywołał mnie gestem.

Nagle, z dreszczem, go rozpoznałam. To był żołnierz z targu, ten który widział, jak kradłam pomarańczę.

Przez okrągłą minutę nie byłam w stanie się poruszyć,

gapiłam się tylko.

Niemiec skinął znowu. Poblask padający z ekranu oświetlał jego twarz, rysując dramatyczne cienie pod oczyma i na policzkach.

Rzuciłam nerwowe spojrzenie na Cassisa, lecz brat był zbyt zaprzątnięty rozmową z Hauerem, żeby zwracać na mnie uwagę. Niemiec wciąż patrzył wyczekująco, z lekkim uśmiechem na ustach, stojąc w pewnej odległości od kolegów. Trzymał papieros ukryty w ręce; widziałam ciemniejsze smugi kości prześwitujące przez dłoń. Był w mundurze, ale kurtkę miał rozpiętą.

Z jakiegoś powodu dodało mi to odwagi.

- Chodź tutaj - zachęcił mnie cicho.

Nie mogłam mówić. Wydawało mi się, jakbym usta miała zapchane słomą. Uciekłabym, ale nie byłam pewna, czy nogi mnie uniosą. Zadarłam więc wysoko brodę i ruszyłam w jego stronę.

Niemiec uśmiechnął się i znowu zaciągnął się

papierosem.

- To ty jesteś ta mała od pomarańczy, tak? - spytał, kiedy znalazłam się bliżej.

Nie odpowiedziałam, lecz on nie przejął się moim milczeniem.

- Szybka jesteś. Tak samo jak ja, kiedy byłem chłopakiem.

Sięgnął do kieszeni i wyjął coś zapakowanego w sreberko.

- Proszę. Będzie ci smakowało. To czekolada. Patrzyłam na niego podejrzliwie.

- Nie chcę - mruknęłam.

-I

105

Pięć ćwiartek pomarańczy

Uśmiechnął się znowu.

- Wolisz pomarańcze, co? Milczałam.

- Pamiętam, nad rzeką był sad - mówił cicho dalej.
- Niedaleko wioski, w której się wychowałem. Rosły tam największe, najciemniejsze śliwki, jakie widziałem w życiu. Dokoła wysoki mur. Czujne gospodarskie psy. Przez całe lato próbowałem się do nich dostać! Czego ja nie robiłem! O niczym innym nie mogłem myśleć.

Głos miał przyjemny; mówił z lekkim akcentem, przyglądając mi się jasnymi oczyma zza zasłony papierosowego dymu. Obserwowałam go uważnie, nie ośmielając się poruszyć, niepewna, czy się ze mnie nie naśmiewa.

- Poza tym kradzione smakuje lepiej niż to, co się dostanie za darmo, prawda?

Teraz byłam pewna, że ze mnie drwi, i otworzyłam szerzej oczy z oburzenia.

Wydawało się, że to zauważył, bo zaśmiał się, wciąż trzymając czekoladę w wyciągniętej ręce.

- Śmiało, Backfisch, weź. Wyobraź sobie, że ją ukradłaś boszom.

Tabliczka była na wpół roztopiona; zjadłam ją od razu. Rzeczywiście była to prawdziwa czekolada, a nie biaława, grudkowata masa, którą czasami kupowaliśmy w Angers. Niemiec przyglądał się z rozbawieniem, jak jem. Zerkałam na niego z niesłabnącą podejrzliwością, lecz i rosnącym zaciekawieniem.

- I dostał je pan wreszcie? - spytałam w końcu niewyraźnie, bo usta miałam pełne czekolady. - To znaczy, śliwki.

Skinął głową.

- Tak, Backfisch. Do dziś pamiętam ich smak.

- I nie złapali pana?

- Złapali. - Jego uśmiech stał się posępniejszy. - Tyle

ich zjadłem, że się pochorowałem i wszystko wyszło na jaw. Ależ oberwałem! Ale dopiąłem swego. A to najważniejsze, prawda?

106

Joannę Harris

- No - zgodziłam się. - Lubię wygrywać. - Milczałam chwilę. - Dlatego nie powiedział pan nikomu o pomarańczy?

Wzruszył ramionami.

- Czemu miałbym mówić? To nie moja sprawa. Poza tym handlarz miał ich całe mnóstwo. Nie zbiednieje, jak jedną straci.

Kiwnęłam głową.

- Ma furgonetkę - powiedziałam, wylizując sreberko, żeby nie zmarnować ani odrobiny czekolady.

Wyglądało na to, że się ze mną zgadza.

- Niektórzy chcieliby zatrzymać dla siebie wszystko, co mają - powiedział. -To niesprawiedliwe, no nie?

Pokręciłam głową.

- Jak madame Petit ze sklepu krawieckiego - powiedziałam. -Winszuje sobie, Bóg wie ile, za kawałek jedwabiu, a sama nie zapłaciła za niego ani grosza

- Właśnie tak.

Przemknęło mi przez myśl, że może nie powinnam wspominać o madame Petit, i rzuciłam mu szybkie spojrzenie, lecz zdawało się, że Niemiec myślami jest gdzie indziej. Patrzył na Cassisa, wciąż szepczącego z Hauerem na końcu rzędu. Poczulałam ukłucie gniewu, że Cassis interesuje go bardziej niż ja.

- To mój brat - powiedziałam. -Tak?

Znowu spojrzał na mnie z uśmiechem.

- Spora was gromadka. Zastanawiam się, ilu wasjesz-

cze poznam?

Pokręciłam głową.

- Ja jestem najmłodsza. Framboise.

- Bardzo miło cię poznać, Francoise. Wyszczrzyłam zęby.

- Framboise - sprostowałam.

- Leibniz. Tomas.

Wyciągnął rękę. Uścisnęłam ją po chwili wahania.

1

107

Pięć ćwiartek pomarańczy 14

Tak poznałam Tomasa Leibniza. Z jakiegoś powodu Reinette wpadła w furję, że z nim rozmawiałam, i dąsała się do końca filmu. Hauer ukradkiem podał Cassisowi

paczkę gauloise'ów i oboje chyłkiem wróciliśmy na swoje miejsca - Cassis paląc papierosa, ja pogrążona w rozmyślaniach. Dopiero kiedy projekcja się skończyła, byłam gotowa zadawać pytania.

- Te papierosy - zaczęłam. -To o to ci chodziło, jak mówiłeś, że możesz zorganizować różne rzeczy?

-No.

Cassis wyglądał na zadowolonego z siebie, ale wciąż wyczuwałam w nim niepokój. Trzymał papierosa ukrytego w dłoni, jakby naśladowując Niemców, jednak w jego wykonaniu wyglądało to niezgrabnie i nienaturalnie.

- Mówicie im różne rzeczy? Tak?

- Czasami... o czymś im opowiadamy - przyznał, uśmiechając się z przymusem.

- Na przykład? Wzruszył ramionami.

- Zaczęło się od tego starego idioty i jego radia - powiedział cicho. -Tak było trzeba. Nie powinien go

trzymać i nie powinien udawać oburzonego dlatego, że podglądaliśmy Niemców. Czasami zostawiamy kartkę z wiadomością mleczarzowi albo w kawiarni. Czasem gazeciarz daje nam to, co dla nas zostawili. Czasem oni je przynoszą.

Udawał nonszalancję, ale wyczuwałam jego zdenerwowanie.

- To nic wielkiego - ciągnął dalej. - Prawie wszyscy bosze handlują na czarnym rynku, a potem wysyłają towar do domu, do Niemiec. Rozumiesz, to, co zarekwirowali. Więc tak naprawdę to nie ma znaczenia.

Rozważałam jego słowa.

- Ale gestapo...

- Och, dorośnij, Boise!

108

Joannę Harris

Nagle się zdenerwował, jak zawsze, kiedy go przyciskałam.

- Co ty wiesz o gestapo?

Rozejrzał się nerwowo dokoła, potem znowu zniżył głos.

- Oczywiście z nimi nie robimy interesów. To co innego. Mówiłem ci, chodzi tylko o handel. A w ogóle to cię nie powinno obchodzić.

Spojrzałam, dotknięta do żywego.

- Jak to? Ja też wiem różne rzeczy.

Żałowałam teraz, że nie powiedziałam Niemcowi nic więcej o madame Petit; nie wspomniałam, że jest Żydówką. Cassis z pogardą pokręcił głową.

- I tak nie zrozumiesz.

Jechaliśmy do domu w napiętej ciszy, obawiając się, że matka odkryła naszą samowolną wyprawę. Tymczasem

zastaliśmy ją w niezwykle dobrym nastroju. Nie wspomniała o zapachu pomarańczy, bezsennej nocy ani zmianach, jakich dokonałam w jej pokoju, a posiłek, jaki przygotowała, przypominał uroczystą kolację: zupa z marchewki i cykorii, boudin noir z jabłek i ziemniaków, ciemne naleśniki z mąki gryczanej, a na deser clafoutis, ciężki i wilgotny od zeszłorocznych jabłek, posypany brązowym cukrem i cynamonem. Jedliśmy w milczeniu jak zawsze, lecz matka wydawała się roztargniona; zapomniała mnie zburzyć za trzymanie łokci na stole i nie zauważyła moich potarganych włosów ani brudnej twarzy.

Pomyślałam, że może to przez pomarańczę tak złagodniała.

Odbiła to sobie z nawiązką następnego dnia, odzyskując zwykły temperament. Unikaliśmy jej, jakeśmy tylko mogli. Pośpiesznie wykonaliśmy przypadające na nas prace, po czym uciekliśmy nad rzekę, na Posterunek Obserwacyjny, gdzie bawiliśmy się bez przekonania.

W te letnie dni Paul przychodził z nami nad wodę, wyczuwał jednak, że nie jest już jednym z nas, że został

wy-

i

109

p,ĘĆ ĆWIARTEK POMARAŃCZY

? „u 7 al mi go było, nawet czułam kluczony z
naszego ^ęgu. u ? odsuniętym,

się trochę winna, L*L ^"??? sam wato,ć ale nie
mogłam nic na to poi a

o siebie P°dobnitek3aa^eaiubita go i całej rodziny
Houria-, P w" ^^i ??????????i??i??, zbyt leniwym ze-
sów. W jej oczach raui oyi v nauczyć czytać we

by Źdo szkol* I^^?????? godni po-wsi z innym! dz^^-
sJpergzedał przy drodze przynęte, gardy: ojciec ?
grZ*aprawianiem odzieży innym, i matka tru^cP
Phffippe'a Houria-

Szczególną niechęcią darzy j wioskową

ry-

sa Z początku sązdJ* t* O^ ?? gospodarstwo walizację. Wuj ^^ obsiane słonecznikami, ziem- wLesLaveuses-cate a^ dwadzieścia krów, swmie niakami, bpus^ burakomi miejscowych na-

i kozy; traktor w czasach, gay * mechaniczną dojar-dal używała pługa i kom, pawan waiczającej

kę... To zazdrość P°7"a^Job;ed'onwca. A jednak wy-o przetrwanie wdowy do bogatego w na

dawało się to d^ne, P^^zlm dorastaH - łowili ryby, bliższymprzyjacieln^^^ osobiście wypływali, mieli ^o?????^? zawsze niedzielę skła-

rył nazwisko °3catnvaSa odpowiadała na jego powita- dał pod nim kwiaty-Matka oapo szczególme

nie zaledwie ^Se^fjpoma^czą wydawała towarzyska, TJL5LSZm -ogo niż dotąd.

sasssssłl Drobne'nierówne'

przyprawiające o migrenę pismo:

Hourias fd w* *T̃" { f*% Zktr^TZeTzē^m,

patrzy. Wspólnie ŹLLLL5^ widział mnie, ???
rozjechana drodzeMatmeg ^ ^ ^

jak wychodziłam z La Rep z tym,

llo

Joannę Harris

Nic nie powiedział, ale wiem, że się domyślił. Oczywiście uważa, że powinniśmy się pobrać. Że to ma sens: wdowa i wdowiec, można by połączyć oba gospodarstwa. Yannick nie miał brata, który by przejął ziemię po jego śmierci. A kobieta nie powinna prowadzić farmy sama.

Gdyby matka miała łagodniejszą naturę, może szybciej zaczęłabym coś podejrzewać. Mirabelle Dartigen

jednak nie należała do łagodnych osób. Była jak bryła soli i rzeczny szlam; jej napady furii, nagle, gwałtowne i nie do uniknięcia niczym letnie burze. Nigdy nie szukałam ich przyczyny, jedynie starałam się unikać skutków najlepiej, jak potrafiłam.

15

W tym tygodniu nie było więcej wypraw do Angers, a zarówno Cassis, jak i ReINETTE nie wydawali się skłonni do rozmów o naszym spotkaniu z Niemcami. Co do mnie, czułam opór przed mówieniem o swojej pogawędce z Leibnizem, choć nie mogłam jej zapomnieć. Wszystko to sprawiało, że na zmianę ogarniała mnie obawa i poczucie siły.

Cassis był niespokojny, ReINETTE obrażona i niezadowolona, na dodatek padało cały tydzień, aż Loara wezbrała groźnie, a pola słonecznikowe zrobiły się sine od deszczu. Minęło siedem dni od naszej ostatniej wizyty w miasteczku. Dzień targowy nadszedł i minął. Tym razem matka zabrała ze sobą ReINETTE, zostawiając mnie i Cassisa w domu, gdzie snuliśmy się naburmuszeni po zmokniętym sadzie. Zielone śliwki na drzewach

przypomniały mi Leibniza; myślałam o nim z dziwną mieszaniną ciekawości i niepokoju. Zastanawiałam się, czy go jeszcze kiedyś zobaczę.

A potem, nieoczekiwanie, tak właśnie się stało.

i 1 1 1

Pięć ćwiartek pomarańczy

Był wczesny ranek kolejnego dnia targowego. Tym razem to Cassis miał pomagać przy sprzedaży. Reine przynosiła z chłodni sery zawinięte w liście winogron, a matka podbierała jajka w kurniku. Właśnie wróciłam z nad rzeki z porannym połowem - kilkoma małymi okoniami i płótkami, które posiekałam na przynętę i zostawiłam w wiadrze pod oknem. Nie był to dzień, kiedy zwykle przychodzili Niemcy, więc tak się złożyło, że to ja otwierałam frontowe drzwi, kiedy zapukali.

Przyszło ich trzech: dwaj, których nie znałam, oraz Leibniz - bardzo oficjalny w mundurze, z karabinem zawieszonym za ramię w zgięciu łokcia. Oczy rozszerzyły mu się lekko z zaskoczenia, gdy mnie

zobaczył, lecz zaraz się

uśmiechnął.

Gdyby chodziło o któregokolwiek innego żołnierza, być może zatrzasnęłabym im drzwi przed nosem, tak jak Denis Gaudin, kiedy przyszli po jego skrzypce. Na pewno zawołałabym matkę. Jednak na jego widok się zawahałam; onieśmielona stałam na progu, nie wiedząc, co robić.

Leibniz powiedział coś po niemiecku do dwóch pozostałych. Z gestów towarzyszących jego słowom zrozumiałam, że zamierza sam przeszukać gospodarstwo, a oni mają się udać do Ramondinów i Houriasów. Jeden z żołnierzy spojrział na mnie i coś powiedział. Wszyscy trzej wybuchnęli śmiechem. Potem Leibniz skinął głową i, wciąż się uśmiechając, minął mnie i wszedł do kuchni.

Wiedziałam, że powinnam zawołać matkę. Kiedy przychodzili żołnierze, stawała się bardziej opryskliwa niż zazwyczaj, z bezbrzeżną nienawiścią odnosiła się do ich wizyt i niewzruszonego spokoju, z jakim przywłaszczali sobie wszystko, czego potrzebowali. A w dodatku jeszcze

dziś! I bez tego była w złym humorze: to byłby dla niej

ostateczny cios.

Zapasy się kończą, wyjaśnił Cassis, kiedy go o to spytałam. Nawet Niemcy muszą jeść. „A żrą jak świnie! - ciągnął z oburzeniem. - Powinnaś zobaczyć ich kantynę - całe

1 12

Joannę Harris

bochny chleba, dżem i pdte, i rillettes, ser i solone sardele, szynka i kiszona kapusta, i jabłka - nie uwierzyłabyś własnym oczom!".

Leibniz zamknął za sobą drzwi i rozejrzał się wokół. Gdy nie był z innymi żołnierzami, przybierał swobodną pozę niczym cywil. Sięgnął do kieszeni i zapalił papierosa.

- Co tu robisz? - spytałam w końcu ostrym tonem.
-Nic nie mamy!

- Rozkazy, Backfisch - wyjaśnił. - Ojciec w domu?

- Nie mam ojca - odparłam nieco wyzywająco. - Niemcy go zabili.

- Ach. Przykro mi. - Wydawał się zawstydzony i sprawiło mi to satysfakcję. - A matka?

- Za domem - patrzyłam na niego ze złością. - Dzisiaj jest dzień targowy. Jak zabierzecie towar, nic nam nie zostanie. I tak ledwo nam starczy na życie.

Mężczyzna znowu się rozejrzał - trochę niepewnie, jak mi się zdawało. Widziałam, jak jego wzrok rejestruje wyszorowane płyty podłogi, połatane zasłony, porysowany sosnowy stół. Zawahał się.

- Muszę to zrobić, Backfisch - powiedział miękko. -Ukarzą mnie, jeśli nie wykonam rozkazów.

- Możesz powiedzieć, że nic nie znalazłeś. Że nic nie zostało, kiedy przyszedłeś.

- Zapewne.

Pięć ćwiartek pomarańczy rybakiem - szepnął. - Co tutaj łowicie? Pstrągi? Karpie?

Płotki?

Pokręciłam głową.

- Więc co?

- Szczupaki. Szczupak to najinteligentniejsza ze słodkowodnych

ryb. Jest chytry i ostrożny mimo groźnych zębów; potrzeba starannie dobranej przynęty, by go zwabić pod powierzchnię. Najmniejszy drobiazg potrafi wzbudzić jego podejrzenia: niewielka zmiana temperatury, jeden fałszywy ruch. Nie ma szybkiego ani prostego sposobu, żeby go złapać. Jeśli nie liczyć szczęśliwych przypadków, łowienie szczupaków wymaga czasu i cierpliwości.

- Skoro tak, to co innego - powiedział w zamyśleniu. - Chyba nie mógłbym zostawić w tarapatach koleżanki-rybaczki. - Wyszczrzył do mnie zęby. - Szczupaki, co? Przytaknęłam ruchem głowy.

- Na co łowicie, na ochotki czy martwą przynętę?

- Na jedno i drugie.

- Rozumiem.

Już się nie uśmiechał; sprawa była poważna. Wpatrywałam się w niego bez słowa. Ten chwyt zawsze sprawiał, że Cassis zaczynał się czuć nieswojo.

- Nie zabieraj rzeczy przeznaczonych na targ - powtórzyłam.

Znowu zapadła cisza. Po namyśle skinął głową.

- Chyba uda mi się wymyślić jakąś historyjkę na ich użytek - powiedział wolno. - Ale nie wolno ci nikomu powiedzieć. Inaczej wpakujesz mnie w poważne kłopoty.

Rozumiesz?

Przytaknęłam. To był uczciwy układ. Ostatecznie on też nikomu nie powiedział o pomarańczy. Splunęłam na

dłoń, na znak, że dotrzymam słowa. Nie uśmiechnął się, lecz ucisnął mi rękę z absolutną powagą, jak gdyby zawierał umowę z kimś dorosłym. Spodziewałam się, że po-

1 14

Joannę Harris

prosi mnie w zamian o jakąś przysługę, ale tego nie zrobił, i ta myśl sprawiła mi przyjemność. Leibniz nie jest taki jak inni, powiedziałam sobie.

Patrzyłam, jak odchodzi. Nie obejrzał się. Idąc aleją w stronę gospodarstwa Houriasów, zgasił niedopałek o ścianę przybudówki; rozżarzony koniec sypnął czerwonymi iskrami na tle szarego rzeczno kamienia.

16

Nie powiedziałam Cassisowi i Reine ani słowa o tym, co zaszło między Leibnizem i mną. Opowiedzieć im znaczyłoby odebrać całą moc temu zdarzeniu. Zamiast tego hołubiłam swój sekret, obracałam go w myślach jak

skradziony skarb. Dawał mi dziwnie dorosłe poczucie władzy.

Z pewną wyższością myślałam teraz o magazynach filmowych Cassisa i szminkach ReINETTE. Wydawało im się, że są tacy sprytni. Ale co właściwie zrobili? Zachowywali się jak dzieciaki opowiadające w klasie zmyślane historie. I Niemcy traktowali ich jak dzieci, przekupywali błyskotkami. Leibniz nie próbował mnie przekupować. Rozmawiał ze mną jak z równą sobie, z szacunkiem.

Houriasowie mocno ucierpieli. Stracili jajka uskładane przez tydzień, połowę mleka, dwa całe półce solonej wieprzowiny, siedem funtów masła, baryłkę oleju, dwadzieścia cztery butelki wina (nie dość dobrze ukrytego za przepierzeniem w piwnicy) i sporo teryny i przetworów. Paul opowiedział mi o wszystkim. Czułam się trochę winna - rodzinę utrzymywał głównie wuj - ale obiecałam sobie, że będę się z nim dzielić jedzeniem, kiedy tylko będę mogła. Poza tym sezon dopiero się zaczynał. Philippe Hourias wkrótce odbije sobie straty. A zresztą miałam na głowie inne sprawy.

Paczuszka ze skórką pomarańczową była wciąż ukryta tam, gdzie ją zostawiłam. Nie pod materacem - choć Rei-

I 1 15

Pięć ćwiartek pomarańczy

nette nadal z uporem chowała tam swoją kosmetyczkę, naiwnie wierząc, iż będzie bezpieczna. Nie, moja skrytka była znacznie bardziej pomysłowa. Włożyłam woreczek do słoika i zatopiłam go po łokieć w becze solonych sardeli, którą matka trzymała w piwnicy. Kawałek sznurka przywiązany do brzegu słoika pozwalał mi go wyłowić w razie potrzeby. Było mało prawdopodobne, że ktoś go odkryje, ponieważ matka nie lubiła przenikliwego zapachu ryb i zwykle wysyłała po nie któreś z nas. Wiedziałam, że uda się znowu.

Zaczekałam do środowego wieczoru. Tym razem umieściłam woreczek na tacy na popiół pod piecem, gdzie w cieple zapach szybko zaczął się rozchodzić. I rzeczywiście, już wkrótce matka pocierała skroń, besztła mnie ostro, że marudzę przy przynoszeniu mąki czy drewna, strofowała - uważaj, dziewczyno, obtłuczysz moje

najlepsze talerze! - i węszyła w powietrzu ze zwierzęcym wyrazem zmieszania i niepokoju. Dla większego efektu zamknęłam drzwi i aromat pomarańczy rozszedł się znowu po całym pomieszczeniu. Tak jak poprzednio ukryłam woreczek w jej poduszce - skórka stała się do tego czasu krucha i poczerniała od gorąca; wiedziałam, że używam jej ostatni raz - wsuwając go pod pasiastą powłoczkę.

Kolacja była przypalona, nikt jednak nie ośmielił się o tym napomknąć. Matka wodziła palcami po kruchej koronce obrzeżającej zwęglone naleśniki i raz po raz muskała skroń, aż chciało mi się krzyżeć. Tym razem nie pytała, czy przynieśliśmy pomarańcze, chociaż widziałam, że miała ochotę. Tylko jej palce nie odpoczywały ani przez chwilę, wciąż czegoś dotykały, coś kruszyły, czymś się bawiły, i co chwila ciszę przerywał jej gwałtowny, gniewny okrzyk z powodu jakiegoś drobnego naruszenia domowych zasad. - Reine-Claude! Połóż chleb na desce! Nie będziesz mi kruszyła na czystą podłogę!

Jej ton był zjadliwy, rozdrażniony. Ukroiłam kromkę chleba i celowo odłożyłam bochenek do góry spodem.

Joannę Harris

Z jakiegoś powodu zawsze ją to gniewało, podobnie jak mój zwyczaj odkrawania piątek z obu końców i zostawiania środkowej części.

- Framboise! Odwróć ten chleb!

Znowu dotknęła przelotnie głowy, jakby sprawdzała, czy znajduje się na swoim miejscu.

- Ile razy mam ci mówić...

Zastygła w połowie zdania z przechyloną głową, otwartymi ustami.

Trwała tak przez jakieś pół minuty ze wzrokiem utkwionym w przestrzeń i z wyrazem twarzy tępego ucznia, próbującego sobie przypomnieć twierdzenie Pitagorasa albo zasadę tworzenia ablativus absolutus. Jej zielone oczy stały się przejrzyste jak zimowy lód. Patrzyliśmy na siebie w milczeniu, obserwując ją;

sekundy płynęły. Nagle wróciła do życia - szorstki, pełen irytacji ruch - i zaczęła zbierać talerze ze stołu, choć byliśmy w połowie posiłku. Żadne z nas jednak nie wspomniało o tym również.

Następnego dnia zgodnie z moimi przewidywaniami została w łóżku, a my jak poprzednio wyruszyliśmy do An-gers. Tym razem nie do kina. Włączyliśmy się po ulicach -Cassis ostentacyjnie palił papierosa - a potem rozsiedliśmy się na tarasie Le Chat Rouget, kafejki w centrum miasta. Reine i ja zamówiłyśmy diabolo-menthe, a Cassis chciał poprosić o pastis, lecz pod wyniosłym spojrzeniem kelnerki pokornie zmienił zamówienie na panache.

Reine piła ostrożnie, żeby sobie nie rozmazać szminki. Wydawała się niespokojna, wykręcała szyję we wszystkie strony, jakby na coś czekając.

- Na co czekamy? - spytałam. - Na waszych Niemców? Cassis spojrzał na mnie wściekle.

- Musisz się tak drzeć, żeby wszyscy słyszeli, idiotko? -zrugął mnie. - Czasami się tu spotykamy - wyjaśnił ciszej.

- Można przekazywać wiadomości. Nikt nie zauważy.
Sprzedajemy im informacje.

i

1 17

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Jakie informacje? Cassis burknął pogardliwie.

- Nijakie - burknął zniecierpliwiony. - Kto ma radio.
Kto handluje na czarnym rynku. Kto jest w ruchu oporu.

Ostatnie słowo wypowiedział z wielkim naciskiem,
jeszcze bardziej zniżając głos. - Ruch oporu -
powtórzyłam.

Spróbujcie zrozumieć, co to dla nas znaczyło. Byliśmy
dziećmi. Rządziliśmy się własnymi prawami. Świat
dorośli był dla nas jak odległa planeta zamieszka-
na przez kosmitów, tak niewiele z niego rozumieliśmy. A
najmniej z ruchu oporu, tej quasi-organizacji. Książki i
telewizja sprawiły, że w późniejszych latach wydawało się

to tak zorganizowane, lecz ja nie pamiętam nic podobnego. Pamiętam bezładną plątaninę plotek i pogłosek; pijaków głośno krytykujących w kawiarniach nowy rząd oraz ludzi uciekających do krewnych na wieś, poza zasięg armii najeźdźców, za której sprawą życie w mieście stało się nie do wytrzymania. Jeden ruch oporu - Podziemna Armia z popularnych wyobrażeń - był mitem. Istniało wiele grup - komuniści, humaniści, socjaliści, kandydaci na męczenników, samochwały i pijacy, oportuniści i święci - wszyscy kanonizowani z czasem, lecz wtedy trudno ich było nazwać armią, a jeszcze trudniej podziemną. Matka wyrażała się o nich z pogardą. Jej zdaniem dla wszystkich byłoby lepiej, gdyby

położyli uszy po sobie.

Mimo to słowa Cassisa wzbudziły we mnie szacunek. Ruch oporu. Przemawiały do mojej tęsknoty za przygodą, dramatyzmem. Wywoływały obrazy walczących o władzę frakcji, nocnych eskapad, strzelanin, sekretnych spotkań, skarbów, niebezpieczeństw, którym trzeba było stawić czoło. W pewnym sensie bardzo przypominało to zabawy, jakie urządzaliśmy w poprzednich latach - Reine, Cassis, Paul i ja: strzelby na ziemniaczane pociski, tajne hasła,

rytuały. Gra stała się trochę poważniejsza, to wszystko. Podwyższono stawki.

118

Joannę Harris

- Nic nie wiecie o żadnym oporze - orzekłam cynicznie, nie dając po sobie poznać, że zrobiło to na mnie wrażenie.

- Może jeszcze nie wiemy - odparł Cassis. - Ale się dowiemy. Odkryliśmy już różne rzeczy.

- To nic złego - włączyła się ReINETTE. - Nie donosimy na nikogo z Les Laveuses. Nie zdradzilibyśmy własnych sąsiadów.

Skinęłam głową. To by nie było w porządku.

- Poza tym w Angers jest inaczej. Tutaj wszyscy to robią. Zastanawiałam się przez chwilę.

- Ja też bym się mogła dowiedzieć różnych rzeczy.

- Co ty tam wiesz! - mruknął Cassis pogardliwie. Omal mu nie zdradziłam, co powiedziałam Leibnizowi

o madame Petit i jedwabiu, ale zmieniłam zdanie. Zamiast tego zadałam pytanie, które mnie dręczyło, odkąd brat pierwszy raz wspomniał o swoich układach z Niemcami.

- Co oni robią z ludźmi, na których doniesiesz? Zabijają ich? Wysyłają na front?

- Oczywiście że nie. Nie bądź głupia.

- To co robią?

Lecz on już mnie nie słuchał. Wbił spojrzenie w stojak z gazetami przy kościele i stojącego obok ciemnowłosego chłopaka mniej więcej w jego wieku, który wpatrywał się w nas natarczywie. Chłopak machnął niecierpliwie w naszą stronę.

Cassis zapłacił i podniósł się z miejsca.

- Idziemy - powiedział.

Ruszyliśmy za nim. Wyglądało na to, iż on i drugi chłopak dobrze się znają - podejrzewałam, że chodzą razem do szkoły. Usłyszałam kilka słów o zadaniach na wakacje, a potem wybuch zduszonego, nerwowego śmiechu. Spostrzegłam, że tamten wsunął bratu do ręki złożony kawałek papieru.

Zapiska była od Hauera.

Spotkajmy się w południe przy bramie szkoły. Mam coś dla was.

1 1 19

Pięć ćwiartek pomarańczy

Tylko Hauer i Leibniz mówią dobrze po francusku, wyjaśnił mi Cassis, kiedy po kolei czytaliśmy kartkę. Pozostali - Heinemann i Schwartz - znają jedynie podstawowe zwroty. Szczególnie Leibniz mógłby uchodzić za Francuza, mieszkańca Alzacji lub Lotaryngii mówiącego z gardłowym akcentem tamtych okolic.

Wyczułam, że Cas-sisowi się to podoba, jak gdyby przekazywanie informacji niemal-Francuzowi w jakiś sposób mniej zasługiwało na

potępienie.

Reinette musnęła papier końcami palców. Twarz zarumieniła się jej z podniecenia.

- Która jest teraz? - spytała. - Nie spóźnimy się?
Cassis pokręcił głową.

- Weźmiemy rowery - odparł, siłąc się na lakoniczność. - Ciekawe, co dla nas mają.

Kiedy wyprowadzaliśmy rowery ze zwykłego schowka w zaułku, zauważyłam, że Reinette wyjęła puderniczkę z kieszeni i szybko przejrzała się w lusterku. Zmarszczyła brwi; wyjęła też szminkę i pociągnęła usta na szkarłatno, uśmiechnęła się, coś poprawiła i uśmiechnęła się znowu. Zamknęła puderniczkę. Nie zaskoczyło mnie to szczególnie. Od pierwszej wyprawy do miasta było dla mnie jasne, że chodzi jej o coś więcej niż kino. Staranność, z jaką się ubierała, uwaga, jaką poświęcała

fryzurze, szminka i perfumy... Musiała to robić z myślą o kimś. Prawdę mówiąc, niewiele mnie to obchodziło. Przywykłam do Reine i jej pomysłów. W wieku dwunastu lat wyglądała na szesnaście. Z elegancko zakręconymi włosami i umalowanymi ustami mogła uchodzić za jeszcze starszą. Już wcześniej zauważyłam, w jaki sposób oglądają się za nią we wsi. Paul Hourias w jej obecności czerwienił się i zapominał języka w gębie. Nawet Jean-Benet Darius, stary człowiek, mający prawie czterdzieści lat, i Augustę Ramondin, i Ra-phael z kawiarni... Wiedziałam, że przyciąga spojrzenia chłopców. A ona to zauważała - od pierwszego dnia w college przynosiła mnóstwo opowieści o poznanych tam chło-

120

Joannę Harris

pakach. W jednym tygodniu mógł to być Justin, który miał takie śliczne oczy, albo Raymond umiejący rozbawić całą klasę, albo Pierre-Andre, który potrafił grać w szachy, albo Guillaume, którego rodzice przeprowadzili się z Paryża w zeszłym roku... Patrząc wstecz, mogę sobie nawet przypomnieć, kiedy się te opowieści skończyły.

Musiało to nastąpić w tym samym czasie, kiedy do miasteczka sprowadził się niemiecki garnizon.

Z pewnością coś się za tym kryło, lecz sekrety Reinette rzadko mnie ciekawiły.

Hauer stał na warcie przy bramie. W dziennym świetle mogłam mu się lepiej przyjrzeć - mężczyzna o szerokiej, niemal pozbawionej wyrazu twarzy. „W gorze rzeki, za jakieś dziesięć minut” - wyszeptał, prawie nie poruszając ustami, po czym odegnał nas z udawaną irytacją, jakby posyłając do diabła. Znowu wsiedliśmy na rowery, nie patrząc więcej na niego - nawet Reinette, co mnie przekonało, że to nie Hauer jest obiektem jej westchnień.

Niespełna dziesięć minut później zobaczyliśmy Leibniza. Z początku myślałam, że jest w cywilu, lecz on zdjął po prostu kurtkę od munduru i buty, i siedział na brzegu z nogami zwieszonymi nad bystrą brązową wodą. Na przywitanie pomachał nam wesoło ręką, po czym zaprosił gestem, byśmy się do niego przyłączyli. Sprowadziliśmy rowery w dół brzegu, tak żeby nie było ich widać z drogi, i siedliśmy obok. Wydawał się młodszy,

niż go zapamiętałam, niemal tak młody jak Cassis, choć poruszał się z niedbałą pewnością siebie, której mój brat, mimo wszelkich wysiłków, nigdy nie miał zyskać.

Cassis i Reinette gapili się na niego w milczeniu jak dzieci oglądające w zoo jakieś niebezpieczne zwierzę. Twarz Reinette zrobiła się purpurowa. Wydawało się, że na Leibnizu nasze spojrzenia nie robią wrażenia; z uśmiechem zapalił papierosa.

- Ta wdowa Petit... - powiedział w końcu z ustami pełnymi dymu. - Strzał w dziesiątkę. - Zachichotał. - Jedwab

i

121

Pięć ćwiartek pomarańczy ze spadochronów i tysięcy innych rzeczy; prawdziwa kopalnia czarnorynkowych towarów. Mrugnął do mnie.

- Dobra robota, Backfisch. Brat i siostra spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, ale nic

nie powiedzieli. Ja też milczałam, rozdarta między zadowoleniem i niepokojem.

- Mieliśmy w tym tygodniu sporo szczęścia - ciągnął Leibniz tym samym tonem. - Guma do żucia, czekolada i... - wyciągnął z kieszeni jakąś paczuszkę - ...to.

To okazało się chusteczką obszytą koronką, którą wręczył Reinette. Moja siostra ze zmieszania zrobiła się czerwona jak piwonia.

Leibniz zwrócił się w moją stronę.

- A ty, Backfisch, czego byś chciała? Wyszczerył zęby.

- Szminkę? Krem do twarzy? Jedwabne pończochy? Nie, to bardziej w stylu twojej siostry. Lalkę? Misia?

Droczył się ze mną pogodnie; oczy miał jasne i pełne srebrzystych błysków.

Teraz należało wyznać, że moja wzmianka o madame

Petit była zaledwie bezmyślnym gadulstwem. Cassis jednak nadal przyglądał mi się z wyrazem zdumienia; Leibniz uśmiechał się; nagle przyszedł mi do głowy pewien pomysł.

Nie wahałam się ani chwili.

- Sprzęt wędkarski - powiedziałam. - Prawdziwy, porządny sprzęt wędkarski.

Milczałam chwilę, patrząc mu zuchwale w oczy.

-1 pomarańczę.

17

Spotkaliśmy się z nim znowu w tym samym miejscu tydzień później. Cassis przekazał mi plotki o późnowieczor-nym spotkaniu hazardzistów w Le Chat Rouget oraz

122

Joannę Harris

wzmiankę wielbnego Traqueta o kasetce z kościelnymi srebrami, którą podслуchał obok cmentarza.

Leibniz wydawał się zaprzętnięty czymś innym.

- Musiałem to schować przed innymi - zwrócił się do mnie. - Nie podobałoby im się, że ci to daję.

Spod kurtki rzuconej niedbale na brzeg wyciągnął podłużną torbę z zielonego płótna długą może na metr. Coś brzęknęło cicho, kiedy ją pchnął w moją stronę.

- To dla ciebie - powiedział. - Śmiało.

W torbie było wędzisko. Nie nowe, ale nawet ja widziałam, że była to piękna sztuka; bambus poczerniały ze starości i lśniący metalowy kołowrotek, obracający się lekko w moich palcach. Wydałam głębokie, pełne niedowierzania westchnienie.

- To... dla mnie? - spytałam, nie ośmielając się uwierzyć.

Leibniz roześmiał się pogodnie.

- Naturalnie - przytaknął. - My, rybacy, musimy sobie pomagać.

Delikatnie, pożądliwie dotknęłam wędziska. Kołowrotek był chłodny i śliski w dotyku, jakby naoliwiony.

- Ale musisz go schować w bezpiecznym miejscu, dobrze, Backfisch? - polecił. -1 nie rozpowiadaj o nim rodzinie i kolegom. Umiesz dotrzymać tajemnicy, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Pewnie.

Uśmiechnął się. Jego oczy były przejrzyste, ciemnoszare.

- Będziesz mogła złowić tego szczupaka, o którym wspominałaś, co?

Kiwnęłam znowu, a on się roześmiał.

- Słowo daję, na taką wędkę złowiłabyś nawet U-Boota. Przez moment patrzyłam na niego krytycznie, żeby

sprawdzić, na ile poważne są jego drwiny. Bez wątplenia wydawał się rozbawiony, ale była w tym sympatia, uznałam w końcu, a poza tym dotrzymał umowy. Niepokoila mnie tylko jedna rzecz.

i

123

Pięć ćwiartek pomarańczy

ze spadochronów i tysięcy innych rzeczy; prawdziwa kopalnia czarnorynkowych towarów. Mrugnął do mnie.

- Dobra robota, Backfisch.

Brat i siostra spojrzeli na mnie z zaskoczeniem, ale nic nie powiedzieli. Ja też milczałam, rozdarta między zadowoleniem i niepokojem.

- Mieliśmy w tym tygodniu sporo szczęścia - ciągnął Leibniz tym samym tonem. - Guma do żucia, czekolada i... - wyciągnął z kieszeni jakąś paczuszkę - ...to.

To okazało się chusteczką obszytą koronką, którą wręczył Reinette. Moja siostra ze zmieszania zrobiła się czerwona jak piwonia.

Leibniz zwrócił się w moją stronę.

- A ty, Backfisch, czego byś chciała? Wyszczерzył zęby.

- Szminkę? Krem do twarzy? Jedwabne pończochy? Nie, to bardziej w stylu twojej siostry. Lalkę? Misia?

Droczył się ze mną pogodnie; oczy miał jasne i pełne srebrzystych błysków.

Teraz należało wyznać, że moja wzmianka o madame Petit była zaledwie bezmyślnym gadulstwem. Cassis jednak nadal przyglądał mi się z wyrazem zdumienia; Leibniz uśmiechał się; nagle przyszedł mi do głowy

pewien pomysł.

Nie wahałam się ani chwili.

- Sprzęt wędkarski - powiedziałam. - Prawdziwy, porządny sprzęt wędkarski.

Milczałam chwilę, patrząc mu zuchwale w oczy.

-1 pomarańczę.

17

Spotkaliśmy się z nim znowu w tym samym miejscu tydzień później. Cassis przekazał mi plotki o późnowieczor-nym spotkaniu hazardzistów w Le Chat Rouget oraz

122

Joannę Harris

wzmiankę wielebnego Traqueta o kasetce z kościelnymi srebrami, którą podsłuchał obok cmentarza.

Leibniz wydawał się zaprzątnięty czymś innym.

- Musiałem to schować przed innymi - zwrócił się do mnie. - Nie podobałoby im się, że ci to daję.

Spod kurtki rzuconej niedbale na brzeg wyciągnął podłużną torbę z zielonego płótna długą może na metr. Coś brzęknęło cicho, kiedy ją pchnął w moją stronę.

- To dla ciebie - powiedział. - Śmiało.

W torbie było wędzisko. Nie nowe, ale nawet ja widziałam, że była to piękna sztuka; bambus poczerniały ze starości i lśniący metalowy kołowrotek, obracający się lekko w moich palcach. Wydałam głębokie, pełne niedowierzania westchnienie.

- To... dla mnie? - spytałam, nie ośmielając się uwierzyć.

Leibniz roześmiał się pogodnie.

- Naturalnie - przytaknął. - My, rybacy, musimy sobie

pomagać.

Delikatnie, pożądlawie dotknęłam wędziska. Kołowrotek był chłodny i śliski w dotyku, jakby naoliwiony.

- Ale musisz go schować w bezpiecznym miejscu, dobrze, Backfisch? - polecił. -1 nie rozpowiadaj o nim rodzinie i kolegom. Umiesz dotrzymać tajemnicy, prawda?

Kiwnęłam głową.

- Pewnie.

Uśmiechnął się. Jego oczy były przejrzyste, ciemnoszare.

- Będziesz mogła złowić tego szczupaka, o którym wspominałaś, co?

Kiwnęłam znowu, a on się roześmiał.

- Słowo daję, na taką wędkę złowiłabyś nawet U-

Boota. Przez moment patrzyłam na niego krytycznie, żeby

sprawdzić, na ile poważne są jego drwiny. Bez wątplenia wydawał się rozbawiony, ale była w tym sympatia, uznałam w końcu, a poza tym dotrzymał umowy. Niepokoila mnie tylko jedna rzecz.

i

123

Pięć ćwiartek pomarańczy

- A madame Petit... - zaczęłam niepewnie. - Nie stanie się jej nic bardzo złego, prawda?

Leibniz zaciągnął się papierosem, po czym rzucił niedopałek do rzeki.

- Nie sądzę - powiedział obojętnie. - Jeśli będzie trzymała język na wodzy.

Rzucił mi nagle surowe spojrzenie, obejmujące również Cassisa i Reinette.

- I cała trójka: ani słowa nikomu. Zrozumiano? Skinęliśmy głowami.

- Och, mam jeszcze coś dla ciebie. Włożył rękę do kieszeni.

- Niestety, będziesz się musiała podzielić. Udało mi się zdobyć tylko jedną. -1 wyciągnął pomarańczę.

Widzicie, jaki był czarujący. Wszyscy znaleźliśmy się pod jego urokiem. Cassis nieco mniej niż my dwie - różanolica i nieśmiała Reinette i ja - może dlatego, że był najstarszy i lepiej rozumiał, na jakie niebezpieczeństwo się narażamy... No cóż, ja dałam się wciągnąć chyba najbardziej. Zaczęło się od wędki, ale było też mnóstwo innych rzeczy. Jego akcent, leniwy sposób bycia, jego swoboda i śmiech... Och, prawdziwy był z niego czarodziej, nie taki, jak młody Yannick z jego przechwałkami i chytrymi oczkami łasicy. Nie, Leibnizowi przychodziło to z naturalnością, którą potrafiło dostrzec nawet takie samotne dziecko z głową pełną siana jak ja.

Trudno by mi było określić, co właściwie mnie w nim

pociągało. Reine powiedziałyby, że to, jak patrzył, nie mówiąc ani słowa, albo jak jego oczy zmieniały kolor - czasem były szarzielone, czasem brązowoszare, niczym rzeka. Albo jak się przechadzał z czapką zsuniętą na tył głowy i rękami w kieszeniach, niby chłopak knujący, jak by tu zwiać na wagary... Cassis powiedziałyby, że jego brawura - potrafił przepłynąć Loarę w najszerszym miejscu albo zawisnąć głową w dół na Posterunku Obserwacyjnym, jakby miał czternaście lat, z chłopięcą pogardą dla

124

Joannę Harris

niebezpieczeństwa. Znał na wylot Les Laveuses, zanim jeszcze postawił tu stopę; był wiejskim chłopakiem ze Schwarzwaldu i opowiadał mnóstwo historyjek o swojej rodzinie, siostrach, braciach, projektach na przyszłość. Bez ustanku coś planował. Zdawało się, że w niektóre dni mówił tylko o tym, co się stanie, jak będę bogaty i wojna się skończy... Och, nie było temu końca. Tomas był pierwszym znanym nam dorosłym, który nadal myślał jak chłopak, snuł plany jak chłopak i może to

właśnie najbardziej nas w nim pociągało. Był jednym z nas, i tyle. Żył według naszych zasad.

Jak dotąd zabił na wojnie jednego Anglika i dwóch Francuzów. Nie robił z tego faktu tajemnicy, lecz słuchając, jak o tym opowiada, człowiek gotów był przysiąc, że nie miał innego wyjścia. To mógł być nasz ojciec, myślałam później. Ale nawet wtedy bym mu przebaczyła. Wybaczyłabym mu wszystko.

Oczywiście z początku miałam się na baczności. Spotkaliśmy się jeszcze trzy razy, dwa razy tylko z nim nad rzeką, raz w kinie z innymi - Hauerem, przysadzystym i rudowłosym Heinemannem oraz flegmatycznym, tłustym Schwar-tzem. Dwa razy wysłaliśmy mu wiadomość przez chłopca ze stoiska z gazetami, dwa razy dostaliśmy papierosy, magazyny, książki i czekoladę oraz parę nylonowych pończoch dla Reinette. Ludzie z zasady mniej się obawiają dzieci. Nie tak bardzo trzymają język na wodzy. Zebraliśmy dzięki temu więcej informacji, niż możecie sobie wyobrazić, i przekazaliśmy je wszystkie dalej - Hauerowi, Heineman-nowi, Schwartzowi i Leibnizowi. Inni żołnierze prawie się do nas nie odzywali. Schwartz, który słabo mówił po francusku, czasami gapił

się pożądliwie na ReINETTE i gardłowo, obleśnie bełkotał coś do niej po niemiecku. Hauer był sztywny i skrepowany, a Heinemann pełen nerwowej energii; bez przerwy skrobał się po rudawej szczecinie, która -jak się zdawało - stanowiła nieodłączny element jego wyglądu... W obecności pozostałych czułam się nieswojo.

i 125

Pięć ćwiartek pomarańczy

Ale nie w towarzystwie Tomasa. Tomas był jednym z nas. Zdołał podbić nasze serca jak nikt. I nie z powodu spraw tak oczywistych, jak obojętność naszej matki czy śmierć ojca albo nawet brak towarzyszy zabaw czy bieda spowodowana wojną. Sami ledwie byliśmy świadomi tego wszystkiego, żyjąc jak żyliśmy, w dzikim świątku własnej wyobraźni. Niewątpliwie nie posiadalibyśmy się ze zdumienia, gdyby nam powiedziano, jak rozpaczliwie go potrzebujemy. Nie z powodu tego, co nam przynosił - czekolady, gumy do żucia, kosmetyków i magazynów. Potrzebowaliśmy kogoś, komu moglibyśmy opowiadać o naszych wyczynach, komu moglibyśmy zaimponować; współkon-spiratora tryskającego energią młodości, lecz

mającego również pewną dozę doświadczenia; autora wspanialszych opowieści niż historie Cassisa. Naturalnie nie stało się to z dnia na dzień. Przypominaliśmy dzikie zwierzęta, jak słusznie mawiała matka, i trzeba nas było obłąskawić. Tomas musiał o tym wiedzieć od samego początku, sądząc po tym, jak sprytnie nas podszedł jedno po drugim, sprawiając, iż każde z nas czuło się kimś szczególnym... Nawet teraz, Boże dopomóż, niemal w to wierzę.

Nawet teraz.

Ukryłam złożone wędzisko w szkatułce ze skarbami. Musiałam uważać, bo w Les Laveuses nie brakowało bystrych oczu i długich języków, a lada przypadkowa uwaga wystarczyłaby, by wzbudzić czujność matki. Paul wiedział oczywiście, wytłumaczyłam mu jednak, że wędka należała do mojego ojca. Z powodu swojego jąkania Paul nigdy nie należał do plotkarzy, więc nawet jeśli coś podejrzewał, zachował to dla siebie, i byłam mu za to wdzięczna.

Lipiec był gorący i niespokojny; co drugi dzień przechodziły burze, a groźne sinoszare chmury kłębiły się

nad rzeką. Pod koniec miesiąca Loara niespodziewanie wystąpiła z brzegów, porywając wszystkie moje pułapki i sieci, a potem wylała na pola Houriasów, gdzie zielonożółte zboże za trzy tygodnie miało dojrzeć do żniw. Padało niemal co wie-

126

Joannę Harris

czór, błyskawice przecinały niebo niczym ogromne trzeszczące srebrne wstęgi, aż ReINETTE z wrzaskiem chowała się pod łóżko. Stawaliśmy z Cassisem w otwartym oknie z rozdziawionymi ustami, żeby sprawdzić, czy nasze zęby pochwyć sygnały radiowe. Migreny matki stały się częstsze niż kiedykolwiek, więc użyłam muślinowego woreczka -dopełnionego o skórkę z pomarańczy, którą dostaliśmy od Tomasa - tylko dwa razy w tym miesiącu i raz w następnym. Za pozostałe ataki nie ja odpowiadałam. Często źle sypiała i wstawała rankiem z ustami pełnymi jadowitych uwag i głową pełną nieżyczliwych myśli. W takie dni tęskniłam za Tomaszem, tak jak konający z głodu tęskni do jedzenia. Myślę, że z pozostałymi było podobnie.

Deszcz zaszkodził też naszym owocom. Jabłka, gruszki i śliwki puchły groteskowo, a potem pękały i gniły jeszcze na gałęziach. Chmury os unosiły się z brzęczeniem wokół nich, aż drzewa wydawały się od nich całe brązowe. Matka robiła, co mogła. Nakrywała ukochane jabłonie i grusze brezentem, żeby je uchronić od deszczu, lecz nawet to nie na wiele się zdało. Ziemia wysuszona na kamień i wypalona przez czerwcowe słońce zmieniła się teraz w breję. Drzewa stały w kałużach wody, ich odsłonięte korzenie gniły. Matka obsypywała je trocinami, ale nic to nie pomagało. Niedojrzałe owoce spadały na ziemię, zmieniając błoto w słodką maź. To, co udało się nam zebrać, przerabialiśmy na dżem, wszyscy jednak zdawaliśmy sobie sprawę, że zbiory przepadły, zanim jeszcze sezon się rozpoczął. Matka zupełnie przestała się do nas odzywać. Całymi tygodniami milczała z ustami zaciśniętymi w cienką białą linię, a jej oczy przypominały czarne dziury. Nerwowy tik zapowiadający migrenę prześladował ją nieustannie, a poziom pigulek w słoiku w łazience opadał szybciej niż kiedykolwiek.

Dni targowe były szczególnie ciche i przygnębiające. Sprzedawaliśmy, co się dało - zbiory zapowiadały się złe w

całym okręgu; nad Loarą nie znalazłoby się farmera,

i 127

Pięć ćwiartek pomarańczy

który by nie ucierpiał. Fasola, ziemniaki, marchew, dynie, a nawet pomidory były jednak mizerne z powodu suszy i deszczu, a nie mieliśmy ich wiele. Zamiast tego zaczęliśmy więc wozić do miasteczka nasze zimowe zapasy: przetwory, suszone mięso, terynę i confits, które matka przygotowała po ostatnim świniobiciu. W swojej desperacji traktowała każdy wyjazd na targ, jakby był ostatni. Niekiedy wyglądała tak ponuro i gniewnie, że klienci omijali ją z daleka i niczego nie kupowali. Wiłam się ze wstydu za nią - za nas - gdy tak stała z kamienną twarzą i niewi-dzącym wzrokiem, z palcem przystawionym do skroni niczym lufa pistoletu.

Pewnego dnia przybywszy na targ, zobaczyłyśmy, że drzwi i okna sklepu madame Petit zabito deskami. Monsieur Loup, handlarz ryb, powiedział mi, że po prostu

spakowała manatki i wyjechała pewnego dnia, nie podając powodu i nie zostawiając adresu.

- Czy to przez Niemców? - dopytywałam się natarczywie i z lekkim niepokojem. - To znaczy, dlatego że była Żydówką i w ogóle?

Monsieur Loup popatrzył na mnie dziwnie.

- Nic o tym nie wiem - powiedział. - Pewnego dnia spakowała się i tyle jej było. Nigdy nie słyszałem o innych powodach i ty też, jeśli masz trochę rozumu, lepiej zrobisz, jak nie będziesz tego rozpowiadać.

Jego twarz przybrała tak odpychający i niechętny wyraz, że przeprosiłam wystraszona i szybko wyszłam, o mało nie zapominając zabrać paczki z resztkami.

Ulęgę, że madame Petit nie została aresztowana, przytłumiło nieco dziwne uczucie rozczarowania. Przez jakiś czas rozmyślałam o tym, potem zaczęłam dyskretnie wypytywać w Angers i we wsi o ludzi, na których donosiliśmy. Madame Petit, monsieur Tupet vel Toubon, fryzjer naprzeciw kawiarni Le Chat Rouget dostający zbyt

wiele paczek, dwaj mężczyźni, których podsłuchaliśmy pewnego czwartku, jak rozmawiali po filmie przed Palais-Dore...

128

Joannę Harris

Co dziwne, myśl, że nasze informacje mogły się okazać bezwartościowe - być może ku rozbawieniu lub pogardzie Tomasa i innych - dręczyła mnie bardziej niż możliwość, iż wyrządzymy komuś krzywdę.

Sądzę, iż Cassis i Reinette znali prawdę już wcześniej. Dziewięć lat dzieli jednak od dwunastu czy czternastu nieprzebyta otchłań. Stopniowo zaczęłam sobie zdawać sprawę, że nikt z ludzi, których zadenuncjowaliśmy, nie został aresztowany ani nawet przesłuchany, a żadne z miejsc uznanych przez nas za podejrzane nie zostało przeszukane przez Niemców. Nawet tajemnicze zniknięcie monsieur Toubona vel Tupeta, porywczego nauczyciela łaciny, dało się łatwo wyjaśnić.

- Och, pojechał na wesele córki do Rennes - wyjaśnił

pogodnie monsieur Doux. - Nie ma w tym żadnej tajemnicy, kwiatuszku. Sam mu przekazałem zaproszenie.

Dręczyłam się tym prawie cały miesiąc, aż w głowie huczało mi z niepewności niczym w beczce pełnej os. Myślałam o tym, kiedy łowiłam ryby, zastawiałam pułapki, bawiłam się z Paulem w wojnę i kopałam ziemianki w lesie. Schudłam. Matka popatrzyła na mnie krytycznie i oświadczyła, że rosnę tak szybko, iż szkodzi to mojemu zdrowiu. Zabrała mnie do doktora Lemaitre, który zalecił, bym codziennie wypijała kieliszek czerwonego wina, lecz nawet to nie pomogło. Zdawało mi się, że ludzie mnie obserwują i plotkują na mój temat. Straciłam apetyt. Wyobrażałam sobie, że jakimś cudem Tomas i pozostali okażą się członkami ruchu oporu, że knują, jak się mnie pozbyć. Na koniec zwierzyłam się ze swoich trosk Cassisowi.

Byliśmy sami na Posterunku Obserwacyjnym. Znowu padało i Reinette została w domu z przeziębieniem. Nie zamierzałam mu mówić wszystkiego, ale kiedy raz zaczęłam, słowa posypały się ze mnie niczym ziarno z rozprutego worka. Nie mogłam ich powstrzymać. Trzymałam w ręce zielony worek z wędką i w gniewie

rzuciłam ją z drzewa w splątane zarośla jeżyn.

i

". Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nie jesteśmy dziećmi! - wrzeszczałam z wściekłością.
- Nie wierzą w to, co im mówimy? Więc dlaczego Tomas mi to dał - gwałtownym ruchem wskazałam wędkę - skoro sobie nie zasłużyłam?

Cassis spojrział na mnie zaskoczony.

- Można by pomyśleć, że żałujesz, że nikogo nie zastrzelili - powiedział niepewnie.

- Oczywiście że nie. - Mój głos brzmiał ponuro. - Myślałam tylko...

- Co ty tam możesz myśleć.

To był pełen wyższości głos dawnego Cassisa, drwiący

i zniecierpliwiony.

- Naprawdę sądzisz, że pomagalibyśmy, żeby kogoś zamknęli albo zastrzelili? Myślisz, że zrobilibyśmy coś takiego?

Udawał wstrząśniętego, ale wiedziałam, że w głębi duszy mu to pochlebia.

Tak właśnie uważam, odparłam w duchu. Jestem pewna, że gdybyś mógł na tym skorzystać, to właśnie byś zrobił. Wzruszyłam ramionami.

- Jakaś ty naiwna, Framboise - ciągnął z wyższością.
-Naprawdę jesteś jeszcze za mała na takie sprawy.

Wtedy sobie uświadomiłam, że nawet on nie wiedział o tym od początku. Był ode mnie bystrzejszy, lecz mimo to nie rozumiał. Tamtego pierwszego dnia w kinie naprawdę się bał; czuł lęk i podniecenie. I potem, kiedy rozmawiał z Tomaszem... Widziałam strach w jego oczach. Prawda dotarła do niego później, znacznie później.

Cassis machnął niecierpliwie ręką i odwrócił wzrok.

- Chodzi o szantaż - rzucił mi wściekle w twarz, opryskując mnie śliną. - Nie rozumiesz? Myślisz, że im, w Niemczech, tak dobrze się powodzi? Myślisz, że mają lepiej niż my? Że ich dzieci mają buty, czekoladę i całą resztę? Nie przyszło ci do głowy, że one też mogą tęsknić do takich rzeczy?

Gapiałam się na niego.

130

Joannę Harris

- Ty nigdy nie myślisz! - Widziałam, że jest wściekły nie z powodu mojej ignorancji, lecz własnej. - Tam to wygląda dokładnie tak samo, idiotko! - wrzeszczał. -Chowają wszystko, żeby posłać do domu. Dowiadują się różnych rzeczy o ludziach, a potem każą sobie płacić za milczenie. Słyszałaś, co mówił o sklepiku madame Petit. „Prawdziwa kopalnia czarnorynkowych towarów”. Myślisz, że pozwoliliby jej wyjechać, gdyby komukolwiek to powtórzył?

Dyszał ciężko, bliski śmiechu.

- Za skarby świata! Nie słyszałaś nigdy, co robią z Żydami w Paryżu? Nie słyszałaś nigdy o obozach śmierci?

Wzruszyłam ramionami. Czułam się głupia. Oczywiście, że słyszałam o tym wszystkim. Tyle tylko, że w Les Laveuses było inaczej. Wszyscy czytaliśmy o hitlerowskich obozach, ale w moim umyśle splątały się one z zabójczym promieniem z „Wojny światów”. Twarz Hitlera zlała się w jedno ze zdjęciami Charliego Chaplina z ilustrowanych magazynów ReINETTE; fakty mieszały się z baśniami, plotkami, zmyśleniem; kroniki filmowe z wojownikami z Marsa z seryjnych opowieści, nocnymi strzałami nad Renem i szwadronami śmierci; U-Booty z Nautilusem z „Dwudziestu tysięcy mil podmorskiej żeglugi”.

- Szantaż? - powtórzyłam tępo.

- Interesy - poprawił Cassis ostro. - Myślisz, że to sprawiedliwe, że niektórzy ludzie mają czekoladę i kawę, porządne buty, ilustrowane magazyny i książki, a inni muszą się obejść smakiem? Nie uważasz, że powinni za to

wszystko zapłacić? Podzielić się częścią tego, co mają? A hipokryci, jak monsieur Toubon, i kłamcy? Nie sądzisz, że oni też powinni zapłacić? To nie jest tak, że ich nie stać. Nikomu nie dzieje się krzywda.

To samo mógłby powiedzieć Tomas. Dlatego tak trudno było zignorować słowa Cassisa. Wolno pokiwałam głową. Wydawało mi się, że przyjął to z ulgą.

131

Pięć ćwiartek pomarańczy

- To nawet nie kradzież - ciągnął dalej gorąco. - Towary z czarnego rynku należą do wszystkich. Po prostu dbam o to, żebyśmy dostali to, co się nam należy.

- Jak Robin Hood.

- Właśnie.

Skinęłam znowu. Z tego punktu widzenia wszystko wydawało się całkowicie sprawiedliwe i sensowne.

Poszłam wyciągnąć z jeżyn worek z wędką,
uspokojona, że mimo wszystko na nią zasłużyłam.

Część trzecia BAR W PRZYCZEPIE

W jakieś pięć miesięcy po śmierci Cassisa - i cztery lata od awantury o Mamie Framboise - Yannick i Laure wrócili do Les Laveuses. Działo się to latem. Moja córka Pi-stache przyjechała z dziećmi, Prune i Ricotem, i aż do tego momentu był to szczęśliwy czas. Dzieci rosły tak szybko i były urocze, zupełnie jak ich matka: Prune o oczach koloru czekolady i kręconych włoskach i Ricot - wysoki, o aksamitnych policzkach, oboje tak radośni i skłonni do psot, że gdy na nich patrzę, aż mi serce pęka, tak bardzo przypominają mi przeszłość. Przysięgam, czuję się czterdzieści lat młodsza, kiedy mnie odwiedzają. Tego lata nauczyłam ich łowić ryby i zakładać przynętę do pułapek, robić makaroniki karmelowe i dżem z zielonych fig, czytałam z Ricotem „Robinsona Crusoe” i „Dwadzieścia tysięcy mil podmorskiej żeglugi”, opowiadałam Prune bezwstydne kłamstwa o rybach, które złowiłam, i trzęsłam się ze strachu razem z nią, snując legendę o przerażającym darze Starej Mateczki.

- Mówią, że temu, kto ją złapie i wypuści wolno, spełnią najskrytsze pragnienia serca, ale jeśli ją

zobaczysz, choćby kącikiem oka, i nie złowisz, spotka cię coś strasznego.

-I

135

PIĘĆ ĆWIARTEK POMARAŃCZY

Prune spojrzała na mnie szeroko otwartymi oczyma, z kciukiem na wszelki wypadek wetkniętym do ust.

- Na przykład co? - wyszeptała przejęta. Postarałam się, by mój głos zabrzmiał cicho i groźnie.

- Umrzesz, kochanie - wyjaśniłam łagodnie. - Albo umrze ktoś inny. Ktoś, kogo kochasz. Albo zdarzy się coś jeszcze gorszego. Tak czy inaczej, nawet jeśli uda ci się przeżyć, przekleństwo Starej Mateczki będzie ci towarzyszyć do grobu.

Pistache posłała mi groźne spojrzenie.

- Maman, nie rozumiem, czemu ciągle jej mówisz o

takich rzeczach - powiedziała z wymówką. - Chcesz, żeby miała koszmary i zaczęła się moczyć w nocy?

- Wcale się nie moczę! - zaprotestowała Prune. Spojrzała na mnie wyczekująco i pociągnęła mnie za

rękę.

- Meme, a ty widziałaś kiedyś Starą Mateczkę? Widziałaś? Powiedz!

Nagle zrobiło mi się zimno. Pożałowałam, że nie opowiedziałam jej innej historii. Pistache spojrzała na mnie gniewnie i zrobiła ruch, jakby chciała zabrać małą z moich kolan.

- Prunette, daj babci spokój. Pora do łóżka, a ty nawet jeszcze nie umyłaś zębów ani...

- Proszę, memee, powiedz! Widziałaś ją? Objęłam wnuczkę i chłód nieco zelżał.

- Skarbie, kiedyś polowałam na nią całe lato. Ciągle próbowałam ją złowić, w sieci i na wędkę, i w pułapki.

Zastawiałam je każdego dnia i sprawdzałam dwa razy dziennie albo częściej, jeśli tylko mogłam.

Prune spojrzała na mnie z powagą.

- Musiałaś strasznie chcieć, aby ci się spełniło to życzenie. Kiwnęłam głową.

- Chyba tak.

- I udało ci się ją złowić? Jej buzia płonęła jak piwonia. Pachniała biszkoptami

i świeżo skoszoną trawą - wspaniały ciepły, słodki zapach

136

Joannę Harris

dzieciństwa. Cóż, starzy ludzie powinni zawsze mieć przy sobie młodych, dla pamięci. Uśmiechnęłam się.

- Udało.

Jej oczy rozszerzyły się z podniecenia. Ściszyła głos do szeptu.

- I jakie powiedziałaś życzenie?

- Żadnego, skarbie - odparłam spokojnie.

- To znaczy, że ci uciekła? Pokręciłam głową.

- Nie, naprawdę ją złapałam.

Pistache obserwowała mnie teraz uważnie z cienia. Prune przycisnęła drobne pulchne rączki do mojej twarzy.

- No to dlaczego? Przyglądałam się jej krótką chwilę.

- Nie wypuściłam jej z powrotem - wyjaśniłam. -W końcu ją złapałam, ale nie pozwoliłam jej odpłynąć.

Tyle tylko, że to nieprawda, pomyślałam w duchu. W rzeczywistości wszystko wyglądało trochę inaczej. A potem pocałowałam wnuczkę i obiecałam, że resztę opowiem później, a w ogóle nie wiem, czemu właściwie

opowiadam te wszystkie stare bzdury. Mimo jej protestów pochlebstwem i kłamstwem udało się ją wreszcie zapędzić do łóżka. Długo rozmyślałam tej nocy, kiedy wszyscy dawno już zasnęli. Nigdy nie cierpiałam na bezsenność, tym razem jednak zdawało się, że upłynęły całe godziny, nim sen wreszcie nadszedł. Nawet wtedy śniła mi się Stara Mateczka ukryta w czarnej wodzie - szarpałyśmy się ze sobą, jakby żadna z nas nie mogła znieść myśli o poddaniu...

W każdym razie goście zjawili się wkrótce później. Najpierw przyszli do restauracji, niemal pokornie, jak zwykli klienci. Zamówili brochet angevin i tourteau fromage. Obserwowałam ich ukradkiem z mojego posterunku w kuchni, ale zachowywali się grzecznie i nie sprawiali kłopotów. Rozmawiali ze sobą ściszymi głosami, nie stawiali nierozsądnych żądań związanych z piwniczką

i

137

Pięć ćwiartek pomarańczy

z winem i ten jeden raz nie nazywali mnie Mamie. Laure była czarująca, Yannick serdeczny; oboje starali mi się przypocholebić i okazać, jak bardzo wszystko im się podoba. Z pewną ulgą zauważyłam, że nie czulą się już do siebie i nie całują tak często przy wszystkich. Odtajałam na tyle, że nawet porozmawiałam z nimi chwilę przy kawie i ptifurkach.

Laure postarzała się przez te cztery lata. Schudła - może idąc za modą, ale nie wyglądała z tym dobrze - a jej miedziane włosy przylegały do głowy gładko niczym hełm. Wydawała się niespokojna, wciąż przesuwała ręką po brzuchu, jakby ją coś bolało. Yannick, o ile mogłam stwierdzić, nie zmienił się wcale.

Interes idzie świetnie, oświadczył radośnie. Odłożył

mnóstwo pieniędzy. Wiosną planują wyprawę na Bahamy;

od lat nie byli razem na wakacjach. O Cassisie mówili

z uczuciem i - jak mi się zdawało - szczerym żalem.

Już zaczynałam myśleć, że osądzałam ich zbyt surowo.

Niesłusznie.

Później w tym samym tygodniu zjawili się na farmie w porze, gdy Pistache kładła dzieci spać. Przynieśli prezenty dla nas wszystkich. Słodycze dla Prune i Ricota, kwiaty dla Pistache. Córka patrzyła na nich z wyrazem bezmyślnej słodyczy, który, jak wiem, oznacza u niej niechęć, a który oni bez wątpienia wzięli za głupotę. Laure przyglądała się dzieciom z dziwną natarczywością, która mnie zaniepokoiła; jej spojrzenie biegło co chwila ku Prune bawiącej się szyszkami na podłodze.

Yannick rozsiadł się w fotelu przy kominku. Czułam obecność Pistache siedzącej w milczeniu obok i miałam nadzieję, że nieproszeni goście szybko się wyniosą. Żadne z nich jednak nie zdradzało najmniejszej ochoty, by to

zrobić.

- Jedzenie było po prostu doskonałe - odezwał się

Yannick leniwie. - Ten brochet... nie wiem, co z nim zrobiłaś, ale smakował absolutnie wspaniale.

138

Joannę Harris

- Ścieki - wyjaśniłam uprzejmie. -W dzisiejszych czasach tyle ich trafia do rzeki, że ryby żywią się praktycznie tylko nimi. Nazywamy je kawiozem z Loary. Bardzo bogate w mikroelementy.

Laureę spojrzała na mnie przestraszona. Po chwili Yannick wybuchnął tym swoim cichym śmiechem - he, he, he. Żona przyłączyła się do niego.

- Mamie lubi sobie pożartować, he, he. Kawior z Loary. Naprawdę potrafisz dociąć, kochanie.

Zauważyłam jednak, że nigdy więcej nie zamówili szczupaka.

Kiedy Pistache ułożyła dzieci do snu, Yannick i Laureę zaczęli mówić o Cassisie. Z początku zupełnie

nieszkodliwe rzeczy, jak to papa byłby szczęśliwy, gdyby mógł poznać siostrzenicę i jej dzieci.

- Zawsze powtarzał, jak bardzo by chciał, żebyśmy mieli potomka - powiedział Yannick. - Jednak Laureę na tym etapie kariery...

Żona nie dała mu skończyć.

- Będzie jeszcze na to czas - odezwała się niemal ostro.
- Nie jestem taka stara, prawda?

Pokręciłam głową.

- Pewnie, że nie.

- I oczywiście wówczas mieliśmy dodatkowe wydatki, bo trzeba było pomyśleć o opiece dla papy. Prawie nic nam nie zostawił, mamie - poskarżył się Yannick, nadgryzając sables. - Wszystko, co miał, dostał od nas. Nawet dom.

Nietrudno mi było w to uwierzyć. Cassis nigdy nie był dusigroszem. Przepuszczał pieniądze na papierosy albo

znacznie częściej na jedzenie. W paryskich latach był najlepszym klientem własnej restauracji.

- Oczywiście do głowy by nam nie przyszło robić mu wymówki. - W głosie Laureę brzmiała łagodność. - Bardzo kochaliśmy biednego papę, prawda, cheri?

Yannick skinął głową z większym entuzjazmem niż szczerością.

i

139

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Och, tak. Bardzo go kochaliśmy. I oczywiście... ta jego wspaniałomyślność. Nigdy nie żywił urazy z powodu... tego domu ani spadku, ani niczego. Niezwykły człowiek.

Popatrzył na mnie; przenikliwe, szczerze spojrzenie.

- Co to niby ma znaczyć?

Zerwałam się na równe nogi, omal nie rozlewając kawy, wciąż bardzo świadoma, że Pistache siedzi obok, przysłuchując się wszystkiemu. Nigdy nie opowiadałam córkom o Reinette ani Cassisie. Nigdy się nie spotkali. Myślały, że nie mam rodzeństwa. I nigdy ani słowem nie wspominałam o matce.

Yannick spojrział na mnie bojaźliwie.

- No cóż, mamie, wiesz przecież, że on naprawdę miał odziedziczyć dom...

- Nie myśl, że cię winimy...

- Ale był najstarszy, a w testamencie waszej matki...

- Zaraz, zaraz!

Staralam się, by mój głos nie zabrzmiał piskliwie, ale i tak przez chwilę przypominał głos matki. Spostrzegłam, że Pistache się skrzywiła.

- Dałam Cassisowi dobrą cenę za dom - powiedziałam

niższym tonem. - Po pożarze została z niego wypalona ruina, gołe krokwie sterczały spod dachówek. Nigdy by tu nie zamieszkał, zresztą nawet by nie chciał. Zapłaciłam mu uczciwie; więcej, niż mogłam i...

- Ćśśś. Wszystko w porządku. Laureę spojrzała wściekle na męża.

- Nikt nie sugeruje, że w umowie między wami było coś niestosownego.

Coś niestosownego.

Bardzo podobne do Laureę określenie; napuszone, zadowolone z siebie i z odpowiednią dozą sceptycyzmu. Czulałam, jak moja ręka zaciska się na filiżance z kawą; drobne jasne punkciki oparzenia na opuszkach palców.

- Ale spróbuj na to spojrzeć z naszego punktu widzenia.

To był Yannick, jego szeroka twarz lśniła.

Joannę Harris

- Spadek po naszej babce...

Nie podobał mi się kierunek, w jakim zmierzała ta rozmowa. Szczególnie irytowała mnie obecność Pistache, jej okrągłe oczy, rejestrujące każdy szczegół.

- Nigdy nawet nie znaliście mojej matki, żadne z was -przerwałam mu ostro.

- To nie ma znaczenia, mamie - wtrącił Yannick szybko. - Chodzi o to, że było was troje. I spadek został podzielony na trzy części. Tak to wyglądało, prawda?

Skinęłam ostrożnie głową.

- Jednak ponieważ biedny papa odszedł, musimy się zastanowić, czy nieformalna umowa, którą zawarliście między sobą, jest sprawiedliwa z punktu widzenia pozostałych członków rodziny.

Mówił obojętnym tonem, lecz dostrzegłam błysk w

jego oczach. Zaczęłam krzyżeć, ogarnięta nagłą wściekłością.

-Jaka „nieformalna umowa”? Tłumaczyłam wam, zapłaciłam ciężkie pieniądze... podpisałam papiery...

Laurę położyła mi dłoń na ręce.

- Yannick nie zamierzał cię zdenerwować, mamie.

- Wcale nie jestem zdenerwowana - odparłam lodowato. Yannick zignorował moje słowa i ciągnął dalej:

- Tylko że niektórzy mogą pomyśleć, że umowa, jaką zawarłaś z biednym papą... chorym człowiekiem, rozpaczliwie potrzebującym gotówki...

Widziałam, iż Laurę obserwuje Pistache, i zakląłam cicho.

- Poza tym trzecia część, do której nikt nie zgłosił roszczeń, a która miała należeć do tante Reine...

Fortuna zakopana w piwnicy. Dziesięć skrzynek bor-

deaux schowanych w roku, gdy się urodziła, przykrytych deskami i zacementowanych, by je uchronić przed Niemcami i wszystkim, co miało się jeszcze zdarzyć, wartych dzisiaj tysiąc franków za butelkę albo coś koło tego, czekających na odkrycie. Cholera. Cassis nigdy nie potrafił trzymać języka za zębami. Przerwałam Yannickowi gwałtownie.

i

141

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nadal jest schowana dla niej. Nigdy jej nie tknęłam.

- Oczywiście że nie, mamie. Mimo to...

Yannick, nieszczęśliwy, wyszczerzył zęby. Tak bardzo przypominał Cassisa, że aż ścisnęło mi się serce. Rzuciłam krótkie spojrzenie na Pistache, siedzącą prosto jakby kij połknęła na krześle, z twarzą bez wyrazu.

- Mimo to musisz przyznać, że istnieje małe prawdopodobieństwo, by tante Reine upomniała się o swoją część teraz, więc chyba się zgodzisz, że byłoby sprawiedliwiej dla wszystkich zainteresowanych...

- Trzecia część należy do Reine - odparłam kategorycznie. - Nie tknę jej. I nie dałabym jej wam, nawet gdybym mogła. Czy to jest odpowiedź na twoje pytanie?

Znowu Laurę zwróciła się ku mnie. W swojej czarnej sukni, z złotym światłem padającym jej na twarz wyglądała niemal na chorą.

- Przepraszam - powiedziała, rzucając znaczące spojrzenie Yannickowi. - Zupełnie nie zamierzaliśmy mówić o pieniądzach. Oczywiście nie wymagamy od ciebie, żebyś oddała swój dom... albo choćby część dziedzictwa tante Reine. Jeśli nasze słowa sugerowały coś podobnego...

Pokręciłam głową, wcale nie uspokojona.

- Więc, na miłość boską, co ma to wszystko...

- Była jeszcze książka... - wpadła mi w słowo Laure. Oczy jej błyszczały.

- Książka? - powtórzyłam. Yannick skinął głową.

- Papa nam o niej wspomniał - wyjaśnił. - Pokazywałaś mu ją.

- Książka z przepisami - ciągnęła dalej Laure z niezwykłym spokojem. - Do tej pory musisz je już znać na pamięć. Gdybyśmy tylko mogli ją obejrzeć... pożyczyć...

- Oczywiście zapłacilibyśmy za każdy wykorzystany przepis - wtrącił Yannick pośpiesznie. - Pomyśl, dzięki temu ocalilibyśmy nazwisko Dartigen od zapomnienia.

142

Joannę Harris

To musiało być to: wzmianka o nazwisku. To ona była wszystkiemu winna. Wzburzenie, strach i niedowierzenie

walczyły we mnie przez chwilę, lecz na wspomnienie nazwiska lęk przeszył mnie niczym włócznia. Zmiotłam filiżanki ze stołu; rozbiły się o terakotowe płytki podłogi. Widziałam, że Pistache patrzy na mnie dziwnie, lecz nie mogłam się oprzeć fali gniewu.

- Nie! Nigdy!

Mój głos wzniósł się w niewielkim pomieszczeniu jak czerwony latawiec; na sekundę opuściłam własne ciało i bez emocji przyglądałam się sobie z góry - zaniedbanej kobiecie o ostrych rysach, w szarej sukience, z włosami ściągniętymi w ciasny węzeł. Dostrzegłam zrozumienie w oczach córki i skrywaną wrogość na twarzach bratanka i jego żony. Potem gniew z powrotem znalazł się na swoim miejscu. Przez chwilę zupełnie nad sobą nie panowałam.

- Wiem, o co wam chodzi! - warknęłam. - Skoro nie możecie mieć Mamie Framboise, wystarczy wam Mamie Mirabelle! Prawda?

Każdy oddech ranił mnie niczym drut kolczasty.

- Nie wiem, co wam Cassis naopowiadał. To nie był

jego interes i nie jest wasz. Tamta stara historia jest zamknięta. Ona też nie żyje i nie wydobędziecie ze mnie ani słowa, choćbyście czekali pięćdziesiąt lat!

Brakowało mi tchu, gardło bolało od krzyku. Sięgnęłam po prezent od nich - pudełko płóciennych serwetek, leżące na kuchennym stole, jeszcze owinięte w srebrny papier - i gwałtownie wcisnęłam Laurę do rąk.

- Zabierajcie te swoje łapówki - wrzasnęłam ochryple - i wetknijcie je sobie w wasze modne tyłki razem z paryskimi kartami dań, waszymi morelowymi coulis i waszym biednym starym papą...

Na sekundę nasze spojrzenia się spotkały. Zobaczyłam, że Laurę wreszcie się zdradziła, jej oczy wypełniła niechęć.

i

143

Pięć ćwiartek pomarańczy

-Mogłabym porozmawiać ze swoim prawnikiem...
-zaczęła.

Wybuchnęłam śmiechem.

- A to dobre! - rechotałam. - Z prawnikiem! Zawsze się na tym kończy, co? - Aż się dławiałam od nieposkromionego chichotu. - Porozmawiać z prawnikiem!

Yannick próbował uspokoić żonę, oczy błyszczały mu z niepokoju.

- Już dobrze, chérie... wiesz, jak... Laure naskoczyła na niego wściekle.

- Zabieraj ode mnie swoje pieprzone łapy! Zanosłam się śmiechem, trzymając się za brzuch.

Ciemne plamy tańczyły mi przed oczami. Laure przeszła mnie spojrzeniem pełnym nienawiści jak szrapnelem, ale zaraz się opanowała.

- Przepraszam. - Jej głos brzmiał zimno. - Nie wiesz, jakie to dla mnie ważne. Moja kariera...

Yannick, obserwując mnie czujnie, starał się ją skierować w stronę drzwi.

- Nie chcieliśmy cię zdenerwować, mamie - wtrącił szybko. - Wrócimy, kiedy odzyskasz nieco panowanie nad sobą... nie chodzi nam o to, żeby zatrzymać książkę...

Słowa rozsypały się niczym karty z talii. Zaśmiałam się twardo. Moje przerażenie rosło, lecz nie potrafiłam się opanować. Nawet kiedy odjechali - zgrzyt opon ich mercedesa brzmiał w ciemnościach, jakby chcieli się wymknąć ukradkiem - co chwila napadał mnie chichot. Kiedy opadał poziom adrenaliny, przeradzał się w szloch, sprawiając, że czułam się roztrzęsiona i stara.

Taka stara.

Pistache patrzyła na mnie z nieprzeniknioną twarzą. Zza drzwi sypialni wyjrzała buzia Prune.

- Memee? Co się stało?

- Wracaj do łóżka, kochanie - szybko odezwała się Pistache. -Wszystko w porządku. To drobiazg.

Mała nie wyglądała na przekonaną.

144

Joannę Harris

- Czemu memee krzyczała?

- To nic.

Głos matki brzmiał teraz ostro, gniewnie.

- Wracaj do łóżka!

Prune wyszła z ociąganiem. Pistache zamknęła drzwi.

Siedziałyśmy w milczeniu.

Wiedziałam, że sama się odezwie, kiedy będzie

gotowa, i miałam dość rozumu, żeby jej nie poganiać. Wygląda na łagodną, ale i ona potrafi być uparta. Wiem, jak to jest; wzięła to po mnie. Zmyłam naczynia i filiżanki, wytarłam i schowałam do szafki. Potem wyciągnęłam książkę i udawałam, że czytam.

Po dłuższej chwili Pistache się odezwała.

- O co chodziło z tym spadkiem? Wzruszyłam ramionami.

- O nic. Cassis udawał, że jest bogaty, by się nim zajęli na stare lata. Powinni byli mieć więcej rozumu. To wszystko.

Miałam nadzieję, że to jej wystarczy, lecz stanowcza zmarszczka pomiędzy jej brwiami zapowiadała kłopoty.

- Nie wiedziałam, że miałam wuja - rzuciła bezbarwnie.

- Nie byliśmy ze sobą blisko.

Milczenie. Widziałam, jak obraca tę sprawę w głowie i

pragnęłam przerwać tok jej myśli, lecz wiedziałam, że to niemożliwe.

- Yannick jest bardzo do niego podobny - odezwałam się, próbując lekkiego tonu. - Przystojny niedojda. Żona kręci nim jak tańczącym niedźwiedziem.

Przedrzeźniałam Laure z afektacją, licząc na uśmiech córki, lecz wyraz zamyślenia w jej oczach tylko się pogłębił.

- Wyglądało, jakby uważali, że w jakiś sposób go oszukałaś - powiedziała. - Wykorzystałaś, kiedy był chory.

Zmusiłam się do milczenia. Gniew nie pomoże nikomu.

- Pistache - odparłam cierpliwie. - Nie wierz we wszystko, co ci dwoje mówią. Cassis nie był chory, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim myślisz. Pił tak długo,

10. Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

aż zbankrutował, zostawił żonę i syna, a farmę sprzedał, żeby spłacić długi...

Przyglądała mi się podejrzliwie. Musiałam zrobić duży wysiłek, żeby nie podnieść głosu.

- Posłuchaj, to stare dzieje. Wszystko skończone. Mój brat nie żyje.

- Laurę mówiła, że jest jeszcze siostra. Skinęłam.

- Reine-Claude.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś? Wzruszyłam ramionami.

- Nie byłyśmy...

- Blisko. Rozumiem.

Jej głos był cichy i bezbarwny. Strach przeszył mnie znowu, więc odezwałam się ostrzej, niż zamierzałam:

- No i? Dobrze to rozumiesz, prawda? Ostatecznie ty i Noisette nigdy się nie...

Ugryzłam się w język, lecz było za późno. Zauważyłam, że drgnęła, i przeklełam się w głębi ducha.

- Nie. Ale przynajmniej próbowałam. Ze względu na ciebie.

Niech to diabli. Zapomniałam, jaka jest wrażliwa. Przez wszystkie lata uważałam ją za tę spokojniejszą, widząc, jak druga z moich córek staje się z każdym dniem coraz dziksza i bardziej samowolna... Tak, to Noisette była moją ulubienicą. Lecz aż do tej chwili łudziłam się, że dobrze to ukrywałam. Gdybym miała do czynienia z Prune, wzięłabym ją w ramiona, lecz siedziała przede mną spokojna kobieta o zamkniętej twarzy, z nieznacznym, bolesnym uśmiechem i sennym spojrzeniem kota... Pomyślałam o Noisette; o tym, jak przez własną dumę i

upór doprowadziłam do tego, iż stała się dla mnie kimś obcym. Spróbowałam wyjaśnić.

- Zostaliśmy rozdzieleni wiele lat temu - powiedziałam. -Po... wojnie. Nasza matka... zachorowała... i zamieszkaliśmy u różnych krewnych. Nie mieliśmy ze sobą kontaktu.

146

Joannę Harris

To, co powiedziałam, było prawdą, a w każdym razie na tyle bliskie prawdy, na ile mogłam się zdobyć.

- Reine wyjechała do... pracy... do Paryża. Ona... też zachorowała. Jest w prywatnym szpitalu. Odwiedziłam ją kiedyś, ale...

Jak miałam jej wytłumaczyć? Szpitalny zapach tego miejsca - gotowanej kapusty, prania i choroby. Telewizory dudniące w salach pełnych zagubionych ludzi, którzy wybuchali płaczem, ponieważ nie lubili gotowanych jabłek. Niekiedy krzyczeli na siebie z zaskakującą

nienawiścią, bezradnie wymachując rękami, i popychali jeden drugiego na jasnozielone ściany. Był tam mężczyzna na wózku -dość młody jeszcze człowiek o twarzy jak pokryta szramami pięść i wywróconych, bezradnych oczach - krzyczący „Nie chcę tu być! Nie chcę tu być!" przez cały czas mojej wizyty, aż jego głos ścichł do mamrotania i nawet ja zubożniałam na jego rozpacz. Jakaś kobieta stała w kącie twarzą do ściany i płakała, nie zwracając niczyjej uwagi. I tamta na łóżku - wielka rozdęta postać o farbowanych włosach i krągłych białych ramionach i udach, chłodnych i miękkich niczym nieupieczone ciasto, mrużąc coś do siebie z pogodnym uśmiechem... Tylko głos był ten sam -gdyby nie on, nigdy bym nie uwierzyła - dźwięczny głosik małej dziewczynki, wyśpiewujący sylaby bez sensu. Oczy puste i okrągłe jak u sowy. Zmusiłam się, by jej dotknąć.

- Reine. ReINETTE.

Znowu ten mdły uśmiech, nieznaczne skinienie głową, jakby w swoich marzeniach była królową, a ja jej poddaną. Nie pamięta, jak jej na imię, wyjaśniła mi cicho pielęgniarzka, ale jest dość szczęśliwa; niekiedy miewa „lepsze dni", uwielbia telewizję, szczególnie filmy

rysunkowe, i lubi, kiedy szcztokuje się jej włosy przy muzyce z radia...

- Oczywiście, miewamy też napady - ciągnęła siostra, a ja zamarłam na te słowa, czując jak mój żołądek zwija się w twardy, jasny węzeł przerażenia. - Budzimy się w nocy - dziwaczny zaimek, jak gdyby biorąc na siebie

I

147

Pięć ćwiartek pomarańczy

część tożsamości chorej, mogła w jakiś sposób doświadczyć bycia starą i obłąkaną - i czasem miewamy ataki szału, prawda?

Uśmiechnęła się do mnie promiennie - młoda blondynka, mogąca mieć ze dwadzieścia lat. Tak bardzo nienawidziłam jej w tym momencie za młodość i radosną niewiedzę, że niemal odwzajemniłam uśmiech.

Poczułam ten sam uśmiech na swojej twarzy, kiedy

patrzyłam na córkę, i nienawidziłam siebie za to. Znowu spróbowałam niefrasobliwego tonu.

- Wiesz, jak to jest - rzuciłam przeprasząco. - Nie znoszę starych ludzi... szpitali. Posłałam jej trochę pieniędzy...

Nie powinnam była tego mówić. Czasem każde słowo okazuje się niewłaściwe. Moja matka o tym wiedziała.

- Pieniądze - powtórzyła Pistache pogardliwie. - Czy to jedyne, na czym ludziom zależy?

Wkrótce potem położyła się spać i nic już nie było dobrze między nami tego lata. Wyjechała pod koniec wakacji, wcześniej niż zwykle, tłumacząc się zmęczeniem i zbliżającym się początkiem roku szkolnego, widziałam jednak, że coś jest nie tak. Parę razy próbowałam z nią porozmawiać, ale bez skutku. Pozostała odległa, czujna. Zauważyłam, że dostaje dużo listów, ale dopiero znacznie później zaczęłam przywiązywać do tego wagę. Miałam na głowie inne sprawy.

Parę dni po wizycie Yannicka i Laure pojawił się bar z przekąskami. Wielka ciężarówka przyholowała i zaparkowała na trawiastym brzegu naprzeciw Crepe Framboise przyczepę. Wsiadł z niej młody człowiek w czerwono-żółtej papierowej czapce. Byłam wtedy zajęta obsługiwaniem klientów i nie zwróciłam na niego uwagi, więc kiedy wyjrzałam znowu później po południu, stwierdziłam że

148

Joannę Harris

z dumieniem, że ciężarówka odjechała, pozostawiając niewielką przyczepę z wykonanym czerwonymi drukowanymi literami napisem „Super-Snak”. Wysłałam na zewnątrz, żeby się lepiej przyjrzeć. Przyczepa wydawała się pusta, ale ochronne żaluzje zabezpieczono grubym łańcuchem i zamknięto na kłódkę. Zastukałam do drzwi. Nikt nie odpowiedział.

Następnego dnia bufet z przekąskami otwarto. Zauważyłam to około pół do dwunastej, kiedy zwykle

zaczynali się pojawiać pierwsi klienci. Żaluzje podciągnięto, odsłaniając kontuar pod czerwono-żółtą markizą. Rozwieszono też sznur proporczyków we wszystkich kolorach tęczy z nazwami potraw i cenami - steak-frites, 17 f; saucisse-fri-tes, 14 f- oraz kilka jaskrawych plakatów reklamujących super-snaks albo big value burgers i różne napoje.

- Wygląda na to, że masz konkurencję - zauważył Paul Hourias, który zjawił się punktualnie kwadrans po dwunastej.

Można według niego nastawiać zegarek. Nie pytałam, co chce zamówić - zawsze bierze danie dnia i demi. Nie mówi wiele, siada na swoim zwykłym miejscu przy oknie i jedząc, obserwuje drogę. Uznałam, że to jeden z jego nieczęstych żartów.

- Konkurencja! - prychnęłam pogardliwie. - Monsieur Hourias, w dniu, w którym Crepe Framboise będzie musiała współzawodniczyć z handlarzami tłuszczem z byle przyczepy, spakuję moje garnki i patelnie i wyniosę się stąd.

Paul zachichotał. Tego dnia na obiad były sardynki z grila, jedna z jego ulubionych potraw, z chlebem orzechowym. Jadł w zamyśleniu, jak zwykle wyglądając na szosę. Wydawało się, że zjawienie się przyczepy nie wpłynęło na liczbę klientów creperie i przez następne dwie godziny byłam zajęta w kuchni, podczas gdy moja kelnerka Lise odbierała zamówienia. Kiedy wyjrzałam znowu, przy wozie stało parę osób, lecz była to młodzież, nie moi stali

i

149

Pięć ćwiartek pomarańczy

klienci, dziewczyna i chłopak, z rożkami frytek w rękach. Wzruszyłam ramionami. Jakoś to przeżyję.

Następnego dnia przyszło ich tuzin, wszyscy młodzi, a z radia leciała jazgotliwa muzyka na cały regulator. Choć panował upał, zamknęłam drzwi creperie, lecz mimo to blaszarie echo gitar i perkusji wdzierało się do wnętrza, a Marie Fenouil i Charlotte Dupre, dwie stałe bywalczy-nie,

narzekały na hałas i gorąco.

Kolejnego dnia tłum był większy, a muzyka głośniejsza, więc udałam się na skargę. O jedenastej czterdzieści ruszyłam w stronę baru. Natychmiast otoczył mnie rój nastolatków, niektórych mi znanych, lecz byli też przybysze z miasta; dziewczyny w biustonoszach i spódnicach lub dżinsach, chłopcy z postawionymi kołnierzami i w motocyklowych butach z brzęczącymi klamerkami. Zauważyłam kilka motorów opartych o ściany baraku. Zapach benzyny mieszał się z wonią spalenizny i piwa. Jakaś smarkula o krótko ściętych włosach i z kolczykiem w nosie spojrzała na mnie bezczelnie, kiedy maszerowałam do lady, po czym zagroziła mi drogę ręką, ledwie mijając twarz.

- Poczekaj na swoją kolej, tnemere - rzuciła zuchwale z ustami pełnymi gumy. - Nie widzisz, że inni też czekają?

- Ach, więc dlatego tu stoisz, skarbie? - prychnęłam.
-A ja myślałam, że jedynie reklamujesz swoje wdzięki.

Otwarfa usta ze zdumienia. Przepchnęłam się obok, nie poświęcając jej drugiego spojrzenia. Cokolwiek by się

rzekło o Mirabelle Dartigen, nauczyła swoje dzieci nie zapominać języka w gębie.

Lada znajdowała się wysoko, więc musiałam zadzierać głowę, patrząc na młodego człowieka w wieku około dwudziestu pięciu lat, przystojnego w ostentacyjnie modny sposób, i brudnoblond włosami opadającymi na kołnierz i pojedynczym złotym kolczykiem - chyba krzyżem - zwisającym z ucha. Miał oczy, które zrobiłyby na mnie wrażenie czterdzieści lat temu, lecz dziś jestem na to za stara i zbyt wybredna. Jeśli dobrze pamiętam, moje serce uspo-

150

Joannę Harris

koilo się mniej więcej w czasach, gdy mężczyźni zarzucili noszenie kapeluszy. Jak teraz o tym pomyśle, chłopak wyglądał znajomo, ale wtedy się nad tym nie zastanawiałam. Oczywiście on już mnie znał.

- Dzień dobry, madame Simon - odezwał się uprzejmym, ironicznym tonem. - Czym mogę pani służyć?

Mamy wspaniałe burgery american, gdyby pani zechciała spróbować.

Byłam zła, ale starałam się tego nie okazać. Jego uśmiech zdradzał, że spodziewa się kłopotów, lecz wierzy, iż sobie z nimi poradzi. Poczęstowałam go jednym z moich najśłodszych uśmiechów.

- Nie dzisiaj, dziękuję - odparłam. - Ale byłabym wdzięczna, gdybyś zechciał przyciszyć radio. Moi klienci...

- Ależ oczywiście.

Głos miał układny i kulturalny, oczy połyskiwały porcelanowym błękitem.

- Nie miałem pojęcia, że komuś przeszkadzam. Obok mnie dziewczyna z kolczykiem w nosie prychnę-

ła niedowierzająco. Dosłyszałam, jak mówi do swej towarzyszki, drugiej pannicy w biustonoszu i szortach tak krótkich, że spod brzegu nogawek wystawały półksiężycy pośladków: „Słyszałaś, co mi powiedziała? Słyszałaś?”.

Młody blondyn uśmiechnął się. Niechętnie przyznałam przed samą sobą, że dostrzegłam w tym uśmiechu wdzięk, inteligencję i coś drażniąco, irytująco znanego. Nachylił się, żeby ściszyć radio. Złoty łańcuch na szyi. Plamy potu na szarym T-shircie. Dłonie zbyt delikatne jak na kucharza - och, było coś podejrzanego w nim, w całej sytuacji. Po raz pierwszy poczułam nie gniew, lecz coś w rodzaju lęku...

Troskliwie: - Czy tak pani odpowiada, madame Simon?

Kiwnęłam głową.

- Nie chciałbym, żeby mnie pani uważała za kłopotliwego sąsiada.

Słowa brzmiały naturalnie, lecz wciąż nie mogłam się otrząsnąć z wrażenia, że coś jest nie tak; że w chłodnym,

kurtuazyjnym tonie kryje się drwina, której przyczyny nie znam. Choć więc dostałam, czego chciałam, uciekałam stamtąd tak, że omal nie skręciłam kostki na żwirze. Przciskałam się wśród młodych ciał - musiało się do tej pory zebrać może czterdzieści osób, może więcej - zalewana falą ich głosów. Szybko wy dostałam się z tłumy - nigdy nie lubiłam, kiedy mnie ktoś dotykał - a kiedy wracałam do Crepe Framboise, usłyszałam za sobą jazgotliwy śmiech, jakby sprzedawca czekał, aż się oddalę, nim rzucił komentarz. Obejrzałam się gwałtownie, lecz do tej pory zdążył się odwrócić plecami i przewracał rząd kotletów z wypraktykowaną zręcznością.

Nadal jednak pozostało we mnie poczucie, że coś jest nie w porządku. Złapałam się na wyglądaniu oknem częściej niż zwykle, a kiedy Marie Fenouil i Charlotte Dupre -te same, które poprzedniego dnia uskarżały się na hałas -nie zjawily się o zwykłej porze, ogarnął mnie niepokój. Może to nic nie znaczy, powiedziałam sobie. To tylko jeden wolny stolik. Większość klientów przybyła jak zwykle. A jednak obserwowałam przyczepę z niechętną fascynacją, obserwowałam jego przy pracy, obserwowałam tłumek na poboczu drogi, młodzież jedzącą z papierowych torebek i polistyrenowych pudełek,

podczas gdy on obsługiwał... Wydawał się w dobrych układach ze wszystkimi. Pół tuzina dziewczyn - wśród nich ta z kolczykiem w nosie - opierało się o ladę, niektóre z butelkami wody sodowej w rękach. Inne przechadzały się obok, wyginając się w leniwych pozach; wiele było wystudowanie wypiętych biustów i rozkołysanych bioder. Wyglądało na to, że te jego oczy stopiły serca miększe od mojego.

O dwunastej trzydzieści usłyszałam warkot motocykli. Okropny dźwięk, jakby kilku młotów pneumatycznych pracujących unisono. Omal nie upuściłam patelni, na której smażyłam bolets farcis, i wybiegłam na drogę. Ryk był nie do zniesienia. Zakryłam uszy dłońmi, lecz nawet wtedy czułam ostry ból, przesywający bębenki, wrażliwe po

152

Joannę Harris

wielu latach nurkowania w Loarze. Pięć motocykli, które ostatnio widziałam oparte o ścianę przyczepy, stało teraz zaparkowanych po przeciwnej stronie drogi, a ich

właściciele - trzem towarzyszyły dziewczyny - zbierali się do odjazdu, każdy starając się przewyższyć pozostałych jazgotem. Krzyczałam do nich, ale nie słyszałam nic prócz ryku torturowanych maszyn. Niektórzy z młodych klientów baru śmiali się i klaskali. Wymachiwałam wściekle rękami, nie mogąc sprawić, by mnie usłyszeli przez hałas. Motocykliści zsalutowali mi drwiąco; jeden przejechał kawałek na tylnym kole jak na stojącym dęba koniu z dwa razy głośniejszym rykiem.

Całe przedstawienie trwało pięć minut. Wystarczyło to, by moje bolets się spaliły, w uszach zaczęło mi boleśnie dzwonić, a mój gniew osiągnął punkt krytyczny. Nie było czasu, żeby się poskarżyć znowu właścicielowi przyczepy, choć sobie obiecałam, że to zrobię, kiedy tylko wyjdzie ostatni klient. Do tej pory jednak bar został zamknięty, a choć waliłam wściekle pięściami w żaluzje, nikt nie otworzył.

Następnego dnia muzyka grała znowu.

Ignorowałam ją, dopóki mogłam, potem udałam się na skargę. Ludzi było jeszcze więcej niż dotychczas, a część z nich, rozpoznawszy mnie, rzucała bezczelne

komentarze, kiedy się przepychałam przez tłumek. Zbyt rozzłoszczona tym razem, by okazywać uprzejmość, spojrzałam wściekle na właściciela przyczepy i wyplułam:

- Sądziłam, że zawarliśmy porozumienie!

Rzucił mi promienny uśmiech, szeroki jak wrota stodoły.

Pytające: - Madame?

Nie byłam jednak w nastroju do słuchania pochlebstw.

- Nie próbuj udawać, że nie wiesz, o czym mówię. Masz wyłączyć muzykę, natychmiast!

Uprzejmy jak zwykle, a teraz też sprawiający wrażenie lekko urażonego moim gwałtownym atakiem, wyłączył radio.

i

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Ależ oczywiście, madame. Nie chciałem pani obrazić. Skoro mamy zostać bliskimi sąsiadami, powinniśmy się do siebie dopasować.

Przez kilka sekund byłem zbyt wściekła, żeby dosłyszeć ostrzegawczy dzwonek.

- Co to znaczy bliskimi sąsiadami? - zdołałam w końcu spytać. - Wyobrażasz sobie, że jak długo tutaj zostaniesz?

Wzruszył ramionami.

- Kto to wie? - Jego głos był jedwabisty. - Zna pani tę branżę, madame. Zupełnie nieprzewidywalna. Jednego dnia tłuny, następnego pustki. Kto wie, co się może zdarzyć?

Dzwonek ostrzegawczy zmienił się w dzwon, przeszedł mnie dreszcz.

- Ta twoja przyczepa stoi na publicznej drodze -

powiedziałam sucho. - Policja dobierze ci się do skóry, jak cię tylko zauważy.

Pokręcił głową.

- Mam pozwolenie, żeby parkować na poboczu - odparł spokojnie. - Wszystkie papiery mam w porządku. - Spojrzał na mnie z tą swoją bezczelną uprzejmością. - Zastanawiam się, czy pani też, madame?

Staralam się, by moja twarz pozostała jak z kamienia, chociaż serce tłukło mi się w piersi niczym wyrzucona na brzeg ryba. On coś wiedział. Myśli jak oszalałe wirowały mi w głowie. O, Boże. On coś wie. Zignorowałam jego pytanie.

- I jeszcze jedno. - Podobał mi się własny głos, niski i ostry. Głos kobiety, która się nie boi. Pod żebrami czułam szybsze uderzenia serca. - Wczoraj doszło do awantury z motocyklistami. Jeśli znowu dopuścisz do tego, by twoi kumple niepokoiли moich klientów, doniosę na policję, że zakłócasz porządek publiczny. Policja bez wątpienia...

- Policja bez wątpienia wytłumaczy pani, że za

zakłócanie porządku odpowiedzialni są motocykliści, a nie ja. -Wyglądał na rozbawionego. - Doprawdy, madame, staram

154

Joannę Harris

się być rozsądny, lecz groźby i oskarżenia nie rozwiążą problemu...

Wycofałam się, czując wstyd, jakbym to ja używała gróźb, a nie on. Tej nocy spałam niespokojnie, a rano zbeształam Prune, bo rozlała mleko, i Ricota za to, że grał w piłkę zbyt blisko warzywnika. Pistache popatrzyła na mnie uważnie - od wieczornej wizyty Yannicka prawie ze sobą nie rozmawialiśmy - i spytała, czy dobrze się czuję.

- Wszystko w porządku - odparłam krótko i w milczeniu wróciłam do kuchni.

3

Przez kilka następnych dni sytuacja stopniowo się

pogarszała. Dwa dni było cicho, potem muzyka zaczęła grać znowu, głośniejsza niż dotąd. Kilka razy zjawiał się gang motocyklistów. Włączali silniki na najwyższe obroty i urządzali wyścigi po ulicach, wydając długie, zawodzące okrzyki. Gromadka stałych bywalców baru w przyczepie wcale się nie zmniejszała. Każdego dnia więcej czasu zajmowało mi zbieranie z poboczy porzuconych puszek i papierów. Co gorsza, bar był teraz otwarty również wieczorami, od siódmej do północy - dziwnym zbiegiem okoliczności w tych samych godzinach co Crepe Framboise - i dźwięk włączanego generatora zaczął budzić we mnie lęk, bo wiedziałam, że w sąsiedztwie mojej cichej creperie wkrótce rozpocznie się zabawa uliczna. Różowy neon nad kontuarem przyczepy głośił: „Chez Luc, Kanapki - Przekąski - Frytki”, a jarmarczna woń smażenia, piwa i gorących gofrów wypełniała ciepłe nocne powietrze.

Niektórzy z moich klientów narzekali. Inni po prostu przestali przychodzić. Pod koniec tygodnia siedmiu stałych bywalców najwyraźniej zrezygnowało na dobre i w dni powszednie creperie była w połowie pusta. W sobo-

Pięć ćwiartek pomarańczy

tę z Angers przyjechało dziewięcioosobowe towarzystwo, lecz tego wieczoru panował szczególnie duży hałas. Goście spoglądali nerwowo na tłum na skraju drogi, gdzie zaparkowali samochody, a w końcu wyszli bez deseru czy kawy, ostentacyjnie nie zostawiając napiwku.

To nie mogło trwać dłużej.

W Les Laveuses nie ma posterunku policji, jest za to jeden żandarm, Louis Ramondin - wnuk Francois. Nigdy nie miałam z nim wiele do czynienia, bo należał do jednej z Rodzin. Mężczyzna przed czterdziestką, niedawno rozwiedziony po zawartym zbyt wcześnie małżeństwie z miejscową dziewczyną, podobny do swojego wuja Guilherma, tego z drewnianą nogą. Nie chciałam z nim teraz rozmawiać, ale czułam, że wszystko wymyka mi się z rąk, nie wiedziałam, co robić, i potrzebowałam pomocy.

Wyjaśniłam mu sytuację. Opowiedziałam o hałasach, śmieciach, moich klientach, motorach. Słuchał mnie z miną karmionego szpakami młodego człowieka rozmawiającego z kwękającą staruszką, kiwając głową i uśmiechając się, aż miałam ochotę stuknąć go głową w czoło. Potem odparł - pogodnym, cierpliwym tonem, jaki młodzi rezerwują dla głuchych i starych - że jak dotąd żaden przepis nie został naruszony. Crepe Framboise znajduje się przy głównej drodze, tłumaczył. Świat się zmienił od czasu, kiedy się wprowadziłam do wsi. Spróbuje porozmawiać z Lukiem, ale muszę zrozumieć, że...

Och, zrozumiałam wszystko. Zobaczyłam go później koło przyczepy, w cywilu, rozmawiającego ze śliczną dziewczyną w białym T-shircie i dżinsach. W jednej ręce trzymał puszkę piwa, w drugiej gofra z cukrem. Luc rzucił mi jeden z tych swoich ironicznych uśmiechów, kiedy przechodziłam obok z koszykiem zakupów, ignorując ich obu. Zrozumiałam.

Wkrótce interesy w Crepe Framboise podupadły jeszcze bardziej. Restauracja była teraz w połowie pusta nawet w sobotnie wieczory, a w tygodniu w porze obiadu

by-

156

Joannę Harris

wało jeszcze gorzej. Został Paul, wierny Paul ze swoim daniem dnia i demi. Z czystej wdzięczności zaczęłam mu stawiać piwo na koszt firmy, choć nigdy nie prosił o więcej niż jeden kufel.

Lise powiedziała mi, że Luc - właściciel baru z przekąskami - zatrzymał się w Cafe de La Mauvaise Reputa-tion, gdzie wciąż wynajmowali parę pokoi.

- Nie wiem, skąd pochodzi - ciągnęła. - Zdaje się, że z Angers. Zapłacił za trzy miesiące z góry, więc wygląda na to, jakby miał zamiar zostać.

Trzy miesiące. Czyli prawie do grudnia. Zastanawiałam się, czy jego klientela okaże się równie pełna zapału, kiedy przyjdzie pierwszy mróz. W zimie przychodził dla mnie martwy sezon, interes kręcił się tylko ze względu na paru stałych bywalców, a wiedziałam,

że tak jak sprawy stoją, nie będę mogła liczyć nawet na nich. Najlepszym okresem było lato. W ciągu wakacyjnych miesięcy zwykle udawało mi się odłożyć dość pieniędzy, żeby móc przeżyć wygodnie do wiosny. Tego roku jednak... Jak na razie wygląda na to, że mogę ponieść straty, powiedziałam sobie zimno. Nie było to nic strasznego. Miałam oszczędności, ale musiałam jeszcze pamiętać o płacy Lise plus pieniądzech, które posyłałam Reine, o karmie dla zwierząt, zapasach, opale, wynajęciu maszyn... A że jesień się zbliża, wkrótce trzeba będzie zapłacić robotnikom, zbieraczom jabłek i Michelowi Houriasowi za kombajn, chociaż mogę sprzedać zboże i jabłecznik w Angers, żeby wyjść na swoje.

Ale i tak nie będzie łatwo. Przez jakiś czas na próżno łamałam sobie głowę nad liczbami i szacunkami. Zapomniałam o zabawach z wnukami i pierwszy raz pożałowałam, że Pistache przyjechała na wakacje. Została jeszcze tydzień, potem wyjechała z Ricotem i Prune. Widziałam po jej oczach, że uważa mnie za nierozsądną, ale nie znalazłam w sobie dość ciepła, by jej wytłumaczyć, jak się czuję. W miejscu, gdzie powinna się znajdować miłość

-I

157

Pięć ćwiartek pomarańczy

do niej, czułam zimny twardy okruch podobny do pestki owocu. Przytuliłam ją krótko, kiedy się żegnałyśmy, i odwróciłam z suchymi oczami. Prune dała mi bukiet kwiatów, które zerwała na łące. Na moment zalała mnie fala przerażenia. Zachowujesz się jak twoja matka, powiedziałam sobie. Sroga i obojętna, lecz w głębi ducha pełna lęku i niepewności. Chciałam wyciągnąć rękę do córki, wyjaśnić, że to nie przez nią - ale nie mogłam. Nauczono nas skrywać uczucia. Niełatwo się pozbyć tego przyzwyczajenia.

4

Mijały tygodnie. Kilka razy rozmawiałam z Lukiem, lecz z jego strony spotykałam się zawsze tylko z drwiącą grzecznością. Nie mogłam się pozbyć myśli, że wygląda znajomo, lecz nie potrafiłam sobie przypomnieć, gdzie go mogłam widzieć. Próbowalam się dowiedzieć jego

nazwiska w nadziei, że uzyskam dzięki temu jakąś wskazówkę, ale w La Mauvaise Reputation zapłacił gotówką, a kiedy tam poszłam, kawiarnia była pełna obcych, bywalców baru w przyczepie. Spotkałam też paru tutejszych: Mirielle Dupre, dwóch chłopaków Lelaca i 'i? i??' Lecoza, ale najwięcej było miastowych; bezczelnych dziewczyn w stanikach i dżinsach od znanych projektantów, chłopaków w skórzanych motocyklowych kurtkach albo szortach z ly-cry. Zauważyłam, że młody Brassaud dodał do swojej kolekcji rozklekotanych automatów do gry szafę grającą i stół bilardowy - najwyraźniej nie wszystkim w Les La-veuses interesy szły źle.

Może dlatego poparcie dla mojej kampanii było tak mizerne. Crepe Framboise mieści się na krańcu wsi, przy drodze wylotowej do Angers. Farma zawsze znajdowała się z dala od innych, na odcinku pół kilometra w stronę wioski nie ma innego gospodarstwa. W zasięgu słuchu są

tylko kościół i poczta, a nietrudno się domyślić, że Luc zachowywał się cicho podczas mszy. Usprawiedliwiała go nawet Lise, która wiedziała, jak z nami kiepsko. Skarżyłam się Louisowi Ramondinowi jeszcze dwa razy, ale sądząc po efektach, równie dobrze mogłabym mówić do kota.

Ten facet naprawdę nikomu nie przeszkadza, oświadczył stanowczo. Gdyby złamał prawo, być może coś dałoby się zrobić. A tak mam go zostawić w spokoju i pozwolić mu prowadzić interes. Zrozumiano?

Wtedy doszły inne sprawy. Z początku drobiazgi. Jednej nocy były to sztuczne ognie, które ktoś odpalił na ulicy. Potem motory wyjące pod domem o drugiej nad ranem. Śmieci, które nocą ktoś podrzucił mi na wycieraczkę. Wybita szybka w drzwiach. Kolejnej nocy jakiś motocyklista wjechał na moje pole, zostawiając po sobie ósemki, ślady hamowania i szalone pętle w dojrzewającej pszenicy. Nic wielkiego. Drobnie przykrości. Nic, co dałoby się powiązać z nim albo z obcymi, którzy przyciągnęli w ślad za nim. Potem ktoś otworzył drzwi kurnika; lis dostał się do środka i wydusił co do jednej moje ulubione brązowe kury. Dziesięć młodych - same

dobrze nioski - przypadło w jedną noc. Powiedziałam o tym Louisowi - do jego obowiązków należało ściganie złodziei i włóczęgów - ale zarzucił mi, że to ja zapomniałam zamknąć kurnik.

- Nie sądzi pani, że mogły się po prostu... same otworzyć w nocy?

Posłał mi szeroki, przyjazny uśmiech wieśniaka, jakby liczył, że szczerzeniem zębów przywróci do życia moje kury. Spojrzałam na niego ze złością.

- Drzwi zamknięte na klucz nie otwierają się tak po prostu - odparłam cierpko. -1 trzeba wyjątkowo sprytnego lisa, żeby przeciąć kłódkę. Jakiś podlec zrobił to celowo, Louisie Ramondin, a tobie płacą za to, żebyś się dowiedział, kto to taki.

Louis spojrzał chytrze i mruknął coś półgłosem.

i

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Co powiedziałaś? - spytałam groźnie. - Słuch mam w porządku, smarkaczu, lepiej mi uwierz na słowo. I pamiętam, jak...

Pośpiesznie ugryzłam się w język. Zamierzałam powiedzieć, że pamiętam, jak jego stary dziadek chrapał w kościele, pijany jak bela i w zasikanych spodniach, schowany w konfesjonale podczas mszy wielkanocnej, lecz la veuve Simon nie mogła tego wiedzieć. Przeszedł mnie dreszcz na myśl, że mogłam się zdradzić z powodu głupiej plotki. Rozumiecie teraz, dlaczego starałam się mieć jak najmniej do czynienia z Rodzinami.

Tak czy inaczej Louis zgodził się w końcu rozejrzeć po farmie, ale nic nie znalazł, więc próbowałam sobie radzić sama. Strata kur to był poważny cios. Nie mogłam sobie pozwolić na nowe - zresztą kto by mi zagwarantował, że nie zginą znowu? - musiałam więc kupować jajka w dawnym gospodarstwie Houriasów, należącym teraz do małżonków nazwiskiem Pommeau, którzy uprawiali kukurydzę i słoneczniki i sprzedawali je zakładom przetwórczym w górze rzeki.

Wiedziałam, że za wszystkim stoi Luc. Wiedziałam o tym, ale nie potrafiłam niczego udowodnić, i myśl ta doprowadzała mnie do furii. Co gorsza, nie rozumiałam, dlaczego to robi. Mój gniew rósł. Niby prasa do jabłek, ścisnął moją biedną głowę jak dojrzały owoc, aż się bałam, że lada chwila pęknie. Następnego dnia po wizycie „lisa” w kurniku zaczęłam czuwać nocami przy oknie ze strzelbą przytuloną do piersi. Musiałam stanowić dziwaczny widok dla każdego, kto by mnie zauważył w koszuli nocnej i jesionce, trzymającą wartość na podwórzu. Kupiłam nowe kłódki do bramy i wygonu i strażowałam noc w noc, czekając, aż ktoś się zjawi, ale na próżno. Drań musiał wiedzieć, co robię, choć pojęcia nie mam, jak się tego domyślił. Zaczynałam sobie wyobrażać, że potrafi czytać w moich myślach.

160

Joannę Harris

5

Wkrótce dało o sobie znać zmęczenie. Zaczęłam tracić

koncentrację. Przepisy wylatywały mi z głowy. Zapominałam, czy posoliłam omlet, i soliłam go dwa razy albo wcale. Poważnie skaleczyłam się w palec przy krojeniu cebuli. Dopiero ocknąwszy się z ziejącą raną i dłonią pełną krwi uświadomiłam sobie, że zasnęłam na stojąco. Traktowałam szorstko tych klientów, którzy mi zostali, i wieść o tym najwyraźniej się rozeszła, bo mimo że muzyka i hałas motorów trochę w ostatnim czasie przycichły, żaden z dawnych bywalców nie wrócił. Och, nie byłam całkiem sama. Miałam po swojej stronie paru przyjaciół, ale odziedziczyłam po matce wiele z tej rezerwy - ciągłej podejrzliwości - która sprawiała, że Mirabelle Dartigen traktowano we wsi jak obcą. Nie życzyłam sobie litości. Moja opryskliwość odstraszała przyjaciół i zrażała klientów. Przy życiu utrzymywały mnie tylko gniew i adrenalina.

Co najdziwniejsze, to Paul przerwał wreszcie ten koszmar. W tygodniu często okazywał się moim jedynym klientem. Był punktualny jak kościelny zegar; zostawał dokładnie przez godzinę. Jadł bez słowa, z psem leżącym posłusznie pod krzesłem. Sądząc po tym, ile uwagi poświęcał przyczepie, mógł być głuchy; rzadko mówił do mnie coś poza „dzień dobry” i „do widzenia”.

Któregoś dnia wszedł, lecz nie usiadł przy tym stoliku, co zawsze, więc wiedziałam, że coś się stało. Działo się to w tydzień po przygodzie z lisem; ledwo się trzymałam na nogach. Lewą rękę miałam grubo obandażowaną i musiałam poprosić Lise, żeby pokroiła warzywa na zupę. Uparłam się jednak, że ciasto zrobię sama - wyobraźcie sobie wyrabianie go z jedną ręką zawiniętą w foliowy worek -więc namęczyłam się okropnie. Stałam oparta o framugę kuchennych drzwi, zasypiając na stojąco, i ledwo odpowiedziałam na powitanie Paula. Spojrzał na mnie z ukosa, zdjął beret i zdusił o próg cienkiego czarnego papierosa.

i l. Pięć ćwiartek

161

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Bonjour, madame Simon.

Skinęłam głową i spróbowałam się uśmiechnąć. Zmęczenie zakrywało wszystko niczym iskrzący się czarny

koc. Słowa Paula brzmiały tak, jakby ktoś ziewając, wypowiadał je w tunelu. Pies ułożył się pod krzesłem obok okna, lecz Paul stał nadal z beretem w ręce.

- Nie wygląda pani najlepiej - powiedział na swój niespieszny sposób.

- Nic mi nie jest - odparłam krótko. - Nie spałam najlepiej ostatniej nocy, to wszystko.

- Ani żadnej nocy w tym miesiącu, jak sądzę - rzucił.
-Co się dzieje; bezsenność?

Rzuciłam mu nieprzyjazne spojrzenie.

- Obiad stoi na stole - burknęłam. - Fricassee z kurczaka z groszkiem. Jak wystygnie, nie będę odgrzewać.

Uśmiechnął się sennie.

- Zaczyna pani mówić jak żona, madame Simon. Ludzie będą gadać.

Uznałam, że to żart, więc nie skomentowałam.

- Może mógłbym pomóc - nalegał Paul. - To niesprawiedliwe, żeby panią traktowali w taki sposób. Ktoś powinien coś z tym zrobić.

- Proszę się nie trudzić, monsieur.

Po tyłu nieprzespanych nocach stałam się skłonna do płaczu, więc nawet te zwyczajne życzliwe słowa sprawiły, że zapiekło mnie w oczach. Żeby to zatuszować, postarałam się, by mój głos brzmiał sucho i ironicznie, i z podniesioną głową spojrzałam w przeciwnym kierunku.

- Doskonale dam sobie radę sama. Paul nie dał się zbyć.

- Wiesz, że możesz mi zaufać - powiedział cicho. - Do tej pory powinnaś o tym wiedzieć. Tyle czasu...

Popatrzyłam na niego i nagle zrozumiałam.

- Proszę, Boise... - Zesztywniałam. - Wszystko w porządku. Nikomu nie powiedziałem, prawda?

Joannę Harris

Milczenie. Prawda sklepiła nas niczym guma do żucia.

- Prawda ? Pokiwałam głową.

- Prawda. Nie powiedziałaś.

- No widzisz. Zbliżył się o krok.

- Nigdy nie chciałaś przyjąć pomocy, kiedy jej potrzebowałaś, nawet za dawnych lat.

Pauza.

- Nie zmieniłaś się wiele, Framboise. Zabawne. Wydawało mi się, że tak.

- Kiedy się domyśliłeś? - spytałam w końcu. Wzruszył ramionami.

- Niewiele potrzebowałem czasu - powiedział

lakonicznie. - Chyba wtedy, kiedy pierwszy raz spróbowałem kouign amann według przepisu twojej matki. A może to był szczupak? Nigdy nie zapominał dobrego jedzenia, co?

I uśmiechnął się znowu pod obwisłym wąsem. Jego twarz miała wyraz łagodny i życzliwy, a zarazem bezbrzeżnie smutny.

- Musiało ci być niełatwo - rzucił.

Pieczenie w oczach stało się niemal nie do zniesienia.

- Nie chcę o tym mówić - mruknęłam. Kiwnął głową.

- Nie jestem papłą - odparł po prostu.

Usiadł i zabrał się do swojego kurczaka, przerywając niekiedy, żeby spojrzeć na mnie i uśmiechnąć się. Po chwili siadłam obok - ostatecznie byliśmy sami - i nalałam sobie kieliszek gros-plant. Przez jakiś czas milczeliśmy oboje. Po kilku minutach oparłam głowę o blat i rozplakałam się cicho. W izbie rozlegało się tylko moje szlochanie i brzęk sztućców Paula, który jadł w

zamyśleniu, nie patrząc na mnie i nie reagując. Wiedziałam jednak, że jego milczenie jest przyjazne.

1

163

Pięć ćwiartek pomarańczy

Wreszcie się wyplakałam i starannie wytarłam twarz fartuchem.

- Myślę, że teraz mogę rozmawiać - oświadczyłam.

6

Paul potrafi słuchać. Powiedziałam mu o rzeczach, z których nie zamierzałam się zwierzać nikomu, a on słuchał bez słowa, przytakując niekiedy. Opowiedziałam mu o Yannicku i Laure, o Pistache i o tym, jak pozwoliłam jej odjechać bez słowa wyjaśnienia; o kurach, bezsennych nocach i o tym, że na dźwięk motoru czuję, jakby mrówki zaczynały mi wpełzać do czaszki. Zwierzyłam mu się ze

swoich obaw związanych z interesami, ze mną samą, moim miłym domem i niszą, jaką sobie stworzyłam. Powiedziałam, że boję się starości, mówiłam o młodych, którzy wydają się zupełnie inni, twardsi niż my byliśmy kiedykolwiek mimo tego wszystkiego co przeszliśmy w czasie wojny. Opowiadałam mu swoje sny o Starej Mateczce z pomarańczą w pysku, o Jeanette Gaudin i węzach, czując, jak trucizna wysącza się ze mnie kropla po kropli. Kiedy wreszcie skończyłam, zapadło milczenie.

- Nie możesz strażować co noc - odezwał się w końcu Paul. - Wykończysz się.

- Nie mam wyboru - odparłam. - Oni mogą wrócić w każdej chwili.

- Będziemy trzymać wartę na zmianę - powiedział po prostu, i to było to.

7

Pozwoliłam mu zająć pokój gościnny, teraz kiedy

Pistache i dzieci wyjechały. Nie sprawiał kłopotów; lubił własne towarzystwo, sam ścielił łóżko i sprzątał po sobie. Przez

164

Joannę Harris

większą część dnia człowiek ledwie go zauważał, a przecież był obok, cichy i nienarzucający się. Wstyd mi się zrobiło, że kiedyś uważałam go za tępego. W rzeczywistości był w wielu sprawach bystrzejszy ode mnie; bez wątpienia to on pierwszy doszukał się związku między przyczepą a synem Cassisa.

Przez dwie noce czyhaliśmy na włamywaczy - Paul od dziesiątej do drugiej nad ranem, ja od drugiej do szóstej - więc czułam się bardziej wypoczęta i zaczynałam wierzyć, że sobie poradzę. Wystarczało mi już to, że mogłam się z kimś podzielić swoim kłopotem; że mam kogoś bliskiego... Oczywiście sąsiedzi zaczęli plotkować niemal od razu. W miejscu takim jak Les Laveuses niczego się nie da utrzymać w sekrecie. Zbyt wiele osób wiedziało, że Paul Hourias wyniósł się ze swojej chałupy nad rzeką i

zamieszkał u wdowy. Kiedy wchodziłam do sklepów, wszyscy milkli. Listonosz mrugał do mnie znacząco, przynosząc listy. Pochwyciłam trochę pełnych dezaprobaty spojrzeń, głównie ze strony wielebnego i jego owieczek ze szkoły niedzielnej, lecz na ogół spotykało mnie niewiele więcej niż ironiczne uśmieszki. Louis Ramondin powiedział podobno, że wdowa zachowywała się dziwnie przez ostatnie tygodnie i teraz on już wie dlaczego. Jak na ironię wielu z moich dawnych klientów wróciło, choćby po to, by zobaczyć na własne oczy, czy plotki są prawdziwe.

Nie zwracałam na to uwagi.

Oczywiście przyczepa nie odjechała, a hałas i przykrości się nie zmniejszyły. Zrezygnowałam z prób przekonywania właściciela i władz - nic ich to nie obchodziło. Zostało nam - Paulowi i mnie - tylko jedno wyjście.

Rozpoczęliśmy śledztwo.

Paul zaczął wypijać swoje codzienne demi w La Mauvaise Reputation, gdzie przychodzili motocykliści i

dziewczyny z miasta. Wypytał listonosza. Pomagała nam też Lise, chociaż musiałam ją zwolnić na zimę, i zatrudniła przy sprawie swojego młodszego brata, Vianneta, dzięki

i

165

Pięć ćwiartek pomarańczy

czemu Luc był chyba najpilniej śledzonym człowiekiem w Les Laveuses. Dowiedzieliśmy się paru rzeczy.

Pochodził z Paryża. Przeprowadził się do Angers pół roku temu. Miał pieniądze, i to dużo; wydawał je lekką ręką. Wyglądało na to, że nikt nie zna jego nazwiska, chociaż nosił sygnet z inicjałami L.D. Miał oko na dwie dziewczyny. Jeździł białym porsche'em, którego trzymał na tyłach La Mauvaise Reputation. Uważano powszechnie, że jest w porządku, co mogło znaczyć, że stawiał mnóstwo kolejek.

Trudno uznać te informacje za sukces, biorąc pod uwagę, jak wiele wysiłku sobie zadaliśmy.

Wtedy Paul wpadł na pomysł, żeby przeszukać przyczepę. Ja oczywiście zrobiłabym to od razu, on jednak poczekał, aż właściciel zamknie ją i niczego nie podejrzewając, zasiadzie w La Mauvaise Reputation. Przyczepa okazała się zapieczętowana i zamknięta na klucz i kłódkę, lecz na jej tyle Paul odkrył niewielką metalową tabliczkę z numerem pozwolenia i telefonem kontaktowym. Wykręciliśmy ten numer i dodzwoniliśmy się...

Do restauracji Aux Delices Dessanges przy Rue des Romarins w Angers.

Powinnam była wiedzieć od początku. Yannick i Laure nigdy by nie ustąpili tak łatwo, gdy chodziło o potencjalne źródło dochodu. A wiedząc to, co wiedziałam teraz, nietrudno się było domyślić, czemu twarz Luca wydawała mi się znajoma. Ten sam orli nos, bystre, inteligentne oczy, wydatne kości policzkowe... Luc Dessanges. Brat Laure.

W pierwszej chwili chciałam iść prosto na policję. Nie do naszego Louisa, lecz na posterunek w Angers, i zgłosić, że jestem prześladowana. Paul przekonał mnie, żebym tego nie robiła.

Nie mam dowodów, tłumaczył mi łagodnie, a bez nich niczego nie osiągnę. Luc nie zrobił nic jawnie sprzecznego z prawem. Gdybyśmy go złapali za rękę - no cóż, to co

166

Joannę Harris

innego, ale był zbyt ostrożny, za sprytny. Czekali, aż się załamię, by zjawić się dokładnie we właściwym momencie i przedstawić mi swoje żądania. - Gdybyśmy tylko mogli ci pomóc, mamie. Pozwól nam spróbować. Bez urazy.

Chciałam z miejsca wsiadać do autobusu i jechać do Angers. Zaskoczyć ich na ich terenie. Zawstydzić w obecności znajomych i klientów. Skrzekliwie powtarzać wszystkim razem i każdemu z osobna, że mnie szculi, szantażowali - Paul jednak uważał, że powinniśmy czekać;

niecierpliwość i złość kosztowały mnie już ponad połowę klientów. Więc - pierwszy raz w życiu - czekałam.

8

Przyjechali z wizytą tydzień później.

Była niedziela po południu, a przez ostatnie trzy tygodnie zamykałam creperie w ten dzień. Przyczepa również była zamknięta - Luc naśladował moje godziny otwarcia niemal co do minuty. Wypoczywaliśmy z Pauliem na podwórzu, pozwalając, by blade jesienne słońce grzało nam twarze. Ja czytałam, lecz Paul - w dawnych czasach niezbyt pilny czytelnik - wydawał się zadowolony, że może siedzieć, nic nie robiąc, niekiedy spoglądając na mnie tym swoim łagodnym, pełnym życzliwości wzrokiem albo strugając kawałek drewna.

Usłyszałam pukanie i poszłam otworzyć. Była to Laure, bardzo rzeczowa, w ciemnobłękitnej sukni, z Yannickiem w czarnym jak u grabarza garniturze za plecami. Ich wyszczerzone zęby przypominały klawiatury fortepianów. Laure trzymała wielki kwiat o czerwonych i zielonych liściach. Przytrzymałam ich na progu.

- Kto umarł? - spytałam chłodno. - Nie ja, w każdym razie jeszcze nie teraz, chociaż tak się staracie, wy dranie.

Twarz Laure przybrała zboląły wyraz.

- Ależ, mamie - zaczęła.

1

167

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Żadnego „Ależ, mamie” - rzuciłam ostro. - Wiem wszystko o waszych gierkach. Nie uda się wam mnie zastraszyć. Prędzej wyciągnę nogi, niż pozwolę wam zarobić na mnie złamany grosz, więc możecie powiedzieć swojemu braciszкови, żeby zwinął ten swój cuchnący interes i się wyniósł, bo wiem, o co w tym wszystkim chodzi, i jeśli natychmiast nie przestanie, przysięgam, pójdę na policję i powiem o wszystkim.

Yannick wyglądał na zaniepokojonego i zaczął

mruczeć coś uspokajająco, lecz Laurę była ulepiona z twardszej gliny. Wyraz zaskoczenia na jej twarzy trwał może przez dziesięć sekund, potem jej rysy stwardniały, układając się w napięty, sztuczny uśmieszek.

- Wiedziałam od początku, że lepiej byśmy wyszli, mówiąc ci o wszystkim - powiedziała, rzuciwszy mężowi krótkie pogardliwe spojrzenie. - Te fortele nie przyniosą nikomu korzyści, a jestem pewna, że kiedy ci wszystko wyjaśnię, sama zrozumiesz, iż przyda się trochę współpracy.

Założyłam ręce na piersi.

- Możesz sobie wyjaśniać do woli - burknęłam - ale spadek po mojej matce należy do mnie i Reine-Claude, bez względu na to, co wygadywał mój brat, i to wszystko, co mam do powiedzenia na ten temat.

Laurę posłała mi szeroki, pełen nienawiści uśmiech.

- Myślałaś, że o to nam chodzi, mamie? Twoją część pieniędzy"? Doprawdy musisz nas uważać za odrażającą parę.

Nagle zobaczyłam siebie ich oczami - starą kobietę w wyplamionym fartuchu, z oczyma jak ziarnka pieprzu i włosami ściągniętymi w kok tak mocno, że aż napinała się skóra na twarzy. Zawarczałam jak skołowany pies, chwytając się futryny, by się utrzymać na nogach. Dyszałam ciężko, powietrze przedzierało się do moich płuc z trudem, jak przez koleczasty tunel.

- Co nie znaczy, że pieniądze by się nam nie przydały -wtrącił Yannick gorliwie. - Interes z restauracją nie idzie

168

Joannę Harris

ostatnio najlepiej. Ta ostatnia recenzja w „Hôte & Cuisine" nam nie pomogła. Mamy też kłopot z... Laureę ostudziła go jednym spojrzeniem.

- Nie chcę żadnych pieniędzy - powtórzyła.

- Wiem, o co wam chodzi - odezwałam się znowu ostro, starając się nie okazać po sobie niepewności. -

Chcecie przepisów mojej matki. Ale ich wam nie oddam.

Laurę popatrzyła na mnie, wciąż się uśmiechając. Zrozumiałam, że nie tylko o przepisy im chodzi, i poczułam, jak lodowata pięść zaciska mi się wokół serca.

- Nie - szepnęłam.

- Album Mirabelle Dartigen - powiedziała cicho. - Jej prywatny pamiętnik. Jej myśli, jej przepisy, jej tajemnice. Dziedzictwo naszej babki, należące do nas wszystkich. To zbrodnia utrzymać coś takiego w tajemnicy.

- Nie!

Słowo wyrwało się ze mnie z trudem; czułam, jakby zabrało ze sobą połowę serca. Laurę drgnęła, a Yannick cofnął się o krok. Miałam wrażenie, jakby moje gardło było najeżone haczykami do ryb.

- Nie zdołasz tego utrzymać w tajemnicy na zawsze, Framboise - starała mi się przemówić do rozsądku Laurę.
- Niewiarygodne, że nikt tego jeszcze nie odkrył.
Mirabelle Dartigen - zarumieniła się, w swoim

podnieceniu wyglądała niemal ładnie - jedna z najbardziej tajemniczych i nieuchwytnych zbrodniarek dwudziestego wieku. Bez powodu morduje młodego żołnierza i przygląda się chłodno egzekucji połowy mieszkańców swojej wioski, a potem zwyczajnie odchodzi bez słowa wyjaśnienia...

- To nie było tak - rzuciłam wbrew sobie.

- Więc powiedz mi, jak to było - odparła Laurę, podchodząc o krok. - Będę się z tobą konsultować w każdej sprawie. My jedni mamy wspaniałą okazję, żeby wszystko wyjaśnić; wiem, że powstałaby z tego niezwykła książka...

- Jaka książka? - spytałam głupio. Laurę wyglądała na zniecierpliwioną.

i

169

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Jak to jaka książka? Sądziłam, że się domyśliłaś. Powiedziałaś...

Język przykleił mi się do podniebienia. Z trudem wybełkotałam:

- Myślałam, że chodzi wam o album z przepisami. Po tym, coście mówili...

Niecierpliwie pokręciła głową.

- Nie; potrzebuję go jako materiału do napisania własnej książki. Czytałaś moją broszurę, prawda? Musiałaś wiedzieć, że interesuję się tą sprawą. A potem Cassis nam powiedział, że Mirabelle jest z nami spokrewniona. Że była babką Yannicka...

Urwała znowu i chwyciła mnie za rękę. Palce miała długie i chłodne, paznokcie pomalowane na jasnoróżowo, tak samo jak usta.

- Mamie, jesteś ostatnim z jej dzieci. Cassis zmarł, z Reine-Claude nie ma żadnego pożytku...

- Widzieliście ją? - spytałam tępo. Laureę pokiwała głową.

- Nic nie pamięta. Jest jak warzywo. Skrzywiła wargi.

- A w Les Laveuses nikt nie pamięta nic wartego wzmianki... a jeśli pamięta, to nie chce o tym mówić...

- Skąd wiesz?

Wściekłość ustąpiła miejsca uczuciu dziwnego chłodu, świadomości, że sprawa przedstawia się znacznie gorzej, niż sądziłam w najczarniejszych przypuszczeniach.

Wzruszyła ramionami.

- Dzięki Lucowi, oczywiście. Poprosiłam go, żeby tu przyjechał, zadał kilka pytań, postawił parę kolejek w starym klubie wędkarskim... wiesz, co mam na myśli. - Znowu posłała mi niecierpliwe, zdziwione spojrzenie. - Przecież mówiłaś, że wszystko rozumiesz.

Skinęłam bez słowa, zbyt wstrząśnięta, by się tłumaczyć.

- Muszę przyznać, że utrzymałaś tajemnicę dłużej, niż wydawało się możliwe - ciągnęła Laurę z podziwem. - Ni-

170

Joannę Harris

komu nawet nie przyjdzie do głowy, iż jesteś kimś więcej niż miłą starszą panią z Bretanii, la veuve Simon. Bardzo cię szanują. Nieźle się urządziłaś. Nikt nic nie podejrzewa. Nigdy nawet nie powiedziałaś własnej córce.

- Pistache? - Zabrzmiało to głupio w moich własnych uszach. - Chyba z nią nie rozmawiałaś?

- Napisałam do niej parę listów. Myślałam, że może coś wie o Mirabelle. Ale nic jej nie zdradziłaś, prawda?

O Boże. Och, Pistache. Czulałam się, jakby porwała mnie lawina, kiedy każdy ruch wyzwała nową falę kamieni, burzącą kolejny fragment świata, który wydawał mi się bezpieczny.

- A co z twoją drugą córką? Kiedy ostatni raz miałaś od niej wiadomości? Ile ona wie?

- Nie macie prawa, nie macie... - Słowa piekły mnie w ustach jak sól. - Nie rozumiecie, co to dla mnie znaczy... to miejsce... jak się ludzie dowiedzą...

- Już dobrze, mamie.

Byłam zbyt osłabła, by się wywinąć z jej ramion, więc mnie objęła.

- Oczywiście nie wymienilibyśmy cię z nazwiska. A nawet gdyby się kiedyś wydało... musisz temu stawić czoło, to się może zdarzyć pewnego dnia... znaleźlibyśmy ci inny dom. Lepszy. Zresztą w twoim wieku nie powinnaś mieszkać na starej, zaniedbanej farmie... na miłość boską, przecież tu nie ma nawet porządnej kanalizacji... umieścilibyśmy cię w jakimś miłym mieszkanku w Angers, chronili przed dziennikarzami. Naprawdę nam na tobie zależy, mamie, bez względu na to, co sobie myślisz. Nie jesteśmy potworami. Chcemy dla ciebie wszystkiego, co najlepsze...

Odepchnęłam ją mocno. Nie sądziłam, że zostało mi jeszcze tyle siły.

- Nie!

Powoli docierało do mnie, że Paul stoi w milczeniu za moimi plecami. Strach rozwinął się we mnie we wspania-

I

171

Pięć ćwiartek pomarańczy ły kwiat gniewu i uniesienia. Nie byłam sama. Paul, mój wierny stary przyjaciel, stał u mego boku.

- Pomyśl o swojej rodzinie, mamie.

- Nie!

Chciałam zatrzaskać drzwi, lecz Laurę wsunęła w szparę but.

- Nie możesz się ukrywać do końca życia...

Wtedy Paul zbliżył się do drzwi. Przemówił cichym głosem - głosem kogoś, kto albo jest niezwykle spokojny, albo przygłupi.

- Być może nie dosłyszeliście, co mówiła Framboise. Uśmiechnął się niemal sennie, nie licząc mrugnięcia,

które mi posłał, i w tym momencie pokochałam go bez reszty i tak niespodziewanie, że cały mój gniew się ulotnił.

- Jeśli ją dobrze zrozumiałem, nie chce z wami ubić interesu. Dobrze mówię?

- Kto to jest? - spytała Laurę. - Co on tutaj robi? Paul obdarzył ją swoim rozmarzonym, łagodnym

uśmiechem.

- Przyjaciel - wyjaśnił zwyczajnie. - Z dawnych lat.

- Framboise! - zawołała Laurę zza jego ramienia. - Pomyśl o tym, co mówiłam. Pomyśl, co to oznacza. Nie prosilibyśmy cię, gdyby to nie było ważne. Pomyśl o tym...

- Z pewnością to zrobi - odparł Paul uprzejmie, po

czym zamknął drzwi.

Laure zaczęła w nie pukać natarczywie, więc przekręcił zamek i założył łańcuch. Słyszałam jej głos, stłumiony przez grube deski; brzmiała w nim teraz piskliwa, pełna

irytacji nuta.

- Framboise! Bądź rozsądna! Powiem Lucowi, żeby wyjechał! Wszystko może być tak jak dawniej! FRAMBOISE!

- Kawy? - zaproponował Paul, idąc do kuchni.

-Wiesz... poczułabyś się... trochę lepiej.

Spojrzałam na drzwi.

- Ta kobieta - powiedziałam roztrzęsionym głosem. -

Ta wstrętna baba...

Joannę Harris

Paul wzruszył ramionami.

- Chodźmy przed dom - podsunął. - Tam nie będzie jej słychać.

Dla niego wszystko wyglądało tak prosto. Wyczerpana, uległam. Przyniósł mi gorącej czarnej kawy z cynamonem, śmietanką i cukrem oraz kawałek far z jagód, który znalazł w kredensie. Jadłam i piłam przez chwilę w milczeniu, aż poczułam, że wraca mi odwaga.

- Ona się nie podda - odezwałam się w końcu. - Nie odczepi się ode mnie, póki nie ustąpię. Zresztą wie, że nie ma sensu, bym dłużej zachowywała wszystko w tajemnicy. - Przyłożyłam dłoń do bolącej głowy. - Wie, że nie dam rady się opierać w nieskończoność. Jedyne, co musi zrobić, to poczekać. To już nie potrwa długo.

- Chcesz się poddać? - głos Paula był spokojny i pełen

zaciekawienia.

- Nie - odparłam ostro. Wzruszył ramionami.

- Więc nie powinnaś mówić tak, jakbyś chciała. Jesteś od niej sprytniejsza. - Z jakiegoś powodu się zaczerwienił.

- Możesz wygrać, jeśli się postarasz...

- Niby jak?

Wiedziałam, że mówię jak moja matka, ale nic na to nie mogłam poradzić.

- Co ja mogę przeciwko Lucowi Dessangesowi i jego kumplom? Przeciw Laure i Yannickowi? Nie upłynęły jeszcze dwa miesiące, a prawie im się udało zniszczyć mój interes. Wystarczy, że dalej będą robić to, co do tej pory, a do wiosny... - Machnęłam wściekle ręką. - A co, jak zaczną gadać? Wystarczy, że... - Dławiłam się słowami. -Starczy, że wymienią nazwisko mojej matki...

Paul pokręcił głową.

- Nie sądzę, żeby to zrobili - odparł spokojnie. -

Przynajmniej nie od razu. Chcą mieć coś, żeby się targować. Wiedzą, że tego się boisz.

- Cassis im powiedział - mruknąłam tępo.

□ł 173

Pięć ćwiartek pomarańczy

Wzruszył ramionami.

- Nieważne - stwierdził. - Teraz dadzą ci spokój na jakiś czas. Liczą, że nabierzesz rozsądku. Chcą, żebyś się zgodziła z własnej woli.

- Więc? - Czułam, jak mój gniew zwraca się teraz przeciw niemu. - Ile czasu mi to daje? Miesiąc? Dwa? Co zwojuję przez dwa miesiące? Mogłabym sobie łamać głowę przez okrągły rok, a i tak niczego nie...

- Nieprawda.

Powiedział to niemal obojętnie, bez nienawiści, wyciągając ostatniego pogniecionego gauloise'a z górnej

kieszeni i zapalając zapałkę o paznokcieć.

- Zrób, na co tylko masz fantazję. Zawsze potrafiłaś osiągnąć wszystko, co chciałaś.

Spojrzał na mnie znad czerwonego oka papierosa i uśmiechnął się po swojemu, nieznacznie i smutno.

- Pamiętam z dawnych czasów. Złapałaś przecież Starą Mateczkę, nieprawdaż?

Pokręciłam głową.

- To nie to samo - odparłam.

- Ale prawie - zaprotestował Paul, zaciągając się cierpkim dymem. - Musisz to wiedzieć. Łowiąc ryby, można się wiele nauczyć o życiu.

Patrzyłam na niego zaskoczona. Po chwili zaczął mówić dalej:

- Choćby Stara Mateczka. Jak ci się udało ją złowić, skoro nikt inny tego nie dokonał?

Zastanawiałam się nad tym przez chwilę, zwróciwszy się po pomoc do dziewięciolatki, którą kiedyś byłam.

- Obserwowałam rzekę - wyjaśniłam w końcu. -
Poznałam zwyczaje staruchy; gdzie szuka pożywienia, co je. I czekałam. I miałam szczęście. To wszystko.

-Hm.

Koniec papierosa rozjarzył się, Paul wydmuchnął dym przez nos.

- A gdyby ten Dessanges był rybą. Co wtedy? -

174

Joannę Harris

Uśmiechnął się nagle. - Zobacz, gdzie jada. Znajdź właściwą przynętę, i już jest twój. Czy nie tak? Spojrzałam na niego.

- Czy nie tak?

Może. Nadzieja wyrysowała cienką srebrną kreskę na moim sercu. Może.

- Jestem za stara, żeby z nimi walczyć - odparłam. - Za stara i zbyt zmęczona.

Paul położył swoją szorstką ogorzałą dłoń na mojej i uśmiechnął się.

- Nie dla mnie - szepnął.

9

Miał rację, oczywiście. Łowiąc ryby, można się sporo dowiedzieć o życiu. Tomas mnie tego nauczył, obok wielu innych rzeczy. Rozmawialiśmy dużo - tamtego roku, kiedy byliśmy przyjaciółmi. Czasem przychodzili Cassis i Reine, i wtedy wymienialiśmy informacje za czarnorynkowe drobiazgi: listek gumy do żucia, tabliczkę czekolady, słoiczek kremu do twarzy dla Reine albo pomarańczę... Zdawało się, że Tomas ma nieograniczone zapasy tego rodzaju dóbr, które rozdawał ze swobodną obojętnością. Teraz prawie zawsze przychodził sam.

Od czasu mojej rozmowy z Cassisem w domku na drzewie uważałam, że wszystko między mną i Tomaszem zostało ustalone. My przestrzegaliśmy zasad; nie szalonych reguł wymyślonych przez naszą matkę, lecz prostych praw, które zrozumieć mogło nawet dziewięcioletnie dziecko: Miej oczy szeroko otwarte. Chronź szefa. Dziel się wszystkim. Nasza trójka była samowystarczalna przez tak długi czas, że czuliśmy rozkoszną ulgę - nawet jeśli nie mówiliśmy o tym głośno - mając kogoś dorosłego, kto się nami opiekował; kogoś, kto pilnował porządku.

175

Pięć ćwiartek pomarańczy

Pamiętam pewien dzień. Byliśmy razem, wszyscy troje, a Tomasz się spóźniał. Cassis nadal nazywał go Leibnizem, choć ja i Reine już dawno przeszliśmy z nim na ty. Tego dnia brat był nerwowy i ponury, siadł z dala od nas na brzegu rzeki i rzucał kamienie do wody. Rankiem odbył z matką głośny pojedynek na słowa z powodu jakiegoś

drobiazgu.

Gdyby żył nasz ojciec, nigdy byś się nie ośmieliła tak do

mnie mówić!

Gdyby żył wasz ojciec, robiłby, co mu każę, i wy tak samo! Zasypany gradem jej słów, skapitulował jak zawsze. Na sienniku w domku na drzewie trzymał starą kurtkę myśliwską ojca. Włożył ją teraz. Gdy tak siedział zgarbiony, przypominał starego Indianina owiniętego kocem. Zawsze gdy wkładał kurtkę ojca, był to zły znak, więc wraz z Reine zostawiłyśmy go w spokoju.

Siedział tak nadal, kiedy nadszedł Tomas. Leibniz zauważył go od razu i bez słowa siadł na brzegu kawałek dalej.

- Mam dość - odezwał się po długiej chwili Cassis, nie patrząc na żołnierza, - To dobre dla smarkaczy. Mam czternaście lat. Dojadło mi już to wszystko.

Tomas zdjął swój wojskowy płaszcz i rzucił Reinette, żeby przejrzała kieszenie. Ja leżałam na brzuchu, obserwując całą scenę.

Cassis znowu zaczął mówić.

- Komiksy. Czekolada. Same śmieci. To kpiny, nie wojna. -Wstał, nie mogąc usiedzieć z podniecenia. - Nic z tego nie jest na poważnie. To tylko gra. Mojemu ojcu odstrzelili głowę, a dla ciebie to jedynie cholerna zabawa, no nie?

- Tak myślisz? - spytał Tomas.

- Myślę, że jesteś boszem - wycedził Cassis.

- Chodź ze mną - powiedział Tomas, wstając. - Dziewczęta, wy zostańcie tutaj. W porządku?

Reine zgodziła się z największą przyjemnością; leżała, przeglądając magazyny i skarby znalezione w licznych

Joannę Harris

kieszeniach płaszcza. Zostawiłam ją przy tym zajęciu, a sama ukradkiem podążyłam za nimi, kryjąc się wśród krzewów, nisko schylona nad porośniętym mchem gruntem. Ich głosy sączyły się z oddali niczym pyłki opadające z koron drzew.

Nie wszystko słyszałam. Siedziałam skulona za zwalonym pniakiem, niemal bojąc się oddychać. Tomas wyjął z kabury pistolet i wyciągnął w stronę Cassisa.

- Potrzymaj, jeśli chcesz. Zobacz, jakie to uczucie. Broń musiała być bardzo ciężka. Cassis wymierzył ją

i spojrzął przez szczerbinkę na Niemca. Zdawało się, że ten niczego nie zauważył.

- Mojego brata rozstrzelali za dezercję - powiedział. -Ledwie skończył szkolenie. Miał dziewiętnaście lat i bał się. Obsługiwał karabin maszynowy i huk musiał go doprowadzać do szaleństwa. Zginął w jakiejś polskiej wsi, na samym początku wojny. Myślałem, że gdybym z nim poszedł, jakoś bym mu pomógł, nie dał mu zwariować,

ochronił przed najgorszym. Nawet mnie tam nie było.

Cassis spojrzał na niego wrogo.

- I co z tego?

Tomas zignorował pytanie.

- Rodzice go uwielbiali. Zawsze to Ernst dostawał do wylizania garnki, kiedy matka coś gotowała. Ernsta najbardziej oszczędzali, jak było coś do zrobienia. To z niego byli dumni. A ja? Kawał chłopca, zdatny w sam raz, żeby wyrzucić gnój albo nakarmić świnię. Niewiele więcej.

Teraz Cassis słuchał. Napięcie między nimi było niczym śwąd spalenizny.

- Kiedy dostaliśmy wiadomość, byłem w domu na urlopie. Przyszedł list. To miała być tajemnica, ale w ciągu pół godziny cała wieś wiedziała, że chłopak od Leibnizów zdezerterował. Rodzice nie rozumieli, co się dzieje. Zachowywali się jak ludzie, których trafił piorun.

Zacząłam się podkradać bliżej, kryjąc się za zwałonym

pniem. Tomas mówił dalej:

i

177

12. Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Zabawne, zawsze mi się wydawało, że to ja jestem największym tchórzem w rodzinie. Nigdy się nie stawiałem. Unikałem ryzyka. Ale od tamtej pory rodzice zaczęli właśnie mnie uważać za bohatera. Stałem się ich jedynym synem. Byłem dla nich wszystkim.

- I nie... nie bałeś się? - Głos Cassisa był ledwie słyszalny.

Tomas przytaknął bez słowa.

Usłyszałam, jak Cassis odetchnął - brzmiało to, jakby ktoś zamknął ciężkie wrota.

- On nie miał umrzeć - odezwał się brat. Domyśliłam się, że mówi o ojcu.

Tomas czekał cierpliwie, z pozoru obojętny.

- Wszyscy zawsze opowiadali, jaki to jest sprytny. Radził sobie w każdej sytuacji. Nie był tchórzem...

Cassis urwał i spojrzał na Tomasa wściekłym wzrokiem, jak gdyby milczenie tamtego coś sugerowało. Łamał mu się głos i drżały dłonie. Nagle zaczął krzyczeć wysokim, pełnym cierpienia głosem. Słowa, które ledwie udawało mi się zrozumieć, zlewały się ze sobą, rozpaczliwie próbując się wyrwać na wolność.

- On nie powinien był umrzeć! Umiał sobie ze wszystkim poradzić i wszystko naprawić, a zamiast tego poszedł na wojnę i dał się zastrzelić jak dureń, i teraz wszystko jest na mojej głowie, i ja... nie... wiem... co robić się-b-bo...

Tomas czekał, aż atak się skończy. Trwało to trochę. Potem zwyczajnie sięgnął po broń.

- To cały kłopot z bohaterami - zauważył. - Nigdy nie potrafią do końca sprostać oczekiwaniom, prawda?

- Mogłem cię zabić - mruknął Cassis ponuro.

- To nie takie proste, jak się zdaje - odparł Tomas.

Wyczułam, że ich rozmowa zbliża się do końca i zaczęłam się wycofywać przez krzewy, nie chcąc, by mnie zaskoczyli w drodze powrotnej. ReINETTE siedziała w tym samym miejscu co przedtem, pochłonięta czytaniem „Cine-Mag”. Pięć minut później Cassis i Tomas nadeszli ramię w ramię

178

Joannę Harris

jak bracia. Cassis miał na głowie niemiecką czapkę, zawadiacko zsuniętą z czoła.

- Jest twoja - powiedział Tomas. - Wiem, jak zdobyć drugą.

Ryba wzięła przynętę. Od tej chwili Cassis został jego niewolnikiem.

10

Po tym zdarzeniu nasz entuzjazm dla sprawy Tomasa wzrósł dwójnasób. Potrafił zrobić użytek z każdej, choćby najbliższej informacji. Madame Henriot z poczty otwiera ukradkiem listy; Gilles Petit od rzeźnika sprzedaje kocie mięso jako królicze; Martin Dupre wygadywał na Niemców w La Mauvaise Reputation razem z Henrim Drou-otem; ludzie mówią, że Truriandowie mają radio ukryte w ogrodzie za domem i że Martin Francin to komunista. Każdego dnia Tomas odwiedzał ich pod pozorem rekwiro-wania prowiantu dla żołnierzy. Odchodząc, niósł nieco więcej niż tylko to, po co przyszedł - gruby zwitek banknotów, jakąś czarnorynkową odzież albo butelkę wina... Niekiedy ofiary płaciły dalszymi informacjami: o kuzynie z Paryża ukrywającym się w piwnicy w samym centrum Angers albo zabójstwie na tyłach Le Chat Rouget... Do końca lata Tomas Leibniz znał połowę sekretów z Angers i dwie trzecie z Les Laveuses, i zgromadził małą fortunę upchaną w materacu. Nazywał to „odgrywaniem się”. Nie musiał

wyjaśniać przeciw czemu.

Wysyłał pieniądze do domu do Niemiec, choć nigdy nie udało mi się dowiedzieć, jak to robił. Oczywiście były na to sposoby. Przesyłki dyplomatyczne i torby kurierów. Pociągi z żywnością i szpitalne ciężarówki. Istniało mnóstwo dróg dla przedsiębiorczego młodego człowieka, jeśli tylko miał właściwe kontakty. Zamieniał się z kolegami na służbę, żeby móc odwiedzać okoliczne farmy. Podśluchiwał

i

179

Pięć ćwiartek pomarańczy

pod drzwiami kasyna oficerskiego. Ludzie lubili Tomasa, ufali mu, chętnie z nim rozmawiali. A on nigdy niczego nie

zapominał.

Wiele ryzykował. Powiedział mi o tym kiedyś, gdy

spotkaliśmy się nad rzeką. Gdyby popełnił błąd, zostałby rozstrzelany. Ale oczy błyszczały mu wesoło, kiedy to mówił. Tylko dureń daje się złapać, dorzucił z uśmiechem. Głupiec staje się niedbały i nieostrożny, a może i zbyt pazerny. Heinemann i reszta to durnie. Kiedyś ich potrzebował, ale teraz bezpieczniej jest działać samemu. Byliby kulą u nogi - wszyscy co do jednego. Mają zbyt wiele słabostek: Schwartz myśli tylko o dziewczynkach, Hauer za dużo pije, a Heinemann ze swoim nieustannym drapaniem się i nerwowymi tikami jest doskonałym kandydatem do szpitala wariatów. Nie, stwierdził leniwie, leżąc na plecach z łodyżką koniczyzny w zębach, lepiej działać samemu, obserwować i czekać; niech inni

ryzykują.

- Weźmy tego twojego szczupaka - ciągnął filozoficznie. - Nie przeżyłby tak długo, jakby ciągle tylko ryzykował. Przez większość czasu szuka pożywienia blisko dna, chociaż dzięki swoim zębom mogłby schwytać prawie każdą rybę w rzece.

Przerwał, wypluł łodyżkę i podniósł się do pozycji siedzącej.

- Wie, że na niego polują, Backfisch, więc zaczął się na dnie, je zgniłe resztki, ścieki i szlam. Tam, na dole, jest bezpieczny. Obserwuje inne ryby, te mniejsze, pływające bliżej powierzchni, widzi ich brzuchy połyskujące w słońcu, a kiedy zauważy, że któraś oddaliła się od pozostałych albo wpadła w tarapaty - chap!

Zrobił szybki ruch rękami; wyimaginowane szczęki zacisnęły się na niewidzialnej zdobyczy.

Patrzyłam na niego szeroko otwartymi oczami. - Omija z daleka sieci i pułapki. Poznaje je na pierwszy rzut oka. Inne ryby stają się żarłoczne, ale stary szczu-

180

Joannę Harris

pak się nie śpieszy. Umie czekać. A przynęty... też je zna. Na martwe się nie złapie. Skusi go jedynie żywa, a i to nie zawsze. Byle głupiec nie złowi szczupaka. - Uśmiechnął się. - Ty i ja, oboje mogliśmy się wiele od niego nauczyć, Backfisch.

No cóż, wierzyłam mu na słowo. Widywałam go raz na dwa tygodnie albo nawet raz na tydzień, rzadko sama, częściej w towarzystwie rodzeństwa. Zwykle w czwartki; spotykaliśmy się przy Posterunku Obserwacyjnym i szliśmy do lasu albo w dół rzeki, byle dalej od wioski; tam, gdzie nikt nas nie widział. Tomas zwykle chował gdzieś mundur, żeby nie wzbudzać zainteresowania, i przebierał się w cywilne ubranie. Kiedy matka miała zły humor, używałam woreczka ze skórką pomarańczy, by ją zatrzymać w jej pokoju, gdy się z nim spotykaliśmy. W pozostałe dni wstawałam o wpół do piątej i łowiłam ryby, zanim się rozpoczęła codzienna praca, wybierając najciemniejsze i najspokojniejsze zakątki rzeki. Chwytałam małe rybki w pułapki na raki, a potem zakładałam je jako przynętę na moją nową wędkę. Zarzucałam lekko, by ich blade brzuchy ledwie musnęły powierzchnię; przeczesywałam wędką nurt. Złapałam w ten sposób niejednego szczupaka, ale były to wszystko młode sztuki, nie dłuższe niż dłoń czy stopa. Mimo to zawieszałam je na Stojących Kamieniach obok cuchnących sznurów wodnych węży, które łowiłam przez całe lato.

Podobnie jak Stara Mateczka, czekałam.

1 1

Nastał początek września; lato dobiegało końca. Choć wciąż było gorąco, w powietrzu wyczuwało się bogaty i ociążały aromat dojrzałości; słodki, miodowy zapach rozkładu. Ulewne sierpniowe deszcze zepsuły zbiory, a owoce, które ocalały, roily się od os, lecz zrywaliśmy je i tak -

i

181

Pięć ćwiartek pomarańczy

nie mogliśmy sobie pozwolić na straty. To, czego nie dało się sprzedać, mogło wciąż posłużyć do wyrobu dżemów i likierów na zimę. Matka nadzorowała całą operację, wyposażywszy nas w grube rękawice i drewniane szczypce -którymi kiedyś w pralni wyławiało się bieliznę z kotłów pełnych wrzątku - do zbierania opadłych owoców. Pamiętam, że osy były szczególnie

cięte tego roku, być może wyczuwając nadciągającą zimę i własną bliską śmierć, bo kłuły nas co rusz mimo rękawic, kiedy wrzucaliśmy nadgniłe owoce do wielkich rondli, w których smażyły się dżemy. Z początku również dżem składał się w połowie z os i Reine - która brzydziła się insektów - była na granicy hysterii, gdy musiała łyżką cedzakową wyławiać z czerwonego płynu pólżywe owady wraz z szumowinami. Rzuciła je daleko na ścieżkę w fontannie śliwkowego soku, gdzie wkrótce dołączali do nich żywi towarzysze. Matka nie miała cierpliwości do podobnych cyrków. Nie wolno nam się było obawiać takich rzeczy jak osy, a kiedy Rei-nette piszczała i płakała, że musi zbierać ruszającą się masę strąconych przez wiatr śliwek, matka zwymyślała ją gorzej niż zwykle.

- Nie bądź głupsza, niż cię Bóg stworzył, dziewczyno -warknęła. - Myślisz, że śliwki zbiorą się same? A może liczysz na to, że zrobimy to za ciebie?

Reine szlochała, trzymając ręce sztywno wyciągnięte przed siebie, z twarzą wykrzywioną odrazą i strachem.

Głos matki nabrał niebezpiecznych tonów. Przypominał teraz brzęczenie osy; wibrował groźbą.

- Bierz się do roboty - burknęła - albo tak cię urządzę, że naprawdę będziesz miała powody do skamlania - i silnie pchnęła córkę w stronę stosu zebranych przez nas gąbczastych, na pół sfermentowanych owoców ruszających się od owadów. ReINETTE, otoczona chmurą os, wrzasnęła i odskoczyła w stronę matki z zaciśniętymi powiekami, nie dostrzegła więc skurczu gniewu, który przebiegł po twarzy tamtej. Mirabelle Dartigen przez

182

Joannę Harris

mgnienie spoglądała niemal bez wyrazu, potem chwyciła córkę, wciąż krzyczącą histerycznie, za ramię i bez słowa pociągnęła za sobą w stronę domu. Cassis i ja spojrzeliśmy po sobie, lecz nie ruszyliśmy się z miejsca. Mieliśmy dość rozumu, żeby tego nie robić. Kiedy ReINETTE zaczęła krzyczeć głośniejsze - każdy wrzask punktowany dźwiękiem przypominającym wystrzał - jedynie wzruszyliśmy ramionami i wróciliśmy do pracy, nagarniając szczypcami nadgniłe śliwki do pojemników ustawionych wzdłuż ścieżki.

Zdawało się, że upłynęła długa chwila, nim odgłosy bicia ustały i obie wyszły z domu - matka wciąż jeszcze trzymała w ręce kawałek sznura do bielizny, którego użyła. W milczeniu wzięły się do pracy. Reine co jakiś czas pociągała nosem i ocierała zaczerwienione oczy. Po pewnym czasie ów skurcz na twarzy matki pojawił się znowu. Wycofała się do swego pokoju, zostawiwszy nam lapidarne instrukcje, żeby zebrać resztę spadów i nastawić je na dzem. Nigdy później nie wspomniała o incydencie ani nie okazała, że go w ogóle pamięta. Ja jednak widziałam czerwone pręgi na nogach Reinette, gdy wkładała koszulę nocną, i przez całą noc słyszałam, jak jęczy i rzuca się na łóżku.

Choć zdarzenie to było niezwykle, matka miała niedługo dokonać wielu równie dziwnych rzeczy, i wkrótce wszyscy o nim zapomnieliśmy - z wyjątkiem Reine, oczywiście. Mieliśmy inne powody do rozmyślań.

Tego lata mało widywałam Paula; odkąd Cassis i Reinette zaczęli wakacje, trzymał się z dala. We wrześniu

rozpoczął się jednak nowy rok szkolny, więc Paul częściej kręcił się w pobliżu. Chociaż go lubiłam, niepokoiła mnie myśl, że mógłby spotkać Tomasa. Często go unikałam; kryłam

i 183

Pięć ćwiartek pomarańczy się w nadrzecznych zaroślach, aż sobie poszedł; ignorowałam jego wołanie albo udawałam, że nie widzę, kiedy do mnie machał. Chyba po jakimś czasie zrozumiał, bo przestał przychodzić.

Mniej więcej w tym okresie zachowanie matki stało się szczególnie dziwne. Od incydentu z Reinette obserwowaliśmy ją z czujną ostrożnością dzikusów stojących przed obliczem swego bożka - i istotnie była dla nas kimś w rodzaju idola, darzącego według kaprysu łaskami i karami, a jej uśmiech lub zmarszczenie brwi rozstrzygały o naszej radości lub smutku. Teraz, na progu września, kiedy za tydzień dwójka jej starszych dzieci miała rozpocząć naukę, stała się karykaturą samej siebie. Wpadała w furię z powodu najmniejszego drobiazgu - ścierki do naczyń zapomnianej obok zlewu, talerza na

desce do suszenia, pyłku na oprawionej fotografii. Migreny dręczyły ją niemal codziennie. Prawie zazdrościłam Cassisowi i Reinette, którzy spędzali całe dnie w Angers. Miejscową szkołę podstawową zamknięto, gdy nauczyciel przeniósł się do Paryża, a żeby dołączyć do rodzeństwa, musiałam czekać jeszcze rok.

Często uciekałam się do pomocy woreczka ze skórką pomarańczową. Choć bardzo się bałam, że matka odkryje mój fortel, nie mogłam się powstrzymać. Była spokojna tylko wtedy, kiedy wzięła pigułki, a brała je jedynie, gdy czuła zapach pomarańczy. Trzymałam zapas skórki ukryty głęboko w beczce z sardelami i wyciągałam go w razie potrzeby. Było to ryzykowne, lecz często zapewniało mi pięć lub sześć godzin jakże potrzebnego wytchnienia.

Pomijając krótkie chwile zawieszenia broni, nasza wojna trwała w najlepsze. Rosłam szybko; byłam już równie wysoka jak Cassis i wyższa od Reinette. Miałam ostre rysy matki, jej ciemne poderzliwe oczy, jej proste czarne włosy. Nienawidziłam tego podobieństwa bardziej nawet niż jej dziwaczного zachowania. Im bliżej zimy, tym silniej owa niechęć we mnie narastała, aż wreszcie niemal się od niej dusiłam. W naszej sypialni wisiał

kawałek lustra; przyła-

184

Joannę Harris

pałam się na tym, że ukradkiem często w nie spoglądałam. Nigdy wcześniej nie przywiązywałam większej wagi do swojego wyglądu, teraz zaczęłam obserwować siebie, najpierw z ciekawością, potem krytycznie. Wynajdywałam u siebie wady i przekonywałam się z przerażeniem, jak jest ich wiele. Marzyłam, by mieć kręcone włosy jak Reine i pełne czerwone wargi. Wykradałam fotosy spod materaca siostry i wpatrywałam się w nie, aż wryły mi się w pamięć - nie z zachwytem i uniesieniem, lecz z pełną zaciętości desperacją. Zawijałam włosy na papiloty, żeby się skrzyły. Szczypałam bez litości bladobrązowe pączki piersi, aby szybciej rosły. Nic nie pomagało. Pozostałam kopia matki -ponurą, małomówną i niezdatną. Pojawiły się i inne dziwne oznaki. Miewałam żywe sny, z których budziłam się dysząca i spocona, choć noce zrobiły się zimne. Węch mi się wyostrzył, tak że w niektóre dni potrafiłam wyczuć płonący stóg siana na polu Houriasów mimo wiatru wiejącego w przeciwnym

kierunku albo poznawałam, kiedy Paul jadł wędzoną szynkę, albo wiedziałam, co matka przygotowuje w kuchni, zanim dotarłam choćby do sadu. Pierwszy raz uświadomiłam sobie własny zapach - słoń, rybą, ciepłą woń (która utrzymywała się, nawet kiedy nacierałam skórę balsamem cytrynowym i miętą); ostry, oleisty zapach włosów. Cierpiałam na skurcze żołądka - ja, która nigdy nie chorowałam - i bóle głowy. Zaczynałam się zastanawiać, czy nie odziedziczyłam po matce jej choroby; przerażającego, obłąkanego sekretu, w który zostałam wtajemniczona wbrew woli.

Pewnego ranka po obudzeniu znalazłam krew na prześcieradle. Cassis i Reinette przygotowywali się do wyjścia do szkoły i nie zwracali na mnie uwagi. Instynktownie zakryłam kołdrą zaplamione miejsce, włożyłam starą spódnicę i sweter, a potem pobiegłam nad Loarę, żeby zbadać, co się stało. Krew ciekła mi po nogach; zmyłam ją w rzece. Próbowałam zrobić bandaż ze starych chusteczek, lecz rana była zbyt głęboka, zbyt poważna, by to wystarczyło.

Pięć ćwiartek pomarańczy

Miałam wrażenie, jakby mnie rozdierano na strzępy,
nerw po nerwie.

Nawetjiiie przyszło mi na myśl, by powiedzieć matce. Nigdy nie słyszałam o menstruacji - matka była obsesyjnie pedantyczna, jeśli chodzi o wszelkie funkcje fizjologiczne - więc doszłam do wniosku, że jestem poważnie ranna, może nawet umierająca. Niebezpieczny upadek gdzieś w lesie, jakiś trujący grzyb i oto wykrwawiałam się na śmierć. Albo może to wina złośliwego uroku. Matka nie chodziła do kościoła - nie znosiła tego, co nazywała la cu-raille, i drwiła z tłumów idących na mszę - lecz mimo to wpoila nam głębokie poczucie grzechu. Zło zawsze wyjdzie na jaw, mawiała - a nasze głowy pełne były przecież wrogości do niej niczym skórki winogron wypełnione cierpkim moszczem. Trzeba nas było wciąż mieć na oku, podsłuchiwać. Każde spojrzenie, każde słowo świadczyło o głęboko zakorzenionym, instynktownym złu, które się

w nas kryło.

Ja byłam najgorsza. Wiedziałam o tym. Dostrzegałam to we własnych oczach odbitych w lustrze, tak podobnych do jej oczu z ich bezmyślną, zwierzęcą zuchwałością. Starczy jedna zła myśl, by przywołać Śmierć, mawiała, a tego lata wszystkie moje myśli były złe. Wierzyłam jej. Niczym otrute zwierzę poszukałam kryjówki; wdrapałam się na szczyt Posterunku Obserwacyjnego i leżałam zwinięta na drewnianej podłodze domku, czekając, kiedy umrę. Brzuch bolał mnie jak spróchniały ząb. Kiedy śmierć nie nadeszła, przeczytałam jeden z komiksów Cassisa, a potem leżałam, patrząc na jasne sklepienie liści, aż zasnęłam.

13

Wy tłumaczyła mi później, dając świeże prześcieradło. Z twarzą bez wyrazu i tym taksującym spojrzeniem, którym zawsze mnie mierzyła, z wargami zaciśniętymi tak

186

Joannę Harris

mocno, że stały się prawie niewidoczne i oczyma jak zadziory z drutu kolczastego na bladej twarzy.

- Wcześniej dostałaś ciotę - powiedziała. - Masz.

I wręczyła mi stos muślinowych chust prawie tak dużych jak dziecięce pieluchy. Nie wyjaśniła, jak ich używać.

- Ciotę?

Cały dzień przesiedziałam w domku na drzewie, spodziewając się śmierci. Obojętność matki niepokoiła mnie i doprowadzała do furii. Zawsze uwielbiałam dramatyzm. Wyobraziłam sobie, że stoi nad moim ukwieconym grobem. Marmurowy nagrobek z napisem Ukochana córka. Pomyślałam, że musiałam kiedyś zobaczyć Starą Mateczkę, nawet o tym nie wiedząc. Zostałam przeklęta.

- Przekleństwo matki - powiedziała, jakby czytając w moich myślach. - Teraz będziesz taka jak ja.

Nie powiedziała nic więcej. Przez dzień czy dwa jeszcze się bałam, ale nie wspomniałam jej o tym, i prałam chusty w Loarze. Potem ciota ustała na jakiś czas i zapomniałam o wszystkim.

Z wyjątkiem nienawiści. Była teraz skoncentrowana, sprecyzowana za sprawą mojego strachu i tego, że matka odmówiła mi pociechy. Prześladowały mnie jej słowa -będziesz taka jak ja. Wyobrażałam sobie, że niezauważalnie zaczynam się zmieniać, upodabniać do niej w ukradkowy, zdradziecki sposób. Szczypałam się po kościstych rękach i nogach, bo były takie jak jej. Biłam się po policzkach, by dodać im kolorów. Pewnego dnia obciąłam włosy - tak krótko, że w kilku miejscach skaleczyłam sobie głowę - bo nie chciały się kręcić. Próbowałam wyregulować sobie brwi, ale nie miałam wprawy, więc wyskubałam je prawie do końca, zanim znalazła mnie ReINETTE, zezującą do lustra z pęsetą w ręce, z gniewnie zmarszczonym czołem.

Matka nie zwracała na to uwagi. Wydawało się, że moja historyjka, jak to opaliłam sobie włosy i brwi, próbując rozpalić pod bojlerem w kuchni, całkowicie ją

satys-

187

Pięć ćwiartek pomarańczy fakcjonuje. Tylko raz (musiał to być jeden z jej lepszych dni), kiedy byliśmy w kuchni, przyrządzając terrines de lapin, zwróciła się do mnie z dziwnie ożywioną twarzą.

- Chciałabyś iść dzisiaj do kina, Boise? - spytała nieoczekiwanie. - Mogłybyśmy pojechać razem. Tylko ty i ja. Pomysł był tak do niej niepodobny, że aż drgnęłam zaskoczona. Nigdy nie opuszczała farmy z innych powodów niż w interesach. Nigdy nie przepuszczała pieniędzy na rozrywki. Nagle zauważyłam, że ma na sobie nową sukienkę - a w każdym razie o tyle nową, o ile było to możliwe w tamtych trudnych czasach - z wyzywającym czerwonym stanikiem. Musiała ją uszyć z resztek w swoim pokoju w ciągu bezsennych nocy, bo nie widziałam jej nigdy wcześniej. Twarz miała leciutko zarumienioną, niemal dziewczęcą; wyciągała do mnie dłonie umazane króliczą

krwią.

Cofnęłam się o krok. To był gest przyjaźni.
Wiedziałam

o tym. Odtrącić go zdawało się rzeczą nie do pomyślenia. A jednak między nami narosło zbyt wiele niewypowiedzianych spraw, bym mogła go przyjąć. Przez moment wyobraziłam sobie, że podchodzę do niej, pozwalałam, by mnie objęła, opowiadałam wszystko...

Ta myśl otrzeźwiła mnie w mgnieniu oka. Co jej powiem?, zapytałam surowo samą siebie. Za wiele miałam do powiedzenia. Nie miałam nic do powiedzenia. Nic zupełnie. Patrzyła na mnie pytająco. - Boise? Co ty na to?

Jej głos był niezwykle łagodny, prawie pieszczotliwy. Nagle stanął mi przed oczyma przerażający obraz: ona i ojciec w łóżku; jej rozpostarte ramiona, ten sam uwodzicielski uśmiech...

- Ciągle tylko harujemy - ciągnęła cicho. - Nigdy nie mamy wolnego. Jestem już taka zmęczona...

Wtedy pierwszy raz za mojej pamięci się poskarżyła. Znowu poczułam impuls, by do niej podejść, poczuć bijąc* od niej ciepło, ale było to nie do pomyślenia. Nie przywy

188

Joannę Harris

kliśmy do takich rzeczy. Rzadko kiedy choćby się dotykaliśmy. Sam pomysł, by to zrobić, wydawał się nieprzyzwoity.

Mruknęłam niezręcznie, że już widziałam ten film.

Przez chwilę stała z zakrwawionymi dłońmi uniesionymi w zapraszającym geście. Potem jej twarz się zamknęła, a mnie przeszła nagle dzika radość. Wreszcie zdobyłam punkt w naszej długiej, bolesnej grze.

- Oczywiście - przytaknęła bezbarwnie.

Nie było już mowy o wyjściu do kina, a kiedy w najbliższy czwartek pojechałam do Angers z Cassisem i

Reine na ten właśnie film, którym wcześniej wzgardziłam, nawet tego nie skomentowała. Może zdążyła o wszystkim zapomnieć.

14

W tym miesiącu nasza apodyktyczna, nieprzewidywalna matka nabrała nowych zwyczajów. Jednego dnia radosna, śpiewała do siebie w sadzie, nadzorując zbieranie owoców, następnego pastwiła się nad nami bez litości, jeśli tylko ośmieliliśmy się do niej zbliżyć. Zdarzały się nieoczekiwane prezenty - kawałek cukru, tabliczka cennej czekolady, bluzka dla Reine ze słynnego spadochronowego jedwabiu madame Petit, ozdobiona drobnymi perełkami. Matka musiała ją również uszyć w sekrecie, tak jak sukienkę z czerwonym stanikiem, bo nie widziałam, by kroić materiał. Jak zwykle darowi nie towarzyszyły żadne słowa, a tylko niezręczna, ciężka cisza, w której najmniejsza wzmianka o wdzięczności czy podziwiewydałaby się niestosowna. W albumie zapisała:

Wygląda tak ślicznie. To już prawie kobieta; ma oczy swojego ojca. Gdyby żył, czułabym się zazdrosna. Może

Boise to wyczuwa - z tą swoją śmieszoną żabią twarzyczką podobną do mojej. Spróbuję coś znaleźć, by sprawić jej przyjemność. Jeszcze nie jest za późno.

i

189

Pięć ćwiartek pomarańczy

Gdyby tylko to powiedziała, zamiast zapisywać tym swoim zaszyfrowanym pismem! Tymczasem owe drobne i oznaki hojności - jeśli tym właśnie były - rozwścieczyły mnie jeszcze bardziej. Złapałam się na tym, że szukam sposobów, by urazić ją znowu, tak jak wtedy w kuchni.

Nie szukam usprawiedliwień. Chciałam ją zranić. Stary banał kryje w sobie prawdę: dzieci rzeczywiście są okrutne. Kiedy ranią, ranią do głębi, bardziej bezwzględnie niż dorośli, a my byliśmy małymi dzikusami bezlitośnie wykorzystującymi najmniejszą słabość. Ów moment, 1 kiedy wyciągnęła do mnie rękę, miał jej

przynieść zgubę. Być może nawet o tym wiedziała, ale było już za późno. Dostrzegłam w niej słabość i od tej chwili byłam nieubłagana. Bezbrzeżna samotność drążyła coraz głębsze i czarniejsze korytarze w moim sercu. Jeśli nawet zdarzały się momenty, kiedy kochałam matkę - z bolesną, rozpaczliwą tęsknotą - odrzucałam każdą myśl o tym, przypominając sobie jej nieobecność, zaniedbywanie, jej obojętność. Logika, którą się posługiwałam, była całkowicie szalona: sprawię, że pożałuje, powtarzałam sobie. Sprawię, że mnie

znienawidzi.

Często śniła mi się Jeannette Gaudin, biały nagrobek z aniołem, białe lilie w dzbanie. Ukochana córka. Czasem budziłam się z twarzą zalaną łzami, ze szczękami tak obolałymi, jakbym zaciskała zęby przez całe godziny. Niekiedy budziłam się zagubiona, pewna, że umieram. Wąż wodny jednak mnie ugryzł, tłumaczyłam sobie półprzytomnie. Mimo wszystkich ostrożności. Ukąsił mnie, lecz zamiast umrzeć od razu - białe kwiaty, marmur, łzy - zmieniałam się powoli we własną matkę. Jęczałam w gorączkowym półśnie, obejmując rękami ostrzyżoną głowę.

Zdarzało się, że podkładałam jej woreczek ze skórką pomarańczową z czystej złośliwości, jako sekretną zemstę za swoje sny. Słyszałam, jak chodzi po pokoju, niekiedy mówiąc coś do siebie. Słoik z morfiną był prawie pusty. Kiedyś rzuciła czymś ciężkim o ścianę; usłyszeliśmy brzęk

190

Joannę Harris

tłuczonego szkła. Później znaleźliśmy w śmieciach szczątki jej zegara. Klosz był w kawałkach, tarcza pęknięta na pół. Nie czułam żalu. Sama bym go stłukła, gdyby starczyło mi odwagi.

Dwie rzeczy trzymały mnie przy zdrowych zmysłach przez tamten wrzesień. Po pierwsze, polowanie na Starą Mateczkę. Złowiłam kilka szczupaków, idąc za radą Tbma-sa, by używać żywej przynęty - Stojące Kamienie cuchnęły od rybich trupów, a powietrze wokół nich połyskiwało purpurowo od much. I choć Mateczka się nie pokazywała, czułam, że jestem coraz bliżej. Wyobrażałam sobie, że widzi każdego złowionego przeze mnie

szczupaka i jej wściekłość rośnie, maleje jej rozwaga. Pragnienie zemsty w końcu ją zgubi, mówiłam sobie. Nie może w nieskończoność ignorować ataków na własny lud. Nieważne, jak jest cierpliwa, jak jest obojętna, przyjdzie czas, kiedy nie zdoła się pohamować. Wyjdzie z ukrycia, stanie do walki, i wtedy ją dopadnę. Nie ustawałam w wysiłkach i na coraz wymyślniej sze sposoby wyładowywałam swój gniew na ciałach ofiar. Niekiedy używałam ich jako przynęty na raki.

Drugim źródłem pociechy był dla mnie Tomas. W dalszym ciągu widywaliśmy się z nim co tydzień, jeśli tylko udawało mu się wyrwać w czwartki, kiedy miał wolne. Przyjeżdżał na motorze, który razem z mundurem ukrywał w krzakach obok Posterunku Obserwacyjnego. Rzecz dziwna, tak przywykliśmy do tych wizyt, że wystarczyłaby nam sama jego obecność, lecz każde z nas ukrywało ten fakt przed pozostałymi. Zmienialiśmy się przy nim; Cassis stawał się nonszalancki, popisывał się z desperacką brawurą - patrzcie, potrafię przepłynąć Loarę w najszerszym miejscu; patrzcie, umiem wykraść plaster miodu dzikim pszczołom. Reine stawała się zalotna i nieśmiała; zerkąła na niego spod opuszczonych rzęs, wydymając swoje śliczne, uszmkowane usteczka.

Gardziłam jej pozami. Ponieważ wiedziałam, że nie mogę współzawodniczyć z siostrą na polu urody, skierowałam swe wysiłki na to, by prześcignąć

1

191

Pięć ćwiartek pomarańczy

brata w jego wyczynach. Przeplýwałam głębsze i bardziej niebezpieczne odcinki rzeki. Dłużej niż on nurkowałam. Zwieszałam się z najwyższych gałęzi Posterunku Obserwacyjnego, a kiedy Cassis ośmielił się mnie naśladować, znając jego skrywany lęk wysokości, zawisłam głową w dół, śmiejąc się i piszcząc jak małpa do stojących w dole. Z ostrzyżonymi włosami byłam bardziej chłopięca niż każdy chłopak, a Cassis już zaczynał zdradzać pierwsze objawy słabości charakteru, której miał ulec całkowicie w wieku średnim. Byłam twardsza, odporniejsza niż on. Miałam za mało lat, by rozumieć, czym jest strach, tak jak on to rozumiał, więc wesoło ryzykowałam życie, by zyskać nad nim przewagę. To ja wymyśliłam Grę w Korzenie, która miała się stać naszą

ulubioną, i spędzałam całe godziny na ćwiczeniu, więc zawsze wygrywałam.

Zasady były proste. Wzdłuż brzegów Loary, węższej teraz, odkąd ustały deszcze, zwieszały się f estony wymytych do czysta korzeni drzew. Niektóre były grubości dziewczęcego nadgarstka, inne cienkie jak młode łososie, sięgały do wody, a niekiedy wrastały w żółtą ziemię jakiś metr pod powierzchnią, tworząc sprężyste pętle. Celem gry było zanurkować i przepłynąć przez takie pętle - niektóre bardzo ciasne - zginając ciało w scyzoryk. Ten, kto nie trafił w pętlę za pierwszym razem, wynurzył się, nie dokonawszy wyczynu, albo w ogóle odmówił przepłynięcia, przegrywał. Ten, komu udało się przepłynąć przez największą ich liczbę, trafiając za każdym razem, wygrywał. Gra nie należała do bezpiecznych. Pętle znajdowały się na najszybszych odcinkach rzeki, tam gdzie brzegi były strome, wyerodowane przez płynącą wodę. W norach żyły wodne węże, a gdyby brzeg się obsunął, śmiałek zostałby przysypany przez spadającą ziemię. Pod powierzchnią nie było nic widać i drogę trzeba było sobie wymacywać. Zawsze istniała groźba, że ktoś utknie między korzeniami, przyciśnięty przez silny prąd tak długo, aż utonie, lecz ??

tym, oczywiście, polegał cały urok i atrakcyjność gry.

192

Joannę Harris

Doszłam w niej do wielkiej wprawy. Reine rzadko się do nas przyłączała - często wpadała w histerię, kiedy się popisywaliśmy - lecz Cassis nigdy nie umiał się oprzeć wyzwaniu. Był silniejszy ode mnie, drobniejsza budowa i bardziej giętki kręgosłup dawały mi jednak przewagę. Byłam zwinna jak węgorz, a im bardziej Cassis przechwalał się i nadymał, tym stawał się sztywniejszy. Nie pamiętam, żebym przegrała chociaż raz.

Jedyna okazja, by spotkać się z Tomaszem sam na sam, nadarzała się, gdyby Cassis i Reine zostali równocześnie ukarani za złe zachowanie. W takim wypadku zatrzymywano ich w kozie w czwartek po południu i gdy pozostali uczniowie szli do domu, oni odmieniali czasowniki łacińskie albo przepisywali teksty. Nie zdarzało się to często, jednak czasy były trudne dla wszystkich. W szkole wciąż kwaterowało wojsko. Nauczycieli brakowało, więc klasy liczyły nawet po

pięćdziesięciu lub sześćdziesięciu uczniów. Cierpliwość wszystkich była na wyczerpaniu; wystarczył byle drobiazg, by spowodować wybuch. Jedno słowo wypowiedziane nie w porę, zły wynik klasówki, bójka na przerwie, nieodrobione lekcje. Modliłam się o to.

Dzień, kiedy moje modlitwy zostały wysłuchane, był szczególny. Pamiętam go tak dobrze, jak pamięta się niektóre sny. Wspomnienie jest barwniejsze i bardziej szczegółowe niż inne; doskonale wyraźne wśród zamglonych i ulotnych wydarzeń tamtego lata. Przez ten jeden doskonały dzień wszystko zgrało się idealnie i pierwszy raz, odkąd pamiętam, ogarnęło mnie coś na kształt spokoju, pogodzenia ze sobą i światem. Czułam, że jeśli zechcę, sprawię, by trwał już zawsze. Nigdy potem nie miałam już takiego wrażenia, chociaż czułam coś podobnego, kiedy rodziły się moje córki. I może raz czy dwa z Herve. I kiedy potrawa, którą przyrządzałam, wychodziła dokładnie taka, jak powinna. Tamten dzień jednak był jedyny w swoim rodzaju; alchemiczna kwintesencja, niedościgły wzorzec.

13. Pięć ćwiartek

Pięć ćwiartek pomarańczy

Matka zachorowała poprzedniego wieczoru. Nie miałam z tym nic wspólnego - muślinowy woreczek stał się bezużyteczny; w ostatnim miesiącu podgrzewałam go tyle razy, że skórka zwęgliła się i właściwie straciła zapach. Matka wkrótce wzięła swoje pigułki i położyła się do łóżka, zostawiając mnie samej sobie. Obudziłam się wcześniej i ruszyłam nad rzekę, zanim wstali Cassis i Reinette. Był to jeden z tych czerwono-złoty dni w początkach października; rześkie, cierpkie powietrze uderzało do głowy niczym wódka z jabłek. Nawet teraz, o świcie, niebo miało tę czystą, fioletowobłękitną barwę, jaką widuje się tylko w najpogodniejsze jesienne poranki. Może trzy takie dni trafiają się w roku. Śpiewałam, sprawdzając pułapki, a mój głos powracał odbity od zamglonych brzegów Loary niczym wyzwanie. Sezon na grzyby był w pełni, więc kiedy zaniosłam złapane ryby do domu i oczyściłam je, zabrałam na śniadanie trochę chleba i sera i wyruszyłam do lasu na poszukiwanie. Zawsze byłam w tym dobra. I nadal jestem, żeby nie skłamać, ale wtedy miałam nos jak świnia tresowana do

wyszukiwania trufli. Naprawdę potrafiłam wywęszyć grzyby; pieprzniki szare i pomarańczowe, o zapachu moreli, bolet i petit rose, i jadalne purchawki, gołąbki siwe i brązowe. Matka kazała nam zawsze zanosić grzyby do apteki, by się upewnić, że nie nazbieraliśmy trujących, ale ja się nigdy nie pomyliłam. Znałam podobny do mięsa zapach bolet i suchy, ziemisty aromat gołąbków. Znałam miejsca, gdzie rosły stale i gdzie się niekiedy pojawiały. Należałam do cierpliwych zbieraczy. Kiedy dotarłam do domu, wybiło południe. Cassis i ReINETTE powinni już wrócić ze szkoły, ale na razie nie było śladu żadnego z nich. Oczyściłam grzyby i umieściłam w słoju z oliwą z oliwek, żeby je zamarynować z tymiankiem i rozmarynem. Zza drzwi sypialni słyszałam

ciężki oddech matki.

Dwunasta trzydzieści nadeszła i minęła. Powinni już być w domu. Tomas przychodził najpóźniej o drugiej. Po-

czułam w brzuchu leciutkie mrowienie. Poszłam do wspólnej sypialni i przejrzałam się w lusterku ReINETTE. Włosy zaczęły mi odrastać, ale z tyłu były nadal krótkie jak u chłopaka. Przymierzyłam swój słomkowy kapelusz, choć letnie upały dawno minęły, i uznałam, że tak wyglądam lepiej.

Pierwsza. Spóźnili się już o godzinę. Wyobraziłam ich sobie w kozie, promienie słońca wpadające przez wysokie okna, zapach pasty do podłóg i starych książek. Cassis naburmuszony. ReINETTE ukradkiem pociągająca nosem. Uśmiechnęłam się. Wyjęłam jej cenną szminkę ze schowka pod materacem i rozstałam nieco na wargach. Przyjrzałam się sobie krytycznie, potem tym samym kolorem ma-znęłam powieki i powtórzyłam całą procedurę. Wyglądam inaczej, pomyślałam z zadowoleniem. Niemal ładnie. Nie tak ładnie jak ReINE albo aktorki z jej fotosów, ale dzisiaj nie miało to znaczenia. Dzisiaj ReINETTE tu nie ma.

O pierwszej trzydzięci wyruszyłam nad rzekę, na nasze zwykłe miejsce spotkań. Wyglądałam Tomasa z Posterunku Obserwacyjnego, na wpeł się spodziewając, że nie przyjedzie - wydawało mi się, że tak wielkie szczęście

może spotkać tylko kogoś innego, nigdy mnie - i wdychałam ciepły, cierpki zapach sztywnych liści otaczających mnie ze wszystkich stron. Jeszcze tydzień i na pół roku Posterunek stanie się bezużyteczny - domek na drzewie odsłonięty niczym farma na szczycie wzgórza - lecz dziś jeszcze wciąż było dość liści, by ukryć mnie przed ludzkim wzrokiem. Moje kości wibrowały leciutko, przyjemnie, jakby ktoś grał na nich niczym na ksylofonie, w głowie aż mi dzwoniło od niewypowiedzianej lekkości. Dzisiaj wszystko jest możliwe, powtarzałam sobie oszołomiona. Wszystko.

Dwadzieścia minut później usłyszałam na drodze warkot motoru; zsunęłam się z drzewa i popędziłam nad rzekę najszybciej, jak mogłam. Uczucie oszołomienia jeszcze się wzmogło, więc czułam się dziwnie zdezorientowana, miałam wrażenie, jakbym unosiła się nad ziemią. Spły-

nęło na mnie uczucie wszechmocy niemal tak wielkiej jak radość, która mnie przepelniała. Dzisiaj Tomas był moją tajemnicą, moją własnością. To, co sobie powiemy, zostanie między nami. Co ja mu powiem... Zatrzymał się na brzegu, spojrzął szybko przez ramię, czy nikt nie widzi, potem wprowadził motor między tamaryszki obok długiej piaszczystej ławicy. Obserwowałam go, czując dziwny opór przed pokazaniem się teraz, gdy nadeszła wielka chwila; nagle onieśmielona naszą samotnością, nową bliskością. Zaczekałam, aż zdejmie kurtkę od munduru i ukryje ją wśród podszytu. Rozejrzał się dokoła. Miał ze sobą paczkę obwiązaną sznurkiem, w kąciку ust tkwił papieros. - Oni nie przyjdą.

Staralam się, żeby mój głos był równie dorosły jak spojrzenie, którym obrzucił moje umalowane wargi i powieki. Zastanawiałam się, czy coś powie. Jeśli będzie drwił ze mnie, pomyślałam z desperacją, jeśli będzie drwił... Lecz on tylko się uśmiechnął.

- W porządku - rzucił po prostu. - Więc będziemy tylko we dwoje.

Jak mówiłam, to był idealny dzień. Z dystansu pięćdziesięciu pięciu lat trudno wytłumaczyć drżącą radość tamtych kilku godzin; w wieku lat dziewięciu człowiek jest tak wrażliwy, że niekiedy wystarczy jedno słowo, by zranić go do krwi, a ja byłam delikatniejsza niż większość dzieci, niemal oczekiwałam, że Tomas wszystko zepsuje... Nigdy się nie zastanawiałam, czy go kocham. Aż do tej chwili nie miało to znaczenia. Nie można było wyrazić tego, co czułam - tej bolesnej, desperackiej radości - językiem używanym w ulubionych filmach Reinette. A jednak to było właśnie to. Moje zagubienie, samotność, chłód matki, dy-

Joannę Harris

stans dzielący mnie od siostry i brata sprawiły, że odczuwałam coś na kształt głodu. Z instynktowną żarłocznością chwytalam każdy okrucz życzliwości - nawet od Niemca, wesołego szantażysty, dbającego jedynie o to, by jego informatorzy sprawiali się bez

zarzutu.

Tłumaczę sobie teraz, że na tym jedynie mu zależało. Lecz nawet dziś jakaś część mojej duszy temu zaprzecza. Nie tylko o to mu chodziło. Było coś więcej. Czerpał przyjemność ze spotkań, z rozmów ze mną. Po co inaczej zostawałby tak długo? Pamiętam każde słowo, każdy gest, każdą zmianę intonacji. Opowiadał mi o swoim domu w Niemczech, o Bierwurst i sznyclach, o Szwarzwaldzie, uliczkach starego Hamburga i Nadrenii, o Feuerzangenbohle i płonącej pomarańczy naszpikowanej goździkami w misie parującego ponczu, o keksach, strudlach, Backenoff i Frikadelle z musztardą, i jabłkach, jakie rosły w ogrodzie jego dziadka przed wojną. Ja mówiłam o matce, jej pigułkach i jej obojętności, o woreczku ze skórką pomarańczy, pułapkach na raki i rozbitym zegarze z pękniętą tarczą i że kiedy złapię Starą Mateczkę, zażyczę sobie, by ten dzień trwał wiecznie...

Popatrzył wtedy na mnie - wymieniliśmy dziwnie dorosłe spojrzenia, jakby była to jakaś odmiana pojedynku, jakie często toczyłam z Cassisem. Tym razem ja pierwsza spuściłam oczy.

- Przepraszam - powiedziałam cicho.

- Nic nie szkodzi - odparł i rzeczywiście tak było.

Nazbieraliśmy jeszcze trochę grzybów i dzikiego tymianku o purpurowych kwiatach - pachnącego o tyle mocniej niż ten uprawiany w ogródku - i trochę spóźnionych poziomek rosnących obok pnia. Kiedy się przedzieraliśmy wśród zwalonych brzoź, przelotnie musnęłam jego plecy - pozornie po to, żeby nie stracić równowagi. Jeszcze wiele godzin później czułam na dłoni ciepło jego ciała niczym wypalone piętno. A potem siedzieliśmy nad rzeką i patrzyliśmy, jak czerwona tarcza słońca zapada za drzewa. Przez chwilę by-

i

197

Pięć ćwiartek pomarańczy

łam pewna, że dostrzegam coś czarnego na tle czarnej wody, coś ledwie mającego w miejscu zetknięcia rozchodzących się fal - paszczę, oko, lśniąca oleście

krzywiznę boku, podwójny rząd zębów obrzeżony wiekowymi haczykami... Coś przerażająco, niewiarygodnie ogromnego, co zniknęło w chwili, gdy próbowałam nadać temu nazwę, nie zostawiając po sobie nic prócz zmarszczek na powierzchni wody... Zerwałam się na nogi; serce waliło mi jak młotem.

- Tomas! Widziałeś?

Spojrzał na mnie leniwie, z niedopałkiem papierosa w zębach.

- Pień - stwierdził lakonicznie. - Kawał drewna niesiony z prądem. Co chwila jakiś płynię.

- Nie!

Mój głos był wysoki i drżący z podniecenia.

- Ja ją widziałam, Tomas! Widziałam ją, to była ona, Stara Mateczka, Stara Ma...

Z nagłym pośpiechem rzuciłam się w stronę

Posterunku Obserwacyjnego po wędkę. Tomas wybuchnął śmiechem.

- Nigdy jej nie złapiesz - powiedział. - Nawet jeśli to był ten stary szczupak, a możesz mi wierzyć, Backfisch, żadna ryba nie dorasta do takich rozmiarów.

- To była Stara Mateczka - powtarzałam z uporem. - To ona. Ona. Paul mówi, że ma trzy metry długości i jest czarna jak smoła. To nie mogło być nic innego. To była ona.

Tomas uśmiechnął się.

Wytrzymałam jego jasne, wyzywające spojrzenie przez parę sekund, po czym zmieszana spuściłam wzrok.

- To ona - mruknęłam półgłosem. - To ona. Wiem, że tak jest.

No cóż, wiele nad tym rozmyślałam. Może to był rzeczywiście tylko pień, tak jak twierdził Tomas. Z pewnością Stara Mateczka, kiedy ją wreszcie złapałam,

nie liczyła trzech metrów, choć był to bez wątpienia największy szczupak, jakiego widziałam w życiu. Szczupaki nie rosną

198

Joannę Harris

takie wielkie, powtarzam sobie, a to, co zobaczyłam - lub wydawało mi się, że zobaczyłam - w rzece tamtego wieczoru było tak wielkie, jak jeden z tych krokodyli, z którymi walczył Johnny Weissmuller w filmach oglądanych w Palais-Dore.

To jednak dojrzały sposób myślenia. W tamtych dniach nie istniały dla naszej wiary takie ograniczenia jak logika czy realizm. Widzieliśmy to, cośmy widzieli; niekiedy to, co dostrzegaliśmy, śmieszyło dorosłych do łez. Kto wie, gdzie leży prawda? W głębi serca wierzę, że widziałam wtedy monstrum równie stare i chytne jak sama rzeka; coś, czego nikt nigdy nie zdołałby złowić. To ono porwało Jeannette Gaudin. To ono porwało Tomasa Leibniza. I omal nie porwało mnie.

\

Część czwarta LA MAUYAISE REPUTATION

?

?

?

1

Sardele oczyścić i wypatroszyć, natrzeć solą z wierzchu i od środka. Nappełnić każdą rybę grubą solą i gałązkami solirodu. Układać w beczce warstwami, głowami w górę, przesypując kolejne warstwy solą.

Kolejne zauroczenie (wspomnienie). Kiedy otwierało się beczkę, już tam były; stały na ogonach obsypane połyskującą szarą solą, patrząc z niemą rybią prośbą. Nabrać, ile trzeba do gotowania na jeden dzień, resztę ubić ciasno, dosypując soli i solirodu. W ciemnej piwnicy

wyglądały rozpaczliwie, jak dzieci tonące w studni.

(Urwać tę myśl jak główkę kwiatu. Przestać o tym myśleć natychmiast).

Matka pisze niebieskim atramentem, litery są porządne, lekko pochylone. Niżej dodała coś bardziej nieporządnie, ale w bilini-enverlini, egzotyczne zawijasy kredką tłustą jak szminka: einini amni tekbletani.

Nie ma tabletek.

Miała je od początku wojny. Z początku używała ich oszczędnie - jedną na miesiąc albo rzadziej, potem bar-

i 203

Pięć ćwiartek pomarańczy

dziej nierozważnie, w miarę jak trwało to dziwne lato i coraz częściej czuła zapach pomarańczy. Zapisała nieporządnie:

Y robi, co może, żeby pomóc, to nam obojgu przynosi

trochę ulgi. Przynosi pigułki z La Rep, od jakiegoś człowieka, którego zna Hourias. Myślę, że inne rzeczy na pociechę też. Mam dość rozumu, by nie pytać. Ostatecznie nie jest z kamienia. Nie tak jak ja. Staram się nie przejmować. To nie ma sensu. Jest dyskretny. Powinnam mu być wdzięczna. Próbuje się mną opiekować jak umie, ale to nic nie da. Między nami przepaść. On żyje w świetle. Myśl o mojej chorobie go przeraża. Wiem o tym, ale i tak nienawidzę go za to, kim jest.

I dalej, później, po śmierci ojca: Pigułki się skończyły. Niemiec mówi, że może zdobyć więcej, ale się nie zjawia. To szaleństwo. Sprzedałabym własne dzieci za jedną przespaną noc.

Ostatni zapisek, co niezwykle, opatrzyła datą. Dzięki temu się dowiedziałam. Zazdrośnie ukrywała lekarstwo na dnie szuflady w swoim pokoju. Czasem wyjmowała buteleczkę i obracała ją w dłoniach. Była z brązowego szkła, na nalepce wciąż jeszcze widniało kilka ledwie czytelnych słów po niemiecku. Nie ma tabletek. To była noc, kiedy odbyły się tańce, noc ostatniej po

marańczy.

2

- Hej, Backfisch, prawie bym zapomniał.

Obrócił się i rzucił ją niedbale, jak chłopak piłkę, że zobaczyć, czy złapię. Taki właśnie był: udawał, że nie

204

Joannę Harris

mięta; drażnił się ze mną, ryzykując, że prezent wyląduje w mętnej wodzie, gdybym okazała się powolna lub niezdarna.

- Z twoich ulubionych.

Złapałam ją bez trudu, lewą ręką. Wyszczrzyłam zęby.

- Powiedz reszcie, żeby przyszli do La Mauvaise Reputation dzisiaj wieczorem.

Mrugnął; oczy błysnęły mu po kociemu na myśl o figlu.

- Może być wesoło.

Oczywiście matka nigdy nie pozwoliłaby nam wyjść wieczorem. Chociaż w położonych na uboczu wioskach, takich jak nasza, nie przestrzegano godziny policyjnej, istniały inne niebezpieczeństwa. Noc skrywała więcej nielegalnych interesów, niż sądziliśmy, a na dodatek kilku Niemców nabrało zwyczaju, by po służbie wpadać niekiedy do kawiarni na jednego. Najwyraźniej lubili wyrwać się z Angers, spod podejrzliwych oczu SS. Tomas wspomniał o tym w trakcie naszych spotkań. Niekiedy słyszałam warkot motoru na odległej szosie i wyobrażałam sobie, jak wraca do koszar. Oczywiście wyobraźni widziałam go wyraźnie: włosy zdmuchnięte z czoła przez wiatr, światło księżyca na twarzy i zimną jasną smugę Loary. Oczywiście mógł to być każdy. Ja jednak zawsze myślałam o Tomasie.

Dziś było inaczej. Czas spędzony z nim w tajemnicy sprawił, że nabrałam zuchwałości; wszystko wydawało mi się możliwe. Tomas zarzucił kurtkę na ramiona, machnął

mi niedbale ręką i odjechał, wzbijając chmurę żółtego pyłu, a serce zaciążyło mi nagle boleśnie. Poczucie straty zalało mnie gorąco-zimną falą; rzuciłam się za nim, czując w ustach smak kurzu. Kiwałam mu jeszcze długo po tym, gdy jego motocykl zniknął na drodze do Angers, a łzy rysowały różowe ścieżki w masce błota pokrywającej moją twarz.

Chciałam jeszcze.

To miał być mój dzień; jeden jedyny doskonały dzień. Aż się gotowałam z gniewu i oburzenia. Sprawdziłam go-

ł

205

Pięć ćwiartek pomarańczy

dzinę po słońcu. Cztery godziny. Niewyobrażalnie długo; całe popołudnie, a jednak wciąż było mi mało, chciałam więcej. Więcej. Odkrycie w sobie tego nowego pragnienia sprawiło, że zagryzłam wargi z desperacją. Wspomnienie naszego krótkiego kontaktu fizycznego

palilo mi rękę. Kilka razy podnosiłam dłoń do ust i całowałam płonące miejsce, które dotknęło jego skóry. Rozważałam każde jego słowo, jakby to była poezja. Odtwarzałam w wyobraźni każdą drogocenną chwilę z narastającym niedowierzaniem, jak kiedy w zimowe poranki próbuję sobie przypomnieć lato. Tego głodu nic nie mogło zaspokoić. Chciałam zobaczyć go znowu, jeszcze dzisiaj, natychmiast. Nachodziły mnie szalone myśli: uciekniemy razem i zamieszkamy w lasach z dala od ludzi; zbuduję mu dom na drzewie, będziemy się żywić grzybami, poziomkami i kasztanami, aż skończy się wojna...

Cassis, Reine i Paul znaleźli mnie na Posterunku Obserwacyjnym z pomarańczą w ręce, leżącą na plecach i gapiącą się na sklepienie z jesiennych liści.

- M-m-mówiłem, że tu b-będzie - wyjąkał Paul (zawsze zacinał się bardziej w towarzystwie Reinette). - W-w-wi-działem, jak sz-ła do 1-lasu, gdy ł-łowilem ryby.

Wydawał się onieśmielony i skępowany obok Cassisa, boleśnie świadomy swoich brudnych niebieskich drelichów, uszytych z kombinezonu wuja, i bosych stóp w

drewnianych chodakach. Trzymał Malabara na smyczy z kawałka ogrodniczego sznurka. Cassis i Reine mieli na sobie szkolne ubrania, Reine zawiązała włosy żółtą jedwabną wstążką. Zawsze się zastanawiałam, dlaczego Paul chodzi taki obdarty, skoro jego matka zajmuje się szyciem.

- Wszystko w porządku? - Głos Cassisa brzmiał szorstko z zaniepokojenia. - Nie wróciłaś do domu, więc myślałem...

Spojrzał ponuro na Paula, potem rzucił mi ostrzegawcze spojrzenie.

- Wiesz, kogo nie było tutaj, prawda? - spytał cicho, wyraźnie pragnąc, by tamten sobie poszedł.

206

Joannę Harris

Kiwnęłam głową. Cassis zrobił niecierpliwy gest.

- Co ja ci mówiłem? - burknął z irytacją. - Co ja

mówiłem? Nigdy nie zostawaj sama z...

Kolejne spojrzenie na Paula.

- Tak czy inaczej, lepiej będzie, jak już pójdziemy do domu - dokończył głośniej. - Matka zacznie się niepokoić, robi pawe. Lepiej się pośpiesz i...

Paul patrzył na pomarańczę, którą trzymałam w dłoni.

- Z-znowu dostałaś? - zdziwił się na swój powolny sposób.

Cassis rzucił mi spojrzenie pełne niesmaku. Me mogłaś jej schować, głupia? Teraz będziemy musieli mu też dać.

Zawahałam się. Nie miałam w planach dzielenia się owocem. Był mi potrzebny na dzisiejszy wieczór. Widziałam jednak, że Paul jest zaintrygowany. Gotów coś wypaplać.

- Dostaniesz kawałek, jeśli nikomu nie powiesz -oznajmiłam po namyśle.

- Skąd ją m-masz?

- Dostałam na targu - skłamałam bez zająknięcia. -Za trochę cukru i spadochronowego jedwabiu. Matka nic nie wie.

Paul kiwnął głową i popatrzył nieśmiało na Reine.

- Możemy p-podzielić ją teraz - powiedział niepewnie.

- Mam nóż.

- Dawaj - poleciłam.

- Ja to zrobię - wtrącił się natychmiast Cassis.

- Nie, ona jest moja - zaprotestowałam. - Ja chcę. Myślałam szybko. Oczywiście mogłabym obrać owoc

ze skórki, ale nie chciałam, żeby Cassis zaczął coś podejrzewać.

Odwróciłam się plecami do nich i zaczęłam go ostrożnie kroić, by się nie skaleczyć. Łatwo byłoby go

podzielić na cztery części: na pół i jeszcze raz na pół, ja jednak potrzebowałam jeszcze jednego kawałka - wystarczająco dużego na moje potrzeby, lecz na tyle małego, żeby nie od

207

Pięć ćwiartek pomarańczy

razu dało się zauważyć jego brak; kawałka, który mogłabym ukryć w kieszeni na później... Kiedy nacięłam prezent od Tomasa, przekonałam się, że to czerwona sewilska pomarańcza, sanguine. Przez krótką chwilę zamarłam z sokiem kapiącym mi z palców.

- Pośpiesz się, ofermo - ponaglił mnie Cassis niecierpliwie. - Ile czasu trzeba, żeby ją przekroić na ćwiartki?

- Robię, co mogę - burknęłam. - Skóra jest strasznie

gruba.

- D-daj m-m-mi - Paul nachylił się do mnie i przez

sekundę byłam pewna, że go zobaczył - piąty kawałek, nie więcej niż cienki plasterek - zanim go ukryłam w rękawie.

- Nie trzeba - odparłam. - Właśnie skończyłam. Części były nierówne. Staralam się jak mogłam, lecz

jedna cząstka była wyraźnie większa od pozostałych, a jedna dużo mniejsza. Wzięłam najmniejszy kawałek. Zauważyłam, że Paul podsunął największy Reine. Cassis przyglądał się z pogardą.

- Mówiłem, żebyś mi dała to zrobić - skrytykował. - To wcale nie jest ćwiartka. Aleś ty niezdarna, Boise.

Ssałam swój kawałek w milczeniu. Po chwili Cassis przestał narzekać i też zabrał się do jedzenia. Widziałam, że Paul przygląda mi się z dziwnym wyrazem twarzy, ale

nic nie powiedział.

Skórki wrzuciliśmy do rzeki. Udało mi się ukryć odrobinę w ustach, resztę jednak wyrzuciłam, czując się nieswojo pod badawczym spojrzeniem Cassisa. Zauważyłam z ulgą, że się trochę odprężył.

Zastanawiałam się, o co mnie posądza. Z satysfakcją wsunęłam ocalony fragment do kieszeni obok piątej części.

Miałam nadzieję, że to wystarczy.

Pokazałam reszcie, jak wyszorować ręce i usta miętą i koprem i wetrzeć błoto pod paznokcie, żeby ukryć plamy pozostawione przez skórę, po czym ruszyliśmy polami do domu, gdzie matka, podśpiewując bezdźwięcznie, gotowała obiad.

208

Joannę Harris

- Poddusić cebulę i szalotki na oliwie z oliwek ze świeżym rozmarynem, grzybami i niewielkim porem. Dodać garść suszonych pomidorów, bazylię i tymianek. Cztery sardele pociąć wzdłuż na paski i dodać do warzyw.

- Boise, przynieś sardele z beczki. Ze cztery większe.

Zesłam do piwnicy z talerzem i drewnianymi

szcypcami, żeby sól nie wyżarła mi skóry na rękach. Wyjęłam ryby, potem schowany w słoiku woreczek. Dodałam do niego ocalony kawałek pomarańczy: najpierw wycisnęłam olejek i sok na starą skórkę, a następnie posiekałam resztę scyzorykiem i wszystko razem zawiązałam w woreczku. Natychmiast rozszedł się przenikliwy zapach. Włożyłam torebkę z powrotem do słoika i zakręciłam go, potem wytarłam do czysta z soli i schowałam do kieszeni fartucha. Dotknęłam ręką ryb, żeby ukryć zapach przed matką.

- Dodać filiżankę białego wina i sparzone mączyste ziemniaki. Wrzucić resztki z gotowania - skórkę bekonu, kawałki mięsa albo ryby - i łyżkę oleju. Dusić na bardzo małym ogniu przez dziesięć minut, nie mieszając i nie podnosząc pokrywki.

Słyszałam, jak podśpiewuje w kuchni. Miała matowy, dość szorstki głos, wznoszący się i opadający falami.

- Wsypać surowe suche proso - hnn hnnn - i zdjąć z ognia. Zostawić pod przykryciem na - nnn nnn - dziesięć minut, nie mieszając - hnnnn - aż cały płyn zostanie wchłonięty. Przełożyć do płytkiej brytfanki - nnn nnn nnn

- posmarować po wierzchu olejem i piec do zrumienienia.

Obserwując czujnie, co się dzieje w kuchni, ostatni raz wsunęłam woreczek pod rurę od pieca.

Czekałam.

Przez chwilę byłam pewna, że się nie uda. Matka nie wychodziła z kuchni, nuciała monotonna. Oprócz pavy było jeszcze ciemne od jagód ciasto i miska zielonej sałaty z pomidorami. Obiad niemal odświętny, choć nie miałam pojęcia, co mielibyśmy celebrować. Matka robiła tak czasem: w dobre dni urządzała prawdziwe uczyty, w złe musie-

..i Ā □ - Ś w

209

14. iX"ć Ćwartek...

Pięć ćwartek pomarańczy

liśmy się obejść zimnymi naleśnikami posmarowanymi odrobiną rillettes. Dzisiaj wydawała się niemal w euforii. Włosy wymykały się jej ze zwykle silnie

ściągniętego koka w swobodnych lokach, twarz miała spoconą i zaróżowioną od ognia. Było coś gorączkowego w sposobie, w jaki się do nas zwracała; szybkim uścisku, którym przywitała Reine (okazywała nam czułość niemal równie rzadko, jak nas biła); tonie głosu; poruszeniach jej dłoni w misce i nad deską do krojenia; w szybkich, nerwowych ruchach palców.

Skończyły się pigułki.

Ściągnięte brwi, zmarszczki wokół ust, napięty, wysiłony uśmiech. Spojrzała na mnie, kiedy podawałam jej sardele, i uśmiechnęła się z niezwykłą czułością. Jeszcze miesiąc temu, jeszcze wczoraj zmiękczyłoby to moje serce. - Boise.

Pomyślałam o Tomasiu siedzącym na brzegu rzeki. Pomyślałam o potworze, którego widziałam; monstrualnie pięknym na tle wody. Ja chcę. Ja chcę. Będzie tam dzisiaj wieczorem, powtarzałam sobie, w La Mauvaise Reputa-tion. Jego kurtka zarzucona niedbale na oparcie krzesła. Wyobraziłam sobie siebie, wyrosłą nagle, piękną i elegancką jak gwiazda filmowa, w powiewnej jedwabnej sukience, utkwione we mnie

spojrzenia. Ja chcę. Ja chcę. Gdybym tylko miała swoją wędkę...

Matka przyglądała mi się z wyrazem niezwyklej, aż krępującej bezbronności.

- Boise? - powtórzyła. -Wszystko w porządku? Dobrze się czujesz?

Bez słowa pokiwałam głową. Nagle zalała mnie fala nienawiści do samej siebie, niespodziewana jak smagnięcie bata, jak olśnienie. Ja chcę... Chcę... Przybrałam naburmuszony wyraz twarzy. Tomas. Tylko ty. Na zawsze.

- Muszę sprawdzić pułapki - powiedziałam obojętnym tonem. - Zaraz wracam.

210

Joannę Harris

- Boise!

Słyszałam, jak za mną woła, ale to zignorowałam. Pobiełam nad rzekę, obejrzałam każdą pułapkę dwa razy, pewna, że teraz, kiedy tak bardzo muszę ją schwytać...

Wszystkie puste. Wyrzuciłam do rzeki cały drobiazg -płatki, kiełbie, płaskie węgorze o tępych pyszczkach -w przyływie nagłego, palącego gniewu.

- Gdzie jesteś? - wrzeszczałam ochryple nad cichą wodą. - Gdzie jesteś, ty chytra stara suko?

U moich stóp Loara płynęła nieporuszona, brunatna i drwiąca. Ja chcę. Ja chcę. Wyrwałam z brzegu kamień i cisnęłam go najdalej jak mogłam, boleśnie nadwerężając sobie ramię.

- Gdzie jesteś'? Gdzieś'się schowała?

Mój głos brzmiał szorstko i przenikliwie jak głos matki. Powietrze skwierczało od mojej wściekłości.

- Wyjdź i się pokaż! Wyzywam cię. WYZYWAM CIĘ!

Nic. Nic prócz brązowej rzeki wijącej się niczym wąż

i na wpół zalanych piaszczystych łąkach w gasnącym świetle dnia. Drapało mnie w gardle. Łzy piekły w kąciakach oczu jak ukąszenia os.

- Wiem, że mnie słyszysz - powiedziałam cicho.
-Wiem, że tam jesteś.

Zdawało się, jakby rzeka przyznawała mi rację. Słyszałam jedwabisty szelest fal ocierających się o brzeg u moich stóp.

- Wiem, że tam jesteś - powtórzyłam niemal czule. Słuchało mnie teraz wszystko: drzewa o żółknących liściach, woda, wypalona jesienna trawa.

- Wiesz, czego chcę, prawda?

Mój głos brzmiał, jakby należał do kogoś innego: dorosły, uwodzicielski.

- Wiesz.

Pomyślałam o Jeannette Gaudin, o smukłych brązowych ciałach wodnych węży zawieszonych na Stojących Kamieniach. Powróciło do mnie wrażenie, które miałam

*

21 1

Pięć ćwiartek pomarańczy

wcześniej tego lata milion lat temu, przekonanie... To potwór. Monstrum. Nie wolno wchodzić w układy z potworem.

Ja chcę. Ja chcę.

Zastanawiałam się, czy Jeannette stała tam, gdzie ja teraz, bosa i wpatrzona w rzekę. Czego sobie życzyła? Nowej sukienki? Lalki? Czegoś innego?

Biały krzyż. Ukochana córka. Nagle przestało mi się to wydawać czymś strasznym: zostać ukochanym zmarłym, z gipsowym aniołkiem nad głową, w milczeniu... Ja chcę. Ja

chę.

- Wrzuciłabym cię z powrotem - szepnęłam chytrze. -

Wiesz, że bym to zrobiła.

Przez mgnienie wydawało mi się, że coś dostrzegłam. Czarną szczecinę w wodzie, lśniący bezgłówny kształt najeżony metalem. Lecz był to tylko wytwór mojej wyobraźni.

- Naprawdę - powtórzyłam miękko. - Wypuściłabym

cię.

Jeśli w ogóle istniała, nie pokazała się. Gdzieś obok nagle zaskrzeczała żaba. Zrobiło mi się zimno. Obróciłam się i ruszyłam przez pola tą samą drogą, którą przyszłam, zrywając kilka kolb kukurydzy, żeby usprawiedliwić swój

późny powrót.

Po chwili doleciał mnie zapach pave, więc przyspieszyłam kroku.

Straciłam ją. Tracę ich wszystkich.

Te słowa znalazłam w albumie matki obok przepisu na ciasto z jeżynami. Drobne litery czarnym atramentem przekreśliła wielokrotnie, jak gdyby nawet szyfr, jakim je zapisała, nie wystarczył, by ukryć lęk, do którego nie przyznawała się przed nami i sobą samą.

212

Joannę Harris

Patrzyła dzisiaj na mnie, jakby mnie nie było. Tak bardzo chciałam ją przytulić, ale wyrosła i boję się jej oczu. Tylko R.-C. zachowała trochę łagodności, lecz czuję, jakby Fra nie była już moim dzieckiem. Popęłniłam błąd, myśląc, że dzieci są jak drzewa. Przycinaj je, a wyrosną słodsze. Nieprawda. Nieprawda.

Kiedy Y. zginął, zmusiłam je, by dorosły zbyt szybko. Nie chciałam, żeby były dziećmi. Teraz są twardsze niż ja.

Jak zwierzęta. Moja wina. Przeze mnie takie się stały. Dzisiaj wieczorem znowu zapach pomarańczy w domu, ale nikt poza mną go nie czuje. Boli mnie głowa. Gdyby tylko mogła położyć mi dłoń na czole. Pigułki się skończyły. Niemiec mówi, że może zdobyć więcej, ale nie przychodzi. Boise. W domu późnym wieczorem. Pęknięta, jak ja.

Brzmi to jak bełkot, lecz jej głos rozbrzmiewa nagle w mojej pamięci bardzo wyraźnie. Ostry i płaczący, głos kobiety ostatkiem sił broniącej się przed szaleństwem.

Niemiec mówi, że może zdobyć więcej, ale nie przychodzi.

Och, matko. Gdybym tylko wiedziała.

4

W ciągu tych długich nocy czytałam album po kawałku wraz z Paulem. Ja odcyfrowywałam zakodowane zapiski, on sporządzał odsyłacze na małych karteczkach, starając się ułożyć wydarzenia we właściwej kolejności. Nigdy nie komentował, nawet kiedy opuszczałam całe

fragmenty bez słowa wyjaśnienia. Przeciętnie w jedną noc robiliśmy dwie-trzy strony - niewiele, lecz do początku października mieliśmy za sobą niemal połowę pamiętnika. Z jakiegoś powodu praca z Pauliem wydawała mi się mniej żmudna, niż kiedy próbowałam jej sama. Często przesiadywaliśmy długo w noc, wspominając dawne czasy, Posterunek Obserwacyjny i rytuały przy Stojących Kamieniach - dobre cza-

i

213

Pięć ćwiartek pomarańczy

sy przed przybyciem Tomasa. Raz czy dwa byłam bliska powiedzenia mu prawdy, lecz zawsze powstrzymywałam się w ostatniej chwili.

Nie. Nie może się dowiedzieć.

Album matki zawierał tylko część opowieści - tę, z którą Paul już się częściowo zaznajomił. To jednak, o czym w zapiskach nie było wzmianki... Patrzyłam na

niego, kiedy siedzieliśmy nad butelką cointreau, z kawą pyrkoczącą cicho w miedzianym tygielku na piecu za naszymi plecami. Czerwony blask padający od kominka oświetlał jego twarz, obrysowywał płomienną kreską siwe, poźółkłe wąsy. Przyłapywał mnie na tym, gdy mu się przyglądałam -ostatnio zdarza się to coraz częściej - i uśmiechał się.

I nie tyle z powodu tego uśmiechu, ile z powodu czegoś, co mu towarzyszyło - wyrazu twarzy; badawczego, bystrego spojrzenia - czułam, jak serce bije mi szybciej, a twarz czerwienię się nie tylko od gorąca bijącego od ognia. Gdybym mu powiedziała, przemknęło mi przez myśl, już by tak na mnie nie patrzył. Nie mogę mu powiedzieć. Nigdy.

5

Kiedy wróciłam, wszyscy siedzieli już za stołem. Matka przywitała mnie z tą dziwną, wysiloną wesołością, ale widziałam, że jest u kresu wytrzymałości. Zapach pomarańczy podrażnił mój wyczulony zmysł węchu. Obserwowałam ją uważnie.

Jedliśmy w milczeniu.

Uroczysta kolacja upływała w ciężkiej atmosferze; miałam wrażenie, jakbyśmy jedli glinę, i mój żołądek buntował się przeciw temu. Grzebałam w talerzu, aż byłam pewna, że matka na mnie nie patrzy, po czym wsypałam jego zawartość do kieszeni, żeby się jej później pozbyć. Nie musiałam się za bardzo kryć. W stanie, w jakim

214

Joannę Harris

się znajdowała, nie zauważyłaby, nawet gdybym rzuciła jedzeniem o ścianę.

- Czuję pomarańcze. - Jej głos brzmiał zgrzytliwie z rozpaczy. - Czy któreś z was przyniosło pomarańcze do domu?

Milczenie. Patrzyliśmy na nią tępo, wyczekująco.

- No? Przynosiliście? Pomarańcze?

Głos wznosił się coraz bardziej - błagalnie, oskarżycielsko.

Reine spojrzała na mnie z wyrazem winy.

- Oczywiście że nie. - Staralam się mówić obojętnie, naburmuszonym tonem. - Skąd byśmy je mieli dostać?

- Nie wiem.

Oczy zwęziły się jej w nagłym podejrzeniu.

- Może od Niemców. Skąd mam wiedzieć, co robicie po całych dniach?

Było to tak bliskie prawdy, że na moment uległam przerażeniu, lecz nie dałam tego po sobie poznać. Wzruszyłam ramionami, czując na sobie wzrok Reinette. Posłałam jej ostrzegawcze spojrzenie.

Chcesz wszystko zepsuć?

Reine zabrała się z powrotem do swojego ciasta.

Wpatrywałam się w matkę, starając się ją zmusić do spuszczenia wzroku. Była w tym lepsza niż Cassis, oczy miała bez wyrazu jak dwa ziarenka pieprzu. Nagle wstała, niemal zrzucając na ziemię talerz i pociągając za sobą obrus.

- Na co się tak gapisz, co? - wrzasnęła na mnie, wymachując desperacko rękami. - Na co się gapisz, cholera? Co cię tak ciekawi?

Znowu wzruszyłam ramionami. -Nic.

- Kłamiesz.

Głos podobny do głosu ptaka, ostry niczym dziób dzięcioła.

- Ciągłe mi się przyglądasz. Ciągłe. O co ci chodzi? Co ty sobie myślisz, ty mała suko?

i

Pięć ćwiartek pomarańczy

Czułam zapach jej strachu i rozpacz; wiedziałam, że zwyciężyłam. Matka spuściła oczy pod moim spojrzeniem. Udało mi się, pomyślałam. Udało. Jestem górą.

Ona też o tym wiedziała. Wpatrywała się we mnie jeszcze przez kilka sekund, lecz bitwa była przegrana. Uśmiechnęłam się nieznacznie, tak aby tylko ona mogła to zobaczyć. Jej ręka poderwała się do skroni w dobrze znanym geście bezradności.

- Boli mnie głowa - powiedziała z trudem. - Idę się położyć.

- Dobry pomysł - rzuciłam bezbarwnie.

- Nie zapomnijcie pozmywać talerzy - dodała, ale straciła cały autorytet. Czuła, że przegrała. -1 żebyście mi ich nie chowali mokrych. Żadnego...

Umilkła i przez dobre pół minuty wpatrywała się w przestrzeń. Zamarła w pół gestu, z uchylonymi ustami, podobna do posągu. Druga połowa zdania zawisła między

nami w pełnej skrzepowania ciszy.

- Zostawiania ich na desce, żeby tak stały przez całą noc - dokończyła wreszcie i zataczając się, ruszyła korytarzem. Po drodze zajrzała tylko do łazienki, gdzie nie było już pigułek.

Spojrzelśmy po sobie - Cassis, Reinette i ja.

- Tomas powiedział, żebyśmy przyszli dzisiaj wieczorem do La Mauvaise Reputation - oznajmiłam. - Powiedział, że będzie zabawa.

Cassis patrzył na mnie.

- Jak to zrobiłaś? - spytał.

- Co zrobiłam?

- Dobrze wiesz.

Jego głos był niski i pełen nalegania, niemal wystraszony. W tym momencie stracił całą władzę nad nami. Teraz to ja byłam przywódcą, u którego pozostali

szukali wskazówek. Co dziwne, choć natychmiast zdałam sobie z tego sprawę, nie czułam właściwie żadnego zadowolenia. Miałam na głowie ważniejsze sprawy.

216

Joannę Harris

Zignorowałam jego pytanie.

- Zaczekamy, aż zaśnie - zdecydowałam. - Godzinę, najwyżej dwie. Pójdziemy przez pola. Nikt nas nie zobaczy. Schowamy się przy drodze i zaczekamy na niego.

Reinette zaświeciły się oczy, lecz Cassis był sceptyczny.

- Po co? - spytał w końcu. - Co będziemy robić, jak dotrzemy na miejsce? Nie mamy żadnych nowych wiadomości, a gazety nam zostawił...

Spojrzałam na niego wrogo.

- Gazety - prychnęłam. - Czy ty nigdy nie myślisz o

niczym innym?

Cassis wyglądał na obrażonego.

- Powiedział, że może się zdarzyć coś zabawnego -
powtórzyłam. - Nie jesteś ciekaw?

- Nie bardzo. Może być niebezpiecznie. Wiesz, co
matka...

- Zwyczajnie się boisz - wybuchnęłam gwałtownie.

- Wcale nie!

Ale miałam rację. Widziałam to po jego oczach.

- Tchórz!

- Po prostu nie rozumiem, po co mamy się...

- Wyzywam cię - powiedziałam.

Milczenie. Spojrzał błagalnie na Reine. Wbijałam w
niego oczy. Wytrzymał przez sekundę czy dwie, potem

odwrócił wzrok.

- Dziecinada - rzucił ze sztuczną obojętnością.

- Wyzywam cię po raz drugi.

Machnął ręką w geście bezradnego poddania.

- No dobrze, ale uważam, że to strata czasu...

Zaśmiałam się tryumfalnie.

6

Kawiarnia La Mauvaise Reputation, nazywana „La Rep” przez stałych bywalców. Drewniana podłoga, lśniący bar i stare pianino (oczywiście dzisiaj połowy klawiszy braku-

217

Pięć ćwiartek pomarańczy

je, a w miejscu, gdzie znajdują się struny, umieszczono skrzynkę geranium), rząd butelek i kieliszki

wiszące na haczykach. Stary szyld zastąpiono niebieskim neonem, wstawiono szafę grającą i automaty, lecz kiedyś było tylko pianino i kilka stolików, które dało się odsunąć pod ścianę, jeśli ktoś chciał tańczyć.

Raphael grywał tylko, jeśli miał ochotę. Niekiedy któraś z kobiet - Colette Gaudin albo Agnes Petit - śpiewała. W tamtych czasach nie było magnetofonów, a słuchanie radia zakazane, lecz podobno w kawiarni wieczorami panował ruch. Czasem słyszeliśmy dobiegającą z niej muzykę nawet u nas, jeśli wiatr wiał nad polami w naszą stronę. To tutaj Julien Lecoz przegrał w karty swoje południowe pastwisko - plotka głosiła, że stawiał też własną żonę, ale nie było na nią chętnych. La Rep stanowiła drugi dom dla okolicznych pijaków, którzy przesiadywali na tarasie, paląc albo grając w petanque. Ojciec Paula przychodził tu często, ku wielkiemu niezadowoleniu matki chłopca, i choć nigdy nie widziałam go pijanego, nie wydawał się też całkiem trzeźwy, gdy uśmiechał się nieznacznie do przechodniów, odsłaniając sztuczne zęby -duże, kwadratowe i żółte. Nigdy tu nie przychodziliśmy. Byliśmy zwierzętami terytorialnymi; niektóre miejsca uważaliśmy za własne, podczas gdy inne - tajemnicze lub nudne - należały do dorosłych.

Zaliczaliśmy do nich kościół, pocztę, gdzie Michelle Hourias sortowała pocztę i plotkowała nad kontuarem, małą szkółkę, zamkniętą teraz na głucho, w której spędziliśmy pierwsze lata nauki.

La Mauvaise Reputation.

Trzymaliśmy się od niej z dala częściowo z rozkazu matki. Żywiła szczególną niechęć do pijaństwa, brudu, swobodnego życia, a to miejsce w jej opinii stanowiło uosobienie tego wszystkiego. Choć nie chodziła do kościoła, wyznawała purytańskie zasady: wierzyła w ciężką pracę, wysprząpany dom, grzeczne, dobrze wychowane dzieci. Kiedy musiała przejść obok kawiarni, czyniła to z głową

218

Joannę Harris

opuszczoną obronnym gestem, z chustą skrzyżowaną na chudej piersi, z ustami zaciśniętymi w cienką linię sprzeciwu wobec dobiegających z wnętrza śmiechów i dźwięków muzyki. Dziwne, że kobieta tego rodzaju -

opanowana, kochająca porządek - padła ofiarą uzależnienia.

Jestem pęknięta, pisze w swoim albumie, jak zegar. Kiedy księżyc rośnie, nie poznaję samej siebie.

Usuwała się do swego pokoju, żebyśmy nie widzieli przemiany.

Odkrycie, że regularnie chadzała do La Mauvaise Reputation, którego dokonałam, czytając sekretne zapiski w jej albumie, było dla mnie wstrząsem. Raz w tygodniu albo częściej udawała się tam, po zmroku i w tajemnicy, nienawidząc każdej chwili i nienawidząc siebie za potrzebę, która ją przywiodła. Nie piła - nie. Po co by miała pić, skoro w piwnicy w domu czekały tuziny butelek cydru, prunelle, a nawet calva z jej rodzinnej Bretanii? Pijaństwo, zwierzyła się nam kiedyś w rzadkiej chwili bliskości, jest grzechem przeciw owocowi, przeciw drzewu, przeciw samemu winu. Jest obrazą, nadużyciem, tak jak gwałt jest zbezczeszczeniem aktu miłości. Zaczerwieniła się wtedy, wycofała szorstko: Reine-Claude, podaj oliwę i trochę bazylii, ruszże się! - lecz jej słowa utkwiły mi w pamięci. Wino - wypieszczone od pączka,

poprzez owoc po cały złożony proces fermentacji, który czyni je tym, czym jest - zasługuje na coś lepszego, niż żeby je wyłopał jakiś ochlapus, któremu maści się w głowie. Zasługuje na szacunek. Radość. Delikatność.

Och, matka rozumiała wino. Rozumiała proces dojrzewania owoców, fermentację, burzenie się i ustawanie życia w butelkach, ciemnienie, a wreszcie narodziny nowego rocznika w bukiecie aromatów podobnym do pęku papierowych kwiatów rozkwitających w ręce magika. Gdyby tylko miała równie wiele czasu i cierpliwości dla nas! Dziecko to nie drzewko owocowe. Zrozumiała to zbyt późno. Przycinanie nie jest receptą na to, jak doprowadzić

i

219

Pięć ćwiartek pomarańczy

dziecko do słodkiej, bezpiecznej dojrzałości. Powinna by. ła o tym wiedzieć.

Oczywiście w La Mauvaise Reputation nadal można kupić narkotyki. Nawet ja to wiem; nie jestem taka stara, żebym nie potrafiła rozpoznać słodkiego, wyraźnego zapachu trawki w oparach piwa i smażeniny. Bóg wie, że czułam go nieraz z naprzeciwka, z przyczepy - mam nos, nawet jeśli ten idiota Ramondin go nie ma - a powietrze w niektóre wieczory, gdy przyjeżdżali harleyowcy, było od niego aż żółte. „Lekkie narkotyki”, mówią o nich teraz i nadają im wymyślne nazwy. W tamtych czasach w Les Laveuses nie mieliśmy nic podobnego. Kluby jazzowe Saint-Germain-de-Pres pojawiły się dopiero dziesięć lat później, a poza tym nigdy naprawdę u nas nie zaistniały, nawet w latach sześćdziesiątych. Nie, matka chodziła do La Mauvaise Reputation z konieczności, zwykłej potrzeby, ponieważ to tam ubijano większość interesów. Tych związanych z czarnym rynkiem - handlowano ubraniami i butami oraz mniej niewinnymi rzeczami, takimi jak noże, broń, amunicja... Wszystko przechodziło przez La Rep: papierosy, brandy, pocztówki z rozebranymi kobietami, nylonowe pończochy. Koronkowa bielizna dla Colette i Agnes, które nosiły rozpuszczone włosy i malowały sobie policzki staromodnym różem, tak że przypominały holenderskie lalki: po jednej szkarłatnej plamie na policzkach i usta niby pączek róży, jak Lilian Gish.

Na tyłach tajne stowarzyszenia - komuniści, malkontenci, kandydaci na bohaterów i bohaterowie, którzy snuli plany. Koło baru rej wodzili najmocniejsi w gębie. Przekazywali sobie tajemnicze paczuszki albo szeptali półgłosem i opijali przyszłe interesy. Niejeden mieszkaniec lasów smarował sobie sadzą twarz, po czym jechał rowerem na spotkanie do Angers, nie zważając na godzinę policyjną. Czasem - bardzo rzadko - słyszało się strzały zza rzeki.

Jakże matka musiała tego nienawidzić.

220

Joannę Harris

Tylko tam jednak mogła dostać pigułki. Zapisała wszystko w swoim albumie - tabletki na migrenę, morfina ze szpitala. Najpierw trzy na raz, potem sześć, dziesięć, dwanaście, dwadzieścia. Dostawcy się zmieniali. Z początku był to Philippe Hourias. Julien Lecoz znał kogoś, jakiegoś wolontariusza. Agnes Petit miała kuzyna, znajomego przyjaciela w Paryżu... Guilherm Ramondin,

ten z drewnianą nogą, godził się wymienić część własnych lekarstw na wino lub pieniądze. Małe paczuszki - kilka pigułek zawiniętych w kawałek papieru, ampułka i strzykawka, opakowanie tabletek. Cokolwiek, byle zawierało morfinę. Oczywiście nie było mowy, żeby dostała coś od lekarza. Zresztą najbliższy znajdował się w Angers, a wszystkie leki szły dla naszych żołnierzy. Kiedy jej własny zapas się skończył, wypraszała je, kupowała, wymieniała za różne rzeczy. Listę zachowała w swoim albumie.

2 marca 1942. Guilherm Ramondin. 4 tabletki morfiny za 12 jajek.

16 marca 1942. Francoise Petit. 3 tabletki morfiny za butelkę calvadosu.

Sprzedawała w Angers swoją biżuterię - pojedynczy sznur pereł, który nosi na ślubnej fotografii, pierścionki, kolczyki z diamentami otrzymane od matki. Była sprytna. Na swój sposób prawie tak sprytna jak Tomas, chociaż w odróżnieniu od niego zawsze przestrzegała uczciwości w interesach. Dzięki odrobinie sprytu dawała sobie radę.

Potem do La Rep zaczęli przychodzić Niemcy.

Z początku jeden, dwóch. Niektórzy w mundurach, inni w cywilu. Gdy stawali w drzwiach, w barze zapadała cisza, lecz rekompensowali to swoim hałaśliwym zachowaniem, śmiechem, wypitymi kolejkami. Chwiejąc się na nogach, zostawali do zamknięcia, uśmiechali się do Colette i Agnes i nonszalanckim gestem rzucali garście monet na kontuar. Czasem przyprawdzali ze sobą kobiety. Nigdy ich nie za-

i 221

Pięć ćwiartek pomarańczy

akceptowaliśmy - panienek z miasta wystrojonych w futrzane kołnierze, nylonowe pończochy i wyzywające suknie, o wymyślnych fryzurach jak u gwiazd filmowych, wyskubanych cienko brwiach, czerwono-czarnych lśniących wargach i białych zębach, panienek, obracających kieliszki z winem w długich palcach. Zjawiały się tylko wieczorem. Przyjeżdżały zawsze z Niemcami na siodełkach ich motocykli, piszcząc

przenikliwie z zachwytu, kiedy pędziły przez noc z rozwianymi włosami. Cztery kobiety. Czterech żołnierzy. One co jakiś czas się zmieniały, lecz Niemcy pozostawali ci sami.

Matka opisuje ich w swoim albumie, swoje pierwsze wrażenie.

Wstrętni bosze i ich dziwki. Gapiły się na mnie i moją kieckę, śmiały się, zasłaniając usta rękami. Zabiłabym je. Patrzyłam, jak mi się przyglądają, i czułam się stara. Brzydka. Tylko jeden ma życzliwe oczy. Widziałam, że dziewczyna, z którą przyszedł, go nudzi. Tania głupia dziwka, namalowała sobie kredką szwy na pończochach. Prawie było mi jej żal. Ale on się do mnie uśmiechnął. Musiałam zagryźć wargę, żeby nie odpowiedzieć uśmiechem.

Oczywiście nie mam dowodu, że chodziło o Tomasa. Tych kilka nabazgranych linijek mogło dotyczyć każdego. Brak szczegółów i nic nie sugeruje, że to mógł być on, a jednak z jakiegoś powodu jestem tego pewna. Tylko Tomasz mógł sprawić, by poczuła się właśnie tak. Tylko Tomasz potrafiłby sprawić, żebym ja się tak poczuła.

Wszystko jest w albumie. Możecie go przeczytać, jeśli macie ochotę, jeśli wiecie, gdzie szukać. Kolejność zdarzeń nie została zachowana. Inaczej niż w wypadku jej sekretnych interesów, prawie nie ma dat. Na swój sposób była jednak dokładna. Opisała tamtą La Rep tak precyzyjnie, że czytając to wiele lat później, poczułam ściskanie w gardle. Gwar, muzyka, dym i piwo, głosy rozbrzmie-

222

Joannę Harris

wające śmiechem lub pijacką wulgarnością. Nic dziwnego, że nie pozwalała nam się zbliżyć do tego miejsca. Za bardzo się wstydziła własnych z nim kontaktów, obawiała się tego, czego moglibyśmy się dowiedzieć od któregoś z bywalców.

Tej nocy, kiedy się tam wykradliśmy, mieliśmy przeżyć rozczarowanie. Wyobrażaliśmy sobie sekretną jaskinię występku nawiedzaną przez dorosłych. Ja spodziewałam się nagich tancerek z rubinami w pępkach i

o włosach długich do pasa. Cassis, wciąż udający obojętność, oczyma duszy widział bojowników ruchu oporu, ubranych na czarno partyzantów o surowych spojrzeniach. ReINETTE wyobrażała sobie siebie samą, uróżowaną i wypomadowaną, popijającą martini w futrzanej etoli na ramionach. Tej nocy jednak, kiedy zajrzeliśmy do wnętrza przez brudne szyby, nie zobaczyliśmy nic ciekawego. Tylko kilku starszków przy stołach, planszę do tryktraka, talię kart i Agnes w bluzce ze spadochronowego jedwabiu rozpiętej do trzeciego guzika, która śpiewała coś, oparta o stare pianino... Było za wcześnie. Tomas jeszcze się nie zjawił.

9 maja. Niemiecki żołnierz (Bawarczyk). 12 tabletek z morfiną za kurczaka, worek cukru i kawałek bekonu.

25 maja. Niemiecki żołnierz (byczy kark). 16 tabletek z morfiną za 1 butelkę calva, worek mąki, paczkę kawy, 6 słoików przetworów.

I ostatni zapiszek, data celowo niejasna:

Wrzesień - T.L. Fiolka 30 silnych tabletek z morfiną.

Pierwszy raz nie podaje, ile ją to kosztowało. Może to zwykle niedbalstwo - litery są ledwie czytelne, nabazgrane w pośpiechu. Może tym razem zapłaciła więcej, niż chciała przyznać. Co było zapłatą? Trzydzieści tabletek wydaje się zdobyczą o niewyobrażalnej wartości. Nie mu-

I

223

Pięć ćwiartek pomarańczy

siała wracać do La Rep przez jakiś czas. Żadnych więcej targów z pijanymi prostytutkami w rodzaju Julienu Lecoz. Wyobrażam sobie, że gotowa była wiele dać za spokój umysłu, jaki zapewniało jej tych trzydzieści pigułek. Czym zapłaciła za ten spokój? Informacją? Czymś innym?

7

Czekaliśmy w miejscu, gdzie później zrobiono parking. W tamtych czasach stały tam po prostu kubły na śmieci i zajeżdżali dostawcy - z beczką piwa albo

towarami bardziej nielegalnego pochodzenia. Podwórko było ogrodzone murem biegnącym przez połowę długości budynku i ginącym w splątanych krzewach dzikiego bzu i jeżyn. Drzwi na tyłach otwarto - nawet w październiku we wnętrzu panował zaduch - i jasnożółte światło padające z baru kładło się wachlarzem na ziemi. Siedliśmy na szczycie muru, gotowi zeskoczyć na drugą stronę, gdyby ktoś podszedł do nas zbyt blisko, i czekaliśmy.

8

Jak powiedziałam, kawiarnia niewiele się zmieniła. Parę dodatkowych neonów, kilka automatów do gry, więcej klientów - lecz to wciąż ta sama La Mauvaise Reputa-tion, ludzie o takich samych twarzach, tylko inaczej uczesani. Wchodząc tam dzisiaj, mogę sobie niemal wyobrazić samą siebie w dawnych czasach, wśród starych opojów i młodych junaków holujących za sobą dziewczyny, w zapachu piwa, perfum i papierosów unoszącym się

nad wszystkim.

Widzicie, poszliśmy tam kiedyś z Paulem, po tym, gdy

pojawił się Luc ze swoją przyczepą. Schowaliśmy się w garażu - podobnie jak Cassis, Reine i ja ukryliśmy się tam-

224

Joannę Harris

tej nocy, kiedy urządzono tańce. Oczywiście teraz stały tam samochody. Było też zimno i padało. Bzy i jeżyny zniknęły, został tylko asfalt i nowy mur, za który chodzą kochankowie albo pijacy, kiedy chcą się odlać. Szukaliśmy wtedy Dessanges'a, naszego przystojnego Luca. Kiedy jednak czekałam w ciemnościach, patrząc jak światło nowego neonu odbija się w mokrym asfalcie, czułam się, jakbym znowu miała dziewięć lat, a Tomas siedział w pokoiku na tyłach, obejmując dziewczyny... Czas płata zabawne figle. W garażu stał podwójny rząd motocykli lśniących od wilgoci.

Była jedenasta wieczorem. Nagle poczułam się jak idiotka. Stałam oparta o nowy betonowy mur niczym

jakaś smarkula podglądająca dorosłych - najstarsza dziewięciolatka na świecie - z Paulem przy boku i jego nieodłącznym starym kundlem na smyczy ze sznurka. Skazani na klęskę głupcy; para starych ludzi obserwujących bar z ciemności. Po co? Fala muzyki z szafy grającej - nic, co bym potrafiła zidentyfikować. Nawet instrumenty stały się obce - elektroniczne cuda, które nie potrzebują już ust ani palców, żeby wydobyć z nich dźwięk. Kobięcy śmiech, wysoki i nieprzyjemny. Na chwilę oba skrzydła drzwi otwarły się równocześnie i zobaczyliśmy go wyraźnie, obejmującego ramionami dwie dziewczyny. Miał na sobie skórzaną kurtkę, która w paryskim sklepie mogła kosztować dwa tysiące franków albo więcej. Dziewczyny miały czerwone usta, były delikatne jak jedwab i bardzo młode w sukienkach na cienkich ramiączkach. Ogarnęła mnie zimna fala zwątpienia.

- Tylko na nas spójrz. - Nagle poczułam, że włosy mam mokre, palce sztywne jak patyczki. - James Bond i Mata Hari. Wracajmy do domu.

Paul popatrzył na mnie w zamyśleniu. Nikt inny nie dostrzegłby inteligencji w jego oczach, ale ja tak. Bez

słowa ujął moją dłoń. Jego ręce były w dotyku krzepiąco ciepłe, czułam rzędy odcisków na dłoniach.

1

15. Pięć ćwiartek

225

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nie poddawaj się - powiedział. Wzruszyłam ramionami.

- Nic tu nie zwojujemy - odparłam. - Zrobimy tylko z siebie durniów. Trzeba spojrzeć prawdzie w oczy, Paul, nigdy nie zwyciężymy z Dessanges'ami, więc równie dobrze możemy to sobie wbić do tych tępych, upartych głów już teraz. To znaczy...

- Nie, Framboise. - Mówił powoli i niemal z rozbawieniem. - Ty się nigdy nie poddajesz. Kiedyś nigdy się nie poddawałaś.

Cierpliwość. Jego cierpliwość; łagodna i uparta, pozwalająca czekać przez całe życie.

- To było dawno - mruknęłam, nie patrząc mu w oczy.

- Aż tak się nie zmieniłaś, Framboise.

Może to i prawda. Ciągle jeszcze mam to w sobie - coś twardego i niekoniecznie dobrego. Nadal czuję to niekiedy: twardy zimny przedmiot, kamień w zaciśniętej pięści. Zawsze to we mnie było, nawet za dawnych czasów, coś podłego i zapiekłego, i sprytnego akurat na tyle, żeby dotrzeć do zwycięstwa... Jak gdyby Stara Mateczka tamtego dnia w jakiś sposób mnie zaczarowała; jakby chciała się wślizgnąć do serca, lecz zamiast tego utkwiała gdzieś w moim wnętrzu. Skamieniała ryba w pięści z kamienia -widziałam kiedyś taki rysunek w jednej z książek Ricota o dinozaurach - pożerająca samą siebie we wściekłym gniewie.

- Może pora się zmienić - powiedziałam cicho. - Może już czas.

Wydaje mi się, że przez chwilę sama w to wierzyłam.

Byłam zmęczona, rozumiecie. Zmęczona ponad wszelkie wyobrażenie. Próbowaliśmy od dwóch miesięcy, i Bóg wie, chwytałyśmy się wszystkiego. Śledziliśmy Luca. Próbowaliśmy przemówić mu do rozsądku. Snuliśmy niezwykle fantazje - bomba pod przyczepą, wynajęty zabójca z Paryża, przypadkowy strzał snajpera zaczajonego na wysokim drzewie. Och, tak, zabiłabym go. Gniew odbierał mi siły,

226

Joannę Harris

lecz strach nie pozwalał zasnąć w nocy. Całymi dniami czułam piasek pod powiekami i głowa bolała mnie bez chwili przerwy. Chodziło o coś więcej niż tylko strach przed zdemaskowaniem. Ostatecznie byłam córką Mirabelle Dartigen. Odziedziczyłam po niej charakter. Zależało mi na restauracji, ale nawet gdyby Dessanges'owie zmusili mnie do zwinięcia interesu, nawet gdyby nikt w Les Laveuses nie chciał się do mnie odezwać, wiedziałam, że dam sobie radę. Nie; to, czego się bałam najwięcej (ukrywałam ten fakt przed Paulem i niechętnie przyznawałam się do niego sama przed sobą),

było bardziej mroczne i skomplikowane. Kryło się na dnie mojego umysłu jak Stara Mateczka w mulistej ostoi na dnie rzeki i modliłam się, by żadna przynęta nie wywabiła tego na powierzchnię.

Dostałam dwa listy; jeden od Yannicka, drugi adresowany do mnie ręką Laurę. Przeczytałam pierwszy z wrażeniem rosnącego niesmaku. W liście bratanka utyskiwania mieszały się z pochlebstwami. Nastąpiły dla niego ciężkie czasy, Laurę go nie rozumie, pisał; wciąż wykorzystuje jego zależność finansową jako broń przeciw niemu. Od trzech lat na próżno starają się o dziecko; żona za to też wini jego. Wspominała o rozwodzie.

Zdaniem Yannicka, gdybym mu pożyczyła album, wszystko by się zmieniło. Laurę potrzebowała zajęcia, nowego projektu. Jej kariera straciła rozpęd. Yannick nie wierzy, żebym była tak bez serca, by odmówić...

Drugi list spaliłam bez otwierania. Częściowo z zemsty za lakoniczne, rzeczowe kartki Noisette z Kanady, ale też dlatego, że uznałam zwierzenia bratanka za dostatecznie żalosalne i krępujące. Nie chciałam wiedzieć nic więcej. Wraz z Paulem niewzruszenie

przygotowaliśmy się na decydujące oblężenie.

W nim pokładaliśmy ostatnią nadzieję. Nie wiem, na co liczyliśmy - tylko i wyłącznie upór popychał nas do działania. Może w dalszym ciągu chciałam wygrywać, tak

227

Pięć ćwiartek pomarańczy

jak tamtego ostatniego lata w Les Laveuses. A może odezwała się we mnie twarda, nierozsądna natura matki, nie pozwalając mi ulec. Jeśli się teraz poddasz, mówiłam sobie, jej poświęcenie pójdzie na marne. Walczyłam w imieniu nas obu i myślę, że nawet ona byłaby ze mnie dumna. Nigdy bym nie przypuszczała, jak nieocenionym źródłem wsparcia okaże się Paul. To on wpadł na pomysł, by obserwować kawiarnię, podobnie jak odkrył numer telefonu Dessanges'ów na tyle przyczepy Luca. W tych miesiącach zaczęłam bardzo na nim polegać i ufać jego osądowi. Często razem siedzieliśmy na warcie, z kolanami okrytymi kocem, bo noce stawały się coraz zimniejsze, z dzbankiem kawy i kieliszkami cointreau. Stał się niezastąpiony w drobnych, codziennych sprawach.

Obierał warzywa na kolację. Przynosił drewno na podpałkę i patroszył ryby. I mimo że Crepe Framboise odwiedzało coraz mniej gości - w ciągu tygodnia przestałam w ogóle otwierać, a i w weekendy obecność przyczepy nie zniechęcała tylko najbardziej zdeterminowanych klientów - trzymał straż w restauracji, zmywał naczynia, zamiatał podłogę. Prawie zawsze w ciszy, prostym przyjaznym milczeniu płynącym z długiej znajomości.

- Nie zmieniaj się - odezwał się po długiej chwili. Ruszyłam do wyjścia, lecz nadal trzymał mnie za rękę.

Widziałam krople deszczu lśniące na jego biece i wąsach. Za sobą słyszałam dźwięki muzyki dolatujące z kawiarni.

- Zdaje mi się, że coś odkryłem - powiedział.

- Co? - Mój głos brzmiał szorstko ze zmęczenia. Marzyłam tylko o tym, by się położyć i zasnąć. - Co znowu, na miłość boską?

- Może to nic ważnego.

Mówił teraz ostrożniej, z tą swoją powolnością, która sprawiała, że chciało mi się krzyczeć.

- Zaczekaj tutaj. Chcę tylko... rozumiesz... coś sprawdzić.

228

Joannę Harris

- Co takiego, gdzie? - dopytywałam się podniesionym głosem. - Paul, zaczekaj...

Ale on już poszedł, szybko i cicho jak przystało na starego kłusownika sunął ku drzwiom. Jeszcze sekunda i zniknął we wnętrzu.

- Paul! - wysyczałam wściekła. - Paul! Nie wyobrażaj sobie, że będę tu na ciebie czekać! Niech cię cholera, Pauli

Ale oczywiście czekałam. A kiedy deszcz przesiąkał za kołnierz mojego najlepszego jesiennego płaszcza, wolno ściekał po włosach i sięgał chłodnymi palcami między

piersi, miałam mnóstwo czasu, żeby dojść do wniosku, że nie, właściwie wcale się aż tak nie zmieniłam.

9

Cassis, Reinette i ja czekaliśmy ponad godzinę, zanim się zjawili. Gdy tylko dotarliśmy do La Rep, brat porzucił wszelkie pozory obojętności i wpatrywał się chciwie przez brudną szybę, odpychając nas, gdy przypadała nasza kolej. Ja byłam umiarkowanie zainteresowana. Zresztą dopóki Tomas nie przyjechał, nie było wiele do oglądania. Reine jednak nie dawała za wygraną.

- Ja też chcę popatrzeć - jęczała. - Cassis, ty draniu, puść mnie!

- Nie ma nic ciekawego - burknął niecierpliwie. - Tylko starzy przy stołach i te dwie zdziiry z czerwonymi ustami.

Wtedy rzuciłam tylko okiem, a przecież tak dobrze wszystko zapamiętałam. Agnes przy pianinie i Colette w obcisłym zielonym kardiganie podkreślającym piersi, sterczące niczym dwie kule armatnie. Pamiętam do dziś,

gdzie kto się znajdował: Martin i Jean-Marie Dupre grali w karty z Philippe'em Houriasem - i sądząc z wszelkich pozorów, jak zwykle go oszukiwali - Henri Lemaitre siedział

229

Pięć ćwiartek pomarańczy

przy barze nad nieśmiertelnym demi, gapiąc się na kobiety; Francois Ramondin i Arthur Lecoz, kuzyn Juliena, cicho spierali się o coś w kącie z Julienem Lanicenem i Augu-ste'em Truriandem, a stary Gustave Beauchamp tkwił samotnie pod oknem w berecie naciągniętym na kudłate uszy i krótką fajeczką w zębach. Pamiętam ich wszystkich. Przy odrobinie wysiłku mogę zobaczyć sukienną czapkę Philippe'a leżącą obok niego na barze, poczuć zapach tytoniu - w tamtym okresie hojnie dosypywano do niego liści mlecza, przez co śmierdział jak ognisko z zielonych gałęzi -i kawy z cykorii. Scena ma nieruchomość tableau. Żłoty blask nostalgii blednie jednak, stłumiony ciemnoczerwonym poblaskiem pożaru. Jak dobrze pamiętam. Jakżebym chciała zapomnieć.

Kiedy wreszcie nadjechali, byliśmy ścierpnięci i rozdrażnieni od kulenia się pod murem, a ReINETTE z trudem hamowała łyzy. Cassis zaglądał przez drzwi, my zajęłyśmy pozycję pod brudnym oknem. Pierwsza ich usłyszałam; odległy warkot motocykli nadjeżdżających szosą z An-gers, potem serię stłumionych wybuchów, gdy z rżeniem silnika skręciły na gruntową drogę. Cztery motory. Chyba powinniśmy się byli spodziewać kobiet. Gdybyśmy umieli odczytać zapiski w albumie matki, z pewnością byśmy ich oczekiwali. My jednak mimo wszystko byliśmy na wskroś niewinni i rzeczywistość okazała się dla nas lekkim wstrząsem. Dopiero kiedy weszły do baru, uświadomiliśmy sobie, że to zwykłe kobiety - w obcisłych sweterkach i naszyjnikach z fałszywych pereł; jedna trzymała w ręce buty na wysokich obcasach, druga grzebała w torebce w poszukiwaniu puderniczki - nieszczęśliwie ładne, nawet nie bardzo młode. Oczekiwałam przepychu, tymczasem one przypominały mi matkę - miały ostre rysy, włosy spięte metalowymi grzebieniami, plecy wygięte pod niemożliwym kątem z powodu morderczych obcasów. Trzy zwykłe kobiety.

ReINETTE gapiła się z otwartymi ustami.

Joannę Harris

- Patrzcie, jakie mają buty!

Jej twarz przyciśnięta do brudnej szyby poróżnowiała z zachwytu i podziwu. Uświadomiłam sobie, że każda z nas widzi co innego; że siostra dostrzega splendor rodem ze świata filmu w futrzanych etolach, nylonowych pończochach, torebkach z krokodylej skóry, nastroszonych strusich piórach, diamentowych kolczykach, wymyślnych fryzurach. Przez następnych parę minut wzdychała do siebie w ekstazie.

- Popatrzcie na jej kapelusz! Ochch! I ta sukienka! Ochch!

Ignorowaliśmy ją oboje, Cassis i ja. Brat przyglądał się uważnie pudłom, które przyjechały na tylnym siedzeniu czwartego motocykla. Ja obserwowałam Tomasa.

Stał w niewielkiej odległości od pozostałych, wsparty

łokciem o bar. Widziałam, jak coś powiedział do Raphaela, który zaczął wyciągać kufle do piwa. Heinemann, Schwartz i Hauer usadowili się przy pustym stoliku przy oknie wraz z kobietami; zauważyłam, jak stary Gustave usunął się na drugą stronę pomieszczenia z wyrazem nagłego niesmaku na twarzy, zabierając ze sobą kieliszek. Pozostali klienci zachowywali się tak, jakby przywykli do podobnych wizyt, niektórzy witali skinieniem Niemców, gdy ci przechodzili przez salę; Henri gapił się na trzy kobiety nawet wtedy, kiedy już usiadły. Ogarnęła mnie nagle absurdalna radość, że Tomas nie ma towarzyszki. Postać chwilę przy barze, gawędząc z Raphaelem; obserwowałam jego ruchliwe rysy, swobodne gesty, patrzyłam na czapkę zawadiacko zsuniętą z czoła i rozpięty mundur, spod którego było widać koszulę. Raphael mówił niewiele, z uprzejmym i nieprzeniknionym wyrazem twarzy. Wyglądało na to, że Tomas wyczuł jego niechęć, lecz raczej go to bawi, niż złości. Uniósł swój kufel nieco drwiącym gestem i wypił zdrowie Raphaela. Agnes zaczęła grać na pianinie - jakąś melodię podobną do walca; jeden z wysokich dźwięków odzywał się fałszywie, kiedy natrafiała w uszkodzony klawisz.

Pięć ćwiartek pomarańczy

Cassis zaczynał się nudzić.

- Nic się nie dzieje - mruknął obrażony. - Chodźmy stąd.

Lecz ReINETTE i ja byliśmy zafascynowane - ona światłami, biżuterią, błyszczącym szkłem, dymem z eleganckiej lakierowanej lufki trzymanej w palcach o pomalowanych paznokciach, a ja... Tomaszem, oczywiście. To, czy coś się dzieje, nie miało najmniejszego znaczenia. Czerpałabym taką samą przyjemność z patrzenia na to, jak śpi. Było coś zaczarowanego w takim sekretnym podglądaniu. Mogłam przyłożyć dłonie do zaparowanego okna i zamknąć między nimi jego twarz. Mogłam przycisnąć usta do szyby i wyobrazić sobie, że dotykam jego skóry. Pozostali trzej żołnierze pili znacznie więcej. Tłusty Schwartz trzymał na kolanach jedną z kobiet. Gładził ją po nodze, podciągając jej spódnicę coraz wyżej, tak że chwilami mogłam dostrzec brzeg brązowej pończochy i różowawą podwiązkę. Zauważyłam też, że

Henri przysunął się do grupki, pozerając wzrokiem towarzyszek Niemców, wybuchające hałaśliwym śmiechem na każdy komplement. Gracze porzucili karty i zbliżyli się, by popatrzeć. Jean--Marie, który jak się zdaje, wygrał najwięcej, obojętnie podszedł do Tomasa. Rzucił pieniądze na porysowany blat; Raphael wyjął więcej kieliszków. Tomasz raz, przelotnie, rzucił okiem za siebie na pijących i uśmiechnął się. Rozmowa była krótka i musiała umknąć uwagi każdego, kto ich pilnie nie obserwował. Myślę, że tylko ja spostrzegłam transakcję: uśmiech, ściszone słowa, pchnięty po blacie papier, który natychmiast zniknął w kieszeni munduru Leibniza. Nie zdziwiło mnie to; Tomasz robił interesy ze wszystkimi. Miał do tego smykałkę. Patrzyliśmy i czekaliśmy jeszcze przez godzinę. Cassis chyba drzemał. Przez chwilę Tomasz akompaniował na pianinie, kiedy Agnes śpiewała, z zadowoleniem jednak spostrzegłam, że okazuje niewiele zainteresowania łaszącym się do niego kobietom. Byłam z niego dumna. Miał dobry gust.

Do tej pory wszyscy sporo już wypili. Raphael wyciągnął butelkę fine; nalali do filiżanek do kawy, lecz bez kawy. Hauer i bracia Dupre zaczęli grać w karty o to, kto będzie stawiał; Philippe i Colette przyglądali się z boku. Słyszałam przez szybę ich śmiech, kiedy Hauer przegrał kolejny raz, lecz nie było w nim wrogości. Jedna z obcych kobiet potknęła się i chichocząc, siadła na podłodze z podwiniętą nogą; włosy opadły jej na twarz. Tylko Gu-stave Beauchamp trzymał się na uboczu. Nie przyjął fine od Philippe'a i odsunął się najdalej jak to możliwe od Niemców. Raz pochwycił spojrzenie Hauera i powiedział coś półgłosem. Żołnierz nie zrozumiał, więc popatrzył tylko na Gustave'a przez chwilę, po czym wrócił do gry. Parę minut później sytuacja się powtórzyła i tym razem Hauer, jedyny z Niemców poza Tomasem, który dobrze znał francuski, wstał, sięgając do pasa po pistolet. Starszy mężczyzna wpatrywał się w niego gniewnie, z fajką sterczącą pomiędzy poźółkłych zębów niczym lufa starego czołgu.

Przez moment napięcie między tymi dwoma było paralizujące. Zobaczyłam, jak Raphael robi ruch w kierunku Tomasa, przyglądającego się scenie ze spokojnym rozbawieniem. Cicho zamienili parę słów.

Przez parę sekund sądziłam, że Leibniz pozostawi sprawy własnemu biegowi, tylko po to, by zobaczyć, co się zdarzy dalej. Gustave i Hauer stali naprzeciw siebie, Niemiec o dwie głowy wyższy od staruszka, z niebieskimi oczyma nabiegłymi krwią i żyłami nabrzmiałymi na brązowym czole niczym robaki. Tomas z uśmiechem zerknął na Raphaela. Jak myślisz?, pytało jego spojrzenie. Trochę szkoda się do tego mieszać właśnie wtedy, kiedy robi się ciekawie. Nie sądzisz? Podszedł do kolegi, jakby nic się nie stało. Jedną ręką objął Niemca za ramiona, drugą machnął w stronę przywiezionych przez nich pudeł - czarnych pudeł, które tak intrygowały Cassisa, a które stały teraz oparte o pianino, czekając na otwarcie.

233 *

Pięć ćwiartek pomarańczy

Hauer wpatrywał się w niego przez chwilę wściekłym wzrokiem. Jego oczy zwięzły się w szparki podobne do nacięć na skórcie bekonu. Tomas powiedział coś jeszcze i twarz tamtego odprężyła się; roześmiał się hałaśliwie jak troll, zagłuszając gwar, jaki zapanował nagle na sali, i chwila grozy minęła. Nie wiem, co stary powiedział, ale

myślę, że Tomas uratował mu wtedy życie. Gustave poszu-
rał do swojego kąta, żeby dopić wino, a pozostali
podeszli do pianina i pudeł.

Przez chwilę widziałam tylko stłoczone ciała. Potem
usłyszałam dźwięk, nutę znacznie czystsza i delikatniejsza
niż te wydobywane z pianina, a kiedy Hauer odwrócił się
w stronę okna, trzymał w rękach trąbkę. Schwartz miał
bęben. Heinemann jakiś nieznany mi instrument. Kobiety
odsunęły się na bok, pozwalając Agnes podejść do
pianina, potem w polu mojego widzenia znalazł się znowu
Tomas z saksofonem zawieszonym na ramieniu niczym
jakaś egzotyczna broń. Przez moment naprawdę
sądziłam, że to broń. Reinette obok mnie wydała długie,
drżące westchnienie podziwu. Cassis, całkiem już
rozbudzony i niepa-miętający o znudzeniu, nachylił się do
przodu, odsuwając mnie na bok. To on rozpoznał
instrument. Nie mieliśmy w domu patefonu, lecz brat był
dość duży, by pamiętać, jak słuchaliśmy muzyki przez
radio, nim zostało to zakazane, a w swoich ukochanych
magazynach widywał zdjęcia grupy Glenna Millera.

- To klarnet!

Jego głos zabrzmiał niezwykle dziecinnie, nagle bardzo podobny do głosu siostry podziwiającej buty kobiet z miasta.

- A Tomas ma saksofon... rany, gdzie oni to zdobyli? Musieli zarekwirować... Tomas znajdzie wszystko... Och, żeby tylko zagrali, żeby...

Nie wiem, czy grali dobrze. Nie miałam żadnego porównania, a byliśmy tak podnieceni tego wieczoru, że oczarowałyby nas wszystko. Wiem, że dziś zabrzmiał to dzi-

234

Joannę Harris

wacznie, ale w tamtych czasach rzadko słyszeliśmy muzykę - pianino w La Mauvaise Reputation, kościelne organy (jeśli chodziło się do kościoła), skrzypce Denisa Gaudi-ne'a 14 lipca i w tłusty czwartek, gdy tańczyliśmy na ulicach... Odkąd zaczęła się wojna, znacznie mniej, oczywiście, ale i tak trochę tańczyliśmy. Lecz teraz te dźwięki - egzotyczne, nieznane, tak niepodobne do brzmienia starego pianina z La Mauvaise Reputation, jak

belcanto do psiego wycia - zabrzmiały z sali barowej, a my przywarliśmy do okien, by nie uronić ani jednej nuty. Z początku instrumenty wydawały jedynie dziwaczne zawodzenia - dziś myślę, że muzycy je stroili, lecz wtedy tego nie wiedziałam. Potem żołnierze zaczęli grać jakąś żywą, szybką melodię, której nie potrafiliśmy rozpoznać, choć sądzę, że mógł to być jakiś motyw jazzowy. Cichy rytm bębna, gardłowe pomrukiwanie klarnetu. I z saksofonu Tomasa sznur barwnych nut podobnych do lampek choinkowych; to słodkie i zawodzące, to szepczące ochryple. Wznosiły się i opadały na tle półharmonijnej całości jak głos zakłętego człowieka, z całą ludzką gamą uczuć - od łagodności po zuchwałość, od przymilności po rozpacz...

Oczywiście, pamięć jest subiektywna. Może dlatego do oczu napływają mi łzy, kiedy sobie przypominam tamtą melodię, muzykę na koniec świata. Bardzo możliwe, że wszystko wyglądało inaczej, niż zapamiętałam - banda pijanych Niemców rzępolących kilka taktów bluesa na kradzionych instrumentach - lecz dla mnie to były czary. Na obecnych muzyka musiała wyrzeć podobne wrażenie, bo po kilku minutach zaczęli tańczyć - niektórzy sami, inni w parach, kobiety z miasta w ramionach

karciarzy braci Dupre, Philippe i Colette przytuleni do siebie policzkami. Był to taniec, jakiego nie widziałam nigdy wcześniej, dzikie, szaleńcze wirowanie, w którym skręcano sobie kostki, biodrami roztrącano stoliki, a wibrujący śmiech zagłuszał instrumenty. Nawet Raphael przytupywał, zapominając o swojej rezerwie. Nie wiem, jak długo

235

Pięć ćwiartek pomarańczy

to trwało. Może niecałą godzinę. Może tylko kilka minut. Wiem, że my też zaczęliśmy tańczyć na zewnątrz, podskakiwaliśmy i kręciliśmy się w kółko jak diablęta. Muzyka rozgrzewała, płonęła na naszej skórze jak alkoholowe flambee, wydzielając ostry, przenikliwy zapach; wyliśmy niczym Indianie, wiedząc, że w środku panuje wielki hałas, więc możemy robić, co nam się podoba, a i tak nikt nie usłyszy. Na szczęście nie spuszczałam z oka tego, co się działo na sali, bo dzięki temu zauważyłam, że stary Gustave zbiera się do wyjścia. Natychmiast zaalarmowałam resztę; zanurkowaliśmy za mur w samą porę, by zobaczyć, jak staruszek chwiejnie

wędruje przez rześką noc - zgarbiona postać z żarzącą się fajką rzucającą różany poblask na twarz. Był pijany, lecz jeszcze przytomny. Prawdę mówiąc, myślę, że nas usłyszał, bo zatrzymał się przy murze i wyęzając wzrok, wpatrywał się w cienie na tyłach budynku, jedną ręką przytrzymując się ganku, by nie upaść.

- Kto tam? - spytał gderliwie. - Jest tam kto? Siedzieliśmy cicho za murem, tłumiąc chichot.

- Halo? - zawołał jeszcze raz, po czym, najwyraźniej usatysfakcjonowany, mruknął coś cicho do siebie i ruszył w drogę. Podszedł do muru, wystukał o niego fajkę. Deszcz iskier poleciał w naszą stronę; zakryłam Reinette usta, by ją powstrzymać od wrzasku. Przez chwilę panowała cisza. Czekaliśmy, ledwie odważając się oddychać. Potem usłyszeliśmy, jak stary sika obficie, bez końca, na mur, chrząkając cicho z zadowolenia. Wyszczrzyłam zęby w ciemności. Nic dziwnego, że tak bardzo chciał wiedzieć, czy nikogo tu nie ma. Cassis szturchnął mnie wściekle, ręką przesłaniając usta. Reine skrzywiła się zdegustowana. Usłyszeliśmy, jak Gustave zapina pas, potem kilka szurających kroków w stronę budynku. Wreszcie zapadła cisza.

Odczekaliśmy kilka minut.

- Gdzie on jest? - wyszeptał wreszcie Cassis. - Nie wszedł do środka, bobyśmy słyszeli.

236

Joannę Harris

Wzruszyłam ramionami. Widziałam, jak twarz brata połyskuje w promieniach księżyca od potu i niepokoju. Gestem wskazałam mur.

- Zobacz - powiedziałam bezgłośnie. - Może zemdłał albo co.

Pokręcił głową.

- Może nas zauważył - mruknął ponuro. - Czeka tylko, żeby ktoś wystawił głowę, i cap!

Znowu wzruszyłam ramionami i ostrożnie wyjrzałam sama. Gustave bynajmniej nie zemdłał, ale siedział na

swojej lasce tyłem do nas, patrząc na kawiarnię. Był nieruchomy jak skała.

- No? - spytał Cassis, kiedy przykucnąłem z powrotem. Powiedziałam mu, co widziałam.

- Ale co robi? - zirytował się brat, błądy z wściekłości. Pokręciłam głową.

- Cholerny idiota! Będziemy tu przez niego sterczeć całą noc!

Położyłam palec na ustach.

- Psst! Ktoś idzie!

Gustave też musiał coś usłyszeć, bo kiedy cofnęliśmy się głębiej w jeżyny, usłyszeliśmy, jak przelazi na naszą stronę muru. Poruszał się głośniejsze niż my, a gdyby znajdował się trochę bardziej na lewo, wylądowałby wprost na nas. Zaplątał się jednak w giętkie pędy i przeklinając, odgarniał je laską, a my tymczasem ukryliśmy się głębiej w zaroślach. Siedzieliśmy w czymś w rodzaju tunelu uformowanego ze splątanych jeżyn i

przytulii. Takim zwinnym smarkaczom jak my zdawało się, że możemy się tamtędy przeczołgać aż do drogi. Gdyby się nam udało, uniknęlibyśmy wspinania się z powrotem na mur, co pozwoliłoby nam niezauważenie wycofać się w ciemności.

Prawie się na to zdecydowałam, kiedy zza muru dobiegły mnie głosy. Jeden należał do kobiety. Drugi do mówiącego po niemiecku mężczyzny, w którym rozpoznałam Schwartza.

i

237

Pięć ćwiartek pomarańczy

Nadal słyszałam muzykę dolatującą z baru i domyśliłam się, że Schwartz i jego przyjaciółka wymknęli się niepostrzeżenie. Ze swojego punktu obserwacyjnego w żeżynach widziałam ich niewyraźne postacie nad murem; dałam znak Cassisowi i Reinette, żeby zostali na miejscu. Widziałam też w pewnej odległości od nas Gustave'a, nieświadomego naszej obecności, który przywarł do cegieł

i podglądał nowych przybyszów przez szparę. Dosłyszałam śmiech kobiety, wysoki i nieco nerwowy, potem ochrypliły głos Schwartza. Niemiec był niższy od swojej towarzyszki i wydawał się gruby przez kontrast z jej smukłą postacią. Sposób, w jaki nachylał się do jej szyi, wydawał się dziwnie drapieżny, podobnie jak wydawane przez niego dźwięki - mlaszczące, siorbiące odgłosy człowieka jedzącego pośpiesznie obiad. Kiedy wyszli z cienia ganku i oblał ich jaskrawy blask księżyca, zobaczyłam, że Schwartz gmera wielkimi łapami przy bluzce kobiety - Liebchen, Liebling. Usłyszałam jej chichot, jeszcze bardziej piskliwy niż dotąd - hihihih! - kiedy miętosił jej piersi. Nagle nie byli już sami. Zza ganku wysunęła się trzecia postać, lecz Niemiec nie wydawał się zaskoczony tym faktem. Skinął krótko głową nowo przybyłemu - choć kobieta wydawała się nieświadoma jego obecności - i wrócił do swego zajęcia, podczas gdy drugi mężczyzna przyglądał się chciwie w milczeniu; jego oczy w cieniu rzucanym przez ganek lśniły jak ślepia zwierzęcia. Był to Jean-Marie Dupre.

Nie przyszło mi wówczas do głowy, że Tomas mógł zaaranżować całe spotkanie. Przedstawienie w zamian za coś innego: jakąś przysługę, być może, albo puszkę

czarnoryn-kowej kawy. Nie widziałam związku między wymianą, której byłam świadkiem wcześniej w barze, i tym - prawdę mówiąc, nie byłam nawet pewna, czym to jest, tak bardzo wykraczało poza skromną wiedzę, jaką posiadałam na temat podobnych spraw. Cassis by wiedział, oczywiście, lecz wciąż krył się pod murem wraz z ReINETTE. Przywoływałam go gorączkowymi gestami, sądząc, że chyba nadszedł czas -

238

Joannę Harris

trójka protagonistów nadal była pochłonięta sobą - by spróbować ucieczki. Skinął głową i ruszył przez zarośla w moją stronę, zostawiając ReINETTE w cieniu; widać było tylko jej białą bluzkę ze spadochronowego jedwabiu.

- Co z nią, do cholery? Czemu za tobą nie poszła? -syknęłam do brata. Niemiec i kobieta znaleźli się bliżej muru, więc trudno było zobaczyć, co robią. Jean-Marie stał tuż obok nich - żeby dobrze wszystko widzieć, pomyślałam, czując zarazem wstyd i mdłości. Słyszałam ich oddechy - ciężkie, świńskie sapanie Niemca i

chrapliwy z podniecenia oddech podglądacza oraz wysokie, przytłumione jęki kobiety. Nagle ogarnęło mnie zadowolenie, że nie mogę zobaczyć, co się tam dzieje, że jestem za mała, by zrozumieć, ponieważ akt wydawał mi się niewyobrażalnie odrażający, brudny, a przecież oni czerpali z niego przyjemność, przewracali oczyma w świetle księżyca, łapali powietrze jak ryby, a teraz Niemiec popychał kobietę na mur krótkimi, zdecydowanymi ruchami. Słyszałam, jak jej głowa i plecy uderzają o cegły, słyszałam jej westchnienia - ach! ach! ach! - i jego pomruki - Liebchen, ja, Liebling, ach ja - i chciałam zerwać się z miejsca i uciekać na oślep. Zniknęło całe moje opanowanie, wchłonięte przez wielką, szczypiącą falę paniki.

Już miałam ulec instynktowi - podniosłam się, zwrócona ku drodze, obliczając odległość dzielącą mnie od niej -kiedy niespodziewanie odgłosy umilkły i Schwartz warknął - bardzo głośno w zapadłej nagle ciszy -
Wie ist das?

W tym momencie Reinette, która cały czas cicho przesuwała się w naszym kierunku, wpadła w panikę. Zamiast znieruchomieć, jak kiedy Gustave rzucał

wyzwanie ciemnościom, uznała chyba, że Niemiec ją dostrzegł, bo zerwała się i rzuciła do ucieczki, wyglądając niczym duch w swojej białej bluzce. Chwilę później upadła z krzykiem między jeżyny. Siadła, trzymając się za kostkę, i bezradnie zwróciła ku nam pobladłą twarz. Jej usta poruszały się rozpaczliwie, nie wydając głosu.

i 239

Pięć ćwiartek pomarańczy

Cassis zareagował szybko. Klnąc pod nosem, rzucił się biegiem przez zarośla w przeciwnym kierunku - gałęzie bzu smagały go po twarzy, jeżyny zdzierały skórę z kostek. Bez jednego spojrzenia za siebie, na nas, przeskoczył mur i zniknął na szosie.

- Verdammt!

To był Schwartz. Zobaczyłam jego bladą, okrągłą twarz nad murem i rozpląszczyłam się wśród jeżyn.

- Wer war das?

Hauer, który wyszedł z pokoiku na tyłach, pokręcił głową.

- Weiss nicht. Etwas tiber da! - wskazał ręką. Zobaczyłam jeszcze trzy głowy. Mogłam tylko schować

własną wśród gęstego listowia i liczyć na to, że Reinette będzie miała dość rozsądku, by zmykać ile sił. Ja przynajmniej nie stchórzyłam jak Cassis, pomyślałam z pogardą. Mgliście uświadamiałam sobie, że muzyka w La Rep umilkła.

- Czekajcie, tam ktoś jeszcze jest - odezwał się Jean-

-Marie.

Przyłączyła się do niego towarzyszka Schwartz, jej twarz w promieniach księżyca wydawała się biała niczym mąka. Na tle nienaturalnej bledości wydawało się, że czarne usta wykrzywają się złośliwie.

- Ty mała dziwko! - krzyknęła piskliwie. - Ty tam! Wstawaj no zaraz! Tak, ty, tam pod murem! Śledziłaś nas!

Głos był wysoki i rozkazujący, być może z odrobiną zawstydzenia. Reine podniosła się wolno, posłusznie. Taka grzeczna dziewczynka. Zawsze odpowiadała natychmiast na głos autorytetu. Dużo dobrego jej z tego przyszło! Słyszałam jej oddech - szybkie, pełne przerażenia sapanie -kiedy szła w ich stronę. Bluzka wysunęła się jej ze spódnicy, gdy upadła, włosy rozplotły się i zakryły twarz.

Hauer powiedział coś cicho do Schwartza po niemiecku. Schwartz sięgnął nad murem i przeciągnął Reinette na drugą stronę.

Przez moment wisiała w jego ramionach, nie protestując. Nigdy nie myślała szybko i z naszej trójki była niewąt-

240

Joannę Harris

pliwie najpotulniejsza. Gdy słyszała polecenie kogoś dorosłego, jej pierwszym odruchem było usłuchać bez pytania.

Nagle, wydawało się, że pojęła. Może sprawił to dotyk rąk Schwartza, a może zrozumiała, co mruknął Hauer, bo zaczęła się wyrywać. Za późno; Hauer trzymał ją mocno, podczas gdy Schwartz zdarł z niej bluzkę - zobaczyłam, jak podlatuje w górę niczym biały proporzec. Chwilę potem trzeci głos - Heinemanna, jak mi się zdawało - krzyknął coś po niemiecku, a później moja siostra zaczęła krzyczeć wysoko, bez tchu - ach! ach! ach! - ze wstrętu i przerażenia. Przez sekundę widziałam nad murem jej głowę, rozwiane włosy, ręce chwytające pustkę, i zwróconą ku niej wyszczerzoną, czerwona od piwa twarz Schwartza. Potem zniknęła, lecz odgłosy słychać było nadal, mlaszczące odgłosy wydawane przez mężczyzn i piskliwy głos kobiety, krzyczącej z czymś na kształt tryumfu:

- Dogodź tej małej dziwce! Dogodź jej dobrze!

I śmiech, odrażające he-he-he, które nawet teraz niekiedy przerywa moje sny; śmiech i dźwięki saksofonu, tak podobne do ludzkiego głosu, do jego głosu...

Wahałam się może pół minuty. Nie więcej, choć

wydawało mi się, że dłużej, kiedy obgryzając kostki palców, by szybciej myśleć, kulilałam się wśród jeżyn. Cassis uciekł. Ja miałam tylko dziewięć lat - co mogę zrobić? - powtarzałam sobie, lecz choć rozumiałam bardzo mgliście, co się dzieje, nie mogłam zostawić siostry. Wstałam i otwarłam usta do krzyku - wyobrażałam sobie, że Tomas jest blisko i może to wszystko przerwać - lecz ktoś już się gramolił niezgrabnie przez mur. Ktoś z laską, którą zaczął smagać gapiów z większym gniewem niż skutecznością, ktoś, kto wrzasnął wściekłym, dudniącym głosem: „Plugawi bosze! Plugawi bosze!”.

Był to Gustave Beauchamp.

Zanurkowałam z powrotem w krzaki. Widziałam niewiele z tego, co działo się teraz, lecz wiedziałam, że ReINETTE schwyciła resztki bluzki i kwiląc, pomknęła pod murem w stronę drogi. Przyłączyłabym się do niej, gdyby nie

I

le. Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

ciekawość i nagle uniesienie, kiedy usłyszałam znajomy głos, wołający: „Spokojnie! Tylko spokojnie!”.

Serce podskoczyło mi w piersi.

Słyszałam, jak przepycha się przez tłumek - do bójki zdążyli się włączyć inni; jeszcze dwa razy dobiegł mnie odgłos razów podobny do dźwięku, jaki wydaje kopnięta główka kapusty. Uspokajające słowa - głosem Tomasa - po francusku i niemiecku: „Już wszystko w porządku, uspokójcie się, verdammt, spokojnie, słyszysz, Franzl, jak na jeden dzień dość już zmalowałeś”. Potem gniewne okrzyki Hauera i nieśmiałe protesty Schwartza.

Hauer głosem trzęsącym się z gniewu krzychał na Gustave'a: „Drugim razem dzisiaj się mnie czepiasz, ty stary Arschloch!”.

Tomas zawołał coś niezrozumiale. Zabrzmiało

rozdzierający krzyk Gustave'a, przecięty nagle plaśnięciem, podobnym do dźwięku, jaki wydaje worek mąki rzucony na kamienną podłogę spichlerza. Potem cisza, zaskakująca niczym lodowaty prysznic.

Trwało to trzydzieści sekund albo dłużej. Nikt się nie odzywał. Nikt się nie poruszał.

Po chwili głos Tomasa, pogodny i zwyczajny.

- Wszystko w porządku. Wracajcie do baru. Dokończcie drinki. Wino musiało go wreszcie zwalić z nóg.

Rozległ się pomruk niezadowolenia, szept, niespokojne odgłosy protestu. Jakaś kobieta - chyba Colette - szepnęła: -Jego oczy...

- To przez wino.

Tomas mówił swobodnie i energicznie.

- Ze starymi tak bywa. Nie wiedzą, kiedy przestać. Jego śmiech był niezwykle przekonujący, lecz mimo to

wiedziałam, że kłamie.

- Franzl, zostań, pomożesz mi go odprowadzić do domu. Udi, zabierz pozostałych do środka.

Kiedy tylko weszli do wnętrza, dźwięki pianina rozległy się znowu, drżący nerwowo kobiecy głos podjął melodię

242

Joannę Harris

popularnej piosenki. Tomas i Hauer, pozostawieni samym sobie, zaczęli szybką, nerwową dyskusję półgłosem. Hauer:

- Leibniz, was muss...

- Halt's Maul! - przerwał mu ostro Tomas. Podszedł, jak mi się zdawało, tam gdzie upadło ciało

Gustave'a, i przyklęknął. Usłyszałam, jak potrząsa

staruszkim, potem mówi coś do niego kilka razy po francusku.

- Dziadku. Obudźcie się, dziadku.

Hauer gwałtownie i ze złością powiedział po niemiecku coś, czego nie dosłyszałam. Potem odezwał się Tomas; spokojnie i bardzo wyraźnie; raczej z tonu niż ze słów zrozumiałam, o co mu chodzi. Wolno, z rozmysłem, z zimną pogardą, którą można było niemal wziąć za rozbawienie.

- Sehr gut, Franzl. Er ist tot.

10

Skończyły się pigułki. Musiała być w rozpacz. Tej przerażającej nocy, z unoszącym się wszędzie wokół zapachem pomarańczy, bez niczego, na czym mogłaby się oprzeć.

Sprzedalabym własne dzieci za jedną przespaną noc.

Niżej, pod wyciętym z gazety przepisem, pismem tak drobnym, że moje stare oczy potrzebowały lupy, by odczytać słowa:

T.L. przyszedł znowu. Powiedział, że w La Rep była awantura. Paru żołnierzy poniosły nerwy. Mówił, że R.-C. mogła coś widzieć. Przyniósł pigułki.

Czy mogło to być tamtych trzydzieści silnych tabletek z morfiną? W zamian za milczenie? A może chodziło o zupełnie inne pigułki?

243

?

Pięć ćwiartek pomarańczy

11

Paul wrócił po półgodzinie. Miał pokorny wyraz

twarży kogoś, kto spodziewa się bury, i czuć go było piwem.

- Musiałem coś zamówić - wyjaśnił przepaszająco.
-Wyglądałoby dziwnie, gdybym tylko siedział i gapił się na nich.

Przemokłam na wylot, więc łatwo mnie było zirytować.

- No? - spytałam ostro. -1 co z tym twoim wielkim odkryciem?

Wzruszył ramionami.

- Może to nic takiego - zaczął z namysłem. -
Wolałbym... hm... najpierw sprawdzić parę rzeczy, zanim ci narobię nadziei.

Spojrzałam mu w oczy.

- Paulu Desire Houriasie, sterczę całe wieki na deszczu, czekając na ciebie - zaczęłam. - Czekałam w smrodzie bijącym z tej spelunki, gapiąc się na

Dessanges'a, bo ci się wydawało, że może się czegoś dowiemy. Nie powiedziałam ani słowa skargi... - Rzucił mi w tym momencie ironiczne spojrzenie, ale je zignorowałam. - Okazałam świętą cierpliwość - ciągnęłam surowo. - Lecz jeśli się ośmielisz mnie zwodzić... jeśli choć przemknie ci to przez myśl...

Paul machnął bezradnie ręką w geście poddania.

- Skąd wiedziałaś, że mam na drugie imię Desire? - spytał.

- Ja wiem wszystko - odparłam bez uśmiechu.

12

Nie mam pojęcia, co się działo po naszej ucieczce. Kilka dni później jakiś rybak wyłowił z Loary pod Courle ciało starego Gustave'a. Ryby już się do niego dobrały. Nikt nie wspomniał o tym, co się stało w La Mauvaise Reputation, lecz bracia Dupre wydawali się bardziej skryci niż kiedy-

244

Joannę Harris

kolwiek, a w kawiarni panowała niezwykła cisza. Reinette nie mówiła, co ją spotkało, a ja udawałam, że uciekłam razem z Cassisem, więc nie podejrzewała, że coś widziałam. Zmieniła się jednak w pewien sposób. Wydawała się zimna, niemal agresywna. Kiedy sądziła, że nie patrzę, dotykała nerwowo włosów i twarzy, jakby sprawdzając, czy znajdują się na miejscu. Przez kilka dni nie chodziła do szkoły, twierdząc, że boli ją brzuch.

Co dziwne, matka zajęła się nią. Przesiadywała przy niej, przygotowywała jej napoje i mówiła coś niskim, nalegającym tonem. Przeniosła łóżko siostry do swojego pokoju - coś, czego nie zrobiła nigdy dotąd dla mnie ani Cas-sisa. Raz widziałam, jak daje Reinette dwie ze swoich tabletek, które tamta połyka niechętnie, opierając się. Ze swojego punktu obserwacyjnego za drzwiami usłyszałam strzępki ich rozmowy i zdawało mi się, że pochwyciłam słowo „ciota”. Po pigułkach Reinette była naprawdę chora przez kilka dni, lecz szybko doszła do siebie i o całym incydencie więcej nie mówiono.

W albumie niewiele jest wzmianek na ten temat. Na jednej stronie, pod zasuszonym nagietkiem i przepisem na herbatkę z piołunu, matka pisze: R.-C. całkiem wyzdrowiała. Mimo to nie mogę się wyzbyć podejrzeń. Czy tabletki były czymś w rodzaju środka na przeczyszczenie, mającego chronić przed niepożądaną ciążą? Czy to o nich matka pisała w swoim dzienniku? I czy T.L. oznaczało To-masa Leibniza?

Sądzę, że Cassis mógł się czegoś domyślać, był jednak za bardzo zajęty własnymi sprawami, żeby zwracać uwagę na ReINETTE. Wkuwał lekcje, czytał swoje magazyny, bawił się w lasach z Paulem i udawał, że nic się nie stało. I może z jego punktu widzenia była to prawda.

Raz spróbowałam z nim porozmawiać.

- Coś się stało? Czy to znaczy, że coś się stało?

Siedzieliśmy na Posterunku Obserwacyjnym, jedząc kanapki z musztardą i czytając „Wehikuł czasu”. Przez ca-

Pięć ćwiartek pomarańczy

Je lato było to moje ulubione opowiadanie; nigdy mnie nie nudziło. Cassis spojrział na mnie z pełnymi ustami, unikając mojego spojrzenia.

- Nie jestem pewna - starannie dobierałam słowa, patrząc na jego spokojną twarz nad okładką książki. - To znaczy, zostałam tylko chwilę dłużej, ale...

Trudno było to ująć w słowa. W moim słowniku brakowało określeń na tego rodzaju rzeczy.

- Prawie udało im się złapać Reinette - tłumaczyłam kulawo. - Jean-Marie i tamci inni. Oni... popychali ją na mur. Podarli jej bluzkę - dokończyłam.

Stało się znacznie więcej; gdybym tylko umiała znaleźć słowa. Próbowałam sobie przypomnieć grozę i wstyd, które mnie wtedy ogarnęły; uczucie, że wkrótce będę świadkiem odrażającej, trudnej do zapomnienia tajemnicy, lecz z jakiegoś powodu wszystko stało się

niewyraźne, zamazane, jak obraz widziany we śnie.

- Był tam Gustave - ciągnęłam desperacko. Cassisa zaczęło to irytować.

- No i? - spytał ostro. - No i co z tego? Ciągłe tam się kręcił, stary pijak. Co w tym niezwykłego?

Lecz wciąż unikał mojego wzroku; jego spojrzenie zatrzymywało się na kartkach książki, przeskakiwało z miejsca na miejsce.

- Była bójka. To znaczy coś w rodzaju bójki. Musiałam to powiedzieć. Wiedziałam, że nie chce, bym

to zrobiła; widziałam jego utkwione w jeden punkt spojrzenie celowo unikające mojego, skoncentrowane na stronie książki; czułam jego pragnienie, bym się wreszcie zamknęła.

Cisza. W milczeniu moja wola zmagala się z jego wolą; jego wiek i doświadczenie przeciw ciężarowi mojej wiedzy.

- Myślisz, że mogli...

Gwałtownie zwrócił się w moją stronę z oczyma błyszczącymi z gniewu i przerażenia.

246

Joannę Harris

- Co myślę, na miłość boską? Co myślę? - wypluł.
-Mało jeszcze narobiłaś swoimi umowami, swoimi planami, swoimi świetnymi pomysłami?

Dyszał; rozpaloną twarz przysunął blisko mojej.

- Mało ci jeszcze?

- Nie wiem, o co ci... Byłam bliska łez.

- Więc wreszcie pomyśl, dobrze? - wrzasnął. -
Powiedzmy, że coś widziałaś, tak? Powiedzmy, że wiesz, czemu zginął stary Gustave.

Umilkł, czekając na moją reakcję, po czym podjął

głosem zniżonym do ochrypłego szeptu.

- Powiedzmy, że kogoś podejrzewasz. Komu chcesz o tym powiedzieć? Policji? Matce? Pieprzonej Legii Cudzoziemskiej?

Patrzyłam na niego; byłam zrozpaczona, lecz tego nie okazywałam i gapiałam się na niego w swój zuchwały sposób.

- Nie możemy powiedzieć nikomu - dokończył brat zmienionym głosem. - Zupełnie nikomu. Chcieliby się dowiedzieć, skąd wiemy. Z kim rozmawialiśmy. A nawet gdybyśmy powiedzieli... - znowu umknął spojrzeniem przed moim wzrokiem - gdybyśmy powiedzieli coś... komuś...

Urwał nagle i zabrał się do czytania. Nawet jego strach zniknął, pokryty czujną obojętnością.

- To dobrze, że jesteśmy jeszcze dziećmi, no nie? - rzucił tym nowym, pozbawionym emocji tonem. - Dzieciaki zawsze się w coś bawią na niby. W śledzenie, detektywów i inne takie. Wszyscy wiedzą, że to nie

naprawdę. Wszyscy wiedzą, że tylko sobie to wymyśliliśmy.

Gapiłam się na niego nierozumiejąco.

- Ale Gustave... - zaczęłam.

- Po prostu stary człowiek - przerwał mi, bezwiednie naśladując Tomasa. -Wpadł do rzeki, bo wypił za dużo wina, no nie? Takie rzeczy ciągle się zdarzają.

Zadrzałam.

-I

247

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Niczego nie widzieliśmy - oznajmił z naciskiem. - Ani ty, ani ja, ani ReINETTE. Nic się nie zdarzyło. Rozumiesz?

Pokręciłam głową.

- Ale ja widziałam. Widziałam.

On jednak już na mnie nie patrzył, wycofał się za karty książki, gdzie Morlokowie i Eloje toczyli bezwzględną wojnę, bezpiecznie oddzieleni od rzeczywistości kratami fikcji. I za każdym razem, kiedy próbowałam z nim o tym później rozmawiać, udawał, że nie rozumie albo myśli, że to jakaś gra. Z czasem chyba sam zaczął w to wierzyć.

Mijały dni. Usunęłam wszelkie ślady po woreczku ze skórką pomarańczową ukrytym w beczce z sardelami i zakopałam go w ogrodzie. Miałam przeczucie, że nie będę go już potrzebować.

Matka pisze:

Obudziłam się dziś o szóstej pierwszy raz od miesiący. Dziwne, jak inaczej wszystko wygląda. Kiedy się nie śpi, świat po kawałku wymyka się z rąk. Ziemia usuwa się spod stóp. Powietrze wydaje się pełne błyszczących kłujących drobinek. Czuję, że utraciłam część siebie, lecz nie pamiętam jaką. Patrzą na mnie takim poważnym wzrokiem. Myślę, że się mnie boją. Wszyscy z wyjątkiem

Boise. Ona nie boi się niczego. Muszę ją ostrzec, że nie będzie to trwało wiecznie.

Miała rację. Nie trwało. Dowiedziałam się tego, kiedy urodziła się Noisette - moja Noisette, taka sprytna, taka odporna, taka podobna do mnie. Teraz sama ma dziecko - dziecko, które widziałam tylko na fotografii. Dała małej na imię Peché. Często się zastanawiam, jak sobie radzą same tak daleko od domu. Noisette zwykła tak na mnie patrzeć tymi swoimi twardymi czarnymi oczyma. Kiedy teraz o tym myślę, uświadamiam sobie, że jest podobniejsza do mojej matki niż ja sama.

248

Joannę Harris

Niedługo po tańcach w La Rep odwiedził nas Raphael. Znalazł jakąś wymówkę - kupno wina czy coś innego - ale i tak wiedzieliśmy, po co przyszedł. Cassis nigdy się nie przyznał, oczywiście, ale dostrzegłam prawdę w oczach Reine. Chciał się przekonać, jak wiele wiemy. Wyobrażam sobie, że się niepokoił - tym bardziej że chodziło przecież o jego kawiarnię, i czuł się odpowiedzialny. Może po

prostu się domyślił. Może ktoś się wygadał. Tak czy inaczej, był nerwowy niczym kot, kiedy matka otworzyła mu drzwi. Zapuścił żurawia do wnętrza nad jej ramieniem, potem uciekł spojrzeniem na zewnątrz. Od tamtego wieczoru interesy w La Mauvaise Reputation szły kiepsko. Słyszałam, jak ktoś na poczcie - mogła to być Lisbet Genet - mówił, że miejsce zeszło na psy, bo Niemcy przychodzą tam ze swoimi dziwkami, i że nikt przyzwoity się tam nie pokazuje. I chociaż jak dotąd nie wiązano tego, co się tam wydarzyło owej pamiętnej nocy, ze śmiercią Gustave'a Beauchampa, lada chwila ludzie mogli zacząć plotkować. Ostatecznie wszystko działo się na wsi, gdzie żaden sekret nie utrzyma się długo.

No cóż, nie można powiedzieć, by matka zgotowała mu ciepłe przyjęcie. Może zbyt wyraźnie czuła, że ją obserwujemy, i zbyt dobrze sobie uświadamiała, co on o niej wie. Może choroba sprawiła, że stała się bardziej oschła, a może to był po prostu jej nieprzyjemny charakter. Zobaczyła go jeszcze tylko raz; dwa tygodnie później zniknął, a wszyscy inni, którzy byli tamtego wieczora na tańcach w La Rep, nie żyli.

Matka tylko w jednym miejscu wspomina o jego

wizycie.

Przyszedł ten dureń Raphael. Jak zwykle, za późno. Powiedział, że wie, gdzie mogłabym dostać więcej pigułek. Powiedziałam, że z tym koniec.

Z tym koniec. Tak po prostu. Gdyby chodziło o kogoś innego, nie uwierzyłabym, ale Mirabelle Dartigen nie by-

i

249

Pięć ćwiartek pomarańczy

ła zwykłą kobietą. Z tym koniec, powiedziała. I to było jej ostatnie słowo. O ile wiem, nigdy już nie wzięła morfiny, chociaż mogło to być skutkiem wszystkiego, co się wydarzyło, a nie tylko dowodem siły woli. Oczywiście od tamtego czasu nie było też pomarańczy, nigdy więcej. Chyba nawet ja straciłam na nie apetyt.

Część piąto ŻNIWA

i

1

Mówiłam wam, że znaczna część tego, co pisała, była zmyślona. Całe akapity wplątane między prawdę niczym powój w żywopłot, jeszcze bardziej niejasne z powodu obłąkanego żargonu, którym się posługuje, kolejnych skreśleń, słów poprzekręcanych i zapisanych wspak, tak że czytanie każdej linijki jest walką mojej woli z jej wolą, by wydobyć znaczenie z szyfru.

Szłam dzisiaj wolno nad rzeką. Zobaczyłam kobietę puszczającą latawca zrobionego ze sklejki i baniek po benzynie. Nigdy bym nie sądziła, że cos' takiego może się unieść w powietrze. Wielki jak czołg, ale pomalowany na wiele kolorów, ze wstążkami przywiązanymi na ogonie. Pomyślałam (tutaj kilka słów rozmazanych z powodu

plamy z oliwy; fioletowy atrament rozpląnął się i wsiąkł głęboko w papier) ale wskoczyła na wiązanie i uniosła się w powietrze. Nie poznałam jej w pierwszej chwili, chociaż myślałam, że to może Mi-nette (większa plama w tym miejscu przesłania znaczną część tekstu, chociaż kilka wyrazów wciąż jeszcze można odcyfrować. Jedno z nich to piękne. Na górze akapitu zwykłym pismem zanotowała słowo huśtawka. Poniżej niedbały szkic, który może przedstawiać niemal wszystko, lecz

1 253

Pięć ćwiartek pomarańczy

najprawdopodobniej jest to patykowata postać stojąca na czymś w kształcie swastyki).

Zresztą to nieważne. Nie było żadnej kobiety z latawcem. Nawet wzmianka o Minette nie ma sensu - jedyna Minette, jaką znaliśmy, była to daleka krewna mojego ojca, starsza kobieta, którą ludzie określali litościwie mianem „ekscentrycznej”, zwracająca się do swoich kotów per „moje dzieci”, którą widywano niekiedy, jak w publicznych miejscach, z wyrazem

rozmarzenia na twarzy, karmi obwisłą piersią kocięta.

Opowiadam o tym tylko po to, żebyście zrozumieli. W albumie matki pełno jest najrozmaitszych niezwykłych historii, opowieści o spotkaniach z nieżyjącymi od dawna ludźmi, marzeń przebranych za rzeczywistość, zwykłych kłamstw, jak deszczowe dni zmienione w pogodne, wyimaginowany pies łańcuchowy, rozmowy, które nigdy się nie odbyły - niektóre okropnie nudne - pocałunek otrzymany od dawno zaginionego przyjaciela. Niekiedy tak skutecznie miesza prawdę ze zmyśleniem, że sama nie jestem pewna, co jest czym. Poza tym nie rozumiem celu tych zabiegów. Może przemawiała przez nią choroba albo wizje wywołane przez narkotyki. Nie wiem, czy album był przeznaczony dla czyichkolwiek oczu poza jej oczyma. Nie jest też pamiętnikiem. Miejscami przypomina niemal dziennik, lecz nie do końca; nieuporządkowanie pozbawia go logiki i użyteczności. Może dlatego tak wiele czasu zabrało mi dostrzeżenie rzeczy najbardziej oczywistej: powodów jej działań i przerażających konsekwencji moich postępów. Niekiedy wspomnienia są podwójnie zakamuflowane, umieszczone pośród przepisów. Może tego właśnie chciała. Łączący mnie i ją, nareszcie, trud miłości.

Dżem z zielonych pomidorów. Pokroić pomidory na cząstki, to samo jabłka, a następnie zważyć. Umieścić w rondlu dodając 1 kg cukru na tyle samo owoców. Dziś znowu zbudziłam się o trzeciej nad ranem i poszłam szukać pigulek.

254

Joannę Harris

Znowu zapomniałam, że się skończyły. Kiedy cukier się rozpuści (żeby się nie przypalił, jeśli trzeba, dodać 2 szklanki wody), zamieszać drewnianą łyżką. Ciągle myślę, że gdybym poszła do Raphaela, znalazłby mi innego dostawcę. Nie ośmieliłabym się iść znowu do Niemców, nie po tym, co się stało, prędzej bym umarła. Dodać pomidory i gotować na małym ogniu, bardzo często mieszając. Co jakiś czas zdejmować szumowiny łyżką cedzakową. Czasem śmierć wydaje się lepsza od tego. Przynajmniej nie musiałabym się bać bezsenności, ha ha. Ciągle myślę o dzieciach. Obawiam się, że Belle Yolande złapała grzyba miodowego, muszę wykopać zaatakowane korzenie, bo inaczej rozniesie się na inne. Gotować na

niewielkim ogniu przez około 2 godziny albo trochę krócej. Kiedy kropla wylana na talerzyk się nie rozplywa, dzem jest gotowy. Czuję taką złość - na siebie, na niego, na nich. Największą na siebie. Kiedy ten idiota Raphael mi powiedział, musiałam zagryźć wargi do krwi, żeby się nie zdradzić. Chyba nic nie zauważył. Powiedziałam, że wiem od dawna, że dziewczęta zawsze same się proszą o nieszczęście, ale do niczego nie doszło. Wyglądało, że się uspokoił, a kiedy sobie poszedł, wzięłam największą siekierę i rąbałam drzewo, aż ledwie mogłam ustać na nogach ze zmęczenia, przez cały czas wyobrażając sobie, że to jego twarz.

Widzicie, że jej wersja jest niejasna. Dopiero z perspektywy czasu nabiera trochę sensu. I oczywiście matka nie wspomina ani słowem, o czym rozmawiała z Raphaelem. Mogę sobie tylko wyobrażać, jak to wyglądało; jego niepokój, jej lodowate, niewzruszone milczenie, jego poczucie winy. Ostatecznie La Rep należała do niego. Matka nie zdradziła się ani słowem. Udawanie, że o wszystkim wie, było sposobem obrony, zbudowaniem bariery przeciw jego niepożądanemu współczuciu. Reine nie jest w ciemną bita, powiedziała z pewnością. Poza tym nic się właściwie nie stało. Mała

będzie bardziej uważać w przyszłości. Możemy się tylko cieszyć, że nie doszło do niczego gorszego.

i

255

Pięć ćwiartek pomarańczy

T. powiedział, że to nie była jego wina, ale Raphael mówi, że stał obok i nic nie zrobił. Ostatecznie ci Niemcy to jego koledzy. Może zapłacili za Reine tak jak za tamte kobiety z miasta, które T. ze sobą przywiózł.

Nasze podejrzenia uspiło to, że nigdy nie wspomniała w naszej obecności o tamtym incydencie. Może zwyczajnie nie wiedziała, jak to zrobić - funkcje ciała budziły w niej żywy niesmak - a może uważała, że o takich sprawach lepiej nie mówić. Album zdradza jednak jej narastający gniew, jej wzburzenie, marzenia o zemście. Chciałam go rąbać siekierą tak długo, aż nic nie zostanie, pisze. Kiedy czytałam to po raz pierwszy, sądziłam, że ma na myśli Ra-phaela, teraz jednak nie jestem już taka pewna. Intensywność jej nienawiści sugeruje, że stoją za

nią jakieś głębsze, mroczniejsze uczucia. Być może, cierpienie zdradzonej kobiety. Albo niemożliwa do spełnienia miłość. Poniżej przepisu na ciasto z musem jabłkowym zapisała:

Ma dłonie delikatniejsze, niż sądziłam. Wygląda bardzo młodo, a jego oczy mają dokładnie taki kolor jak morze w sztormowy dzień. Myślałam, że będę ich nienawidzić, nienawidzić jego, lecz ujęła mnie jego delikatność. Chociaż to Niemiec. Zastanawiam się, czy oszalałam, że wierzę w jego obietnice. Jestem od niego o tyle starsza. A przecież jeszcze nie całkiem stara. Może mamy czas.

W tym miejscu nie pisze nic więcej, jakby zawstydziała ją własna śmiałość, lecz w całym albumie znajduję rozrzucone wzmianki - teraz, kiedy wiem, gdzie szukać. Pojedyncze słowa, frazy rozdzielone przepisami lub poradami ogrodniczymi, ukryte nawet przed nią samą. I wiersz.

Ta słodycz zaczerpnięta niczym jasny owoc...

Joannę Harris

Przez lata uważałam go również za fantazję, jak tyle innych zdarzeń, o których wspomina. Matka nie mogła mieć kochanka. Brakowało jej delikatności. Jej pancerz zbyt twardy, jej potrzeby seksualne znalazły ujście w przygotowaniu potraw, przyrządzaniu najwyśmienitszych lentilles cuisinees, najpiękniej płonącego creme brulee. Nigdy mi nie przyszło do głowy, że w tych najbardziej nieprawdopodobnych spośród jej fantazji mogło się kryć ziarno prawdy. Gdy sobie przypominam jej twarz, kwaśne skrzywienie ust, stanowcze linie policzków, włosy ściągnięte w węzeł na karku, nawet opowieść o kobiecie z latawcem wydaje mi się bardziej prawdopodobna.

A jednak zaczęłam w to wierzyć. Może to Paul pobudził mnie do myślenia. Może dzień, kiedy przyłapałam się na tym, że spoglądam w lustro z czerwonym szalem na głowie i urodzinowymi kolczykami w uszach (prezent od Pistache, którego nigdy dotychczas nie wkładałam). Skończyłam sześćdziesiąt cztery lata, na litość boską! Powinnam mieć więcej rozumu. A jednak w sposobie, w jaki na mnie patrzy, jest coś, co sprawia, że

moje stare serce zaczyna bić szybciej. Nie jest to bezradne, rozpaczliwe uczucie, jakim darzyłam Tomasa. Ani wrażenie chwilowego wytchnienia, którym obdarzył mnie Herve. Nie, to coś jeszcze innego. Spokój. Tak jak kiedy jakiś przepis wyjdzie dokładnie tak jak powinien; doskonale wyrosnięty suflet, sauce hollandaise bez najmniejszej grudki. Uczucie, które mi mówi, że każda kobieta może być piękna w oczach kochającego ją mężczyzny.

Zaczęłam wieczorem, przed położeniem się spać, smarować kremem ręce i twarz, a wczoraj wyciągnęłam starą szminkę - popękaną i wyschłą od długiego nieużywania - i pociągnęłam nią lekko usta. Starłam ją zaraz zmieszana i zawstydzona. Co ja wyprawiam? I po co? Sześćdziesiąt cztery lata! Z pewnością mam za sobą wiek, kiedy przyzwoita kobieta może myśleć o takich rzeczach. Jednak surowość głosu mojego sumienia mnie nie przekonuje. Szczotkuję włosy staranniej niż zazwyczaj i spinam je

17. Pięc ćwiartek...

Pięc ćwiartek pomarańczy

szylkretowym grzebieniem. Nie ma większego głupca niż stary głupiec, powtarzam sobie cierpko.

Matka była prawie o trzydzieści lat młodsza.

Potrafię teraz patrzeć na jej fotografię z czymś na kształt obiektywizmu. Mieszane uczucia, które żywiłam przez tak wiele lat, rozgoryczenie i poczucie winy, osłabły na tyle, że mogę zobaczyć - naprawdę zobaczyć - jej twarz. Mirabelle Dartigen, napięte rysy i włosy ściągnięte tak mocno, że czuje się ból od samego patrzenia. Czego się obawiała ta samotna kobieta na zdjęciu? Autorka albumu jest tak od niej inna; zadumana, radosna i gniewna za swoją maską; niekiedy kokieteryjna, czasem zimna, snująca mordercze fantazje. Widzę ją całkiem wyraźnie, niemają-cą jeszcze czterdziestki, o włosach zaledwie muśniętych siwizną, czarnych oczach wciąż pełnych blasku. Wieloletnia ciężka praca jeszcze jej nie pochyliła, a mięśnie na jej rękach są twarde i krzepkie. Jej piersi też

pozostały twarde pod surowymi szarymi fartuchami. Niekiedy patrzy na swoje nagie ciało w lustrze na drzwiach szafy i wyobraża sobie długie samotne wdowieństwo, nadciągającą starość, niezauważalnie opadającą z niej młodość, obwisłe fałdy na brzuchu i biodrach, kościste uda, wystające kolana. Zostało tak mało czasu, mówi sobie. Dzisiaj słyszę niemal jej głos dobiegający z kart albumu. Tak mało czasu.

Lecz kto miałby się zjawić, choćby nawet czekała sto lat? Stary Lecoz z kaprawym, lubieżnym spojrzeniem? Alphonse Fenouil albo Jean-Pierre Truriand? W sekrecie marzy o nieznanym z łagodnym głosem, widzi go oczyma duszy, mężczyznę umiającego dostrzec poza tą, którą się stała, tę, którą mogłaby być.

Oczywiście nigdy nie poznam jej uczuć. Teraz jednak mam wrażenie, jakby była mi bliższa niż kiedykolwiek; niemal tak bliska, że mogę usłyszeć jej głos z pomarszczonych kart albumu, choć tak bardzo się stara ukryć swoją prawdziwą naturę; głos namiętnej, zrozpaczonej kobiety, skrytej za pozorami chłodu i opanowania.

Joannę Harris

Cóż, to tylko spekulacje. Nigdzie nie wymienia go z nazwiska. Nie potrafiłabym udowodnić nawet tego, że miała kochanka, nie mówiąc o tym, by dowieść, że był nim To-mas Leibniz. Jakiś głos w głębi duszy mówi mi jednak, że choć mogę się mylić co do szczegółów, istota jest prawdziwa. Mogło to być wielu mężczyzn, powtarzam sobie. Lecz serce mi szepce, że mógł to być jedynie Tomas. Może jestem do niej podobniejsza, niż chciałabym przyznać. Może wiedziała o tym i zostawiła mi album, chcąc mnie skłonić, bym spróbowała ją zrozumieć.

Może w ten sposób chciała wreszcie zakończyć wojnę między nami.

2

Spotkaliśmy się z Tomaszem dopiero ponad dwa tygodnie po tańcach w La Mauvaise Reputation. Częściowo przez matkę - wciąż na wpół obłąkaną od bezsenności i cierpienia - a częściowo dlatego, że

czuliśmy, iż coś się zmieniło. Wiedzieliśmy to wszyscy: Cassis chowający się za swoimi komiksami, Reine pogrążona w nowym, obojętnym milczeniu, nawet ja. Och, tęskniliśmy za nim, każde z nas -nie można przestać kogoś kochać tak po prostu, jak zakręca się kran - więc już zaczynaliśmy wynajdywać usprawiedliwienia dla tego, co zrobił, czego był współsprawcą. A jednak duch starego Gustave'a Beauchampa majaczył pod powierzchnią naszych myśli niczym groźny cień morskiego potwora. Odmieniał wszystko. Bawiliśmy się z Paulem prawie tak samo jak dawniej, przed poznaniem Tomasa, lecz nie wkładaliśmy w nasze zabawy serca, uciekaliśmy się do fałszywej przesady, by ukryć fakt, że już nas nie interesują. Pływaliśmy w rzece, biegaliśmy po lasach, wspinaliśmy się na drzewa z większym zapalem niż dotychczas, lecz w głębi duszy wiedzieliśmy, że na coś czekamy, skręcając się z niecierpliwości. Na jego przybycie.

-I

259

Pięć ćwiartek pomarańczy

Myślę, że wszyscy wierzyliśmy, że on będzie umiał wszystko naprawić, nawet teraz.

Z pewnością ja tak uważałam. Zawsze był taki pewny siebie, tak arogancko przekonany o własnej sile. Wyobrażałam go sobie z papierosem przyklejonym do wargi i czapką zsuniętą z czoła, słońce odbijające się w jego oczach i uśmiech rozświetlający twarz, rozświetlający cały

świat...

Czwartek jednak nadszedł i minął, a Tomas się nie zjawił. Cassis szukał go, lecz nie znalazł ani śladu po nim w żadnym ze zwykłych miejsc. Hauer, Schwartz i Heine-
mann również tajemniczo zniknęli, niemal jakby unikali spotkania. Minął kolejny czwartek. Udawaliśmy, że nas to nie obchodzi, nie wymienialiśmy nawet jego imienia -choć możliwe, że je szeptaliśmy we śnie - pokonywaliśmy meandry życia bez niego, jak gdybyśmy nie dbali, czy go jeszcze zobaczymy. Moje polowanie na Starą Mateczkę nabrało obłąkańczej intensywności. Sprawdzałam pułapki dziesięć, dwadzieścia razy dziennie i ciągle zastawiałam

nowe. Kradłam żywność z piwnicy, żeby przygotować nowe, kuszące przynęty. Wypływałam do Kamienia Skarbów i siedziałam na nim całymi godzinami z wędką, obserwując wdzięczny łuk żyłki opadającej do wody i nasłuchując odgłosów rzeki płynącej u moich stóp.

Raphael przyszedł odwiedzić matkę jeszcze raz. Interesy w kawiarni szły kiepsko. Na ścianie na tyłach ktoś napisał czerwoną farbą KOLABORANT. Jednej nocy ktoś rzucał kamieniami w okna, więc musiał je zabić deskami. Obserwowałam go zza drzwi, kiedy tłumaczył się przed matką cichym, nalegającym głosem.

- To nie moja wina, Mirabelle - mówił. - Musisz mi uwierzyć. To nie ja jestem odpowiedzialny.

Matka mruknęła coś wymijająco przez zęby.

- Z Niemcami nie ma gadania - ciągnął dalej Raphael.
- Trzeba ich obsługiwać jak innych klientów. To nie jest tak, że ja jeden...

Joannę Harris

Wzruszyła ramionami.

- W tej wsi chyba ty jeden - rzuciła obojętnie.

- Jak możesz tak mówić? Pamiętam, kiedy sama się cieszyłaś...

Matka rzuciła się naprzód. Raphael cofnął się gwałtownie, aż zadzwoniły talerze w kredensie. Zaczęła mówić cicho, z wściekłością.

- Zamknij się, durniu - wyszczała. -To skończone, rozumiesz? Skończone. Gdybym podejrzewała, że powiesz komuś choć sfowo...

Twarz mężczyzny pośliznęła z przerażenia, lecz próbował się odgrażać.

- Nie pozwolę, żeby ktokolwiek nazywał mnie durniem - zaczął drżącym głosem.

- Jak mi przyjdzie ochota, będę cię nazywać durniem,

a twoją matkę dziwką! - Jej głos był surowy i wysoki. - Jesteś durniem i tchórzem, Raphaelu Crespin, i oboje o tym wiemy.

Stała tak blisko niego, że nie mogłam dostrzec jego twarzy, tylko ręce rozłożone w błagalnym geście.

- Jeśli jednak się dowiem, że wspomniałeś o tym, ty lub ktokolwiek inny - Boże dopomóż, jeśli moje dzieci usłyszą choć słowo - (słyszałam jej oddech, brzęczy w ciasnej kuchni jak szelest zeschniętych liści) - to cię zabiję.

Mówiła szeptem, a Raphael z pewnością jej wierzył, bo kiedy wychodził, twarz miał białą jak twaróg, a ręce trzęsły mu się tak bardzo, że dla niepoznaki wsadził je do kieszeni.

- Jeśli ktoś tknie palcem moje dzieci, zabiję drania - splunęła matka w ślad za nim; zauważyłam, że mężczyzna skrzywił się, jakby jej słowa były trujące.

- Zabiję - powtórzyła, chociaż Raphael był już niemal przy furtce. Niemal biegł z głową pochyloną, jakby walczył z silnym wiatrem.

Te słowa miały powrócić, by nas prześladować.

1

261

Pięć ćwiartek pomarańczy

Cały dzień była w okropnym humorze. Paul zebrał niezłe cięgi, kiedy przyszedł zapytać, czy Cassis wyjdzie się z nim pobawić. Matka, która w milczeniu gotowała się ze złości od odwiedzin Raphaëla, przypuściła na chłopca taki gwałtowny i nieoczekiwany atak, że stał tylko, gapiąc się na nią, z wysiłkiem poruszając ustami, cierpiąc katusze z powodu swego jąkania.

- P-p-p-prze... p-p-p-p-prze...

- Gadaj normalnie, ty kretynie! - wrzasnęła na niego przenikliwie.

Przez mgnienie zdawało mi się, że dostrzegam w łagodnych oczach Paula dziki błysk, potem odwrócił się

bez słowa i pognał, utykając, w stronę rzeki. Głos wrócił mu po drodze; dziwaczny, rozpaczliwy lament ciągnął jego śladem.

- Szerokiej drogi! - krzyknęła za nim i zatrzęsnęła drzewi.

- Nie powinnaś była tak mówić - powiedziałam lodowato do jej pleców. - To nie jego wina, że się jąka.

Matka odwróciła się i spojrzała na mnie oczyma jak agaty.

- Trzymałabyś stronę każdego przeciw mnie - odparła zimno. - Gdybyś miała wybór między mną a hitlerowcami, wzięłabyś stronę hitlerowców.

3

To wtedy zaczęły przychodzić listy. Było ich trzy, naba-zgrane na cienkim papierze listowym w niebieskie linie. Wsunęto je pod drzwi. Zaskoczyłam matkę, kiedy znalazła jeden z nich. Wepchnęła go do kieszeni fartucha i zaczęła wrzeszczeć, bym wracała do kuchni, że nie nadaję

się do ludzi i mam się umyć. W jej głosie słyszałam napiętą nutę, przywodzącą na myśl woreczek ze skórką pomarańczy. Usunęłam się jej z oczu, lecz dobrze zapamię-

262

Joannę Harris

tałam list, więc znacznie później, kiedy znalazłam go wklejony między przepis na boudin noir i wycinek z gazety z radą, jak usuwać plamy z pasty do butów, rozpoznałam go od razu.

Dobrze wiemy, co robisz, głosiły drobne chwiejne litery. Obserwujemy cię i wiemy jak się każe kolaborantuf. Matka dopisała poniżej śmiałym czerwonym pismem: nauczcie się ortografii, ha ha!, lecz słowa wydają się zbyt duże, zbyt czerwone, jakby za bardzo się starała udowodnić, że się nie boi. Z pewnością nigdy nam nie wspomniała o listach, choć patrząc z perspektywy lat, dochodzę do wniosku, że jej niespodziewane zmiany nastroju mogły być związane z nadejściem tajemniczej poczty. Następny liścik sugeruje,

że nadawca wiedział coś o naszych spotkaniach z Tomasem.

Widzieliśmy z nim twoje dzieci, wienc nie prubuj zapsze-czać. Dobrze wiemy co za gierkę prowadzisz. Myślisz sobie że jesteś lepsza nisz inni a prawda jest taka że jesteś zwykłym dziwkom boszy a twoje bachory spszedajom zeczy niemcom. I co ty na to powiesz.

Mógł to napisać każdy. Bez wątpienia litery stawiała osoba niewykształcona - ortografia jest przerażająca -lecz autorem mógł być każdy mieszkaniec wioski. Zachowanie matki stało się bardziej nieprzewidywalne niż kiedykolwiek. Przez większą część dnia siedziała zamknięta w domu, obserwując każdego przechodnia z podejrzliwością graniczącą z obłędem.

Trzeci list jest najgorszy. Sądzę, że nie było ich więcej. Choć matka mogła po prostu wyrzucić pozostałe, myślę, że ten był ostatni.

Me zasługujesz na to żeby żyć, pisze anonimowy autor. Nazistoska świnka i jej nadente bahory. Założę sie że nie wiesz że nas spszedały niemcom. Spytaj je skont

majom te fszystkie zeczy. Cszymajom je w skrytce w lasach. Dostajom je od niemca ktury sie nazywa Lajbnic hyba tak sie nazywa. Znasz go. A my znamy ciebie.

263

Pięć ćwiartek pomarańczy

Pewnej nocy ktoś namalował szkarłatne K na naszych drzwiach frontowych i NIEMIECKA DZIWKKA na ścianie kurnika. Zamalowaliśmy oba napisy, zanim ktoś mógł je przeczytać. Zbliżał się październik.

4

Tej nocy późno wróciliśmy z Paulem z La Mauvaise Repu-tation. Deszcz ustał, lecz wciąż panował ziąb - albo noce stają się coraz chłodniejsze, albo ja odczuwam to mocniej niż za dawnych czasów. Byłam zniecierpliwiona i zła. Im bardziej jednak się niecierpliwiłam, tym cichszy stawał się Paul, aż wreszcie szliśmy obok siebie, bez słowa wpatrując się w przestrzeń. Nasze oddechy przypominały wielkie, skłębione chmury.

- Ta dziewczyna... - wydusił z siebie wreszcie. Mówił cicho i z namysłem, jakby do samego siebie. -Wygląda na bardzo młodą, prawda?

Zdenerwowała mnie ta pozornie niedorzeczna uwaga.

- Jaka znowu dziewczyna, na miłość boską? - parsknęłam. - Myślałam, że szukamy sposobu, żeby się pozbyć tego Dessanges'a i jego śmierdzącej przyczepy, a nie pretekstu, byś się mógł pogapić na smarkule.

Paul nie zwracał na mnie uwagi.

- Siedziała obok niego - ciągnął bez pośpiechu. - Musiałaś ją widzieć, jak wchodziła. Czerwona sukienka, buty na obcasie. Koło przyczepy też się często kręciła.

Tak się złożyło, że ją zapamiętałam. Przypomniałam sobie mgliście odęte usta z rozmazaną czerwoną szminką, czarne włosy. Dziewczyna z miasta, jedna ze stałych bywalczyń baru Luca.

-No i?

- To córka Louisa Ramondina. Przeprowadziła się do Angers parę lat temu razem z matką, Simone, kiedy rodzice się rozwiedli. Na pewno ich pamiętasz. - Kiwnął głową,

264

Joannę Harris

jakby usłyszał uprzejmą odpowiedź, a nie burknięcie. - Simone wróciła do panieńskiego nazwiska, Truriand. Dziewczyna ma pewnie ze czternaście, piętnaście lat.

-No i?

Nadal nie widziałam w tym nic ciekawego. Wyjęłam klucz z kieszeni i włożyłam do dziurki w drzwiach frontowych.

Paul mówił dalej, wolno i w zadumie.

- Z pewnością nie więcej niż piętnaście.

- W porządku - rzuciłam cierpko. - Cieszę się, że

znalazłeś sobie jakąś rozrywkę na starość. Powinieneś był ją jeszcze zapytać o numer buta, dopiero miałbyś o czym marzyć.

Posłał mi leniwy uśmiech.

- Jesteś zazdrosna - zauważył.

- Wcale nie - odparłam z godnością. - Po prostu bym wolała, żebyś poszedł błocić komuś innemu na dywan, ty brudny stary rozpustniku.

- No cóż, pomyślałem sobie... - zaczął powoli.

- Gratulacje - wtrąciłam.

- Pomyślałem sobie, że może Louis... skoro jest policjantem i w ogóle... może uznać, że to za wiele, kiedy jego własna córka... mająca piętnaście, a może tylko czternaście lat... zadaje się z mężczyzną... żonatym mężczyzną... takim jak Luc Dessanges. - Posłał mi szybkie spojrzenie, pełne tryumfu i rozbawienia. - To znaczy, wiem, że od czasu, gdy my byliśmy młodzi, wiele się zmieniło, lecz córki i ojcowie, szczególnie jeśli są

policjantami...

- PauV. - zawołałam.

- I jeszcze pali te słodko pachnące papierosy - dodał tym samym refleksyjnym tonem. - Takie same, jakie kiedyś, za dawnych lat, palili w klubach jazzowych.

Gapiałam się na niego wstrząśnięta.

- Paul, to jest niemal inteligentne. Skromnie wzruszył ramionami.

- Trochę rozpytywałem wśród ludzi - wyjaśnił. - Myślałem, że wcześniej czy później na coś trafię.

i

265

Pięć ćwiartek pomarańczy

Zrobił pauzę.

- Dlatego zostałem tam w środku chwilę dłużej - dodał. - Nie byłem pewien, czy mi się uda przekonać Louisa, żeby przyszedł i sam zobaczył.

Otworzyłam usta ze zdumienia.

- Przyprowadziłeś Louisa? Kiedy ja czekałam na dworze? Skinął głową.

- Udałem, że ukradli mi portfel w barze. Postarałem się, żeby się napatrzył do woli.

Kolejna pauza.

- Jego córka całowała się z Dessanges'em - wyjaśnił. -To wiele uprościło.

- Paul, jeśli chcesz, możesz błócić po wszystkich dywanach w tym domu - oświadczyłam. - Masz moje oficjalne pozwolenie.

- Wolabym raczej ubłócić ciebie - odparł, krzywiąc się drwiąco.

- Stary zbereźnik.

5

Następnego dnia rano Luc po przybyciu zastał przy barze czekającego Louisa. Gendarme był w mundurze, jego zwykle miła i niezdecydowana twarz przybrała wyraz niemal żołnierskiej obojętności. W trawie obok przyczepy leżał jakiś przedmiot trochę podobny do dziecięcej wywrotki.

- Chodź, popatrz! - zawołał mnie Paul od okna. Opuściłam swój posterunek przy kuchni, na której

właśnie zaczynała się gotować kawa.

- Patrz uważnie - powtórzył.

Okno było odrobinę uchylone; czułam dymny zapach mgły znad Loary sunącej nad polami, równie tęskny jak aromat palonych liści.

-Hela!

Joannę Harris

Głos Luca dobiegał wyraźnie do naszych uszu. Podszedł do policjanta ze swobodą kogoś, kto wie, że nie sposób mu się oprzeć. Louis Ramondin patrzył na niego bez wyrazu.

- Co to tam leży? - spytałam cicho, wskazując urządzenie leżące na poboczu. Paul wyszczerzył zęby.

- Patrz uważnie - odparł.

- Jak leci? - Luc sięgnął do kieszeni po klucze. - Śpiesz się nam na śniadanie, hein? Długo czekasz?

Louis obserwował go bez słowa.

- Tylko posłuchaj. - Luc zrobił szeroki gest. - Naleśniki, wiejska kielbasa, jajka na bekonie a l'anglaise. Śniadanie a la Dessanges. A do tego wielki kubek mojej najczarniejszej, najmocniejszej cafe norissime, bo widzę, że miałaś ciężką noc. - Zaśmiał się. - Co to było, hein?

Zasadzka na miejscowym targu? Ktoś molestował tutejsze owce? A może wręcz przeciwnie?

Louis nadal nie odzywał się ani słowem. Stał zupełnie nieruchomo, niczym drewniana figurka policjanta, z jedną dłonią opartą na rączce tajemniczego urządzenia podobnego do wywrotki.

Młody człowiek wzruszył ramionami i otworzył drzwi przyczepy.

- Myślę, że odzyskasz głos, jak spróbujesz moich specjałów.

Przez kilka minut patrzyliśmy, jak Luc rozkłada markizę i rozwiesza proporzycyki reklamujące menu na ten dzień. Louis trwał niewzruszony obok przyczepy, na pozór niczego nie zauważając. Luc co chwila coś radośnie do niego wołał. Po chwili usłyszałam muzykę z radia.

- Na co on czeka? - spytałam niecierpliwie. - Czemu nic nie mówi?

Paul wyszczerzył zęby.

- Daj mu trochę czasu - poradził. - Ramondinowie nigdy się nie śpieszą, ale jak raz się do czegoś wezmą...

Louis odczekał pełnych dziesięć minut. Do tej pory Luc, choć nadal wesoły, porzucił próby nawiązania rozmowy.

I

267

Pięć ćwiartek pomarańczy

wy. Włączył płyty do smażenia naleśników, papierową czapkę zsunął junacko z czoła. Wreszcie Louis się poruszył. Nie odszedł daleko - udał się na tył przyczepy ze swoim wózkiem, znikając nam z oczu.

- Powiesz mi wreszcie, co to jest?

- Podnośnik hydrauliczny - wyjaśnił Paul z uśmiechem. - Używają takich w garażach. Patrz.

Na naszych oczach przyczepa wolno zaczęła się przechylać do przodu. Z początku niemal niezauważalnie, potem nagłym skokiem, który sprawił, że Dessanges wyskoczył ze środka szybciej niż łasica. Wyglądał na rozzłoszczonego, ale i przestraszonego, wytrąconego z równowagi po raz pierwszy, odkąd zaczęła się ta żalosna awantura. Bardzo mi się ten widok podobał.

- Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? - wrzasnął na półniedowierzająco do Ramondina. - Co to ma znaczyć?

Cisza. Przyczepa nachyliła się jeszcze odrobinę. Oboje z Paulem wyciągaliśmy szyje, by nie uronić niczego.

Luc spojrział przelotnie na wóz, by się przekonać, czy nie został uszkodzony. Markiza zwisała krzywo, a sama przyczepa chwiała się niczym szalony zbudowany na piasku. Zobaczyłam, jak w jego oczach pojawia się wyraz wyrachowania - ostrożne, chytre spojrzenie człowieka, który nie tylko trzyma asy w rękawie, lecz jeszcze wierzy, że ma ich całą talię.

- Ale mnie wystraszyłeś - oznajmił nieugięcie pogodnym tonem. - Hej, ale się przeraziłem. Można

powiedzieć, solidnie mną potrząsnąłś.

Nie usłyszeliśmy, żeby Louis coś odpowiedział, ale przyczepa nachyliła się jeszcze trochę bardziej. Paul odkrył, że z okna sypialni widać jej tył, więc przenieśliśmy się tam dla lepszego widoku. Głosy obu mężczyzn dobiegały ciche, ale wyraźne w chłodnym porannym powietrzu.

- Daj spokój, chłopie - ciągnął Luc, głos drżał mu nieznacznie ze zdenerwowania. - Dość żartów. W porządku? Postaw przyczepę z powrotem jak należy, a ja ci przygotuję moją specjalność. Na koszt firmy.

268

Joannę Harris

Louis popatrzył na niego.

- Oczywiście, proszę pana - odparł grzecznie, lecz mimo to przyczepa kiwnęła się jeszcze bardziej do przodu. Luc zrobił szybki ruch w jej kierunku, jakby ją chciał podeprzeć. - Na pańskim miejscu bym się cofnął -

zasugerował policjant uprzejmie. - Nie wygląda na szczególnie stabilną.

Wóz drgnął lekko znowu.

- W co ty grasz? - Gniewna nutka w głosie młodzieńca pojawiła się znowu.

Policjant tylko się uśmiechnął.

- Ostatniej nocy strasznie wiało, proszę pana - zauważył spokojnie, jeszcze raz naciskając podnośnik. - Nad rzeką zważyło sporo drzew.

Zauważyłam, jak Luc sztywnieje. Gniew pozbawił go gracji, głowa podskakiwała mu niczym kogutowi przygotowującemu się do walki. Był wyższy od Louisa, lecz znacznie gorzej zbudowany. Ramondin, niski i krępy, większość młodych lat spędził na bójkach. Przede wszystkim dlatego wybrano go na policjanta. Młodzieniec zbliżył się do niego o krok.

- Odłóż ten podnośnik, i to już - polecił cicho, złowróżbnym tonem.

Louis uśmiechnął się.

- Oczywiście, proszę pana - odparł. - Cokolwiek pan sobie życzy.

Zobaczyliśmy to niczym na zwolnionym filmie. Przechylona ryzykownie przyczepa wyprostowała się gwałtownie, gdy usunięto podparcie. Rozległ się brzęk, kiedy elementy wyposażenia - talerze, szklanki, sztuce, patelnie -nagle i niespodziewanie zostały wytracone ze zwykłych miejsc i z trzaskiem poleciały w kąt. Przechepa nadal wolno przechylała się w tył, popychana własnym rozpędem i ciężarem przetaczających się we wnętrzu mebli. Przez moment zdawało się, że stanie prosto, przewróciła się jednak w trawę, wolno i ociężale, z łoskotem, od którego za-

i

269

Pięć ćwiartek pomarańczy

trząsł się mój dom, a filiżanki w kredensie na dole zadzwoniły tak głośno, że usłyszeliśmy to na naszym posterunku w sypialni.

Przez parę sekund obaj mężczyźni po prostu na siebie spoglądali, Louis z wyrazem troski i współczucia, Luc z niedowierzaniem i narastającą furią. Przyczepa leżała w wysokiej trawie; brzęki i trzaski w jej brzuchu powoli cichły.

- Uups - mruknął policjant.

Luc rzucił się na niego rozwścieczony. Przez moment coś niewyraźnie migąło między nimi - ramiona, pięści poruszały się zbyt szybko, bym je mogła dobrze zobaczyć. Zaraz potem młody człowiek siedział na trawie z rękami przyciśniętymi do twarzy, a gendarme pomagał mu wstać, wciąż z tym współczującym uśmiechem.

- Boże, proszę pana, jak to się mogło stać? Zemdlął pan na chwilę, tak? To z powodu szoku, nic dziwnego. Proszę się tak nie przejmować.

Luc krztusił się gniewem.

- Cholera jasna! Czy ty masz... pojęcie... kretynie... coś narobił?

Mówił niewyraźnie, bo wciąż zasłaniał dłońmi twarz. Paul powiedział mi później, że widział, jak łokieć Louisa trafił młodego mężczyznę prosto w grzbiet nosa. Niestety, wszystko stało się zbyt szybko, bym mogła to zobaczyć. Szkoda. Bardzo bym chciała.

- Mój prawnik... do końca życia nie wygrzebiez się z długów... zobaczysz... cholera, wykrwawię się na śmierć...

Zabawne, lecz teraz dostrzegałam rodzinne podobieństwo do Laureę w tym jego sposobie mówienia, akcentowaniu sylab, znacznie wyraźniejsze niż dotychczas; oburzony krzyk zepsutego chłopca z miasta, któremu po raz pierwszy czegoś odmówiono. Przez moment przysięgłabym, że jego głos brzmi zupełnie jak głos siostry.

Zeszliśmy z Paulem na dół - nie zostalibyśmy w domu ani minuty dłużej - i wyszliśmy na zewnątrz, żeby wziąć

Joannę Harris

udział w przedstawieniu. Luc podniósł się już na nogi. Stracił nieco na urodzie z krwią kapiącą z nosa i załzawionymi oczami. Zauważyłam na jednym z jego drogich paryskich butów świeżą psią kupę. Podałam mu chusteczkę. Luc rzucił mi podejrzliwe spojrzenie, ale ją przyjął i zaczął delikatnie przykładać do nosa. Widziałam, że jeszcze nie rozumie; był blady, ale na jego twarzy malował się uparty, wojowniczy wyraz - wyraz człowieka mającego swoich prawników i doradców, i wysoko postawionych przyjaciół, do których może się zwrócić o pomoc.

- Widziała to pani, prawda? - wypluł. - Widziała pani, co zrobił ten sukinsyn?

Popatrzył na zakrwawioną chusteczkę z czymś na kształt niedowierzania. Nos spuchł mu pięknie, podobnie jak oczy.

- Widzieliście oboje, jak mnie uderzył, prawda? -

dopytywał się natarczywie. -W biały dzień! Pozwę cię do sądu... zapłacisz mi za to co do cholernego grosza...

Paul wzruszył ramionami.

- Ja tam wiele nie widziałem - powiedział wolno. - Nie jesteśmy już młodzi, nie mamy już takiego wzroku jak dawniej... ani słuchu...

- Ale przecież wyglądaliście przez okno - nalegał Des-sanges. - Musieliście widzieć...

Pochwyił mój drwiący uśmiech i oczy mu się zwężyły.

- Ach, rozumiem - mruknął z niechęcią. -To o to chodzi. Myśleliście, że wasz gendarme mnie zastraszy? -Spojrzał wściekle na policjanta. - Jeśli to najlepsze, na co cię stać... - Ścisnął palcami nos, żeby powstrzymać krwawienie.

- Nie sądzę, by rzucanie oszczerstw było najlepszym pomysłem - oświadczył Louis flegmatycznie.

- Och, doprawdy? - parsknął młodzieniec. - Kiedy mój

prawnik zobaczy...

Policjant nie dał mu skończyć.

- To naturalne, że jest pan zdenerwowany. Wiatr prze-

i

271

Pięć ćwiartek pomarańczy

wrócił pańską przyczepę. Nic dziwnego, że nie zdaje
sobie pan sprawy z tego, co robi.

Luc gapił się na niego, nie rozumiejąc.

- To była okropna noc - dorzucił Paul uprzejmie.
-Pierwsza październikowa zawierucha. Z pewnością
zwrócą panu z ubezpieczenia.

- Oczywiście, to się musiało stać - odezwałam się.
-Taki wysoki wóz przy drodze. Dziwię się tylko, że nie
przewróciło go wcześniej.

Luc kiwnął głową.

- Rozumiem - powiedział cicho. - Nieźle, Framboise. Całkiem nieźle. Widzę, że nie żałowałaś wysiłku. - W jego głosie brzmiała niemal życzliwość. - Ale wiesz, że nawet nie mając przyczepy, mogę wiele zrobić. My możemy zrobić. - Chciał się uśmiechnąć, ale tylko się skrzywił i znów przytknął chustkę do nosa. - Równie dobrze możesz im dać to, czego chcą - ciągnął tym samym uwodzicielskim tonem. - He, mamie? Co na to powiesz?

Nie jestem pewna, co bym odpowiedziała. Patrząc na niego, czułam się stara. Oczekiwałam, że się podda, on tymczasem wyglądał w tej chwili na bardziej pewnego siebie niż kiedykolwiek, na jego lisiej twarzy malował się wyraz wyczekiwania. Wykorzystałam swój najlepszy fortel - nasz najlepszy fortel, Paula i mój - a mimo to on wydawał się niezwyciężony. Jak dzieci próbujące zagrozić rzekę, mieliśmy swoją chwilę tryumfu - tamto jego spojrzenie, prawie było warto zrobić to wszystko tylko dla tamtego spojrzenia - lecz w końcu, bez względu na wysiłki, rzeka zawsze zwycięża. Louis też spędził dzieciństwo nad Loarą, pomyślałam. Wie, jak to jest.

Niepotrzebnie tylko narobił sobie kłopotów. Wyobraziłam sobie armię prawników, doradców, policję z miasta - nasze nazwiska w gazetach, nasz sekretny plan odkryty... Czuję się zmęczona. Taka zmęczona.

Spojrzałam na Paula. Uśmiechał się tym swoim łagodnym uśmiechem i sprawiałby wrażenie półgłówka, gdyby

272

Joannę Harris

nie leniwe rozbawienie w jego oczach. Zsunął sobie beret na czoło gestem, który był równocześnie stanowczy, komiczny i bohaterski - najstarszy rycerz świata opuszczający przyłbicę przed atakiem na wroga. Nagle ogarnęła mnie szalona ochota, żeby się roześmiać.

- Myślę, że może... hm... jakoś się dogadamy - powiedział. - Może Louis dał się nieco ponieść nerwom. Ramon-dinowie tacy już są, że dość... hm... łatwo ich obrazić. Mają to we krwi. - Uśmiechnął się przepraszająco, potem zwrócił do Louisa. - Tamta sprawa

z Guilhermem... kim on był, bratem twojej babki?

Dessanges słuchał z rosnącą irytacją i pogardą.

- Ojca - poprawił Louis. Paul kiwnął głową.

- No właśnie. Gorąca krew ci Ramondinowie. Wszyscy co do jednego.

Przeszedł na gwarę. Była to jedna z rzeczy, za które matka nie znosiła go najbardziej - za to i za jąkanie. Mówił z silniejszym akcentem niż w dawnych czasach.

- Pamiętam, jak tamtej nocy poprowadził ludzi na farmę... stary Guilherm na czele z tą swoją drewnianą nogą... a wszystko z powodu tamtej strzelaniny w La Mau-vaise Reputation... zdaje się, że złą reputację zachowała do dziś...

Luc wzruszył ramionami.

- Słuchaj no pan, chętnie wysłuchałbym dzisiejszej porcji Osobliwych Wiejskich Opowieści z Dawnych Czasów. Ale stanowczo wolałbym...

- A wszystko przez jednego młodzika - ciągnął Paul niewzruszenie. - Całkiem podobnego do ciebie, słowo daję. Chłopaka z miasta, hein, z zagranicy... który myślał, że owinie sobie biednych głupich wieśniaków znad Loary wokół palca.

Rzucił mi szybkie spojrzenie, jakby sprawdzając emocjonalny barometr na mojej twarzy.

- □le skończył. Prawda?

27^ 18. pięć Ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Najgorzej - odrzekłam ochryple.

Luc obserwował nas oboje z wyrazem czujności.

- Naprawdę? - spytał. Skinęłam głową.

- Też lubił młode dziewczęta - powiedziałam głosem, który w moich własnych uszach wydawał się odległy i stłumiony. - Bawił się nimi. Wykorzystywał do zdobywania informacji. W dzisiejszych czasach to się nazywa uwiedzenie.

- Oczywiście za dawnych lat większość dzieci nie miała ojców - dorzucił Paul obojętnie. - Przez wojnę.

Zobaczyłam, jak w oczach Luca świta zrozumienie. Kiwnął lekko głową, jakby na potwierdzenie, że zdobyliśmy punkt.

- To wszystko ma coś wspólnego z zeszłym wieczorem, tak? - spytał.

Zignorowałam pytanie.

- Jesteś żonaty, prawda? Skinął znowu.

- Szkoda, że twoja żona zostanie w to wplątana - ciągnęłam. - Uwiedzenie nieletniej... paskudna sprawa... Bo nie widzę, w jaki sposób mogłaby tego uniknąć.

- Nigdy się wam nie uda tego udowodnić - wtrącił Luc szybko. - Ta mała nie...

- Ta mała to moja córka - wyjaśnił Louis po prostu. -Zrobi... powie... wszystko, co uzna za stosowne.

Jeszcze jedno kiwnięcie głową. Luc potrafił nad sobą panować, to mu muszę przyznać.

- W porządku - oświadczył. Zdobył się nawet na nieznaczny uśmiech. - W porządku. Zrozumiałem sugestię.

Mimo wszystko był odprężony; jego bladość była spowodowana raczej gniewem niż strachem. Patrzył mi prosto w oczy, ironicznie krzywiąc wargi.

- Mam nadzieję, że zwycięstwo ci się opłaci, mamie -powiedział znacząco. - Bo jutro będziesz potrzebowała każdej pociechy. Jutro twoja smutna mała tajemnica zostanie opisana w każdym kolorowym magazynie, w każdej

Joannę Harris

gazecie w kraju. Mam akurat dość czasu, żeby wykonać parę telefonów przed wyjazdem... Szczerze mówiąc, wynudziłem się w tej dziurze okropnie, a jeśli wasz obecny tu przyjaciel sądzi, że ta mała dziwka, jego córka, mi to osłodziła...

Chciał się uśmiechnąć jadowicie do Louisa, lecz zamarł oniemiały, kiedy kajdanki policjanta zatrzasnęły mu się najpierw na jednej, potem na drugiej ręce.

- Co to ma być? - W jego głosie słychać było niedowierzenie, niemal rozbawienie. - Co ty sobie wyobrażasz, do cholery? Chcesz do tego wszystkiego dodać uprowadzenie? Gdzie ty sobie wyobrażasz, że jesteś? Na cholernym Dzikim Zachodzie?

Louis posłał mu spokojne spojrzenie.

- Moim obowiązkiem jest pana ostrzec - oznajmił - że gwałtowne i obraźliwe zachowanie nie będzie tolerowane i będę zmuszony...

-Co?- Luc prawie krzyczał. -Jakie zachowanie? To ty mnie uderzyłeś! Nie możesz...

Louis patrzył na niego z uprzejmą naganą.

- Pańskie gwałtowne zachowanie sprawia, że mam powody przypuszczać, iż znajduje się pan pod wpływem alkoholu lub innej substancji odurzającej. Wobec tego uważam za swój obowiązek zatrzymać pana dla pańskiego bezpieczeństwa pod nadzorem do czasu, gdy...

- Aresztujesz mnie? - dopytywał się Luc, nie dowierzając własnym uszom. - Oskarżasz mnie?

- Jeśli nie będę miał innego wyjścia - odparł Louis z wymówką. - Jestem pewien, że tych dwoje świadków zezna, iż zachowywał się pan w sposób gwałtowny, groził mi, używał obraźliwego języka... - Skinął głową w moją stronę. - Muszę prosić, by towarzyszył mi pan na posterunek.

- Nie macie żadnego cholernego posterunku! - wrzasnął Luc.

- Louis trzyma pijaków i chuliganów w swojej piwnicy
- wyjaśnił Paul cicho. - Oczywiście nikt tam od dawna nie

275

Pięć ćwiartek pomarańczy

siedział... od czasu, kiedy Guguste Tinon popił sobie
pięć lat temu...

- Mogę ci oddać do dyspozycji piwnicę na ziemniaki,
Louis, jeśli uważasz, że mógłby zemdleć w drodze do
wioski - wtrąciłam obojętnie. - Ma dobry, solidny zamek i
Luc z pewnością nie zrobi w niej sobie krzywdy...

Louis udał, że się zastanawia.

- Dziękuję, veuve Simon - powiedział w końcu. -
Myślę, że tak będzie najlepiej. Przynajmniej do czasu,
kiedy postanowię, co z nim zrobić dalej.

Spojrzał krytycznie na Dessanges'a, bladego teraz nie
tylko ze złości.

- Jesteście obłąkani, cała trójka - powiedział Luc cicho.

- Oczywiście najpierw muszę pana obszukać - ciągnął Louis spokojnie. - Nie mogę pozwolić, żeby puścił pan wszystko z dymem albo zrobił coś podobnego. Czy zechciałby pan wyjąć wszystko z kieszeni?

Luc pokręcił głową.

- Nie mogę w to uwierzyć - jęknął.

- Przykro mi, proszę pana - powtórzył policjant - ale muszę pana prosić o opróżnienie kieszeni.

- Gadaj zdrów - odburknął kwaśno młodzieniec. - Nie wiem, co chcesz przez to zyskać, ale jak mój prawnik się o tym dowie...

- Ja to zrobię - ofiarował się Paul. - Zresztą on i tak nie dosięgnie kieszeni skutymi rękami.

Sprawił się szybko mimo swej pozornej niezgrabności;

zręcznymi rękami kłusownika obmacał ubranie więźnia i wyjął zawartość kieszeni - zapalniczkę, jakieś zwinięte papiery, kluczyki do samochodu, portfel, papierosy. Luc walczył bezskutecznie, przeklinając. Rozejrzał się wokół, jakby szukając kogoś, do kogo mógłby się zwrócić po pomoc, lecz ulica była pusta.

- Jeden portfel - Louis zajrzał do wnętrza. - Jedna zapalniczka. Srebrna. Jeden telefon komórkowy.

276

Joannę Harris

Otworzył paczkę papierosów i wysypał sobie jej zawartość na dłoń.

Zauważyłam coś dziwnego. Niewielką, nieregularną grudkę czegoś ciemnobrązowego, podobną do starego cukierka toffi.

- Ciekawe, co to może być - zastanawiał się niewzruszony Louis.

- Odwal się! - odparł Luc ostro. -To nie moje! Podrzuciłeś mi to, stary draniu! - To było skierowane do Paula, patrzącego nań z tępym zdumieniem. - Nigdy nie uda się wam przekonać...

- Może i nie - rzucił Louis obojętnie. - Ale co szkodzi spróbować?

6

Louis zostawił młodzieńca w piwnicy na ziemniaki, jak obiecał. Może go przetrzymać dwadzieścia cztery godziny bez postawienia zarzutów, wyjaśnił. Patrząc na nas dziwnie, oznajmił z wystudiowaną obojętnością, że daje nam ten czas na skończenie naszej sprawy. Porządny facet z tego Louisa Ramondina, chociaż trochę ociężały. Zbyt jednak przypomina swojego wuja Guilherma, bym mogła się dobrze czuć w jego towarzystwie, i przez to pewnie nie zauważyłam od razu, jaki to do szpiku kości dobry człowiek. Miałam tylko nadzieję, że nie będzie musiał żałować swojej wspaniałomyślności.

Z początku Dessanges wściekał się i wrzeszczał. Domagał się swojego prawnika, swojego telefonu, swojej

siostry Laureę, swoich papierosów. Skarżył się, że boli go nos, że na pewno został złamany, że odłamki kości właśnie wędrują mu do mózgu. Walił w drzwi, błagał, groził, przeklinał. Ignorowaliśmy go i w końcu hałasy ustały. O dwunastej trzydzieści zaniósłam mu trochę kawy, ta-

% 277

Pięć ćwiartek pomarańczy

lerz chleba i charcuterie. Siedział ponury, lecz spokojny, w jego oczach dostrzegłam znowu błysk wyrachowania.

- Odwlekasz tylko najgorsze, mamie - odezwał się, kiedy kroiłam mu chleb na kromki. - Jedyne, co zyskasz, to dodatkowe dwadzieścia cztery godziny, bo jak wiesz, kiedy tylko zadzwonię...

- Chcesz jeść czy nie? - spytałam ostro. - Nic ci nie będzie, jak się trochę przegłodzisz, a ja nie będę musiała wysłuchiwać tych głupot. Jasne?

Posłał mi paskudne spojrzenie, ale nie powiedział już nic na ten temat.

- Doskonale - odparłam.

7

Przez resztę dnia udawaliśmy z Paulem, że pracujemy. Restauracja była nieczynna, jak to w niedzielę, nadal jednak pozostało wiele pracy w sadzie i ogrodzie warzywnym. Okopywałam, przycinałam i plewiłam, aż poczułam, że nerki mam jak z rozpalonego szkła, a na sukience pod pachami pojawiły się wielkie koła potu. Paul obserwował mnie z domu, nie wiedząc, że ja również mam go na oku. Dwadzieścia cztery godziny. Swędziały mnie i piekły jak oparzenie pokrzywą. Czułam, że powinnam coś zrobić, lecz nie miałam pojęcia, czego mogłabym dokonać przez jedną dobę. Unieszkodliwiliśmy jednego Dessanges'a -przynajmniej chwilowo - lecz drugie z rodzeństwa wciąż znajdowało się na swobodzie, równie pełne złej woli jak dotąd. Czasu było niewiele. Kilka razy ruszałam w stronę budki telefonicznej obok poczty - wynajdując jakieś sprawunki w okolicy tylko po to, żeby się znaleźć w pobliżu. Raz nawet posunęłam się

do tego, że wykreciłam numer, ale przerwałam połączenie, zanim ktoś podniósł słuchawkę, bo zdałam sobie sprawę, że kompletnie nie mam pojęcia, co powiedzieć. Miałam wrażenie, że gdziekolwiek

278

Joannę Harris

spojrzę, widzę tę samą okrutną prawdę, ten sam zbiór przerażających możliwości. Stara Mateczka, z otwartym pyskiem najeżonym starymi haczykami, z oczyma szklistymi z wściekłości, i ja, sprzeciwiająca się jej przeraźliwej sile, walcząca z nią niczym złowiona płotka na żyłce. Tak jakby ryba stanowiła jakąś część mnie samej, wrywającą się na wolność, mroczną część mojego serca, wijącą się i szarpiącą na uwięzi, przerażające, sekretne trofeum...

Wszystko sprowadzało się do dwóch możliwości. Moja wyobraźnia mogła się bawić innymi pomysłami - że Laure Dessanges obieca zostawić mnie w spokoju w zamian za uwolnienie jej małego braciszka - lecz głęboko zakorzeniona praktyczna część mojego umysłu wiedziała,

że nie ma co na to liczyć. Dzięki naszym wysiłkom zyskałiśmy na razie tylko jedną rzecz - czas - i czułam, jak zdobycz wymyka mi się z rąk sekunda za sekundą nawet wtedy, gdy łamię sobie głowę nad tym, jak ją wykorzystać. Jeśli tego nie zrobię, nim upłynie tydzień, przepowiednia Luca - jutro twoja smutna mała tajemnica zostanie opisana w każdym kolorowym magazynie, w każdej gazecie w kraju -spełni się co do joty, a ja stracę wszystko: farmę, restaurację, swoje miejsce w Les Laveuses... Jedynym wyjściem było użyć prawdy jako broni. Jednak choć dzięki temu odzyskałabym dom i interes, kto mógł wiedzieć, jak zareagują na to Pistache, Noisette, Paul?

Zaciskałam zęby w bezsilnej wściekłości. Nikt nie powinien dokonywać takich wyborów, skarżyłam się w głębi duszy. Nikt.

Okopywałam rządęk szalotek na oślepi, z taką energią, że w powietrze poleciały wraz z chwastami niewielkie błyszczące cebulki. Otarłam pot z oczu; przekonałam się, że to były łzy.

Nikt nie powinien wybierać między życiem a kłamstwem. A jednak ona musiała to zrobić - Mirabelle

Darti-gen, kobieta ze zdjęć ze sztucznymi perłami na szyi i nieśmiałym uśmiechem, kobieta o wydatnych kościach

279

Pięć ćwiartek pomarańczy

policzkowych i ściągniętych mocno włosach. Poświęciła wszystko - wszystko: gospodarstwo, sad, niewielką niszę, jaką sobie wywalczyła, swój ból, swoją prawdę - pogrzebała to wszystko i bez jednego spojrzenia wstecz zaczęła wszystko od początku... Tylko jednego faktu brakuje w jej albumie, tak starannie skomponowanym i pełnym odnośników, jednej rzeczy, której nie mogła zapisać, ponieważ zapewne o niej nie wiedziała. Tylko jeden fakt i nasza opowieść stanie się kompletna. Jeden fakt.

Gdyby nie wzgląd na córki i Paula, powtarzam sobie, wszystko bym opowiedziała. Choćby po to, by zrobić na złość Laure, nie dać jej zatryumfować. Był jednak Paul, tak cichy i skromny, tak pokorny w swoim milczeniu, że nim się spostrzegłam, zdołał przeniknąć przez wszelkie

zbudowane przeze mnie mury. Paul, śmieszny Paul z jego jękami i dziurawymi niebieskimi drelichami, Paul o zręcznych dłoniach kłusownika i życzliwym uśmiechu. Kto by pomyślał, że to będzie właśnie on, po tylu latach? Kto by pomyślał, że po tylu latach odnajdę drogę do domu?

Kilka razy omal nie zadzwoniłam. Ostatecznie Mirabelle Dartigen nie żyła od dawna. Nie miałam potrzeby holować jej za sobą po zdradliwych wodach mojej duszy niczym Starą Mateczkę na wędce. Drugie kłamstwo jej nie pomoże, powtarzałam sobie. A odkrycie prawdy już teraz nie pozwoli mi odpokutować. Lecz Mirabelle Dartigen pozostała upartą kobietą nawet po śmierci. Jeszcze teraz czuję jej obecność - słyszę ją niczym skargę drutów elektrycznych w wietrzny dzień - słyszę ten wysoki, drżący, niepewny sopran. To jedyne wspomnienie po niej, jakie mi pozostało. Nieważne, że nigdy nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo ją w istocie kochałam. Jej miłość, ten skażony, lodowaty sekret, ciągnie mnie za sobą w mrok.

A jednak. To nie byłoby w porządku. Głos Paula w mojej duszy, nieustępliwy jak rzeczny nurt. Nie byłoby w

porządku żyć w kłamstwie. Tak bardzo nie chciałam wybierać.

280

Joannę Harris

Słońce już zachodziło, kiedy do mnie przyszedł. Pracowałam w ogrodzie tak długo, że ból w kościach stał się nie do zniesienia. Gardło miałam wyschnięte i drapiące, jakby było pełne haczyków. W głowie mi się kręciło. Mimo to odwróciłam się do niego plecami, kiedy stanął cicho obok - nic nie mówiąc, nie potrzebując nic mówić, czekając jedynie, czekając cierpliwie.

- Czego chcesz? - burknęłam w końcu. - Przestań się na mnie gapić, na miłość boską, i weź się do jakiejś roboty!

Paul nic nie odpowiedział. Czułam, jak płonie mi kark. W końcu zwróciłam się w jego stronę, śmignęłam motyką na grządkę i wrzasnęłam na niego głosem mojej matki:

- Ty kretynie! Odczepisz się ode mnie wreszcie,

żałosny stary głupcze?

Myślę, że chciałam go zranić. Wszystko byłoby łatwiejsze, gdybym zdołała go dotknąć; sprawić, by odwrócił się ode mnie z gniewem, bólem czy niesmakiem, on jednak spojrzał mi prosto w oczy - zabawne, zawsze sądziłam, że jestem w tej grze lepsza od wszystkich - z tą swoją niezmierną cierpliwością. Nie poruszał się, nic nie mówił, po prostu czekał, aż dokończę swoją kwestię, tak by on mógł wypowiedzieć swoją. Odwróciłam się z wściekłością, bojąc się jego słów, jego strasznego spokoju.

- Ugotowałem kolację dla naszego gościa - powiedział w końcu. - Może też byś zjadła?

Pokręciłam głową.

- Chcę tylko zostać sama - powiedziałam. Usłyszałam, jak wzdycha za moimi plecami.

- Ona była taka sama - mruknął. - Mirabelle Dartigen. Nigdy nie przyjęła pomocy od nikogo, gdzie tam, nawet od siebie samej. - Mówił cicho, w zamyśleniu. - Wiesz, jesteś do niej bardzo podobna. Za bardzo podobna, by

wyszło to na dobre tobie i innym.

Powstrzymałam się od ostrej riposty; nie spojrzałam na niego.

i

281

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Przez ten swój upór ze wszystkich zrobiła sobie wrogów - ciągnął Paul. - Nigdy się nie dowiedziała, że pomogliby jej, gdyby tylko poprosiła. Ale ona nigdy o niczym nie powiedziała, prawda? Nie powiedziała żywej duszy.

- Myślę, że nie mogła - odparłam tępo. - Niektórych rzeczy nie da się zrobić. Po prostu... nie da.

- Popatrz na mnie.

Jego twarz była zaróżowiona w ostatnich promieniach słońca, rumiana i młoda mimo zmarszczek i pożyłkłych

wąsów. Czerwone niebo za jego plecami pokrywały poszarpane chmury.

- Przychodzi taki czas, że ktoś musi zacząć mówić - rzekł rozsądnie. - Nie czytałem albumu twojej matki przez tyle czasu na darmo i wcale nie jestem taki głupi, jak myślisz.

- Przepraszam - odrzekłam. - Nie zamierzałam tego powiedzieć.

Machnął ręką lekceważąco.

- Wiem. Nie jestem taki bystry jak Cassis albo ty, ale czasem mi się zdaje, że to ci mądrzy najłatwiej błędzą. - Uśmiechnął się i stuknął palcem w skroń. - Za dużo się tam dzieje - oznajmił pogodnie. - O wiele za dużo.

Spojrzałam na niego.

- Widzisz, to nie prawda rani - ciągnął dalej. - Gdyby ona to rozumiała, może by nie doszło do tego wszystkiego. Gdyby tylko poprosiła ich o pomoc, zamiast jak zawsze próbować wszystko załatwić samej...

- Nie. - Mój głos był bezbarwny i stanowczy. - Nie rozumiesz. Ona nie знаła prawdy. A jeśli znała, ukryła to nawet przed sobą samą. Ze względu na nas. Na mnie... - Dławiłam się słowami, znajomy kwaśny posmak podnosił się z żołądka. - Ona nie mogła powiedzieć prawdy. Tylko my... ja. - Przełknęłam z trudem ślinę. - Tylko ja mogłam to zrobić - powiedziałam z wysiłkiem. - Tylko ja znałam całą historię. Gdyby nie zabrakło mi odwagi...

Umilkłam, by spojrzeć na niego znowu. Jego łagodny, smutny uśmiech. Pochylone ramiona, jak u muła, który

282

Joannę Harris

długo nosił ciężary cierpliwie i w spokoju ducha. Jakże mu zazdrościłam. Jakże go pragnęłam.

- Nie brak ci odwagi - powiedział w końcu. - Nigdy ci nie brakowało.

Popatrzyliśmy na siebie. Milczenie między nami.

- W porządku - odezwałam się po długiej chwili.
-Wypuśćmy go.

- Jesteś pewna? Narkotyki, które Louis znalazł u niego w kieszeni...

Wybuchnęłam śmiechem; brzmiał dziwnie swobodnie, choć w ustach mi zaschło.

- Oboje wiemy, że nie miał żadnych narkotyków. Nieszkodliwe oszustwo i tyle, podrzuciłeś mu je, kiedy go przeszukiwałeś. - Roześmiałam się znowu, widząc jego zaskoczenie. - Palce kłusownika, Paul, palce kłusownika. Myślisz, że ty jeden jesteś podejrzliwy z natury?

Przytaknął.

- Więc co zamierzasz? - spytał. - Jak tylko powie Yannickowi i Laure...

Pokręciłam głową.

- Niech mówi - odparłam.

Czułam się lekka, lżejsza niż kiedykolwiek, jak puch ostu na wodzie. Czułam, jak śmiech wzbiera w moim wnętrzu, szalony śmiech kogoś, kto zamierza rzucić na wiatr wszystko, co ma. Sięgnęłam do kieszeni fartucha i wyjęłam kawałek papieru z zapisanym numerem telefonu.

Po namyśle przyniosłam notes z adresami. Szukałam krótko; zaraz znalazłam właściwą stronę.

- Chyba już wiem, co robić - powiedziałam.

9

Clafoutis z jabłek i suszonych moreli. Jajka i mąkę ubić na gęsty krem z cukrem i stopionym masłem. Nadal ubijając, dodawać po trochu mleko. Ciasto powinno być rzadkie. For-

I

283

Pięć ćwiartek pomarańczy

mę wysmarować grubo masłem, do ciasta dodać owoce. Przyprawić cynamonem i zielem angielskim i wstawić do średnio nagrzanego pieca. Kiedy ciasto zacznie rosnać, posypać z wierzchu brązowym cukrem i kawałkami masła. Piec, aż wierzch stanie się przyrumieniony i twardy w dotyku.

Zbiory były złe. Przyczyniła się do tego susza, a po niej katastrofalne deszcze. A jednak zwykle wyglądaliśmy dożynek z niecierpliwością. Nawet matka, która przyrządzała na tę okazję specjalne ciasta i wystawiała na parapetach misy owoców i warzyw oraz piekła chleby o niezwykłych kształtach - kłosa zboża, ryby, kosze pełne jabłek - by je sprzedać w Angers.

Targ odbywał się zawsze pod koniec października. Tego dnia dzieci ze szkółki niedzielnej zbierały się wokół fontanny (przystrojonej pogańsko kwiatami, owocami i wieńcami zboża oraz wydrążonymi dyniami powycinanymi w kształt latarni) w najlepszych ubraniach, trzymając świece i śpiewając. Uroczystości przenosiły się następnie do kościoła, do ołtarza okrytego złotem i zielenią. Aż na plac niosły się hymny - słuchaliśmy

zafascynowani i kuszeni przez zakazany owoc - w których była mowa o ziarnie trafiającym do spichrza i paleniu plew. Czekaliśmy do końca mszy, a potem przyłączyliśmy się do obchodów wraz z innymi, podczas gdy cure zostawał w kościele, by spowiadać, a na skrajach opustoszałych pól płonęły dożynkowe ogniska, wydzielając słodki dym.

Wtedy zaczynał się targ. Dożynki: zapasy i wyścigi, i wszelkie inne gry; tańce, zawody w wyławianiu jabłek z misy z wodą, jedzeniu naleśników i pędzeniu gęsi; gorące pierniki i cydr rozdawany zwycięzcom i pokonanym; kosze domowych produktów sprzedawane przy fontannie, podczas gdy królowa dożynek siedziała, uśmiechając się, na swoim złotym tronie i obsypywała zebranych kwiatami.

Tego roku ledwie zauważyliśmy, że nadchodzą. W ubiegłych latach wyczekiwaliśmy dożynek z większą niecierpli-

wością niż Bożego Narodzenia, bo rzadko dostawaliśmy prezenty, a grudzień to nie najlepszy czas na świętowanie. Październik - ulotny, soczysty i słodki, ze swoim rdzawo-złotym światłem, białym szronem o poranku i drzewami przybierającymi wspaniałe barwy - to zupełnie co innego. Czas zaczarowany, ostatnie radosne wyzwanie rzucone w twarz nadciągającej zimie. W innych latach już od tygodni mieliśmy gotowe sagi drewna i zeschniętych liści, naszyjniki dzikich jabłek i worki orzechów. Najlepsze ubrania czekały wyprasowane, buty wypastowane do tańca. Urządzaliśmy własne święto na Posterunku Obserwacyjnym (zawieszaliśmy wieńce na Stojących Kamieniach i rzucaliśmy kwiaty w powolny brązowy nurt Loary), plastry jabłek i gruszek suszyły się w piecu; warkocze i lalki uplecione z żółtych kłosów na dobrą wróżbę leżały rozłożone wokół domu; planowaliśmy psikusy, jakie spleatamy niepodejrzewającym niczego uczestnikom festynu, a w brzuchach burczało nam z głodu wrażeń.

Tego roku jednak niewiele tego było. Gorzki osad po tym, co się wydarzyło w La Mauvaise Reputation, zapoczątkował nasze kłopoty. Potem pojawiły się listy,

plotki, napisy na ścianach, szeptanie za naszymi plecami i uprzejme milczenie w naszej obecności. Nie ma dymu bez ognia, mówili ludzie. Oskarżenia (napis NIEMIECKA DZIWKĄ na ścianie kurnika pojawiał się coraz większy i czerwiejszy za każdym razem, gdy go zamalowaliśmy), odmowa matki, by zaprzeczyć plotkom lub je potwierdzić, oraz doniesienia o jej wizytach w La Rep, wyolbrzymione i przekazywane chciwie z ust do ust, wystarczyły, by jeszcze podsycić podejrzenia. Smutne były tego roku dożynki rodziny Dartigen.

Inni szykowali ogniska i pletli wieńce z pszenicy. Dzieci przeczesywały bruzdy, by ani jeden kłos się nie zmarnował. My zbieraliśmy ostatnie jabłka - to znaczy ostatnie, które nie zostały zjedzone przez osy - i układaliśmy je w piwnicy na tacach, każde osobno, tak by zgnilizna nie

285

Pięć ćwiartek pomarańczy

przeszła z jednego na drugie. Gromadziliśmy warzywa w skrzyniach w piwnicy i przysypywaliśmy luźno suchą

ziemią. Matka upiekła nawet kilka swoich świątecznych chlebów, choć w Les Laveuses nie było wielkiego zapotrzebowania na jej wypieki, i sprzedawała je w Angers. Pamiętam, jak pewnego dnia powieźliśmy wóz pełen bochenków - w kształcie żołądzi, jeży, wykrzywionych masek - na targ, jak słońce lśniło na przyrumienionej skórce niczym na polerowanym dębie. Niektóre dzieci w wiosce nie odzywały się do nas. Pewnego dnia ktoś ukryty w tamaryszkowym zagajniku nad rzeką obrzucił grudami ziemi Reinette i Cassisa wracających ze szkoły. W miarę jak zbliżało się święto, dziewczęta zaczęły oceniać się nawzajem krytycznie, szczególnie dokładnie szcztokować włosy i myć twarze w owsiance, bo w dniu festynu jedna z nich miała zostać królową dożynek, nosić koronę z kłosów jęczmienia i trzymać w dłoni dzban wina. Mnie to nie obchodziło. Ze swoimi krótkimi prostymi włosami i żabią twarzą nigdy bym nie została wybrana. Poza tym bez Tomasa wszystko straciło znaczenie. Zastanawiałam się, czy zobaczę go jeszcze kiedyś. Przesiadywałam nad Loarą z wędką i patrzyłam. Nie mogłam wykorzenić w sobie wiary, że jeśli uda mi się złowić Starą Mateczkę, Tomas wróci.

Poranek w dniu festynu był zimny i pogodny, światło słońca miało ten niezwykły rdzawy poblask dogasających węgla, tak typowy dla października. Matka długo nie kładła się spać poprzedniej nocy - raczej z uporu niż przywiązania do tradycji - przygotowując pierniki, ciemne naleśniki z gryczanej mąki i dżem z jeżyn. Zapakowała je do koszy i dała nam, byśmy je zabrali na targ. Nie zamierzałam tam iść. Zamiast tego wydołam kozę, odrobiłam swoje

286

Joannę Harris

nieliczne niedzielne prace i ruszyłam nad rzekę. Właśnie zbudowałam szczególnie sprytną pułapkę z dwóch skrzynek i bańki po nafcie owiniętych siatką, z kawałkami ryb na przynętę. Pułapka czekała na brzegu rzeki i koniecznie chciałam ją wypróbować. Czułam zapach skoszonej trawy i pierwszych jesiennych ognisk; był przenikliwy, odwieczny, niósł wspomnienie szczęśliwszych czasów. Ja też czułam się stara, gdy tak wędrowałam mozolnie przez ścierniska w stronę Loary.

Miałam wrażenie, jakbym przeżyła wiele, wiele lat.

Paul czekał przy Stojących Kamieniach. Nie wydawał się zdziwiony moim widokiem; podniósł na chwilę wzrok znad wędki, po czym z powrotem zaczął się wpatrywać w korkowy spławik.

- Nie idziesz na t-targ? - spytał.

Pokręciłam głową. Uświadomiłam sobie, że nie widziałam go, odkąd matka przegnała go od nas, i poczułam ukłucie wstydu, że mogłam tak kompletnie zapomnieć o starym przyjacielu. Może to dlatego usiadłam obok. Z pewnością nie z tęsknoty za towarzystwem - aż się dusiłam z potrzeby samotności.

- Ja t-też nie.

Wydawał się tego ranka niemal przygnębiony, skwaszo-ny; marszczył brwi w skupieniu, które wyglądało niepokojąco dojrzałe.

- Ci wszyscy idioci tylko s-się upijają i tańczą po ulicach. Komu to potrzebne?

- Nie mnie. - Brązowe wiry tworzące się na powierzchni wody u moich stóp hipnotyzowały. - Sprawdzę pułapki, a potem chyba spróbuję połowić przy tej wielkiej ławicy. Cassis mówi, że czasem trafiają się tam szczupaki.

Posłał mi cyniczne spojrzenie.

- Nigdy jej nie z-złowisz - stwierdził cierpko.

- Czemu nie? Wzruszył ramionami.

- P-po prostu nie i już.

287 **

Pięć ćwiartek pomarańczy

Przez jakiś czas łowiliśmy, siedząc ramię w ramię. Słońce grzało nam plecy, żółto-czerwono-czarne liście spadały po jednym na jedwabistą powierzchnię rzeki. Usłyszeliśmy dźwięczne, odległe bicie kościelnych dzwonów -sygnał, że msza się skończyła. Festyn miał się

rozpocząć za dziesięć minut.

- A pozostali poszli?

Paul wyjął larwę ohotki z ciepłego schowka w lewym policzku i wprawnie nadział na haczyk. Wzruszyłam ramionami.

- Nie obchodzi mnie to - burknęłam.

W ciszy, która zapadła, usłyszałam, jak głośno zaburczało mu w brzuchu.

- Głodny?

- M-m.

Wtedy go usłyszałam. Wyraźny jak wspomnienie na szosie do Angers, niemal nieuchwytny początkowo, stopniowo coraz głośniejszy niczym brzęczenie sennej osy, jak szum krwi w skroniach po biegu bez tchu przez pola. Warkot motocykla.

Nagła fala paniki. Paul nie może zobaczyć Tomasa.

Jeśli to on, muszę być sama - a szaleńczy skok serca z radości powiedział mi, dał mi nagłą wyraźną pewność, że to Tomas.

Tomas.

- Może byśmy jednak poszli zobaczyć - rzuciłam z udawaną obojętnością.

Paul mruknął nieobowiązująco.

- Będą pierniki - dodałam chytrze. - I pieczone ziemniaki, i pieczona kukurydza... i paszteciki... i kiełbasa smażona nad ogniem.

Dosłyszałam, jak w brzuchu zaburczało mu nieco głośniejsze.

- Moglibyśmy się zakraść i poczęstować - podsunęłam. Milczenie.

- Cassis i Reine przyjdą.

Joannę Harris

W każdym razie taką miałam nadzieję. Liczyłam, że ich obecność pozwoli mi się wymknąć i wrócić do Tomasa. Świadomość, że jest blisko (na myśl, że go zobaczę, zalała mnie fala gorącej, trudnej do zniesienia radości), była jak rozżarzona blacha pod moimi stopami.

- Ona też t-tam będzie? - Głos Paula był niski z nienawiści, która w innych okolicznościach by mnie zdumiała. Nigdy sobie nie wyobrażałam, że może żywić do kogoś urazę. -To znaczy twoja m-m-m... -Wykrzywił się z wysiłku. - M-m-m-... M-m-m...

Pokręciłam głową.

- Chyba nie - przerwałam mu ostrzej, niż zamierzałam. - Boże, Paul, wściec się można, jak tak robisz.

Wzruszył obojętnie ramionami. Słyszałam już wyraźnie na szosie warkot motoru, oddalonego o parę mil. Zacisnęłam dłonie tak mocno, że odbiły się na nich

ślady paznokci.

- To znaczy - dodałam łagodniej - to znaczy, właściwie mi to nie przeszkadza. A ona zwyczajnie nie rozumie, jak mówisz, i to wszystko.

- B-będzie tam? - naciskał Paul. Pokręciłam głową.

- Nie - skłamałam. - Mówiła, że dzisiaj rano posprząta w szopie dla kóz.

Skinął głową.

- No, dobrze - zgodził się uspokojony.

1 1

Tomas zaczeka przy Posterunku Obserwacyjnym przez jakąś godzinę. Jest ciepło; ukryje maszynę w krzakach i zapali papierosa. Jeśli nikogo nie będzie w pobliżu, może zaryzykuje kąpiel w rzece. Jeżeli po tym czasie nikt się nie pojawi, napisze nam wiadomość i zostawi ją (być może wraz z paczką magazynów albo słodyczy starannie zawi-

19. Pięc ćwiartek...

Pięc ćwiartek pomarańczy

niętych w gazetę) na Posterunku, w rozwidleniu gałęzi pod platformą. Wiedziałam, że tak zrobi; zdarzało się to wcześniej. Przez ten czas bez trudu dotrę z Paulem do miasteczka i wymknę się, gdy nikt nie będzie patrzył. Nie powiem Reinette ani Cassisowi, że tu był. Fala dzikiej radości na samą myśl. Wyobrażałam sobie jego twarz rozświetloną powitalnym uśmiechem - uśmiechem, który będzie należał tylko do mnie. Myśl ta sprawiła, że niemal rzuciłam się biegiem w stronę wsi, ściskając mocno chłodną rękę Paula w rozpalonej dłoni.

Plac przy fontannie był już w połowie zapełniony ludźmi. Więcej osób wylewało się z kościoła - dzieci ze świecami, młode dziewczęta w wieńcach z jesiennych liści, garstka młodych mężczyzn prosto od spowiedzi - wśród nich Guilherm Ramondin - gapiących się głodnym wzrokiem na dziewczyny, nim zgromadzą nowy zbiór

nieczystych myśli. Albo i czynów, jeśli się uda - ostatecznie czas po zniwach to najlepsza na to pora, a niewiele było innych rzeczy w tamtym czasie, by zająć myśli. Zauważyłam siostrę i brata stojących nieco na uboczu. Reine miała na sobie czerwoną flanelową sukienkę i naszyjnik z jagód, Cas-sis jadł lukrowane ciastko. Wyglądało na to, że nikt się do nich nie odzywa; otaczał ich niewielki krąg izolacji. Reinette zaśmiała się - wysoki, delikatny dźwięk podobny do krzyku morskiego ptaka. W niewielkiej odległości od rodzeństwa stała na straży matka, trzymając w ręce koszyk pełen ciast i owoców. Wyglądała bardzo biednie wśród odświętnego tłumu, jej czarna suknia i szal odcinały się ostro na tle kwiatów i flag. Poczułam, jak Paul sztywnieje u mego boku.

Grupka zebranych przy fontannie zaintonowała wesołą pieśń. Byli tam Raphael, jak mi się zdaje, Colette Gaudin i wuj Paula, Philippe Hourias - w niedorzecznym żółtym szalu na szyi - oraz Agnes Petit w niedzielnej sukni i patentowych bucikach z wiankiem z jagód na głowie. Pamiętam, że jej głos wzniósł się na chwilę nad pozostałe - nie-

Joannę Harris

ćwiczony, lecz bardzo czysty i piękny. Poczulałam, jak dreszcz podnosi mi włoski na karku, jak gdyby duch, którym wkrótce miała się stać, przeszedł przedwcześnie po moim grobie. Do dziś pamiętam słowa piosenki:

A la claire fontaine j'allais me promener J'ai
trouvé l'eau si belle que je m'y suis baignée ?? ? longtemps
que je t'aime Jamais je ne foublierai.

Tomas - jeśli to on jechał na motorze - musiał już dotrzeć do Posterunku Obserwacyjnego. Tymczasem Paul nie zdradzał najmniejszej chęci, by wmieszać się w tłum. Zamiast tego wpatrywał się w moją matkę stojącą przy fontannie i nerwowo zagryzał wargi.

- Mówiłaś chyba, że jej tu nie b-będzie - zauważył.

- Nie wiedziałam - odparłam.

Przez chwilę staliśmy, patrząc, jak przybyli częstują

się jedzeniem. Na obrzeżu fontanny rozstawiono dzbany z cydrem i winem, a wiele kobiet, podobnie jak moja matka, przyniosło chleb, briosze i owoce, by je rozdać przed kościołem. Zauważyłam, że matka trzyma się z boku i niewiele osób podchodzi do niej na tyle blisko, by poprosić o specjały, które przygotowała z taką starannością. Jej twarz pozostała mimo to bez wyrazu, niemal obojętna. Zdradzały ją tylko ręce - białe, nerwowe dłonie ściskające silnie rączkę koszyka. Jej zacięte usta również wydawały się białe na tle bladej twarzy.

Denerwowałam się. Paul nie zdradzał niczym, że zamierza się ode mnie odczepić. Jakaś kobieta - jak mi się zdaje, Francine Crespin, siostra Raphaela - wyciągnęła w jego stronę kosz jabłek. Gdy zobaczyła mnie, uśmiech stęzał jej na twarzy. Mało kto nie zauważył napisu na ścianie kurnika.

Ksiądz wyszedł z kościoła. Pere Froment; jego łagodne, krótkowzroczne oczy błyszczały przekonaniem, że wierni

Pięć ćwiartek pomarańczy

zjednoczyli się tego dnia, złożony krucyfiks na drewnianej tyczce uniósł wysoko w powietrze jak trofeum. Za nim dwóch ministrantów niosło figurkę Dziewicy w żółto-złotej lektyce przyozdobionej jagodami i jesiennymi liśćmi. Dzieci ze szkoły niedzielnej otoczyły małą procesję ze świecami i zaintonowały hymn dożynkowy. Dziewczęta krygowały się i ćwiczyły uśmiechy. Widziałam, że ReINETTE się odwróciła. Pojawił się złoty tron królowej dożynek niesiony od strony kościoła przez dwóch młodych mężczyzn. Tak naprawdę był po prostu ze słomy, oparcie i poręcze zrobiono ze snopów, a siedzenie z pożółkłych liści. Jednak przez moment, kiedy padł na niego blask słońca, mogło się wydawać, że naprawdę został odlany ze szlachetnego metalu.

Przy fontannie czekało może z tuzin dziewcząt w odpowiednim wieku. Pamiętam je wszystkie: Jeannette Cres-pin w przyciasnej sukience komunijnej, ruda Francine Hourias z masą piegów, których żadne

szorowanie otrębami nie było w stanie zlikwidować, okularnica Michele Petit o ciasno splecionych warkoczach. Żadna z nich nie mogła się równać z Reinette. I dobrze o tym wiedziały. Poznawałam to po sposobie, w jaki ją obserwowały, zazdrośnie i z podejrzliwością - stojącą nieco na uboczu w czerwonej sukience, z rozpuszczonymi długimi włosami i jagodami wplecionymi w loki. W ich wzroku była też odrobina satysfakcji: nikt nie będzie głosował na Reine Dartigen w tym roku. Nie tego roku, nie wobec plotek krążących wokół nas niczym uschłe liście na wietrze.

Proboszcz przemówił. Słuchałam z narastającą niecierpliwością. Tomas czeka. Muszę się wkrótce wymknąć, jeśli mam go spotkać. Paul obok mnie gapił się na fontannę z wyrazem przygłupiego skupienia na twarzy.

- W tym roku spotkało nas wiele prób... - Głos księdza przypominał kojące brzęczenie, odległe beczenie owcy. -Lecz dzięki waszej wierze i wytrwałości zdołaliśmy przez nie przejść.

Joannę Harris

W otaczających mnie ludziach wyczuwałam zniecierpliwienie podobne do mojego. Wysłuchali już długiego kazania. Teraz był czas na koronację nowej królowej, na tańce i zabawy. Zobaczyłam, jak jakaś mała wykrada kawałek ciasta z koszyka swojej matki i zjada go szybko, ukradkiem, żarłocznie, kryjąc w dłoni.

- Dziś nadszedł czas świętowania.

To już lepiej. Usłyszałam wśród zebranych cichy szmer, pomruk aprobaty i niecierpliwości. Pere Froment wyczuł ją również.

- Proszę tylko, byście wykazali umiarkowanie - beczał

- pamiętając, Kogo dzisiaj czcimy... bez Kogo nie byłoby tych dożynek...

- Kończ wreszcie, perel - wykrzyknął jakiś szorstki, rozbawiony głos od strony kościoła.

Proboszcz wyglądał na urażonego i zrezygnowanego

równocześnie.

- Wszystko w swoim czasie, mon fils - upomniał. - Jak mówiłem... nadeszła chwila, by rozpocząć uroczystości na cześć naszego Pana, wybierając królową dożynek... dziewczynkę w wieku od dwunastu do osiemnastu lat... by sprawowała rządy przez czas naszego święta i nosiła wieniec z kłosów jęczmienia...

Przerwało mu tuzin głosów, wykrzykujących nazwiska

- niektóre całkiem niezrozumiale. Raphael wrzasnął: „Agnes Petit!”, na co Agnes, mająca ni mniej, ni więcej tylko trzydzieści pięć lat, zarumieniała się zachwycona i zawstydzona, tak że przez moment wyglądała niemal pięknie.

- Mireille Dupre!

- Colette Gaudin!

Żony całowały mężów i piszczwały z udawanym oburzeniem.

- Michele Petit! - Była to matka Michele, niezłomnie lojalna wobec córki.

- Georgette Lemaitre! - Henri zgłaszał swoją babkę, li-

}

293

Pięć ćwiartek pomarańczy

czącą co najmniej dziewięćdziesiąt lat i zaśmiewającą się z dowcipu.

Kilku młodych mężczyzn zagłosowało za Jeannette Crespin, a ona zarumieniła się jak piwonia, zasłaniając twarz rękami. Paul, który stał w milczeniu obok mnie, wystąpił nagle do przodu.

- Reine-Claude Dartigen! - zawołał głośno i pewnie; jego głos brzmiał mocno i niemal dorośle - głos mężczyzny, zupełnie niepodobny do jego powolnego, niepewnego zaciągania.

- Reine-Claude Dartigen! - krzyknął znowu, aż ludzie zaczęli się odwracać z ciekawością w jego stronę, wymieniając uwagi.

- Reine-Claude Dartigen! - zawołał jeszcze raz i podszedł do zdumionej Reinette z naszyjnikiem z dzikich jabłek w ręce.

- Proszę. To dla ciebie - powiedział ciszej, lecz wciąż bez śladu jąkania, i założył jej go na szyję. Drobne czerwono-żółte owocki lśniły w blasku październikowego słońca.

- Reine-Claude Dartigen - oznajmił po raz czwarty, ujął Reine za rękę i poprowadził do słomianego tronu. Pere Froment milczał z pełnym skrepowania uśmiechem, lecz pozwolił, by chłopiec włożył koronę z jęczmienia na głowę Reinette.

- Bardzo dobrze - oznajmił cicho. - Bardzo dobrze. -A potem dodał głośniejszym głosem: - Niniejszym ogłaszam Reine--Claude Dartigen tegoroczną królową dożynek!

Mogła to być niecierpliwość na myśl, że tyle wina i cydru czeka na wypicie. Mogło to być zaskoczenie faktem, że

biedny mały Paul Hourias mówi, nie zacinając się, pierwszy raz w życiu. Mógł to być widok zasiadającej na tronie Reinette z ustami jak wiśnie i w aureoli włosów rozświetlonych słońcem. Większość zebranych powitała wybór oklaskami. Kilku nawet zaczęło wiwatować i wykrzykiwać jej imię - sami mężczyźni, zauważyłam, nawet Raphael i Julien Lanicen, którzy byli w La Mauvaise Re-

294

Joannę Harris

putation tamtej nocy. Kilka spośród kobiet nie klaskało. Tylko parę, tylko garstka: matka Michele oraz złośliwe plotkarki - Marthe Gaudin i Isabelle Ramondin. Było ich jednak za mało i choć niektórzy wyglądali na niezadowolonych, przyłączyli się do wiwatów - kilku nawet klaskało, kiedy Reinette rzucała kwiaty i owoce ze swego kosza dzieciom ze szkoły niedzielnej. Wymykając się, przelotnie spojrzałam na matkę; uderzył mnie łagodny, ciepły wyraz jej twarzy - zarumienione policzki i oczy niemal tak błyszczące jak na zapomnianej ślubnej fotografii. Szal zsunął się jej z głowy, kiedy podbiegła do

Reinette. Myślę, że ja jedna to zauważyłam. Wszyscy pozostali patrzyli na moją siostrę. Nawet Paul gapił się na nią ze swego miejsca przy fontannie; głupawy wyraz powrócił na jego twarz, jakby nigdy jej nie opuszczał. Poczułam, jak coś mnie ściska w środku. Łzy zapiekły mnie w oczach tak boleśnie, że przez mgnienie byłam pewna, że to jakiś owad -może osa - uządlił mnie w powiekę.

Upuściłam pasztecik, który jadłam, i niezauważona wymknęłam się z tłumu. Tomas na mnie czeka. Nagle stało się ogromnie ważne, by w to uwierzyć. Tomas, który mnie kocha. Tomas, tylko on, na zawsze. Obejrzałam się, by utrwalić sobie ten obraz w pamięci. Moja siostra jako królowa dożynek - najpiękniejsza, jaka nosiła koronę -pek kłosów w jednej ręce, w drugiej jakiś krągły jaskrawy owoc - jabłko albo granat. Wsunął jej go w dłoń pere Froment; gdy ich oczy się spotkały, uśmiechnął się do niej na swój łagodny, owczy sposób. Uśmiech zamarły nagle na rozjaśnionej twarzy matki, gest odrazy. Jej głos dotarł do mnie niewyraźnie poprzez gwar rozbawionego tłumu Co to jest? Na miłość boską, co to? Kto ci to dał? A więc nie jabłko, zrozumiałam w tym momencie, ani granat. Nagrodą dla królowej dożynek była pomarańcza.

Uciekłam wtedy, gdy uwaga wszystkich była zaprzątnięta. Omal nie wybuchając śmiechem, z niewidzialną osą wciąż żądłącą mnie w powiekę, biegłam najszybciej jak

i

295

Pięć ćwiartek pomarańczy

mogłam, z powrotem nad rzekę, a niewyraźne myśli kłębiły mi się w głowie. Co jakiś czas musiałam przystawać, by minęły skurcze skręcające mi żołądek, spazmy dziwnie podobne do upiornego chichotu, lecz od których łzy ciekły mi z oczu. Pomarańcza! Przechowywana troskliwie i z miłością specjalnie na tę okazję, zawinięta w bibułkę dla królowej dożynek, trzymana w stulonej dłoni, kiedy matka... matka... Śmiech palił mnie niczym kwas, lecz towarzyszący mu ból był niewyobrażalny, zbijał z nóg, szarpał moje wnętrzności niczym pęk haczyków do ryb. Wyraz twarzy matki budził nową falę konwulsji za każdym razem, gdy go sobie

przypominałam; дума przeradzająca się w przerażenie - nie, grozę - na widok jednej małej pomarańczy. Pomiedzy kolejnymi atakami biegłam ile sił w nogach, obliczając, że dotarcie do Posterunku powinno mi zabrać jakieś dziesięć minut; jeśli dodać do tego czas spędzony na festynie - co najmniej dwadzieścia minut... Dławiłam się z przerażenia, że Tomas mógł już sobie pójść.

Tym razem go poproszę, obiecałam sobie. Poproszę, żeby mnie ze sobą zabrał, wszystko jedno dokąd - do Niemiec albo w lasy, albo na wieczną tułaczkę - cokolwiek zechce, jak długo on i ja... on i ja... W biegu modliłam się do Starej Mateczki, nie zważając na pędy jeżyn smagające mnie po gołych nogach. Proszę, Tomas. Proszę. Tylko ty. Na zawsze. Podczas tego szaleńczego biegu przez pola nie spotkałam nikogo. Wszyscy brali udział w festynie. Kiedy dotarłam do Stojących Kamieni, zaczęłam wołać ile sił w płucach jego imię; mój głos w jedwabistej ciszy nad rzeką brzmiał przenikliwie niczym krzyk czajki.

Czyżby już poszedł?

- Tomas! Tomas! - Ochrypłam ze śmiechu, ze strachu.

-Tomas! Tomas!

Był tak szybki, że zauważyłam go w ostatniej chwili. Wynurzył się z kryjówki w krzakach, jedną ręką złapał mnie za nadgarstek, drugą zasłonił usta. Przez sekundę go nie rozpoznałam - jego posępanej twarzy - i zaczęłam się

296

Joannę Harris

dziko wrywać, próbując go ugryźć w dłoń, wydając zduszone, ptasie odgłosy.

- Óóóó, Backfisch, co ty wyprawiasz, u diabła? -
Poznałam jego głos i przestałam się rzucać.

- Tomas. Tomas.

Nie mogłam przestać powtarzać jego imienia, znany zapach tytoniu i potu unoszący się z jego ubrania wypełniał mi nozdrza. Przycisnęłam jego płaszcz do twarzy; jeszcze dwa miesiące wcześniej nie ośmieliłabym się tak zrobić. Ukradkiem pocałowałam podszewkę z rozpaczliwym zapamiętaniem.

- Wiedziałam, że wrócisz. Wiedziałam. Patrzył na mnie bez słowa.

- Jesteś sama?

Oczy miał węższe niż zwykle, czujne. Kiwnęłam głową.

- Dobrze. Chcę, żebyś mnie wysłuchała.

Mówił bardzo wolno, z naciskiem, wyraźnie artykułując każde słowo. W kąciку ust nie dostrzegłam papierosa, w oczach - blasku. Wydawało się, że schudł przez ostatnich parę tygodni; rysy miał ostrzejsze, wargi cieńsze.

- Chcę, żebyś mnie uważnie wysłuchała.

Skinęłam głową na znak posłuszeństwa. Co tylko zechcesz, Tomas. Miałam wrażenie, jakby moje oczy zrobiły się jasne i gorące. Tylko ty, Tomas. Tylko ty. Chciałam mu opowiedzieć o matce, Reine i pomarańczy, lecz wyczułam, że nie jest to właściwa chwila. Słuchałam.

- Do wioski mogą przyjść żołnierze - powiedział. -W czarnych mundurach. Wiesz, co to znaczy, prawda?

Skinęłam.

- Niemiecka policja - odparłam. - SS.

- Właśnie. - Mówił urywanie, wyraźnie, zupełnie inaczej niż zwykle, kiedy niedbale przeciągał sylaby. - Mogą was wypytywać.

Popatrzyłam na niego nierozumiejąco.

- O mnie - wyjaśnił.

- Czemu?

-I

iQ7

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nieważne. - Wciąż mocno, niemal boleśnie, ścisnął

mnie za rękę. - Ciebie też mogą pytać o różne rzeczy. O to, co robiliśmy.

- To znaczy o magazyny i resztę?

- Tak. I o tego staruszka z kawiarni. Gustave'a. Tego, który utonął.

Rysy miał ściągnięte, posępne. Obrócił moją twarz i z bliska spojrział mi w oczy. Czułam zapach dymu papierosowego unoszący się z jego kołnierza, w jego oddechu.

- Posłuchaj, Backfisch. To ważne. Me wolno im nic powiedzieć. Nigdy mnie nie widziałaś. Nie byłaś w La Rep tamtego wieczoru na tańcach. Nie wiesz nawet, jak się nazywam. W porządku?

Przytaknęłam bez słowa.

- Nie zapomnij - polecił z naciskiem. - Nic nie wiesz. Nigdy ze mną nie rozmawiałaś. Powiedz pozostałym.

Znowu kiwnęłam głową; wyglądało, jakby się trochę

odprężył.

-1 jeszcze jedno. - Jego głos stracił całą szorstkość, stał się niemal pieszczotliwy. Poczułam, jak topnieję w środku niczym ciepły karmel. Spojrzałam na niego wyczekująco.

- Nie mogę tu więcej przychodzić - powiedział łagodnie. - Przynajmniej przez jakiś czas. Robi się zbyt niebezpiecznie. Ledwie mi się udało ten ostatni raz.

Milczałam przez chwilę.

- Moglibyśmy się zamiast tego spotykać w kinie - podsunęłam nieśmiało. - Tak jak kiedyś. Albo w lasach...

Tomas pokręcił niecierpliwie głową.

- Nie słuchałaś? - przerwał mi ostro. - Nie możemy się wcale spotykać. Nigdzie.

Poczułam na skórze ułęcia zimna jak od płatków śniegu. Mój umysł zmienił się w skłębioną czarną chmurę.

- Jak długo? - szepnęłam w końcu.

- Długo. - Czułam jego zniecierpliwienie. - Może nie spotkamy się już nigdy.

298

Joannę Harris

Wzdrygnęłam się i zaczęłam dygotać. Lodowate igły zmieniły się w użądlenia gorąca, jakbym tarzała się w pokrzywach. Ujął moją twarz w dłonie.

- Posłuchaj, Framboise - powiedział wolno. - Przykro mi. Wiem, że ty... - urwał nagle. - Wiem, że to trudne. - Wykrzywił się w uśmiechu, budzącym lęk, lecz równocześnie smutnym, niczym dzikie zwierzę próbujące udawać łagodność.

- Przyniosłem ci parę rzeczy - dodał po chwili. - Magazyny, kawę. - Znowu ten napięty, radosny uśmiech. - Gumę do żucia. Czekoladę. Książki.

Patrzyłam na niego bez słowa. Moje serce przypominało kawał zimnej gliny.

- Schowaj to tylko, dobrze? - Oczy mu błyszczały jak oczy dziecka dzielącego się wspaniałą tajemnicą. - I nie mów nikomu o nas. Nikomu.

Podszedł do krzaka, w którym się ukrywał, i wyciągnął paczkę obwiązaną sznurkiem.

- Otwórz - polecił. Gapiłam się na niego tępo.

- Śmiało. - Jego głos brzmiał matowo od wysiłonej radości. - To dla ciebie.

- Nie chcę.

- No, Backfisch, daj spokój... - Wyciągnął rękę, chcąc mnie objąć, ale go odepchnęłam.

- Powiedziałam, nie chcę! - To był znowu głos mojej matki, jazgotliwy i ostry, i nagle znienawidziłam Tomasa za to, że go ze mnie wydobyl. - Me chcę, nie chcę, nie chcę!

Uśmiechnął się do mnie bezradnie. - Daj spokój -

powtórzył. - Nie bądź taka. Ja tylko...

- Moglibyśmy uciec - wybuchnęłam gwałtownie.
-Znam mnóstwo dobrych miejsc w lasach. Moglibyśmy uciec i nikt by nie wiedział, gdzie nas szukać. Jedlibyśmy króliki i inne rzeczy... grzyby... jagody... -Twarz mi płonęła. Gardło miałam obolałe i wyschłe jak pergamin. - Bylibyśmy bezpieczni - nalegałam. - Nikt by nie wiedział...
- Lecz z wyrazu jego twarzy zrozumiałam, że to na nic.

i

299

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Nie - powiedział stanowczo. Czulałam, jak łzy napływają mi do oczu.

- Nie mógłbyś chociaż z-zostać jeszcze chwilę? - mówiłam teraz jak Paul, pokornie i głupio, ale nic nie mogłam na to poradzić. Jakaś część mnie chciała w lodowatym, dumnym milczeniu, bez słowa patrzeć, jak odchodzi, lecz słowa wyrywały się z moich ust mimo woli.

- Proszę. Zapaliłbyś papierosa albo sobie popływał, albo m-moglibyśmy iść na r-ryby...

Pokręcił głową.

Poczułam, jak coś we mnie zaczyna się zapadać wolno i nieodwołalnie. Gdzieś niedaleko usłyszałam nagły brzęk metalu o metal.

- Tylko parę minut. Proszę. - Jakże nienawidziłam w tej chwili własnego głosu; głupiego, zboląłego jęku. - Pokażę ci moje nowe pułapki. Pokażę ci pułapkę na szczupaki.

Jego milczenie było nie do zniesienia, bezbrzeźnie cierpliwe. Czulałam, jak nasz wspólny czas nieodwołalnie wymyka mi się z rąk. I znowu usłyszałam gdzieś niedaleko uderzenie metalu o metal; dźwięk, jaki wydają puszki uwiązane psu do ogona, i nagle go rozpoznałam.

- Proszę! To ważne! - Cienkim, dziecinnym głosem dla odmiany, z nadzieją zbawienia. Gorące łzy płynęły mi z oczu i dławiły w gardle. - Wszystko powiem, jeśli nie

zostaniesz, powiem, powiem...

Kiwnął głową raz, niecierpliwie.

- Pięć minut. Ani minuty więcej. W porządku? Łzy obeschły.

- W porządku.

12

Pięć minut. Wiedziałam, co mam robić. To była nasza ostatnia szansa - moja ostatnia szansa. Serce waliło mi jak młotem, zdesperowany umysł wypełniała dzika muzy-

300

Joannę Harris

ka. Dał mi pięć minut. Ogarnęło mnie uniesienie, kiedy ciągnęłam go za rękę w stronę rozległej łąchy, obok której zastawiłam ostatnią pułapkę. Modlitwa, którą recytowałam w myśli, gdy biegłam od wsi, zmieniła się w ogłuszający nakaz - tylko ty tylko ty och Tomas proszę och

proszę proszę proszę - serce biło mi tak mocno, że się obawiałam, że pękną mi bębenki.

- Dokąd idziemy? - Głos Tomasa był spokojny, rozbawiony, niemal znudzony.

- Chcę ci coś pokazać - wysapałam, mocniej pociągając go za rękę. - Coś ważnego. Chodź!

Słyszałam, jak dzwonią puszki przywiązane do bańki po nafcie. W pułapce coś jest, powiedziałam sobie z nagłym dreszczem podniecenia. Coś dużego. Puszki tańczyły dziko na wodzie, objijając się o beczułkę. Pod powierzchnią wody skrzynki obwiązane siatką kołysały się i drżały.

To musiała być ona. Po prostu musiała.

Ze skrytki pod brzegiem wyjęłam drewnianą tyczkę, której używałam do wyciągania ciężkich pułapek na powierzchnię. Ręce trzęsły mi się tak bardzo, że przy pierwszej próbie omal nie upuściłam kija do wody. Hakiem na końcu tyczki odczepiłam skrzynki od pływaka i odepchnęłam na bok beczkę. Skrzynki podskakiwały i

obijały się o siebie.

- Za ciężka! - krzyknęłam.

Tomas obserwował mnie z lekkim niepokojem.

- Co to jest, do diabła? - zapytał.

- Och, proszę... proszę... - Szarpałam skrzynki, starając się je wciągnąć na stromy brzeg. Woda wylewała się przez szpary w ich bokach. Coś dużego i silnego wiło się i rzucało w środku.

Usłyszałam, jak stojący obok Tomas zaczyna się śmiać.

- A niech cię, Backfisch - sapnął. - Zdaje się, że ją wreszcie dostałaś. Tę twoją Starą Mateczkę... Lieber Gott, ależ musi być wielka!

i

Pięć ćwiartek pomarańczy

Ledwo go słuchałam. Oddech drapał mnie w gardle jak papier ścierny. Czułam, jak moje bose pięty bezradnie ślizgają się w błocie. To coś, co trzymałam, cal po calu wciągało mnie w wodę.

- Me wypuszczę jej! - wysapałam ochryple. - Me wypuszczę!

Zrobiłam krok do tyłu, wlokąc za sobą przekłętą skrzynki. I drugi. Lada chwila mogłam się wywrócić na śliskim żółtym błocie. Tyczka boleśnie wrzynała mi się w plecy, gdy próbowałam jej użyć jako dźwigni. Gdzieś w głowie kołatała się radosna świadomość, że on patrzy, że jeśli tylko zdołam wywlec Starą Mateczkę na brzeg, moje życzenie... moje życzenie...

Krok. I następny. Wbiłam palce nóg w glinę i podciągnęłam się wyżej. Jeszcze jeden krok; brzemię stawało się coraz lżejsze, w miarę jak woda wylewała się ze skrzynek. Czułam, jak stworzenie zamknięte wewnątrz rzuca się wściekle o ściany. Jeszcze jeden krok.

A potem nic.

Szarpnęłam, lecz skrzynki nie drgnęły. Płacząc z bezsilnej wściekłości, szarpnęłam się w górę najdalej jak mogłam, lecz utkwiły mocno. Zapewne jakiś korzeń sterczący z nagiego dna niczym pień zepsutego zęba albo kłoda płynąca z prądem, która zaplątała się w siatkę.

- Zaczepiło się! - krzyknęłam z rozpaczą. - Cholerna pułapka o coś zaczepiła!

Tomas posłał mi rozbawione spojrzenie.

- To tylko stara ryba... - zaczął z odrobiną zniecierpliwienia.

- Proszę, Tomas - sapnęłam. - Jeśli ją puszcze... ucieknie... pomóż mi odzepić skrzynki... proszę...

- Ubłocę sobie mundur - zauważył łagodnie. Wzruszył ramionami, zdjął kurtkę i koszulę i zawiesił

je porządnie na krzaku.

Ręce drżały mi z wysiłku; trzymałam tyczkę, podczas gdy on wymacał przeszkodę.

Joannę Harris

- To kępa korzeni - zawołał do mnie. - Wygląda na to, że jedna listewka się obluzowała i zaplątała między nie. Mocno siedzi.

- Możesz jej dosięgnąć? - krzyknęłam. Wzruszył ramionami.

- Spróbuję.

Zdjął spodnie i powiesił je obok reszty munduru. Zostawił buty na brzegu. Zobaczyłam, jak zadrżał, wchodząc do wody - była tu głęboka - i usłyszałam, jak przeklina żartobliwie.

- Chyba zwariowałem - narzekał. - Można tu zamarznąć!

Stał niemal po ramiona w połyskującej brązowej wodzie. Pamiętam, że fale rozdzielały się w miejscu, gdzie

stał; prąd był tu akurat na tyle silny, by wokół jego ciała tworzyły się niewielkie blade falbanki piany.

- Dosięgniesz? - wrzasnęłam.

Czułam, jakby w ramiona wbito mi płonące druty, w głowie pulsowało mi silnie. Nadal czułam, jak ryba - wciąż na pół zanurzona w wodzie - obija się o ściany skrzynki.

- Jest tutaj - usłyszałam głos Tomasza. - Tuż pod powierzchnią. Myślę... - plusk, kiedy zanurkował niespodziewanie i zaraz wynurzył się zręcznie jak wydra. - Trochę dalej...

Naparłam na kij całym ciężarem ciała. Skronie mi płonęły, chciałam krzyknąć z bólu i rozpacz. Pięć sekund... dziesięć... prawie mdlałam, czarno-czerwone kwiaty rozkwiły mi pod powiekami; modliłam się - proszę och proszę wypuszczę cię przysięgam przysięgam tylko proszę proszę Tomas tylko ty Tomas tylko ty na zawsze tylko...

Nagle, bez ostrzeżenia, skrzynki drgnęły. Zatoczyłam się, niemal wypuszczając z rąk tyczkę, uwolniona pułapka

omal mnie nie przygniotła. Niewiele widząc na oczy, czując w gardle posmak metalu, wtargałam ją wysoko na brzeg, wbijając sobie drzazgi z połamanej skrzynki pod paznokcie i w pokryte pęcherzami dłonie. Szarpałam siat-

\

303

Pięć ćwiartek pomarańczy

kę, zdzierając sobie skórę z rąk, przekonana, że ryba uciekła... Coś uderzyło o ścianę skrzynki. Plask-plask-plask. Nagle przypomniała mi się matka i to, jak nas szorowała prawie do krwi, kiedy nie chcieliśmy się myć. Wściekły mokry, płaszczący dźwięk myjki uderzającej o emaliowaną miskę. Spójrz na tę twarz, Boise, toż to wstyd! Chodź tutaj; ja to zrobię...

Plask-plask-plask. Dźwięk był teraz słabszy, mniej energiczny, choć wiedziałam, że ryba może się rzucać nawet przez pół godziny od złapania. Przez szpary widziałam w ciemności wielki kształt o barwie ciemnej oliwy i co jakiś czas lśniące oko, podobne do kulki z

łożyska kulkowego, wpatrujące się we mnie w smudze słonecznego światła. Poczułam ukłucie radości tak silne, że wydawało mi się, że umrę.

- Stara Mateczko - wyszeptalam schrypnięta. - Stara Mateczko. Ja chcę. Ja chcę. Spraw, niech on zostanie. Niech Tomas zostanie.

Wypowiedziałam życzenie szybko, by Tomas nie dosłyszał, co mówię. Po chwili, ponieważ nie wyszedł jeszcze na brzeg, powtórzyłam je, na wypadek gdyby stara ryba nie dosłyszała za pierwszym razem:

- Niech Tomas zostanie. Niech zostanie na zawsze.

Zamknięty w skrzynce szczupak rzucał się i wił. Widziałam teraz zarys jego pyska - półksiężyc wykrzywiony w dół w kwaśnym grymasie, najeżony haczykami pozostałymi po poprzednich polowaniach. Czułam przerażenie rozmiarami zdobyczy, dumę ze zwycięstwa, szaloną, bezbrzeżną ulgę... Nareszcie wszystko skończone. Koszmar, który zaczął się od śmierci Jeannette i wodnych węży; pomarańcze; szaleństwo matki... wszystko kończyło się tutaj, na brzegu rzeki. Ta

dziewczynka, bosa i w zabłoconej spódnicy, z krótkimi włosami zlepionymi błotem i jaśniejącą twarzą; ta skrzynka; ta ryba; ten mężczyzna, bez munduru i z ociekającymi wodą włosami wyglądają-

304

Joannę Harris

?? niemal jak chłopak... Rozejrzałam się wokół zniecierpliwiona.

- Tomas! Chodź, zobacz!

Cisza. Tylko cichy plusk fal objających się o błotnisty brzeg. Wstałam i podeszłam do wody.

- Tomas!

Po Tomasie jednak nie było śladu. Tam, gdzie nurkował, widać było tylko gładką kremową powierzchnię o barwie cafeau lait i kilka bąbelków powietrza.

- Tomas!

Może powinnam była wpaść w panikę. Gdybym zareagowała od razu, może bym go uratowała, uniknęła nieuniknionego... Tak mówię sobie teraz. Wtedy jednak, wciąż jeszcze oszołomiona zwycięstwem, z nogami trzęsącymi się z wysiłku i zmęczenia, mogłam tylko wspominać setki razy, jak obaj z Cassisem bawili się w tę grę: nurkowali głęboko pod powierzchnię i udawali, że utonęli. Kryli się w dziurach w piaszczystym brzegu, a potem wynurzali, czerwoni na twarzach i roześmiani, a Reinette wrzeszczała i wrzeszczała... W skrzynce Stara Mateczka walczyła dumnie. Zrobiłam jeszcze kilka kroków w stronę wody.

- Tomas?

Cisza. Stałam tak przez chwilę, która wydawała się wiecznością.

- Tomas? - wyszeptalam.

Loara syczała jak jedwab. Ruchy Starej Mateczki osłabły. Z błotnistego brzegu długie żółte korzenie wyciągały się ku wodzie niczym palce czarownicy.

Zrozumiałam.

Moje życzenie się spełniło.

Kiedy Cassis i Reine znaleźli mnie dwie godziny później, leżałam z suchymi oczami nad rzeką, jedną ręką obejmując buty Tomasa, z drugą opartą na połamanej skrzynce zawierającej zaczynające już cuchnąć zwłoki wielkiej ryby.

i

305

20. Pięć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy 13

Byliśmy tylko dziećmi. Nie wiedzieliśmy, co robić. Baliśmy się - Cassis zapewne najbardziej, bo był starszy i rozumiał znacznie lepiej niż my, co się stanie, jeśli zostaniemy zamieszani w sprawę śmierci żołnierza. To on zanurkował i odszukał Tomasa pod skarpą, wyplątał jego stopę spod korzenia, który ją uwięził, i wyciągnął ciało na

brzeg. To Cassis zdjął z niego resztę ubrań, złożył je i przewiązał pasem. Płakał, lecz tego dnia była w nim jakaś twardość, coś, czego nie dostrzeżliśmy nigdy wcześniej. Widocznie wykorzystał tego dnia zapas dzielności na całe życie, doszłam później do wniosku. Pewnie dlatego później uciekał w łagodne alkoholowe zapomnienie. Reine okazała się bezużyteczna. Siedziała na brzegu, płacząc przez cały czas, z twarzą całą w cętkach i niemal brzydką. Dopiero gdy Cassis potrząsnął nią i powiedział, że musi przysiąc -przysiąc! - zdobyła się na reakcję i pokiwała głową wśród łez i szlochów. Tomas, och, Tomas! Pewnie dlatego mimo wszystko nigdy nie zdołałam zniechęcić Cassisa. Ostatecznie trwał przy mnie tamtego dnia, a to było więcej, niż zrobił dla mnie ktokolwiek. To znaczy, do dziś.

- Musicie zrozumieć jedno. - Jego chłopięcy głos, drżący ze strachu, brzmiał dziwnie podobnie do głosu Tomasa. - Jeśli się o nas dowiedzą, pomyślą, że to my go zabiliśmy. Rozstrzelają nas.

Reine wpatrywała się w niego wielkimi przerażonymi oczyma. Popatrzyłam za rzekę, czując się dziwnie obojętna, nieporuszona. Mnie nikt nie rozstrzela.

Złowiłam Starą Mateczkę. Cassis uderzył mnie mocno po ręce. Wyglądał na wstrząśniętego, lecz zdeterminowanego.

- Boise! Słyszysz, co mówię? Kiwnęłam głową.

- Musimy upozorować, że zrobił to ktoś inny - oznajmił. - Ruch oporu albo co. Jeśli pomyślą, że utonął...
-Urwał, popatrzył na rzekę z zabobonnym lękiem. - Jeśli

306

Joannę Harris

odkryją, że poszedł pływać z nami... mogą przesłuchać innych, Hauera i resztę... i... - przełknął nerwowo ślinę. Nie było potrzeby wyjaśniać. Spojrzeliśmy na siebie.

- Musimy zrobić, żeby wyglądało na... - Popatrzył na mnie niemal błagalnie. - Wiesz. Egzekucję.

Przytaknęłam.

- Ja to zrobię - powiedziałam.

Zrozumienie, jak działa pistolet, zajęło mi chwilę. Trzeba go było odbezpieczyć. Broń była ciężka, pachniała oliwą. Musieliśmy zdecydować, gdzie strzelić. Ja twierdziłam, że w serce; Cassis - że w głowę. Wystarczy jeden strzał, powiedział, w samą skroń, żeby to wyglądało na robotę ruchu oporu. Związaliśmy mu ręce sznurkiem dla większego realizmu. Dźwięk wystrzału stłumiliśmy jego kurtką, lecz mimo to zdawało się, że huk - matowy, a mimo to odbijający się uporczywym echem - wypełnia cały świat.

Ból zapadł we mnie głęboko, zbyt głęboko, bym czuła cokolwiek prócz odrętwienia. Mój umysł przypominał rzekę, gładką i lśniąca na powierzchni, w głębi przejmującą chłodem. Zaciągnęliśmy Tomasa na skraj wody i wrzuciliśmy w fale. Wiedzieliśmy, że bez ubrania i plaketek identyfikacyjnych będzie praktycznie nierozpoznawalny. Do jutra, mówiliśmy sobie, nurt może go zanieść do samego Angers.

- Co z ubraniami? - Usta Cassisa otaczała sinawa obwódka, lecz wciąż mówił zdecydowanym tonem. - Nie możemy ryzykować, wrzucając je po prostu do rzeki. Ktoś

mógłby je znaleźć. I poznać...

- Możemy je spalić - podsunęłam.

Pokręcił głową. - Za dużo dymu - odparł krótko. -
Poza tym, nie spalisz pistoletu, pasa ani identyfikatorów.

Obojętnie wzruszyłam ramionami. Oczyma wyobraźni
wciąż od nowa widziałam, jak Tomas wtacza się miękko
do wody, niczym zmęczone dziecko opadające na łóżko.
Przyszędł mi do głowy pomysł.

i

307

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Jaskinia Morloków - podsunęłam. Pokiwał głową.

- W porządku - zgodził się.

14

Studnia wygląda prawie tak jak wtedy, chociaż ktoś zalał ją betonem, żeby nie wpadło do niej jakieś dziecko. Oczywiście dzisiaj mamy kanalizację. Za czasów matki tylko ona dostarczała nam wody zdatnej do picia - nie licząc deszczówki, której używaliśmy wyłącznie do podlewania. Był to spory ceglany cylinder, wysoki na jakieś półtora metra, zaopatrzony w ręczną pompę. Drewniana kłapa zamykana na kłódkę chroniła przed nieszczęśliwym wypadkiem i zanieczyszczeniami. Czasem, kiedy trwała susza, woda stawała się żółta i nabierała słonawego smaku, przez większą część roku jednak pozostawała słodka. Po przeczytaniu „Wehikułu czasu” oboje przeszliśmy fazę zabaw w Morloków i Elojów. Studnia swoją posępną solidnością przypominała mi ciemne jaskinie, w których żyły stworzenia mroku. Zaczekaliśmy z powrotem do domu, aż zapadła noc. Zawiniątko z rzeczami Tomasa ukryliśmy w gęstej kępie lawendy na końcu ogrodu. Przynieśliśmy też paczkę z magazynami - po tym, co się stało, nawet Cassis nie miał ochoty do niej zajrzeć. Jedno z nas musi znaleźć jakąś wymówkę, żeby wyjść na zewnątrz, oświadczył - naturalnie miał na myśli mnie - szybko złapać paczki i wrzucić je do studni. Klucz do kłódki wisi na drzwiach wraz z innymi kluczami - jest nawet podpisany (kolejny

dowód namiętnego zamięłowania naszej matki do porządku) - więc łatwo go można zabrać i odwiesić na miejsce bez jej wiedzy. Potem, zakończył z tą niezwykle surowością w głosie, reszta jest w naszych rękach. Nigdy nie znałyśmy Tomasa Leibniza, nigdy o nim nie słyszałyśmy. Nigdy nie rozmawiałyśmy z żadnymi niemieckimi żołnierzami. Hauer i pozostali bę-

308

Joannę Harris

dą milczeć, jeśli mają odrobinę rozumu. Jedyne, co miałyśmy robić, to udawać głupie i nic nie mówić.

Ś 15

Okazało się to łatwiejsze, niż oczekiwaliśmy. Matka dostała ataku i była zbyt zajęta własnym cierpieniem, by zwrócić uwagę na nasze blade twarze i mętny wzrok. Z miejsca zapędziła Reine do łazienki, upierając się, że czuje od niej zapach pomarańczy, po czym szorowała jej ręce pumeksem i kamforą, aż ta zaczęła krzyczeć i płakać. Wynurzyły się stamtąd po dwudziestu minutach -

Reinette z włosami zawiniętymi w ręcznik i pachnąca mocno kamforą, matka posepna i z ustami zaciśniętymi od tłumionego gniewu. Kolacji nie było.

- Zróbcie coś sobie, jeśli chcecie - poleciła. - Włóczę się po lasach jak Cyganie. Popisują się na rynku...

Prawie jęknęła, dotykając skroni dobrze znanym, ostrzegawczym gestem. Milczenie; popatrzyła na nas jak na obcych, potem siadła w swoim bujanym fotelu przy kominku i wściekle ścisnęła w dłoniach robótkę. Kołysząc się, wpatrywała się gniewnie w płomienie.

- Pomarańcze - mruknęła cicho. - Po co znosicie do domu pomarańcze? Tak bardzo mnie nienawidzicie?

Trudno było stwierdzić, do kogo się zwraca, więc żadne z nas nie ośmieliło się odpowiedzieć. Zresztą nie jestem pewna, czy w ogóle byśmy odpowiedzieli.

O dziesiątej poszła do swojego pokoju. Dla nas była to już późna pora, lecz matka, która w czasie ataków często traciła poczucie czasu, nic nie powiedziała. Zostaliśmy w kuchni jeszcze chwilę, nasłuchując, jak się przygotowuje

do snu. Cassis poszedł do piwnicy po coś do jedzenia; wrócił z kawałkiem rillettes zawiniętym w papier i połową bochenka chleba. Zjedliśmy, choć żadne z nas nie było szczególnie głodne. Myślę, że chcieliśmy uniknąć rozmowy.

1

309

Pięć ćwiartek pomarańczy

Wciąż mieliśmy przed oczyma potworny czyn, jaki popełniliśmy. Jego blada skóra mieszkańca północy niemal sina na tle barwnych liści, odwrócona twarz, ciało sennym, miękkim ruchem wtaczające się do wody. Przysypywanie liśćmi miazgi, w jaką zmienił się tył jego głowy -dziwne, że wlot kuli jest taki mały i czysty - powolny, wspaniały rozbryzg fal... Moją rozpacz splamiła mroczna wściekłość. Oszukałaś mnie, pomyślałam. Oszukałaś. Oszukałaś mnie!

Cassis pierwszy przerwał milczenie.

- Powinnaś... no, wiesz... zrobić to teraz. Posłałam mu spojrzenie pełne nienawiści.

- Musisz iść - nalegał. - Potem będzie za późno. Reine patrzyła na nas oboje błagalnym, bezradnym

wzrokiem.

- W porządku - odparłam bezbarwnie. - Idę.

Potem raz jeszcze poszłam nad rzekę. Nie wiem, co się spodziewałam tam zobaczyć - być może ducha Tomasa Leibniza, opierającego się o pień wiązu z papierosem w kąciку ust - lecz miejsce wydawało się dziwnie zwyczajne, nawet bez upiornej ciszy, której się spodziewałam po tak przerażającym zdarzeniu. Żaby rechotały. Woda pluskała cicho o podcięty brzeg. W chłodnym szarawym blasku księżycy martwa ryba gapiała się we mnie oczyma niczym metalowe kulki i z rozwartym oślinionym pyskiem. Nie mogłam się uwolnić od myśli, że nie zdechła, że słyszy każde słowo, że słucha...

- Nienawidzę cię - powiedziała do niej cicho. Stara Mateczka patrzyła na mnie z obojętną pogardą.

Haczyki obrzeżały jej wykrzywiony zębaty pysk, niektóre tak stare, że wrosły w ciało. Wyglądały jak dziwaczne kły.

- Wypuściłabym cię - ciągnęłam dalej. - Wiesz, że tak.
- Położyłam się obok na trawie, niemal dotykając jej twarzą. Smród gnijącego mięsa mieszał się z wilgotym zapachem ziemi. - Oszukałaś mnie.

310

Joannę Harris

W bladym świetle oczy ryby wyglądały niemal tak, jakby rozumiała. Miały wyraz tryumfu.

Nie wiem, jak długo zostałam na dworze tej nocy. Chyba się trochę zdrzemnęłam, bo kiedy się zbudziłam, księżyc znajdował się kawałek dalej w dół rzeki, wąski sierp odbijał się w gładkiej mlecznej wodzie. Chłód przejmował do kości. Rozcierając ścierpięte dłonie i stopy, usiadłam, potem ostrożnie podniosłam martwego szczupaka. Był ciężki, oślizgły od rzeczego szlamu, ostre

haczyki wbite w jego połyskującą skórę wyglądały niczym resztki pancerza. W milczeniu poniosłam go do Stojących Kamieni, na których przez całe to lato przybijałam zwłoki wodnych węży. Zawiesiłam rybę za dolną szczękę na jednym z gwoździ. Jej ciało było chłodne i elastyczne; przez chwilę obawiałam się, że skóra się nie rozerwie, ale z pewnym wysiłkiem zdołałam ją przebić. Stara Mateczka zawisała z otwartą paszczą nad powierzchnią wody, w spódnicy z węzowych skór kołyszących się na wietrze.

- Przynajmniej cię dostałam - powiedziałam cicho.

Przynajmniej cię dostałam.

16

Mało brakowało, a z pierwszej rozmowy nic by nie wyszło.

Kobieta, która odebrała, zasiedziała się w pracy - było już dziesięć po piątej - i zapomniała włączyć automatyczną sekretarkę. Wydawała się bardzo młoda i znudzona; poczułam, jak na dźwięk jej głosu ściska mi się serce. Wybełkotałam swoją wiadomość dziwnie

zdrętwiałymi wargami. Wolałabym kogoś starszego, kto by pamiętał wojnę, kto by znał nazwisko mojej matki. Przez chwilę byłam pewna, że odłoży słuchawkę, powie mi, że tamta stara historia jest dawno zamknięta i nikogo nie obchodzi...

Wyobraziłam sobie nawet, że to usłyszałam. Sięgnęłam ręką, by przerwać połączenie.

31 1

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Madame? Madame? - powtarzał nagłoco głos w słuchawce. - Jest tam pani?

Zmusiłam się, żeby powiedzieć: „Tak”.

- Powiedziała pani „Mirabelle Dartigen”?

- Tak. Jestem jej córką. Framboise.

- Proszę poczekać. - Za profesjonalną uprzejmością dosłyszałam wielkie napięcie, zniknął wszelki ślad

znudzenia. - Proszę. Proszę się nie rozłączać.

17

Spodziewałam się artykułu, może z paroma zdjęciami. Tymczasem rozmawiają ze mną o prawach do filmu, prawach do rozpowszechniania za granicą, o książce... Ale ja nie potrafię napisać książki, odpowiedziałam przerażona. Potrafię czytać, oczywiście, ale co do pisania... I jeszcze w moim wieku... Nic nie szkodzi, uspokajali. Pomoże mi profesjonalista.

Ghostwriting. Aż zadrzałam, słysząc to słowo.

Z początku myślałam, że robię to, żeby się zemścić na Laure i Yannicku. Odebrać im sławę. Lecz czas na to minął. Jak powiedział kiedyś Tomas, można się bronić na różne sposoby. Poza tym teraz wydają mi się żałośni. Yannick pisał do mnie jeszcze kilka razy, z coraz większą natarczywością. W tej chwili jest w Paryżu. Laure podała do sądu o rozwód. Nie próbowała się ze mną kontaktować. Wbrew sobie trochę ich żałuję. Ostatecznie nie mają dzieci. Nie wiedzą, jaką to stwarza różnicę między nami.

Drugą osobą, do której zadzwoniłam tego wieczoru, była Pistache. Córka podniosła słuchawkę niemal od razu, jakby czekała na sygnał. Jej głos wydawał się spokojny i odległy. W tle słyszałam, jak Prune i Ricot bawią się w jakąś hałaśliwą grę, i szczekanie psa.

- Oczywiście, że przyjadę - powiedziała łagodnie.
-Jean-Marc zajmie się dziećmi przez parę dni.

312

Joannę Harris

Moja słodka Pistache. Taka cierpliwa i niewymagająca. Skąd może wiedzieć, co to znaczy mieć we wnętrzu miejsce twarde jak kamień? Nigdy go nie miała. Może mnie kochać - nawet mi wybaczyć - ale nigdy naprawdę nie zrozumie. Może tak dla niej lepiej.

Ostatni telefon był za granicę. Zostawiłam wiadomość, walcząc z nieznanym akcentem, niemożliwymi do wypowiedzenia słowami. Mój głos wydawał się stary i drżący, i musiałam powtórzyć kilka

razy, żeby mnie usłyszano przez brzęk porcelany, rozmowy i muzykę z szafy grającej. Miałam tylko nadzieję, że to wystarczy.

18

Co zdarzyło się dalej, wszyscy wiedzą. Tomasa znaleziono następnego ranka, wcale nie pod Angers. Zamiast popłynąć z nurtem, jego ciało zostało wyrzucone przez fale na mieliznę pół mili od wioski. Znalazła je ta sama grupa Niemców, która odkryła jego motocykl ukryty w kępie krzaków przy drodze prowadzącej od Stojących Kamieni. Paul powtórzył nam plotki krążące we wsi: że to członkowie ruchu oporu zastrzelili niemieckiego wartownika, który ich złapał po godzinie policyjnej; że snajper-komu-nista zastrzelił go, chcąc zdobyć jego papiery; że była to egzekucja przeprowadzona przez jego własnych kolegów, gdy odkryli, że handluje na czarnym rynku wyposażeniem wojskowym. Niemcy - w szarych i czarnych mundurach - pojawili się nagle w całej wsi i przeszukiwali dom po domu.

Nasz dom sprawdzili powierzchownie. Ostatecznie nie mieszkał tu żaden mężczyzna, tylko kilkoro smarkaczy z

chorą matką. Otworzyłam im drzwi, kiedy zapukali, i oprowadziłam po pokojach, lecz wydawali się przede wszystkim zainteresowani tym, co wiemy o Raphaelu Crespin. Paul wyjaśnił nam, że Raphael zniknął wcześniej

\

513

Pięć ćwiartek pomarańczy

tego dnia - a może jeszcze w nocy - bez śladu, zabierając swoje dokumenty i pieniądze. W piwnicy La Mauvaise Reputation Niemcy znaleźli skrzynkę broni i zapas materiałów wybuchowych wystarczający, by dwa razy wysadzić w powietrze całe Les Laveuses.

Niemcy przyszli do nas jeszcze raz, przeszukali wszystko od piwnic po strych, po czym - jak się wydawało - zupełnie stracili zainteresowanie nami. Przy okazji zauważyłam - prawie bez zdziwienia - że oficer SS dowodzący oddziałem to ten sam jowialny mężczyzna o czerwonej twarzy, który na początku lata chwalił nasze truskawki, w dniu, kiedy pierwszy raz zobaczyłam

Tomasa. Nadal był rumiany i jowialny, mimo ponurej natury prowadzonego śledztwa, mimochodem wzburzył mi włosy, gdy szedł sprawdzić, czy żołnierze zostawili po sobie porządek.

Na drzwiach kościoła zawieszono odezwę po francusku i niemiecku, by każdy, kto posiada jakieś informacje o sprawie, dobrowolnie zgłosił się na posterunek. Matka pozostała w swoim pokoju z powodu migreny; przespała dzień i mówiła do siebie w nocy.

My spaliśmy źle, dręczeni przez koszmary.

Tamto stało się niemal ukradkiem. Nim się dowiedzieliśmy, było po wszystkim. Odbyło się o szóstej rano we wtorek pod zachodnią ścianą kościoła Świętego Benedykta, obok fontanny, gdzie zaledwie dwa dni wcześniej Rei-nette siedziała w koronie z jęczmienia na głowie, rzucając kwiaty.

Paul przyszedł nam powiedzieć. Twarz miał bladą i pokrytą plamami, żyła nabrzmiała mu na czole, kiedy nam opowiadał, ani na chwilę nie przestając się jąkać. Słuchaliśmy w pełnej grozy ciszy, ogłuszeni,

zastanawiając się, jak mogło do tego dojść, w jaki sposób niewielkie zasiane przez nas ziarno mogło rozkwitnąć krwawym kwiatem. Nazwiska zapadały w moją pamięć niczym kamienie rzucone w głęboką wodę. Dziesięć nazwisk, których nie zapomnę nigdy, jak długo będę żyła.
Martin Dupre. Jean-Marie

314

Joannę Harris

Dupre. Colette Gaudin. Philippe Hourias. Henri Lemaitre. Ju-lien Lanicen. Arthur Lecoz. Agnes Petit. Francois Ramondin. Augustę Truriand. Dźwięczą w mojej pamięci jak refren piosenki, od której nie można się uwolnić; zaskakują mnie we śnie, rozbrzmiewają w moich snach, punktując wydarzenia mojego życia z nieubłaganą precyzją. Dziesięć nazwisk. Dziesięć osób, które znajdowały się w La Mauvaise Reputation tej nocy, gdy odbyły się tańce.

Dowiedzieliśmy się później, że rozstrzygnęło o tym zniknięcie Raphaela. Broń w piwnicy sugerowała, że właściciel kawiarni miał powiązania z ruchem oporu. Nikt

nie wiedział na pewno. Być może cały interes stanowił przykrywkę dla starannie zorganizowanej działalności ruchu, a może śmierć Tomasa była jedynie zemstą za zastrzelenie starego Gustave'a parę tygodni wcześniej. Jakkolwiek było, Les Laveuses zapłaciło drogo za swój nieśmiały bunt. Jak osy wczesną jesienią, Niemcy wyczuli zbliżający się koniec i odpłacili instynktownym okrucieństwem.

Martin Dupre. Jean-Marie Dupre. Colette Gaudin. Philippe Hourias. Henri Lemaitre. Julien Lanicen. Arthur Lecoz. Agnes Petit. Francois Ramondin. Augustę Truriand. Zastanawiałam się, czy padali w milczeniu jak we śnie, czy może płakali, błagali o litość, czepiali się jedni drugich, by uniknąć śmierci. Zastanawiałam się, czy Niemcy oglądali później ciała, czy uciszyli któreś, wciąż jeszcze drgające, kolbą karabinu; może jakiś żołnierz podciągnął skrwawioną spódnicę, by odsłonić gładkie udo... Paul mówił, że w ciągu sekundy było po wszystkim. Nikomu nie pozwolono patrzeć, Niemcy wycelowali broń w zasłonięte okna. Mimo to wyobrażam sobie mieszkańców wsi za zasłonami, chciwie przywierających oczyma do szpar i dziur po sękach, z ustami rozdziawionymi w idiotycznym szoku. Potem szepty,

zniżone głosy, zdławione słowa - tak jakby słowa mogły pomóc im zrozumieć.

Idą! Chłopcy z rodziny Dupre. I Colette, Colette Gaudin. Philippe Hourias. Henri Lemaitre - jak to, ten nie skrzyw-

I

Pięć ćwiartek pomarańczy

dziłby muchy, trzeźwieje ledwie na dziesięć minut w ciągu dnia - i stary Julien Lanicen. Arthur Lecoz. I Agnes, Agnes Petit. I Francois Ramondin. I Augustę Truriand.

Z kościoła, gdzie zaczęła się poranna msza, rozbrzmiewa chór głosów. Hymn dożynkowy. Przed zamkniętymi drzwiami dwóch żołnierzy stoi na warcie ze znudzonymi, wykrzywionymi twarzami. Pere Froment beczy słowa liturgii, wierni mamroczą za nim. Tylko parę tuzinów ludzi dzisiaj, twarze surowe i oskarżające, bo plotka głosi, że proboszcz poszedł na współpracę z Niemcami. Organy grają melodię najgłośniej jak to możliwe, lecz mimo to słycać kule uderzające w

zachodnią ścianę kościoła, stłumiony trzask metalu o kamień. Dźwięk ten utkwiał w ciele każdego członka tego zgromadzenia niczym wrosnięty w skórę haczyk na ryby, do końca życia. Ktoś stojący pod chórem zaczyna śpiewać Marsylianę, lecz głos wydaje się przepity, a słowa zbyt głośne w nagle zapadłej ciszy i śpiewak milknie zawstydzony.

Widzę to wszystko w snach wyraźniej niż w pamięci. Widzę ich twarze. Słyszę głosy. Widzę nagłe, gwałtowne przejście z życia do śmierci. Lecz ból utkwiał we mnie zbyt głęboko, bym go mogła dosięgnąć, więc kiedy się budzę z mokrą od łez twarzą, ogarnia mnie uczucie dziwnego zdumienia - niemal obojętności. Tomas odszedł. Nic innego nie ma znaczenia.

Podaję, że byliśmy w szoku. Nie rozmawialiśmy o tym, lecz wróciliśmy każde do własnych zajęć. Reinetto do swojego pokoju, gdzie mogła leżeć na łóżku, godzinami przeglądając fotosy, Cassis do książek - coraz bardziej przypominał w moich oczach mężczyznę w średnim wieku, jakby coś w nim pękło - ja do lasów i nad rzekę. Przez ten okres nie zwracaliśmy na matkę większej uwagi, choć jej ataki powtarzały się równie często jak dotychczas,

a trwały dłużej niż te latem. Wtedy jednak zapomnieliśmy się jej bać. Nawet Reinette nie pamiętała, by drzeć przed napadami jej gniewu. Zabiliśmy. Czegóż mieliśmy się obawiać?

316

Joannę Harris

Moja nienawiść nie znalazła jeszcze celu, podobnie mój gniew - Stara Mateczka tkwiła przybita do kamienia, więc nie można jej było winić za śmierć Tomasa - czułam jednak, jak się we mnie porusza, czujna niczym oko aparatu fotograficznego w ciemności, rejestrujące wszystko, nieubłagane. Opuszczając swój pokój po kolejnej bezsennej nocy, matka wyglądała na bladą, zmęczoną i zrozpaczoną. Poczułam, jak nienawiść koncentruje się we mnie na jej widok, skupia w doskonale czarną igłę objawienia.

To przez ciebie przez ciebie przez ciebie

Spojrzała na mnie, jakby usłyszała.

- Boise? - Jej głos był drżący, bezbronny. Odwróciłam się plecami, czując w sercu nienawiść jak

grudkę lodu.

Usłyszałam za sobą zduszone westchnienie.

18

Woda studzienna była zwykle słodka i przezroczysta, chyba że panowała susza. W tym tygodniu zrobiła się rdzawa, jak z torfowiska, i nabrała dziwnego smaku, gorzkawego i palącego, jak gdyby wrzucono do niej liście. Przez parę dni ignorowaliśmy to, lecz sprawy miały się coraz gorzej. Nawet matka, której atak wreszcie się skończył, zwróciła na to uwagę.

- Może coś wpadło do studni - zasugerowała. Gapiliśmy się na nią ze zwykłą obojętnością.

- Muszę sprawdzić - zdecydowała.

Czekaliśmy na jej odkrycie z udawanym stoicyzmem.

- Nie może niczego udowodnić - pocieszał się Cassis desperacko. - Nie domyśli się.

Reine chlipała.

- Może, może - zawodziła. - Odkryje wszystko i się domyśli...

-I

317

Pięć ćwiartek pomarańczy

Cassis wbił zęby w pięść, jakby chciał powstrzymać krzyk. - Czemu nam nie powiedziałaś, że w paczce była kawa? - jęknął. - Czy ty nie myślisz?

Wzruszyłam ramionami. Ja jedna pozostałam spokojna.

Do odkrycia nie doszło. Matka wróciła z wiadrem zeschniętych liści i oznajmiła, że studnia jest czysta.

- To pewnie przez to, że rzeka przybrała - wyjaśniła niemal radośnie. - Jak opadnie, wszystko wróci do normy. Zobaczycie.

Zamknęła pokrywę na kłódkę, a klucz nosiła od tej pory przy pasku. Nie mieliśmy okazji zajrzeć do środka.

- Paczka musiała opaść na dno - orzekł w końcu Cassis. - Była ciężka, nie? Nie znajdzie jej, chyba że studnia wyschnie.

Wiedzieliśmy wszyscy, że to mało prawdopodobne. A do przyszłego lata zawartość paczki zmieni się w osad na dnie. Byliśmy uratowani.

19

Przepis na creme de framboise.

Poznałam je od razu. Przez chwilę sądziłam, że to po prostu garść liści. Wyciągnęłam bosakiem do oczyszczania wody. Oczyszczyć maliny i obrać z ogonków. Namoczyć w ciepłej wodzie przez pół godziny. Potem zauważyłam, że to ubrania związane pasem. Nie

musiałam przeszukiwać kieszeni, żeby wiedzieć. Osaczyć owoce z wody i nasypać do dużego słoja, tak żeby przykryły dno. Posypać grubą warstwą cukru. Układać kolejne warstwy, aż słoje będzie wypełniony do połowy. Z początku nie mogłam myśleć. Powiedziałam dzieciom, że wyczyściłam studnię i poszłam się położyć do siebie. Zamknęłam pokrywę na kłódkę. Nie mogłam myśleć jasno. Ostrożnie zalać wszystko koniakiem, żeby nie zburzyć warstw. Zostawić na co najmniej osiemnaście miesięcy.

318

Joannę Harris

Pismo jest staranne i ścisłe - dziwaczne hieroglify, których używa, kiedy chce, by zapiski pozostały jej tajemnicą. Słyszę niemal jej głos; lekko nosowe brzmienie; przerażająco rzeczową konkluzję.

Musiałam to zrobić. Tak często śniłam o przemocy, więc tym razem rzeczywiście musiałam to zrobić. Jego ubrania w studni. Błaszki z jego nazwiskiem w kieszeni. Musiał znowu przyjść i zastrzeliłam go, obdarłam z

ubrania i wrzuciłam do rzeki. Prawie to sobie przypominam teraz, lecz nie całkiem, jak sen. Tak wiele rzeczy wydaje mi się ostatnio snem. Nie mogę powiedzieć, że żałuję. Po tym, co mi zrobił, co zrobił, co pozwolił im zrobić, Reine i mnie, dzieciom i mnie.

Słowa są w tym miejscu nieczytelne, jak gdyby groza sięgnęła po pióro i przeciągnęła nim po stronie desperackim ruchem, lecz niemal od razu matka odzyskuje kontrolę.

Muszę myśleć o dzieciach. Nie wyobrażam sobie, by teraz były bezpieczne. Wykorzystywał je cały czas. Cały czas myślałam, że mnie pragnie, lecz to dzieci były mu potrzebne. Był dla mnie miły, żeby móc to ciągnąć dłużej. Te listy. Jadowite słowa, ale tego było trzeba, by otworzyć mi oczy. Co robiły w La Rep? Co jeszcze chciał z nimi zrobić? Może lepiej, że Reine spotkało to, co spotkało. Przynajmniej pokrzyżowało jego zamiary. W końcu wszystko wymknęło się spod kontroli. Ktoś zginął. Nie tak wyglądał jego plan. Ci inni Niemcy nigdy do końca nie brali w tym udziału. Ich też wykorzystał. Żeby zrzucić na nich winę, jeśli będzie trzeba. A teraz moje dzieci.

I znowu obłąkane bazgroły.

Żałuję, że nie pamiętam. Co mi tym razem zaproponował za milczenie? Więcej pigułek? Czy naprawdę sądził, że zasnę, wiedząc, czym za nie zapłaciłam? A może się uśmiechnął

1

319

Pięć ćwiartek pomarańczy

j' dotknął mojej twarzy w ten szczególny sposób, jakby nic się między nami nie zmieniło? Czy dlatego to zrobiłam?

Litery są czytelne, lecz chwiejne, jakby zmusiła się do pisania wielkim wysiłkiem woli.

Za wszystko trzeba płacić. Ale nie moje dzieci. Niech wezmą kogoś innego. Wszystko jedno kogo. Całą wieś, jeśli chcą. Tak właśnie sobie myślę, kiedy widzę we śnie ich twarze. Że zrobiłam to dla dzieci. Powinnam je wysłać

do Juliette na jakiś czas. Załatwić sprawy tutaj i odebrać je po wojnie. Będą tam bezpieczne. Bezpieczne ode mnie. Odesłać je, moją słodką Reine, Cassisa, Boise, przede wszystkim moją małą Boise, co innego mogę zrobić i kiedy to się wreszcie skończy?

W tym miejscu notatka nagle się urywa - porządnie wykaligrafowany przepis na potrawkę z królika oddziela ją od ostatniego akapitu, zapisanego innym kolorem i charakterem, jak gdyby długo się nad nim zastanawiała.

Wszystko ułożone. Wysyłam je do Juliette. Będą tam bezpieczne. Wymyślę jakąś bajkę, żeby zadowolić plotkarzy. Nie mogę tak zostawić farmy, trzeba się zająć drzewami przed zimą. BeleYolande wciąż choruje, muszę coś z tym zrobić. Poza tym beze mnie będą bezpieczniejsze. Teraz to wiem.

Nie potrafię sobie wyobrazić, co czuła. Strach, odrazę, rozpacz - i przerażenie, że jednak popadła w szaleństwo, że za sprawą ataków otwarły się drzwi dzielące koszmary z jej snów od rzeczywistego świata, grożąc życiu wszystkich, których kochała... Jednak dzięki swej wytrwałości pokonała wszelkie przeszkody. Ten upór,

który po niej odziedziczyłam, instynkt nakazujący się nie poddawać, trzymać się tego, co najdroższe, choćby kosztem własnego życia.

Nie, nie zdawałam sobie sprawy, przez co przechodzi. Miałam własne koszmary. Lecz nawet mimo to zaczęły do

320

Joannę Harris

mnie docierać wioskowe plotki, coraz głośniejsze i groźniejsze. Matka, jak zawsze, nie zaprzeczyła im ani nawet nie dała po sobie poznać, że o nich wie. Napisy na ścianie kurnika dały początek podejrzewaniom, które teraz, po egzekucji przy kościele, popłynęły szeroką falą. Ludzie przeżywają żalobę na różne sposoby, jedni w milczeniu, inni w gniewie, jeszcze inni - krzywdząc bliźnich. Ból rzadko wydobywa z nich to, co najlepsze, bez względu na to, co twierdzą miejscowi historycy, a Les Laveuses nie stanowiło wyjątku. Chretien i Mireille Dupre, którzy po śmierci dwóch synów zacięli się na krótko w milczeniu, zwrócili się przeciw sobie - ona kłótniwa i pełna złości, on posępny. Wpatrywali się w siebie, stojąc w kościelnych

ławkach -żona ze świeżym sińcem nad okiem - z wyrazem bliskim nienawiści. Stary Gaudin zamknął się w sobie jak żółw wycofujący się do skorupy. Isabelle Ramondin, w najlepszych czasach mająca opinię złośliwej plotkarki, stała się słodka i fałszywa; spoglądała na ludzi wielkimi czarnogra-natowymi oczyma, z drżącym płaczliwie podbródkiem. Podejrzewam, że to ona wszystko zaczęła. A może Claude Petit, który za życia nie powiedział dobrego słowa o siostrze, a teraz stał się uosobieniem braterskiego żalu. Albo Martin Truriand, mający odziedziczyć cały interes ojca, kiedy zginął jego brat... Śmierć zawsze wywabia z kryjówek szczury, a w Les Laveuses szczurami były zawiść i hipokryzja, fałszywa pobożność i chciwość. Zdawało się, że ledwo minęły trzy dni, a już wszyscy spoglądali na wszystkich koso. Ludzie zbierali się po dwoje lub troje, szeptali coś do siebie i milkli, kiedy podchodziło się do nich; inni wybuchali niespodziewanie płaczem w jednej minucie, a w następnej rzucali się na przyjaciół z pięściami. Stopniowo nawet ja pojęłam, że ściszone rozmowy, ukradkowe spojrzenia, mamrotane przekleństwa dotyczą najczęściej nas, kiedy szliśmy na pocztę odebrać listy albo na farmę Houriasów po mleko, albo do sklepu żelaznego po gwoździe. Za każdym razem takie same spojrzenia. Takie same

21. Pleć ćwiartek...

Pięć ćwiartek pomarańczy

szepty. Raz ktoś rzucił w matkę kamieniem. Innym razem obrzucono grudami ziemi nasze drzwi po godzinie policyjnej. Kobiety odwracały się na nasz widok bez słowa powitania. Pojawiły się kolejne napisy, tym razem na domu.

Jeden głosił: NIEMIECKA DZIWKĄ. Inny, na ścianie komórki dla kóz, NASI BRACIA I SIOSTRY ZGINĘLI PRZEZ WAS.

Matka traktowała to wszystko z pogardliwą obojętnością. Zaczęła kupować mleko od rodziny Crecy, kiedy u Houriasów nagle się skończyło, i wysyłała listy z Angers. Nikt się do niej nie odzywał, gdy jednak Francine Crespin splunęła jej pod nogi pewnej niedzieli, wracając z kościoła, matka plunęła Francine prosto w twarz z godną podziwu szybkością i precyzją.

Nas ignorowano. Paul nadal rozmawiał z nami czasem, choć nie wtedy, gdy ktoś był w pobliżu. Wydawało się, że dorośli nas nie zauważają, lecz niekiedy ktoś - jak obłąkana Denise Lelac - wsuwał nam do kieszeni jabłko albo kawałek ciasta, mrucząc „Weźcie, weźcie, na miłość boską, to wstyd, żeby was, dzieci, wplątywać w takie sprawy”. Odchodziła potem w swoją stronę, z czarnymi spódnicami wlokącymi się w żółtawym pyłe, ściskając mocno kosz na zakupy w kościstej dłoni.

Następnego dnia wszyscy powtarzali, że Mirabelle Dar-tigen była niemiecką dziwką i że to dlatego jej rodzinę oszczędzono. Nim nadszedł wtorek, ludzie przypomnieli sobie, że nasz ojciec wyraził się kiedyś z sympatią o Niemcach. W środę grupka pijaków - La Mauvaise Reputation zamknięto, więc stali się zgorzkniali i gwałtowni od picia w samotności - przyszli nas wyzywać i rzucać kamieniami w okiennice. Siedzieliśmy w sypialni przy zgaszonym świetle, drżąc i nasłuchując znanych-obcych głosów, póki matka nie wyszła zrobić z tym porządku. Tej nocy odeszli spokojnie. Następnej wyzywając głośno. Nadszedł piątek.

Właśnie skończyliśmy kolację. Cały dzień było szaro i wilgotno, jak gdyby na niebo ktoś narzucił stary koc, a lu-

322

Joannę Harris

dzie chodzili rozdrażnieni i wściekli. Noc przyniosła niewiele ukojenia, białawe mgły rozsnuły się nad polami, dom wydawał się w niej samotną wyspą; wilgotna mgła sączyła się do wnętrza przez szpary pod drzwiami i w oknach. Zjedliśmy w milczeniu, jak ostatnio stało się naszym zwyczajem, choć pamiętam, że matka zadała sobie wiele trudu, by przyrządzić nasze ulubione potrawy. Świeżo upieczony chleb posypany makiem, świeże masło od Crecych, ril-lettes, plastry andouillette ze świni ubitej w zeszłym roku, gorące skwierczące kawałki boudin, ciemne naleśniki z gryczanej mąki smażone na patelni, chrupkie i pachnące jak jesienne liście. Matka, starając się za wszelką cenę okazywać pogodę ducha, naląła nam słodkiego cydru do glinianych bolees, lecz sama nie piła. Pamiętam, że przez cały posiłek nieustannie, boleśnie się uśmiechała, a niekiedy wybuchała ostrym, nienaturalnym śmiechem, choć żadne z nas nie powiedziało nic

zabawnego.

- Pomyślałam sobie - jej głos brzmiał jasno, metalicznie - że przyda nam się zmiana powietrza.

Popatrzyliśmy na nią bez wyrazu. Zapach smażonego tłuszczu i cydru był przytłaczający.

- Pojedziemy odwiedzić tante Juliete w Pierre-Bufferie - ciągnęła dalej. - Spodoba się wam u niej. To w górach, w prowincji Limousin. Są tam kozice i świstaki, i...

- Kozy mamy i tutaj - przerwałam bezbarwnym tonem. Matka roześmiała się żałośnie.

- Powinnam wiedzieć, że będziesz miała coś przeciw temu - powiedziała.

Popatrzyłam jej w oczy.

- Chcesz, żebyśmy uciekli - odparłam. Przez minutę udawała, że nie rozumie.

- Wiem, że to się wydaje daleko - rzekła z tą wysiloną pogodą. - Ale to naprawdę nie tak daleko, a tante Juliette tak się ucieszy, jak nas wszystkich zobaczy...

- Chcesz, żebyśmy uciekli przez to, co ludzie gadają -przerwałam jej znowu. - Że jesteś niemiecką dziwką.

323 *

Pięć ćwiartek pomarańczy

Poczerwieniała na twarzy. - Nie powinniście słuchać plotek - burknęła ostro. - Nic dobrego nigdy z tego nie przychodzi.

- Więc to nieprawda, tak? - spytałam tylko po to, by ją speszyć. Wiedziałam, że to nieprawda - nie umiałam sobie wyobrazić, by mogło być inaczej. Widywałam wcześniej dziwki. Były różowe i pulchne, miękkie i ładne, miały szeroko otwarte puste oczy i umalowane usta jak aktorki na fotosach Reinette. Dziwki śmiały się i piszczały, nosiły buty na wysokich obcasach i skórzane torebki. Matka była stara, brzydka, skwaszona. Była brzydka, nawet kiedy się śmiała.

- Oczywiście, że nie. - Nie spojrzała mi w oczy.

- No to dlaczego uciekamy? - powtórzyłam uparcie.

Milczenie. W zapadłej nagle ciszy usłyszeliśmy z zewnątrz ochryply pomruk głosów, podzwanianie metalu o metal i kroki, jeszcze zanim pierwszy kamień uderzył w okiennicę. Odgłosy Les Laveuses, pełne małodusznej złośliwości i mściwego gniewu. Sąsiedzi przestali być ludźmi - nie było już Gaudinów, Lecozów, Truriandów, Dupontów ani Ramondinów - stali się częścią tłumu. Wyjrzelśmy przez okno i zobaczyliśmy ich zgromadzonych przed furtką - dwadzieścia, trzydzieści, a może więcej osób, przeważnie mężczyzn, lecz było też parę kobiet. Niektórzy trzymali lampy albo pochodnie, jak członkowie spóźnionej procesji dożynkowej, inni mieli kieszenie pełne kamieni. Kiedy tak patrzyliśmy - snop światła z kuchni padał na podwórze - ktoś odwrócił się i rzucił drugi kamień, który strzaskał starą drewnianą ramę i zasypał kuchnię odłamkami szkła. Był to Guilherm Ramon-din. Ledwie widziałam jego twarz w czerwonym blasku, czułam jednak ciężar jego nienawiści nawet przez szybę.

- Dziwka! - Głos Guilherma był niemal nierozpoznawalny, ochrypły od czegoś więcej niż alkoholu. - Wyłaż, dziwko, albo sami po ciebie przyjdziemy!

324

Joannę Harris

Jego słowom towarzyszył ryk punktowany tupaniem, okrzykami i deszczem grud ziemi oraz żwiru, które zabębniły o przymknięte okiennice.

Matka uchyliła rozbite okno i krzyknęła:

- Wracaj do domu, Guilherm, ty durniu, zanim się przewrócisz i będą cię musieli nieść!

Śmiech i szyderstwa z tłumu. Ramondin pogroził jej kulą.

- Śmiało sobie poczynasz jak na niemiecką dziwkę! -wrzasnęła. Głos miał szorstki i podpity, lecz mówił

całkiem wyraźnie. - Kto im powiedział o Raphaelu, co? Kto im powiedział o La Rep? Ty, Mirabelle! Doniosłaś tym z SS, że zabili twojego kochasia?

Matka plunęła przez okno.

- Śmiało sobie poczynam? - Jej głos był wysoki i przenikliwy. - I to ty mówisz o śmiałości, Gulhermie Ramondin! Rzeczywiście trzeba wielkiej odwagi, żeby stać po pijanemu przed domem uczciwej kobiety i straszyć jej dzieci! Bardzo dzielne dać się odesłać do domu w pierwszym tygodniu walki, podczas gdy mój mąż tam zginął!

Guilherm zaryczał wściekle. Tłum za jego plecami dołączył ochryple. Następna fala pocisków trafiła w okna, zasypując grudkami ziemi kuchenną podłogę.

- Ty dziwko! - Z łatwością wyłamali przerdzewiałe zawiasy furtki i rozsypali się po podwórzu. - Nie myśl, że nie wiemy! Nie myśl, że Raphael nikomu nie powiedział!

Jego tryumfalny, pełen nienawiści głos nawet teraz górował nad pozostałymi. W rdzawym półmroku pod

oknem widziałam jego oczy odbijające światło ognia, podobne do witraża z potłuczonych szkiełek. - Wiemy, że z nim handlowałaś, Mirabelle! Wiemy, że Leibniz był twoim kochankiem!

Matka chlusnęła przez okno wodą na najbliższej stojących członków zbiegowiska.

- To żebyście ochłonęli! - wrzasnęła z wściekłością. -Uważacie, że wszyscy myślą tylko o tym jednym? Myślicie, że wszyscy są tacy jak wy?

325

Pięć ćwiartek pomarańczy

Guilherm minął już wcześniej bramę i teraz niezrażony dobijał się do drzwi wejściowych.

- Wyłaż stamtąd, dziwko! Dobrze wiemy, coś zrobiła! Widziałam, jak drzwi chwieją się pod jego ciosami.

Matka zwróciła się do nas z twarzą rozpaloną od gniewu.

- Bierzcie swoje rzeczy! Weźcie kasetkę z pieniędzmi spod zlewu. Nie zapomnijcie dokumentów!

- Ale czemu... przecież...

- Bierzcie, powiedziałam! Wybiegliśmy z kuchni.

W pierwszej chwili sądziłam, że trzask - przeraźliwy dźwięk, który wstrząsnął spróchniałymi deskami podłogi - wydały wyłamane drzwi. Kiedy jednak wróciliśmy do kuchni, zobaczyliśmy, że matka przesunęła pod nie kredens, tłukąc przy okazji wiele swych cennych talerzy, i zabarykadowała wejście. Przyciągnęła tam również stół, więc nawet gdyby kredens ustąpił, nikt nie mógłby się dostać do środka. W ręce trzymała strzelbę ojca.

- Cassis, sprawdź tylne drzwi. Nie sądzę, żeby o nich pamiętali, ale nigdy nie wiadomo. Reine, zostaniesz ze mną. Boise...

Przez chwilę patrzyła na mnie dziwnie błyszczącymi, czarnymi nieprzeniknionymi oczyma, nie zdążyła jednak dokończyć zdania, bo w tym momencie jakiś potworny

ciężar uderzył w drzwi, wyłamując z framugi ich górną połowę i ukazując fragment nocnego nieba. W otworze ukazały się czerwone od blasku pochodni i wściekłości twarze kilku śmiałków, którzy wspięli się na ramiona towarzyszy. Jedna z nich należała do Guilherma Ramondina. Uśmiechał się upiornie.

- Nie uda ci się schować - wysapał. - Przyszliśmy ci dostać... dziwko. Zapłacić ci za to... co zrobiłaś...

Nawet wtedy, w chwili gdy wszystko waliło się wokół, matka potrafiła się zdobyć na zjadliwy śmieszek.

- Twojemu ojcu? - dokończyła wysokim, pełnym pogardy głosem. - Twojemu ojcu, męczennikowi? Bohate-

326

Joannę Harris

rowi? Nie rozśmieszaj mnie! - Uniosła strzelbę, tak aby ją mógł zobaczyć. - Twój ojciec był żalonym starym opojem, który jak się upił, sikał na własne buty. Twój ojciec...

- Mój ojciec należał do ruchu oporu! - Guilherm niemal skrzeczał z wściekłości. - Po co innego by chodził do Raphaela? Czemu inaczej Niemcy by go aresztowali?

Matka roześmiała się znowu.

- Ach, do ruchu oporu, rzeczywiście? I stary Lecoz pewnie też tam należał, tak? I biedna Agnes? I Colette?

Pierwszy raz tego wieczoru mężczyzna się zawahał. Matka z wymierzoną bronią zrobiła krok w stronę wejścia.

- Nie bez powodu ci to mówię, Ramondin - ciągnęła dalej. - Z twojego ojca taki był bojownik, jak ze mnie Joanna d'Arc. Nieszczęsny stary pijak z za długim jęzorem, któremu by stanął chyba tylko na drucie! Tak się złożyło, że znalazł się w złym czasie w niewłaściwym miejscu, podobnie jak wy na moim podwórku, idioci. A teraz zabierajcie się stąd! Wszyscy, co do jednego! - Wypaliła w powietrze. - Co do jednego! - wrzasnęła.

Guilherm jednak należał do upartych. Skrzywił się,

kiedy drzewny pył po wystrzale musnął jego policzek, ale nie opuścił posterunku.

- Ktoś tego bosza zabił - powiedział trzeźwiej szym tonem. - Ktoś przeprowadził egzekucję. Kto inny niż ruch oporu? A potem ktoś na nich doniósł do SS. Ktoś ze wsi. Kto, jeśli nie ty, Mirabelle? No, kto?

Matka zaczęła się śmiać. W blasku ognia widziałam jej twarz, zarumienioną i niemal piękną w gniewie. Wokół leżały resztki zniszczonych mebli. Jej śmiech brzmiał przerażająco.

- Chcesz wiedzieć, Guilhermie? -W jej głosie pojawiła się nowa, niemal radosna nuta. - Naprawdę nie pójdziecie do domu, póki się nie dowiecie? - Znowu wypaliła w sufit. Tynk posypał się, podobny w świetle ognia do skrwawionych piór. - Naprawdę, kurwa, chcecie wiedzieć?

327*

Pięć ćwiartek pomarańczy

Zauważyłam, jak drgnął na to słowo, silniej niż na

dźwięk wystrzału. W tamtych czasach mężczyźni często przeklinali, lecz było nie do pomyślenia, by robiła to kobieta - w każdym razie przyzwoita kobieta. Zrozumiałam, że matka w tym momencie przypieczętowała swój los. Najwyraźniej jednak jeszcze nie skończyła.

- Powiem ci prawdę, chcesz, Ramondin? - mówiła dalej. Głos łamał się jej ze śmiechu, być może z powodu hysterii, jednak jestem pewna, że w tym momencie dobrze się bawiła. - Tak po prostu ci powiem, co się naprawdę zdarzyło, chcesz? - Skinęła pogodnie głową. - Nie musiałam na nikogo donosić Niemcom, Ramondin. A wiesz dlaczego? Bo to ja zabiłam Tomasa Leibniza! Ja go zabiłam! Nie wierzycie mi? Ja go zabiłam! - Znowu nacisnęła spust, choć obie lufy były puste. Jej roztańczony cień na kuchennej podłodze był rdzawy i czarny, olbrzymi. Jej głos wzniósł się do krzyku. - Teraz ci lepiej, Ramondin? Ja go zabiłam! Byłam jego dziwką, to prawda, i wcale się nie wstydzę! Zabiłam go i zrobiłabym to znowu, gdyby było trzeba! Zabiłabym go tysiąc razy! I co na to powiesz? Co na to, kurwa, powiesz?

Wciąż jeszcze krzyczała, kiedy pierwsza pochodnia

wpadła do środka. Zgasła, choć ReINETTE zaczęła wrzeszczeć, gdy tylko zobaczyła płomienie. Od drugiej zajęły się zasłony, a od trzeciej potrzaskane resztki kredensu. Twarz Guilherma zniknęła z dziury po drzwiach, lecz słyszałam, jak wykrzykuje rozkazy na zewnątrz. Kolejna pochodnia -snopek słomy podobny do tych, z których zbudowano tron królowej dożynek - przeleciał nad kredensem i wylądował na samym środku kuchni.

Matka wciąż krzyczała niepowstrzymanie:

- Zabiłam go, wy tchórze! Zabiłam go i cieszę się, że to zrobiłam, i zabiję was, co do jednego, jeśli któryś spróbuje skrzywdzić mnie albo moje dzieci!

Cassis chciał ją wziąć za rękę, ale cisnęła nim o ścianę.

- Tylne drzwi - zawołałam do brata. - Musimy uciekać tyłem!

328

Joannę Harris

- A jeśli na nas czekają? - zawodziła Reine.

- Bzdury! - wrzasnęłam niecierpliwie.

Z zewnątrz dobiegał hałas i kocia muzyka, jak z jakiegoś dzikiego targowiska. Chwyciłam matkę za rękę, Cassis za drugą. Ciągnęliśmy ją razem, wciąż miotającą się i śmiejącą, na tyły domu. Oczywiście na nas czekali. Ich twarze wydawały się czerwone w blasku ognia. Guilherm zagroził nam drogę, mając po obu stronach rzeźnika Pe-tita i ojca Paula, Jean-Marca, który wyglądał na nieco zawstydzonego, lecz szczyrzył się od ucha do ucha. Zbyt pijani zapewne lub wciąż jeszcze zbyt ostrożni, by popełnić morderstwo, chcąc się ośmielić, podłożyli ogień pod kurnik i obórkę dla kóz. Smród palących się piór mieszał się z wilgotnym zapachem mgły.

- Nigdzie nie pójdziecie - oznajmił Ramondin groźnie. Za jego plecami dom szeptał i trzeszczał, w miarę jak płomienie pochłaniały kolejne przedmioty.

Matka odwróciła strzelbę i ruchem niemal zbyt szybkim, by go można było dostrzec, kolbą grzmotnęła

mężczyznę w pierś. Ramondin padł na ziemię. Przez mgnienie w miejscu, gdzie stał, otwarła się wyrwa. Rzuciłam się w nią, przepychałam pod łokciami i prześlizgiwałam wśród nóg, kijów i wideł jak wśród leśnego poszycia. Ktoś próbował mnie schwycić, ale byłam śliska jak piskorz, umknęłam w podniecony tłum. Czułam się schwyтана w pułapkę, dusiłam się pod naporem ciała. Walczyłam o powietrze i przestrzeń, ledwie czując spadające na mnie ciosy. Wreszcie wolna, rzuciłam się pędem przez pole w ciemność i ukryłam za kępą malinowych krzewów. Wydawało mi się, że gdzieś daleko za sobą słyszę krzyk matki, bez cienia strachu teraz, wściekły i przeszywający. Brzmiał jak ryk zwierzęcia broniącego młodych.

Smród dymu stawał się coraz mocniejszy. Środkowa część domu zapadła się z trzaskiem, przez pole dotarła do mnie fala gorącego powietrza. Ktoś - chyba Reine - zakrzyczał cienko.

ł

Pięć ćwiartek pomarańczy

Tłum był bezładny, wrzał nienawiścią. Jego cień sięgał zarośli malin, a nawet dalej. Ukryłam się w samą porę, by zobaczyć, jak szczyt domu zapada się w wybuchu fajerwerków. Czerwonawa kolumna przegrzanego powietrza wzbija się w niebo, popiół i ogniste pociski poszybowały z wizgiem w szare niebo jak ognista fontanna.

Jakaś postać wyrwała się z tłumu i pognała przez pole. Poznałam Cassisa. Kierował się w stronę Posterunku Obserwacyjnego. Paru ludzi pobiegło w ślad za nim, lecz widok płonącej farmy ich zahipnotyzował. Poza tym to o matkę im chodziło. Słyszałam teraz jej wołanie nad dwugłosem płonącego domu i wściekłego tłumu. Wykrzykiwała nasze imiona.

- Cassis! Reine-Claude! Boise!

Podniosłam się wśród pędów malin, gotowa uciekać, gdyby ktoś chciał się do mnie zbliżyć. Stałam na czubkach palców i przez moment ją dostrzegłam. Wyglądała jak potwór morski z rybackich opowieści, osaczona ze wszystkich stron, lecz rzucająca się wściekle, z twarzą czerwoną i czarną od ognia, krwi i dymu;

monstrum z morskiej otchłani. Widziałam też innych: Francine Cre-pin ze świątobliwą twarzą wykrzywioną od wściekłego krzyku, Guilherma Ramondina podobnego do upiora powstałego z martwych. Obok nienawiści pojawił się teraz strach, rodzaj zabobonnego lęku, na który jedynym lekarstwem jest zniszczenie i śmierć. Długo trwało, nim ich ogarnął, lecz teraz nadszedł czas zabijania. Zobaczyłam, jak Reinette wymyka się z tłumu i ucieka w zarośla. Nikt nie próbował jej zatrzymać. Zresztą do tego czasu większość z nich, oślepią żądzą krwi, z trudem ją poznawała.

Matka padła na ziemię. Może sobie wyobraziłam rękę wznoszącą się ponad wykrzywione grymasem twarze. Wyglądało to jak obrazek z jednej z książek Cassisa - „Plagi upiorów” albo „Doliny kanibali”. Brakowało tylko tam-ta-mów. Najbardziej przerażające było to, że znałam te twa-

330

Joannę Harris

rze, widziane miłosiernie krótko w ciemności

rozdzieranej radosnymi krzykami. Ojciec Paula. Jeannette Cre-spin, która omal nie została królową dożynek, ledwie szesnastoletnia, z twarzą umazaną krwią. Był tam nawet pokorny pere Froment - choć czy starał się przywrócić porządek, czy też sam brał udział w linczu, nie sposób stwierdzić. Grad ciosów zadawanych kijami i pięściami spadał na plecy i głowę matki. Kuliła się jak zaciśnięta pięść, jak kobieta tuląca w ramionach dziecko, nie przestając krzyczeć wyzywająco, choć jej głos dobiegał teraz stłumiony naporem ciał i nienawiści.

Nagle rozległ się huk.

Usłyszeliśmy go wszyscy: wystrzał z broni dużego kalibru - dwururki albo jednego z tych staroświeckich pistoletów wciąż jeszcze przechowywanych na strychach lub pod podłogą we wsiach całej Francji. Strzał był przypadkowy - choć Guilherm Ramondin poczuł, jak kula przeleciała mu tuż obok ucha i przerażony, gwałtownie opróżnił pęcherz - i wszystkie głowy obróciły się, by zobaczyć, skąd padł. Nikt nie wiedział. Wśród rąk zamarłych w pół gestu matka zaczęła pełznąć przed siebie, krwawiąc z tuzina ran, z powyrywanych włosów, tak że prześwitywała goła skóra, z dłonią przebitą ostrym

kołkiem i rozcapierzonymi bezradnie palcami.

Trzask ognia - biblijny, apokaliptyczny - był teraz jedynym dźwiękiem. Wszyscy zamarli, wspominając być może salwę plutonu egzekucyjnego przed kościołem Świętego Benedykta, zadrżeli na myśl o własnych morderczych zamiarach. Rozległ się głos - od strony ścierniska albo z płonącego domu, a może nawet z samego nieba - grzmiący, rozkazujący głos mężczyzny, którego nie sposób było nie usłyszeć.

- Zostawcie ich!

Matka pełzła przed siebie dalej. Tłum rozstępował się przed nią jak łan pszenicy pod naporem wiatru.

- Zostawcie ich! Wracajcie do domu!

331

Pięć ćwiartek pomarańczy

Brzmiał znajomo, mówili potem ludzie. Rozpoznawali jego melodię, lecz nie potrafili go zidentyfikować.

Ktoś krzyknął histerycznie:

- To Philippe Hourias!

Philippe jednak nie żył. Zebranych przeszedł dreszcz. Matka dotarła na otwartą przestrzeń, wyzywająco podniosła się na nogi. Ktoś wyciągnął rękę, by ją zatrzymać, lecz zaraz zmienił zdanie. Pere Froment zawołał coś słabo, pełen dobrej woli. Kilka gniewnych okrzyków zawisło w powietrzu, zamarło w przesądnej ciszy. Czujnie, wyzywająco, nie odwracając twarzy pod spojrzeniami tłumu, ruszyłam w stronę matki. Twarz piekła mnie z gorąca, w moich oczach odbijał się blask ognia. Ujęłam ją za zdrową rękę.

Rozległe pole Houriasów otwierało się przed nami. Ruszyliśmy przez nie bez słowa. Nikt za nami nie poszedł.

20

Pojechaliśmy do tante Juliette. Matka została z nami przez tydzień, potem wyjechała, być może ze wstydu lub strachu, oficjalnie zaś po to, by podreperować zdrowie.

Widzieliśmy ją potem tylko kilka razy. Nie mieliśmy jej za złe, kiedy powróciła do panińskiego nazwiska i przeniosła się z powrotem do Bretanii. Z jej dalszego życia znam tylko kilka szczegółów. Słyszałam, że zarabiała na całkiem dostatnie życie wypiekami. Gotowanie zawsze było jej największą miłością. My zostaliśmy u tante Juliette. Wyprowadziliśmy się tak szybko, jak to było możliwe bez wzbudzania podejrzeń; Reine, by spróbować kariery w filmie, o której marzyła od tak dawna, Cassis pod zmienionym nazwiskiem uciekł do Paryża w nudne, lecz wygodne małżeństwo. Słyszeliśmy, że farma w Les La-veuses została tylko częściowo strawiona przez ogień, że przybudówki ocalały i tylko front głównego budynku

332

Joannę Harris

spłonął całkowicie. Mogliśmy wrócić. Lecz plotka o masakrze w Les Laveuses już się rozniosła. Wyznanie winy złożone przez matkę w obecności trzech tuzinów świadków - jej słowa „To ja go zabiłam! Byłam jego dziwką i wcale tego nie żałuję” - jak również uczucia wyrażone wobec współmieszkańców wystarczyły, by ją

potępiono. Wkrótce po wyzwoleniu dziesięciu męczenników Wielkiej Masakry upamiętniono mosiężną tablicą. Później, gdy podobne zdarzenia zaczęto uważać za ciekawostki warte dokładnego poznania, kiedy ból po stracie i groza nieco ucichły, stało się oczywiste, że wrogość wobec Mira-belle Dartigen i jej dzieci nie zniknie. Musiałam pogodzić się z prawdą: nigdy nie wrócę do Les Laveuses. Już nigdy. Przez długi czas nawet nie zdawałam sobie sprawy, jak bardzo tego pragnę.

21

Kawa wciąż jeszcze gotuje się na kuchni. Zapach budzi gorzką tęsknotę, przypomina woń palonych liści i mgły. Pijam bardzo słodką, jakbym była ofiarą jakiejś katastrofy. Chyba zaczynam teraz rozumieć, jak musiała się czuć matka - jej wzburzenie, poczucie swobody płynące z odrzucenia wszystkiego.

Wszyscy sobie poszli. Dziewczyna z malutkim magnetofonem i górą kaset. Fotograf. Nawet Pistache pojechała do domu na moją prośbę. Ciągle jeszcze czuję uścisk jej ramion, muśnięcie warg na policzku. Moja dobra córka, zaniedbywana tak długo na korzyść tej

niedobrej. Ale ludzie się zmieniają. Nareszcie czuję, że mogę z wami rozmawiać, moja dzika Noisette, moja słodka Pistache. Mogę was tulić, nie czując się, jakbym tonęła w szlamie. Stara Mateczka wreszcie została zabita, jej klątwa straciła moc. Nie spadnie na nas żadne nieszczęście, jeśli odważę się was kochać.

t

Pięć ćwiartek pomarańczy

Noisette oddzwoniła do mnie późno w nocy. Głos miała napięty i czujny, ja tak samo; wyobraziłam sobie, że tak jak ja z wyrazem podejrzliwości na wąskiej twarzy opiera się o wykładany płytkami bar. W jej słowach, pokonujących dystans wielu mil i straconych lat, jest niewiele ciepła, lecz czasem, gdy wspomina o swoim dziecku, chyba coś w nim słyszę. Coś jak zapowiedź łagodności. Cieszę się z tego.

Powiem jej w swoim czasie; po trochu wprowadzę ją we wszystko. Mogę sobie pozwolić na cierpliwość, ostatecznie mam w tym wprawę. W pewnym sensie córka potrzebuje tej opowieści bardziej niż inni - z pewnością

bardziej niż publika rzucająca się na skandale z dawnych lat - bardziej niż Pistache. Pistache nie chowa uraz. Przyjmuje ludzi takimi, jacy są, szczerze i życzliwie. Noisette jednak powinna usłyszeć tę historię - i powinna ją usłyszeć jej córka Peche - inaczej duch Starej Mateczki może jeszcze kiedyś podnieść głowę. Noisette ma własne demony. Ufam tylko, że nie jestem już jednym z nich.

Dom wydaje się dziwnie pusty teraz, kiedy wszyscy odeszli; niezamieszkany. Przeciąg porusza zeschniętymi liśćmi na posadzce. A jednak nie jestem całkiem sama. To absurd, wyobrażać sobie duchy w starym budynku. Mieszkałam tu tak długo i nigdy nie poczułam choćby dreszczu świadczącego o ich obecności, a przecież dzisiaj mam wrażenie, że... Ktoś kryje się w cieniach; cicha obecność, dyskretna i niemal pokorna, wyczekująca...

Mój głos zabrzmiał ostrzej, niż zamierzałam. „Kto tam jest? Pytam się, kto tam jest?“. Odbił się metalicznym echem od nagich ścian, wykładanej płytkami podłogi. Postać zbliżyła się do światła i nagle poczułam się bliska śmiechu, bliska łez, widząc, kto to.

- Pachnie dobrą kawą - powiedział na swój łagodny

sposób.

- Boże, Paul. Jak ci się udało wejść tak cicho?

334

Joannę Harris

Wyszczерzył zęby.

- Myślałam, że to... myślałam...

- Za dużo myślisz - odparł po prostu, podchodząc do pieca. Jego twarz wydawała się złotawożółta w przytłumionym świetle lampy, opadające wąsy nadawały jej smętny wyraz, któremu przeczył jasny blask w oczach. Zastanawiałam się, ile usłyszał z mojej opowieści. Kiedy tak siedział w mroku, całkiem o nim zapomniałam.

- Mówisz też niemało - gderał życzliwie, nalewając sobie filiżankę kawy. - Myślałem, że nie skończysz przez tydzień, jak zaczęłaś. - Posłał mi szybki, chytry uśmiezek.

- Chciałam, żeby zrozumieli - zaczęłam sztywno. -A

Pistache...

- Ludzie rozumieją więcej, niż ci się wydaje. - Zbliżył się do mnie, pogładził mnie po policzku. Pachniał kawą i starym tytoniem. - Czemu się ukrywałaś tak długo? Co dobrego miało z tego wyniknąć?

- Były... rzeczy... o których po prostu nie mogłam mówić. - Głos mi zadrżał. - Ani z tobą, ani z nikim innym. Rzeczy, od których, jak mi się wydawało, rozpadłby się cały świat. Nie wiesz... nigdy nie zrobiłeś czegoś podobnego...

Zaśmiał się; uroczy, zwyczajny dźwięk.

- Och, Framboise! Naprawdę tak sądzisz? Że nie wiem, jak to jest dochowywać tajemnicy? - Ujął moją brudną rękę w swoje dłonie. - Że jestem za głupi, żeby w ogóle mieć tajemnicę?

- Wcale tak nie myślą... - zaczęłam. Ale tak było, Boże, dopomóż, tak właśnie było.

- Wydaje ci się, że uniesiesz na barkach cały świat

-powiedział Paul. - Więc posłuchaj tego. - Znowu przeszedł na gwara, a w niektórych słowach słyszałam cień dziecięcego jąkania. Obie te rzeczy sprawiły, że jego głos brzmiał bardzo młodo. -Tamte anonimowe listy... pamiętasz listy, Boise? Te napisane z błędami? I bazgroły na ścianach?

Przytaknęłam.

*

335

Pięć ćwiartek pomarańczy

- Pamiętasz, jak ukrywała te 1-listy, kiedy wchodziłaś do sieni? Pamiętasz, jak odgadłaś, że znowu jakiś dostała, z wyrazu jej twarzy, z tego, jak chodziła nerwowo, wyglądając na przestraszoną - i złą - i pełną n-nienawiści, bo czuła się przestraszona i zła, i jak nienawidziłaś jej szczególnie w takie dni, nienawidziłaś tak bardzo, że zabiłabyś ją własnymi rękami?

Skinęłam znowu.

- To byłem ja - wyjaśnił. - To ja je pisałem, wszystkie co do jednego. Założę się, że nawet nie wiedziałaś, że umiem pisać, prawda, i faktycznie kiepsko mi wyszło, jak pomyśleć, ile w to włożyłem wysiłku. Żeby się odegrać. Za to, że nazwała mnie wtedy kretynem przy tobie - i Cassisie - i Reine-C-C-C... - Skrzywił się nagle w bezsilnym gniewie, poczerwieniał silnie. - Przy Reine-Claude - dokończył cicho.

- Rozumiem.

Oczywiście. Jak wszystkie zagadki, i ta wydawała się oczywista, gdy się poznało odpowiedź. Pamiętałam wyraz jego twarzy, kiedy w pobliżu była Reinette, jak się czerwienił, jąkał i milkł, chociaż w moim towarzystwie mówił prawie normalnie. Pamiętałam wyraz zimnej, czystej nienawiści w jego oczach tamtego dnia - Gadaj normalnie, ty kretynie! - i przedziwny lament, pełen wściekłości i rozpacz, ciągnący nad polami jego śladem. Pamiętałam, jakim wzrokiem patrzył niekiedy na komiksy Cassisa - z wyrazem niezwyklej koncentracji - Paul, który jak wszyscy wiedzieli, nie potrafił odcyfrować ani słowa. Pamiętałam jego szacujące spojrzenie, kiedy dzieliłam

pomarańczę na części; wrażenie, że ktoś mnie śledzi, ogarniające mnie niekiedy nad rzeką - nawet tamtego ostatniego razu, ostatniego dnia z Tomaszem... nawet wtedy, Boże, nawet wtedy.

- Nie chciałem, żeby sprawy się posunęły tak daleko. Chciałem, by pożałowała. Nie sądziłem, że tak się to skończy. Tymczasem wszystko wymknęło mi się z rąk. Jak to bywa w podobnych wypadkach. Jak ryba zbyt duża, by ją

336

Joannę Harris

wyciągnąć na brzeg, która porywa ze sobą żyłkę. Próbowałem to naprawić. Na samym końcu. Próbowałem. Wytrzeszczałam na niego oczy.

- Dobry Boże, Paul. - Zbyt zaskoczona, by się gniewać, nawet zakładając, że było jeszcze we mnie miejsce na gniew. - To byłeś ty, prawda? Ze strzelbą, tamtej nocy na farmie? To ty się schowałeś na polu?

Przytaknął. Nie mogłam przestać się na niego gapić; zdaje się, że pierwszy raz w życiu zobaczyłam go naprawdę.

- Wiedziałaś? Cały czas o wszystkim wiedziałaś? Wzruszył ramionami. - Wszyscy uważaliście mnie za

durnia - odparł bez goryczy. - Myśleliście, że możecie robić, co się wam podoba, pod moim nosem, bo i tak nie zauważę... - Skrzywił się w niespiesznym, melancholijnym uśmiechu. - Zdaje się, że z tobą nie będę już mógł tego robić. To chyba skończone.

Próbowałam myśleć jasno, lecz fakty nie chciały wskoczyć na swoje miejsca. Przez tyle lat sądziłam, że to Guil-herm Ramondin pisał tamte listy albo może Raphael, albo ktoś należący do jednej z Rodzin... I usłyszeć teraz, że to był Paul, mój słodki, flegmatyczny Paul, mający zaledwie trzynaście lat i niewinny jak letnie niebo... On to zaczął i on zakończył - z nieugiętą, nieuniknioną symetrią pół roku. Jednak gdy się wreszcie odezwałam, powiedziałam coś zupełnie innego, czego oboje kompletnie nie spodziewaliśmy się usłyszeć.

- Więc tak bardzo ją kochałeś? - Moją siostrę Reinette o wydatnych kościach policzkowych i błyszczących lokach. Moją siostrę, królową dożynek, umalowaną i ukoronowaną wieńcem z jęczmienia, z garścią kłosów w jednej dłoni i pomarańczą w drugiej.

Widzicie, taką ją teraz zawsze wspominam. Zachowałam w pamięci wyraźny, doskonały obraz. Poczułam nieoczekiwane ukłucie zazdrości gdzieś obok serca.

- Tak samo chyba, jak ty kochałaś jego - odparł cicho.
- Jak ty kochałaś Leibniza.

i

2. Pięć ćwiartek..

Pięć ćwiartek pomarańczy

Jakże głupi byliśmy jako dzieci. Bezwzględni, pełni nadziei głupcy. Strawiłam życie, marząc o Tomasie - lata małżeństwa w Bretanii, lata wdowieństwa - o mężczyźnie takim jak on, z jego swobodnym śmiechem i bystrymi

oczyrna koloru rzeki, takim jak Tomas z moich snów - tylko ty, Tomas, tylko ty na zawsze - kłótwie Starej Mateczki przyobleczonej w ciało.

- Zajął mi to trochę czasu - ciągnął Paul - ale chyba się od tego uwolniłem. Przestałem się szarpać. To jak walczyć z nurtem rzeki. Tylko się człowiek zmęczy. Wcześniej czy później, nieważne kim jesteś, musisz się poddać, a rzeka sama zanieś cię do domu.

- Do domu. - Własny głos brzmiał dziwnie w moich uszach. Dłonie Paula były w dotyku szorstkie i ciepłe. Oczyrna wyobraźni zobaczyłam, jak stoimy obok siebie w zapadającym mroku niczym Jaś i Małgosia, starzy i posiwiali, przed domkiem Baby Jagi, zamykający wreszcie za sobą drzwi z piernika.

Wystarczy się poddać nurtowi, a rzeka sama zanieś cię do domu. Wydawało się to takie proste.

- Długo czekaliśmy, Boise. Odwróciłam twarz.

- Chyba za długo.

- Nie sędę.

Wzięłam głęboki oddech. To był właściwy moment. Żeby wyjaśnić, że wszystko skończone; że kłamstwo, które legło między nami, jest zbyt stare, by je wymazać, zbyt wielkie, by je przekroczyć; że jesteśmy za starzy, na miłość boską; że to śmieszne, niemożliwe, a poza tym, poza tym...

Pocałował mnie w usta - nie nieśmiałym pocałunkiem starego człowieka, lecz zupełnie inaczej, tak że naraz poczułam się poruszona do głębi, oburzona i dziwnie pełna nadziei. Oczy mu błyszczały, kiedy niespiesznie wyjął coś z kieszeni, coś, co połyskiwało złotem i czerwono w świetle lampy...

338

Joannę Harris

Naszyjnik z dzikich jabłek.

Patrzyłam zaskoczona, gdy delikatnie wkładał mi go na szyję.

- Królowa dożynek - szepnął. - Framboise Dartigen.
Tylko ty.

Czułam przyjemny, cierpki zapach lśniących, krągłych owoców dotykających mojej ciepłej skóry.

- Jestem za stara - zaprotestowałam drżącym głosem.
- Za późno na to.

Pocałował mnie znowu - w skroń, potem w kącik ust. Sięgnął znowu do kieszeni, wyciągnął wieniec z pozółkłych traw i ostrożnie włożył mi go na głowę jak koronę.

- Nigdy nie jest za późno, żeby wrócić do domu - powiedział i lekko, stanowczo przyciągnął mnie do siebie.
-Musisz tylko... przestać uciekać.

Opór jest niczym walka z nurtem, wyczerpujący i pozbawiony sensu. Wtuliłam twarz w jego ramię jak w poduszkę. Jabłka na mojej szyi wydzielały cierpki, przenikliwy zapach, jak w czasach naszego dzieciństwa.

Świętowaliśmy powrót do domu słodką czarną kawą,
croissantami i dżemem z zielonych pomidorów według
przepisu mojej matki.